

**EDMUND NIZIURSKI**

**AWANTURY KOSMICZNE**

**Katowice, 1982**

**Wydanie II**

## ROZDZIAŁ I — UWAGA, POŚLIZG!

Nikt nie zaprzeczy, że woźny szkolny jest bardzo ważną figurą. Zyzio Gnacki, zwany pospolicie Gnatem, który jest redaktorem naczelnym naszej gazety ściennej i znanym teoretykiem, twierdzi nawet, że woźny szkolny jest tak samo ważny jak pan dyrektor, a na pewno groźniejszy od dyrektora, jeśli nie zostanie natychmiast oswojony. Dlatego, gdy pojawił się u nas nowy woźny, niejaki Macoch, ochrzczony później Bamboszem, Gnat wezwał nas do oswojenia tej niebezpiecznej postaci, a przynajmniej do zawarcia z nią jakiegoś paktu nieagresji. Niestety, to rozpaczliwe wezwanie pozostawiliśmy lekkomyślnie bez odpowiedzi. Kto by tam słuchał przestróg teoretyka, kiedy nastroczała się sposobność do taniego ubawu. Och, zdawaliśmy sobie sprawę, że narażamy się na niebezpieczeństwo, lecz to nas właśnie podniecało. Chcieliśmy wypróbować odporność Bambosza i określić stopień jego drażliwości. Najpierw poddaliśmy go próbie dzwonka. Zaraz na pierwszej przerwie unieruchomiliśmy elektryczny brzęczek za pomocą plasteliny i czekaliśmy, co się stanie. Ale nic się nie stało. Bambosz musiał już w poprzedniej szkole przywyknąć do tego, że dzwonki się psują, i natychmiast wydobył zapasowy dzwonek ręczny. Nie daliśmy za wygraną i na następnej przerwie zorganizowaliśmy bieg tabunowy. Polegał on na gromadnym galopie przez korytarz i wydawaniu odrażających wrzasków. I tym razem Bambosz nie reagował, przyglądał nam się tylko z lekka osłupiały, a na jego szerokim obliczu malował się wyraz niesmaku. Należało z tego wnioskować, iż jest twardoszem o raczej odpornym uchu. Wobec tego na dużej przerwie poddaliśmy twardosza próbie pantoflowej. Gwiżdżąc przeraźliwie, wypadliśmy w pantoflach na błotniste podwórze i poczęliśmy ćwiczyć sprinty. Tym razem domacaliśmy się słabego punktu Bambosza. Zabulgotał, wydobył z siebie bolesny krzyk i rzucił się za nami w pogoń z miotłą w rękę.

Przez kilka minut trwały na podwórzu gorszące sceny. Rozpaczliwe szarże woźnego nie na wiele się zdały, nasze ucieczki były tylko pozorne. Przepędzeni z jednego miejsca zbieraliśmy się w drugim, rozproszeni — natychmiast łączyliśmy się w nowe hordy. Czmychaliśmy tylko po to przed Bamboszem, aby za chwilę zjawić się za jego plecami. Otaczaliśmy go jak wataha wilków zmęczonego bizona, coraz śmieiej, coraz bliżej w miarę jak ruchy jego miotły stawały się coraz wolniejsze i coraz radsze. Tak, to było oczywiste, Bambosz słabł w oczach! Przeliczył się z siłami! Byliśmy górą! Nie dawał rady! Aż wreszcie stała się rzecz zgoła nieprawdopodobna! Bambosz zachwiał się tragicznie, pośliznął i runął prosto w wielką kałużę rozpryskując dookoła błoto.

To był przełomowy moment. Zastygliśmy na sekundę i patrzyliśmy, jak woźny bezradnie grzebie się w błocie, a potem przestraszeni uciekliśmy z podwórza. Zrozumieliśmy. Kości zostały rzucone, mosty spalone. Od tej chwili straciliśmy u Bambosza wszelkie szansę. Sprawa się poniekąd wyjaśniła. Nie będzie porozumienia. Nie będzie przyjaźni. Będzie stan wojny.

Zastygliśmy na moment nad grzebiącą się rozpaczliwie w bajorze bezkształtną błotną masą, która była naszym woźnym, a potem, przestraszeni uciekaliśmy z podwórza.

Cała heca skończyła się oczywiście w gabinecie dyra, który wraz z panią Stypułkowską poddał nas niezbędnym zabiegom pedagogicznym, łącznie z myciem głowy i wstrząsaniem sumień. Ale jedną przynajmniej mieliśmy pociechę w tym nieszczęściu. Wiedzieliśmy już to, co chcieliśmy wiedzieć: Bambosz należy do czcicieli błyszczącej posadzki.

Bałwochwalstwo woźnych jest rzeczą znaną i z dawien dawna notowaną w kronikach szkolnych. Wiadomo, że ci poczciwcy ulegają różnym ponurym kultom, wśród których czołowe miejsce zajmuje cześć oddawana bogom ciszy, posadzki i dzwonka. Szczególnie uciążliwy dla młodzieży jest kult świętej posadzki. U Bambosza przybrał on wyjątkowo groźne rozmiary. Po szkole rozeszła się wieść, że nowy woźny chlubiący się wspaniałą fryzurą, nie używa zupełnie lusterka przy czesaniu i że zwykł się przeglądać wyłącznie w lśniącym zwierciadle podłogi wyfroterowanej na najwyższy połysk. Nie chciałem w to z początku

wierzyć, ale kiedyś przyszedłem nieco wcześniej niż zwykle do szkoły i stanąłem osłupiały. Zobaczyłem bowiem pana Macocha, jak wpatrzony w lustrzaną posadzkę robił sobie przedziałek na głowie, idealnie pośrodku swej bujnej czupryny.

Nic więc dziwnego, że pospolite gdzie indziej czynności, jak zamiatanie, wiórkowanie i pastowanie podłóg przybrały u nas charakter świętych obrzędów. Bambosz celebrował je z nabożeństwem, według ściśle ustalonej liturgii, niczym najwyższy kapłan w asyście dwu niższych kapłanek — sprzątaczek. Uwieńczeniem tych obrzędów był „Święty Froter”, czyli specjalne zawody rytualne. Aczkolwiek Bambosz miał do dyspozycji cały arsenał sprzętu technicznego najwyższej jakości, wywalczony u Komitetu Rodzicielskiego przez poprzednich woźnych, gardził czysto mechanicznymi sposobami pracy. Żywiołem Bambosza były bowiem igrzyska. Elektryczne froterki służyły mu tylko do przetarcia trasy, a właściwe zawody rozpoczynały się potem. Polegały one na wieloboju specjalnym, jazdach figurowych na suknach oraz na ślizgach wyścigowych indywidualnych i zespołowych. Do tych ostatnich, zwanych także ślizgami niewolniczymi, Bambosz używał uczniów schwytych na przestępstwach szkolnych.

Na zakończenie igrzysk odbywał się sprawdzian śliskości; zawodnicy zjeżdżali na bok, a do akcji przystępował sam Wielki Mistrz, Jego Eminencja Bambosz. Ubrany w długi, czarny fartuch, wyciągał z szafy służbowej wielki płat zielonego sukna, które służyło niegdyś jako nakrycie stołu konferencyjnego w pokoju nauczycielskim, stawiał na tej czcigodnej materii prawą nogę, wykonywał kilka ślizgów wstępnych, a następnie odbijając się energicznie lewą nogą nabierał rozpędu i przejeżdżał w zawrotnym tempie cały dystans od drzwi wejściowych aż do kancelarii.

Było to zaiste niezapomniane widowisko. Pochylony do przodu, z ugiętym kolanem i wyciągniętymi ramionami, Bambosz szybował niczym wielki ptak albo lyżwiarz wykonujący popisową „jaskółkę”. Niektóre sprzątaczkę próbowały go naśladować, ale żadna nie potrafiła osiągnąć tak wspaniałego wyniku, nie mówiąc już o tym, że Bambosz bił je na głowę niezrównaną techniką i olśniewającym stylem jazdy!

Chłopcy, zwłaszcza z klas niższych, pasjonowali się tym wyczynem. Już w czasie przygotowań do igrzysk spierali się gorąco, jaką odległość zdola tym razem Bambosz pokonać, zawierali zakłady, a potem z zapartym tchem obserwowali popisy znacząc dyskretnie na ścianie długość każdego ślizgu. Oscylowała ona jak dotąd w pobliżu dziewięciu metrów, lecz ambicją Bambosza było podobno przekroczenie bariery dziesięciu metrów.

Oczywiście Zyzio Gnacki i my redaktorzy gazety nie braliśmy udziału w tych zakładach i w ogóle pasjonowanie się „Wielkim Froterem” uważaliśmy za objaw zwykłego szczeniactwa. No, bo nie czarujmy się, proszę państwa. Bez względu na niewątpliwą widowiskowość froterowanie posadzki szkolnej nawet w wykonaniu takiego mistrza jak Bambosz należy w końcu do nader pospolitych, przyziemnych, a raczej „przypodłogowych” czynności porządkowych i nie ma w nim nic szczególnego — najlepszy dowód, że nie dostąpiło dotąd zaszczytu wejścia do literatury, nie zawładnęło wyobraźnią żadnego artysty na tyle, by stać się tematem lub choćby elementem konstrukcyjnym dzieła. Pochlebiam sobie, że dopiero w tej opowieści zjawisko froteru zostanie podniesione do rangi elementu napędowego akcji i w pełni nobilitowane literacko. Pod tym względem dzieło moje spełni niewątpliwie rolę pionierską.

Oczywiście nigdy nie ośmieliłbym się zawracać głowy Czytelnikom tak poślednią sprawą jak froter, choćby nawet w wyczynowym wykonaniu Bambosza i w sugestywnej aurze obrzędów, które on wprowadził, gdyby nie wybitne znaczenie froteru dla dramatycznego rozwoju wypadków w naszej szkole. Poza tym... Poza tym dla mnie osobiście miał on znaczenie katalizatora w załatwieniu pewnego istotnego problemu. Gdyby nie ta błyszcząca i śliska posadzka... Do dziś myśl o owym zdarzeniu wprawia w radosny galop moje serce. Gdybym był poetą jak Graby Cypek, powiedziałbym: po tej błyszczącej posadzce Matylda Opat wbiegła w moje życie. Tak właśnie należałoby powiedzieć: wbiegła, z aparatem fotograficznym w ręce — dla ścisłości.

Matylda Opat została przeniesiona do naszej szkoły pod koniec września, z „samej Warszawy”, jak głosiła wieść. Była więc stuprocentowym outsiderem w naszej klasie i jak każda nowa powinna była płacić przynajmniej przez parę tygodni frycowe. Tymczasem stała się rzecz niespotykana. Matylda Opat zaskoczyła nas w równym stopniu szalowymi „dzinsami z tajemniczym napisem „VIVA-CUBAROJA”, jak zdumiewającą pewnością siebie, a nawet powiedziałbym bezczelnością. Nie robiąc sobie nic zgola z deprymujących spojrzeń, ze złośliwych chichotów, nieżyczliwych szeptów i uszczypliwych uwag, którymi częstuje się obficie nieszczęsnych nowych, zaczęła się zachowywać jak bogata turystka w kraju Papuasów. Kryjąc oczy (niezbadanego koloru) za wielkimi przyciemnionymi okularami i potrząsając prowokacyjnie bogactwem niesamowitych włosów (koloru niedojrzałych kasztanów), zaraz pierwszego dnia, zamiast, jak przystało nowej, sterczeć potulnie w kącie, ruszyła do natarcia uzbrojona w aparat marki „Exacta”. Żeby poprzestała na jednym lub dwu zdjęciach. Od razu stało się jasne, że uprawia ten proceder namiętnie, by nie powiedzieć — zawodowo. Obfotografowywała nas z lewa i z prawa, z dołu, ze schodów i z półpiętra, w kłopotliwych zbliżeniach i z dalekiego dystansu, zarówno poszczególnych osobników, jak pary i grupy, nie tylko w słońcu na dziedzińcu, ale i w półmroku korytarza używając zapewne błon o wielkiej czułości. Tylko przez krótki czas było to zabawne. Potem zaczęło być denerwujące. Gdyby jeszcze próbowała się wkupić w łaski klasy, gdyby przemówiła słowem lub choćby starała się wyjaśnić swe postępowanie. Ale nic z tego. Matylda Opat wykonywała swoją podejrzaną robotę w milczeniu, ignorując nasze uczucia. Byliśmy dla niej tylko obiektami zdjęć. Takimi samymi jak koza wdowy Bobuliny, co strzygła trawę boiska, i kolek w płocie, na którym suszył się wielki rondel z kuchni szkolnej.

Wreszcie, gdy po raz trzeci usiłowała „upolować” obiektywem Zyzia, Zyzio rozszłościł się i złapał ją za przegub ręki tak mocno, że aż syknęła z bólu i o mało nie upuściła aparatu.

— Nie życzę sobie — powiedział akcentując niebezpiecznie zgłoski.

— Ależ ty jesteś zupełnie dziki człowiek — wykrzyknęła Matylda Opat wyszarpując rękę. — Żeby tak bać się aparatu! Pierwszy raz widzę!

Zyzio zmierzył ją wzrokiem zdolnym zabić muła.

— Uważaj, co mówisz do mnie, żabko — rzekł cedząc słowa niebezpiecznie — ja się niczego nie boję, zapamiętaj to sobie, natomiast czasami sobie nie życzę. Dlatego mówię: spłyn!

— Nie bądź śmieszny — Matylda Opat błysnęła okularami i uśmiechnęła się pobłażliwie — w dzisiejszych czasach każdy znany człowiek pada lupem obiektywu... zewsząd czyhają na niego fotoreporterzy. I każdy rozsądny znany człowiek poddaje się tym wycelowanym w niego obiektywom.

— Nie złapiesz mnie na te lepy — odparł Gnat. — Jeszcze jedna pomyłka, żabko. Ja nie jestem prezydentem Ugandy, a ty nie jesteś fotoreporterką. Jesteś nachalną amatorką, ale ja nie mam zamiaru się z tobą w to bawić. Sfotografuj lepiej Tomcia Okista — wskazał na mnie — on to lubi.

Uśmiechnąłem się zachęcająco do Matyldy Opat. Nie miałem nic przeciwko i z przyjemnością „padłbym lupem” jej obiektywu, ale Matylda Opat rzuciwszy na mnie kosę spojrzenia kątem oka, oświadczyła ostro:

— To ja wybieram temat zdjęć.

— Nie tutaj — warknął Gnat — i radzę ci, bądź grzeczna w tej szkole, bo ze mną nie wygrasz.

— Nie drażnij go, to jest wstrętny brutal i może dostać szału — wtrąciła się Joanna Wydech, zwana pospolicie Dechą.

Matylda Opat jednak wcale nie miała zamiaru ustąpić i nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby na schodach nie ukazał się akurat pan Pel-man, nasz chemik. Jak zwykle w wymiętym płaszczu, roztargniony; tym razem ubierając się w pokoju nauczycielskim, włożył sobie na głowę przez pomyłkę zamiast swojego kapelusza baniasty, czerwony kapelusz pani Czupurskiej z fantazyjną wstążką. Nieświadom, śmieszności kroczył

jak zwykle dostojnie, z wyrazem filozoficznej zadumy na obliczu. Matylda Opat na ten widok aż zadrżała ze szczęścia i wycelowała w nieszczęsnego pedagoga obiektyw.

Aleja zapamiętałem ten błysk okularów i ten uśmiech, gdy rozmawiała z Zy-ziem, i powziąłem pewne przykre podejrzenie... A potem przez resztę dnia myślałem o Matyldzie Opat. Jej niewątpliwa indywidualność, powiedziałbym, silna indywidualność, zrobiła na mnie duże wrażenie. Jaka szkoda, że podoba jej się raczej taki typ jak Zyzio. Pograżyłem się w głębokiej depresji...

A jednak zbyt pesymistycznie oceniłem moje szansę. Wkrótce bowiem nastąpiło niezwykle zdarzenie. To niezwykle zdarzenie, które zapisałem później jako „zdarzenie trzynastego marca”, miało miejsce na korytarzu w słoneczny dzień, kiedy ukośne promienie słońca prażyły prosto w oczy każdemu, kto szedł z kancelarii do klasy. Biegłem właśnie ze stosem zeszytów na rękach, bo dyr mnie prosił, żebym rozdał kolegom sprawdzone zeszyty po klasówce. Biegłem na poły oślepiony przez to wiosenne słońce, gdy nagle wyrosła przede mną Matylda Opat z aparatem w jednej ręce, a w drugiej z wielką papierową kopertą. Nadbiegała akurat z przeciwnej strony. Zahamowałem gwałtownie. Niestety, podłoga była zbyt wypieszczona przez Bambosza i tego dnia wyjątkowo gładka i lśniąca. Wpadłem w poślizg i zderzyłem się z Matyldą Opat. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nastąpiło klasyczne zderzenie czołowe. Naprawdę mało brakowało. Na szczęście w ostatnim momencie Matylda Opat zdołała się uchylić i w rezultacie nie odniosła żadnych obrażeń; wytrąciłem jej tylko tę kopertę z ręki... Z koperty wypadło kilkanaście dużych pocztówkowych zdjęć i rozsypało się po podłodze.

- Przepraszam cię — wykrztusiłem zaczerwieniony.
- Nie szkodzi — powiedziała rozbawiona Matylda Opat.
- Zaraz pomogę ci je pozbierać.

Rzuciłem stos zeszytów na parapet okienny i począłem nerwowo zbierać fotografie wraz z Matyldą. Większość z nich to były właśnie te zdjęcia szkolne, które robiła poprzednio... Uczniowie, uczennice w najrozmaitszych ujęciach, nauczyciele — najbardziej zabawne było zdjęcie pana Pelmana w tym kapeluszu; dość udane także zdjęcia Bambosza w trakcie wykonywania obrządków „Świętego Froteru”. Zaskoczyła mnie duża ilość zdjęć z różnych pogrzebów.

- To straszne! Miałas tyle śmierci w rodzinie?
- W zakładzie — roześmiała się. — Mój tatuś prowadzi Zakład Pogrzebowy.
- A to, co takiego? — zdumiałem się patrząc na znajomy mi fragment bloku mieszkalnego z charakterystycznym balkonem galeriowym biegnącym wzdłuż pięter. — To przecież moja chata.

— Ciekawa architektura — zauważyła Matylda — zobacz, tam kogoś uchwyciłam na balkonie. Czy przypadkiem nie ciebie?

— Nie, to nie ja — powiedziałem wpatrując się — to Kwękacz z naszej klasy. .. Wiesz, przezywają go Kękuś. On mieszka tuż koło mnie... Często przechodzimy do siebie przez ten balkon... Ale te zdjęcia ze szkoły są lepsze. Ty jesteśportrecistką... Świetnie ci wychodzą te ujęcia ludzi...

Matylda Opat spojrzała na mnie łaskawym wzrokiem.

- Myślisz, że to coś warte?
- Oczywiście — odparłem z głębokim przekonaniem — jesteś prawdziwą artystką!
- Nie żartuj!
- Ja wcale nie żartuję. Po prostu umiesz patrzeć. Widzisz rzeczy i ludzi pod ciekawym kątem. Wiesz, co jest ważne, co uwypuklić, na co skierować uwagę — mówiłem z ożywieniem. — U prawdziwego artysty nawet takie niby zwyczajne rzeczy jak froterowanie podłogi nabierają blasku. To właśnie widać u ciebie. Spójrz na tego Bambosza szybującego jak ptak... Jest wspaniały!

- Cieszę się, że tak myślisz — powiedziała Matylda Opat — zdaje się jesteś redaktorem?
- Tak, dokładnie sekretarzem redakcji.
- A kto jest redaktorem naczelnym?
- Jak to, jeszcze nie wiesz? Zyzio Gnacki.
- Gnat?
- Tak go nazywają... Ale o co ci chodzi? — zapytałem z niepokojem.
- Właśnie o te zdjęcia — odparła swobodnie Matylda Opat. — Śniło mi się, że zamieściliście je w gazecie.
- Spojrzałem na nią zaskoczony.
- Masz piękne sny — zamruczałem.
- Wolałabym, żeby to były sny prorocze.
- Masz piękne sny — powtórzyłem — ale nie są za bardzo mądre.
- Dlaczego?
- Nie znasz stosunków w naszej klasie. U nas jest apartheid jak w Południowej Afryce — powiedziałem — sztywny podział genetyczny, jak mówi Gnat, chyba zauważyłaś... i wiesz, o czym mówię.
- Tak. Dziewczynki siedzą po prawej stronie, w jednym rzędzie, chłopcy po lewej...
- Nawet środkowy rząd wcale nie jest neutralny — wtrąciłem. — W dwu pierwszych ławkach siedzą dziewczynki, a w dwu następnych chłopcy. W środku jest jedna ławka pusta. Czasem tylko sadzają tam kogoś przymusowo za karę, najczęściej podpowiadaczy, ale także za rozmowy na lekcjach i za brudne ucho. Taki sam podział jest i w funkcjach. Musisz to zapamiętać. Wszystkie funkcje w samorządzie klasowym pełnią tylko dziewczynki. Chcieliśmy, żeby pełniły również funkcje porządkowe i były z urzędu dyżurnymi, ale poskarżyły się Oberonowi i musieliśmy ustąpić...
- Oberonowi?
- Tak nazywamy naszego dyra, Pana Oberonowicza — wyjaśniłem. — A więc pamiętaj, zarząd to dziewczynki, natomiast redakcja to sami chłopcy. Dlatego nie masz żadnych szans. Gnat nie toleruje dziewcząt. W naszej redakcji panuje ścisły adelizm.
- Nie bardzo rozumiem...
- Gnat uznaje tylko Adelę. Adela jest uczennicą szkoły Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, czyli Defonsiarni.
- Ach więc to jest Defonsiarnia... — wykrzyknęła Matylda — właśnie słyszę ciągle tę dziwną nazwę... i nie wiem o go chodzi.
- Teraz już będziesz wiedziała. Właśnie Adela jest z Defonsiarni. Gnat uznaje tylko Adelę — powtórzyłem — inne dziewczęta się nie liczą.
- Rozumiem... nareszcie wszystko rozumiem — Matylda Opat spochmurniała poważnie — więc nie mam żadnych szans!
- Prawie żadnych — poprawiłem.
- Jak to? — spojrzała na mnie dezorientowana.
- Masz szczęście, że na mnie trafiłaś — powiedziałem — osobiście jestem człowiekiem bez przesądów. Mam trzy siostry w domu — wyjaśniłem z kwaśną miną.
- Na pewno są wspaniałe — powiedziała Matylda Opat.
- Zwyczajne. Poznasz je, mam nadzieję... — chrząknąłem dyplomatycznie — w każdym razie nie mam przesądów — zapewniłem.
- Tak się cieszę...
- Daj te zdjęcia — mruknąłem — pokażę je Gnatowi. One są naprawdę dobre, może sztuka zwycięży...
- Tomciu, jesteś kochany — Matylda Opat wepchnęła mi kopertę z fotografiami i odbiegła.

**Uśmiechnąłem się zadowolony i spojrzałem po raz pierwszy z sympatią na szykującego się do kolejnych obrządków nad świętą posadzką. Pomyślałem: „kto by przypuszczał, że dobry ślizg jest tak ważny i że dobrze błyszczące posadzki tak mogą pomóc w życiu!”**

**ROZDZIAŁ II**  
— **SPRAWY SIĘ DALEJ KOMPLIKUJĄ...**

Postanowiłem zająć się natychmiast i energicznie sprawą Matyldy Opat. Samego mnie to zaskoczyło. Nigdy dotąd nie wstawiałem się za żadną dziewczyną. Jeszcze rok temu... co ja mówię jeszcze pół roku temu byłoby to zupełnie nie do pomyślenia. Angażować się z powodu jakichś zdjęć? Choćby nawet najlepszych? Wykluczone. Dlaczego więc teraz to robię? Czyżbym się aż tak zmienił? Przez te parę miesięcy? Tak, to było oczywiste. Zmieniłem się. Nie ma się co oszukiwać. Nie chodzi bynajmniej o te zdjęcia. Po prostu podoba mi się Matylda Opat. Spodobala mi się od pierwszego wejrzenia. Tylko nikomu ani słowa o tym. Ani Zyzio, ani w ogóle nikt z klasy nie może się tego domyślać. Ani nawet sama Matylda Opat. Zbyt dobrze znałem złośliwość moich drogich kolegów i koleżanek, aby zdradzić się przed nimi... Nie, tak naiwny nie będę. Rzecz musi być utrzymana w ścisłej tajemnicy. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim będę mógł zdjąć przyłbicę. Na razie niech wszyscy myślą, że mnie łączą z Matyldą ściśle redakcyjne sprawy...

Zaraz następnego dnia na najbliższym posiedzeniu komitetu redakcyjnego przedstawiłem fotografie Matyldy Opat i wyraziłem opinię, że winny być już w bieżącym numerze gazety opublikowane, tudzież wyraziłem najgłębsze przekonanie, iż staną się one ozdobą naszego pisma.

— Kto zrobił te zdjęcia? — zapytał Gnat.

— Matylda Opat — oświadczyłem z niepewną miną.

Gnat zatrząsł się.

— Powtórz, co powiedziałeś — rzekł nader niskim głosem.

— Matylda Opat — powtórzyłem mężnie.

— Ja nie życzę sobie... — zasapał Gnat.

— Dlaczego? To są udane zdjęcia.

— Nie chcę żadnej dziewczyny w redakcji.

— Dlaczego? Przecież w normalnych redakcjach aż się roi...

— My nie jesteśmy normalną redakcją — przerwał — my pracujemy wśród smarkaczy i głupich srok — oświadczył z niesmakiem.

— Pozwól mi wytłumaczyć...

— Nie, nie! To byłby koniec — zamachał gwałtownie rękami.

— Koniec czego?

— Koniec naszej paczki — zasapał Gnat — ty jeszcze nie wiesz, Tomciu, jakie okropne są dziewczyny — skrzywił się boleśnie, jakby go zabolął ząb.

— Sądzisz według Adeli?

— Przestań! — Gnat poczerwieniał i spojrzał na mnie z wściekłością.

Zrozumiałem, że musiało go spotkać ostatnio nowe upokorzenie.

— Nie bądź śmieszny — powiedziałem. — Interesują nas tylko zdjęcia. Matylda nie musi nawet pokazywać się w redakcji.

— Ja nie chcę słyszeć nawet tego imienia! To jest bezczelna koza w okularach.

— Koza w okularach!

— Nie opędzilibyśmy się od niej... Za słabe mamy nerwy...

— Posłuchaj — rzekłem ostro — jeśli odrzucisz te zdjęcia, to dziewczyny znów rozpuszczą plotki, że się mścisz za Adelę!

Gnat zaniemówił na chwilę. Trafilem go celnie.

— Co ty mówisz? Więc były takie plotki? — wybelkotał.

— Oczywiście — oglądałem sobie spokojnie paznokcie.

— Dobrze byłoby, żebyś to zdementował.

— Jak to zdementował?

— No właśnie; żebyś pokazał wszystkim, że to były zwykłe plotki. Zamieść choć jedną fotografię, a zamkniesz im usta.

Zyzio przez dłuższą chwilę przetrwał ten argument, a potem schował w milczeniu artystyczne plody do szuflady.

— Akceptujesz? — zapytałem.

— Zastanów się. Za dwa dni dam odpowiedź — mruknął Gnat.

Dobre było i to. Postanowiłem odczekać te dwa dni.

Niestety, nie doczekałem się odpowiedzi ani za dwa, ani za trzy dni. Zaszły bowiem tymczasem niespodziewane wypadki, które zakłóciły normalny tok życia naszej budy i odsunęły sprawę Matyldy na dalszy plan.

Otóż piętnastego marca zaczęła się u nas generalna odwilż. Zjawisko samo przez się naturalne i nie miałooby prawdopodobnie większego znaczenia, gdyby nie towarzysząca nam od jesieni inwestycja. Stary budynek szkolny był już od lat za ciasny, zaczęto więc wznoszenie nowego gmachu po drugiej stronie podwórza. Ubocznym skutkiem tej szlachetnej inwestycji było dokładne rozbabranie szkolnego dziedzińca i położonego obok boiska. W zimie, póki jeszcze mróz trzymał, błoto nie dawało się tak we znaki, ale gdy przyszła odwilż i marcowe pluchy, całe podwórze zamieniło się w grząskie, zdradliwe bajoro.

Pierwszą jego ofiarą padł roztargniony pan Pelman, nasz chemik, o którym słuchy krążyły, że pracuje nad wielkim wynalazkiem. Otóż ów znakomity pedagog brnąc pewnego dnia przez błoto do szkoły przystanął nagle, zapewne olśniony przez jakiś nowy naukowy pomysł... Wyciągnął pospiesznie notes i zaczął w nim kreślić chemiczne wzory. Te zapiski tak go pochłonęły, że zapomniał o rzeczywistości, czyli tak zwanym bożym świecie, i nie zauważył, że grzęźnie...

Dopiero, gdy pograżył się już po kolana, pani Tromboniowa od geografii, która ma zwyczaj stale wietrzyć pracownię i która akurat otwierała wtedy okno, zauważyła ze zdumieniem, że wysoki jak chmielowa tyka Pelman dziwnie zmalął. Co więcej, z każdą chwilą tracił coraz bardziej na wroście, dosłownie karłał w oczach...

Pani Tromboniowa była nieco krótkowzroczna i upłynęło dobre kilka sekund, zanim przetarłszy z niedowierzaniem okulary i osadziwszy je z powrotem na garbatym nosie, zorientowała się wreszcie, że pan Pelman nie karleje, ale po prostu zapada się w bagno. Dopiero więc, gdy nieszczęsny pedagog zapadł się już po pas, narobiła krzyku. Przybiegł woźny Macoch i po dłuższych zabiegach za pomocą desek, kija od szczotki oraz sznura wyciągnął roztargnionego chemika z topieli. Okazało się, że pechowy jak zwykle Pelman stanął nieostrożnie w miejscu, gdzie znajdował się zdradziecki dół po wapnie, niechłujnie zasypany zmarzniętą gliną, która obecnie niebezpiecznie rozmiękła...

Lecz co się dziwić roztrzępanemu Pelmanowi, skoro nawet bystry i energiczny Oberon zgubił w tym błocie swój nowy kalosz. Wprawdzie natychmiast zauważył ten przykry wypadek, przystanął i obejrzał się, ale kalosza już nie było. Zniknął pod powierzchnią bajora... Na próżno Bambosz sondował później całe podwórze strażackim bosakiem, czyli specjalnym hakiem na drągu; kalosza nie udało się wyłowić. Od tej pory, gdy ktoś znikł nagle, mówiło się u nas, że przepadł jak kalosz Oberona.

Łatwo zrozumieć, że dla woźnego nastaly teraz czarne dni. Do starej szkoły wnoszono bez przerwy błoto. Mimo próśb, zaklęć i grózb Bambosza, by świętości nie szargać, mimo jego magicznych zabiegów ze szczotką, pastą, ścierkami i froterkami, święte posadzki zostały haniebnie sprofanowane, utraciły bezpowrotnie swój cudowny ślizg, przygasły i zmatowiały, a wraz z nimi przygasł i Bambosz.

Schudł. Nos mu się wydłużył jeszcze bardziej, a jego sławny przedziałek na głowie zatracił swą nienaganną linię; jej żalсна krzywizna była wymownym świadectwem zszargania świętości posadzek.

Tymczasem budowa wciąż trwała, a fatalny stan podwórza pogarszał się z każdym dniem. Z każdym dniem pogarszał się również stan Bambosza. Mimo to wciąż jeszcze nie rezygnował, z walki. Zmienił tylko taktykę; przestał upominać i krzyżeć, natomiast całymi dniami przesiadywał teraz na małym stołeczku przy drzwiach wyjściowych szkoły i pilnował, żeby nikt nie wybiegał w pantoflach na podwórze.

W swoim żalobnym, rozmamlanym kitlu przypominał czarne, smutne ptaszysko na czatach...

Lecz nie na wiele wszystko to się zdało. Nadeszła właśnie ciepła pora i wiosna wypychała bractwo szkolne na dwór. Wystarczyło tylko, by ktoś krzyknął: „prostujemy garby”, a już całe tabuny uczniów pędziły na podwórze, bo kto by nie chciał wyprostować sobie garbu po tylu miesiącach zimy? Wystarczyło, by ktoś rzucił pytanie: „ganasz się?” albo „zagrasz w kosza?”, a już wszyscy czmychali z ciemnych korytarzy, bo kto by tego nie chciał, gdy wszyscy byli stłamszeni, pokurczeni i bladzi po siedmiu miesiącach ślęczenia w ciasnych ławkach szkolnych.

Rwaliśmy się więc do słońca. Wybiegaliśmy garby prostować, ganiać się i grać w kosza. Oczywiście w pantoflach, bo gdzie tu czas na zmianę obuwia, gdy przerwa trwa tylko kilka minut. Nie pospieszysz się, nie dopuszczą cię do kosza, już ktoś inny zajmie boisko. Piłka należy do szybkich. Kto pierwszy ten lepszy!

W tej sytuacji wymykaliśmy się, jak się dało, zwykle przez okna, a czasem nawet na chłama przez drzwi, tuż obok woźnego, zwłaszcza, gdy zdawało się nam, że usnął znużony na posterunku. Lecz Macoch nie zasypiał prawie nigdy i nasze przeprawy często kończyły się tragicznie. Widząc bowiem, że ktoś wybiega w pantoflach, Bambosz zrywał się błyskawicznie ze stołka, łopocząc czarnymi połami fartucha rzucał się za przestępcą, łapał go i kierował do niewolniczej pracy przy czyszczeniu zbezczeszczonych podłóg, zgodnie z przywilejem nadanym mu przez Oberona.

Szczególnie podpadł mu nasz komitet redakcyjny. Nie tyle z powodu przestępstw podwórkowych, ile z powodu naszej działalności redaktorskiej. Niesamowite wypadki z panem Pelmanem, z kaloszem Oberona oraz pościgi Bambosza za przestępcami znalazły bowiem oczywiście odbicie w naszej gazecie na dwu metrach kwadratowych ściany korytarza na pierwszym piętrze. Rzecz w tym, że my patrzyliśmy na kłopoty z błotem raczej od wesołej strony, a Bamboszewi, rzecz jasna, wcale nie było do śmiechu. Uważał więc, że naigrawamy się z jego pracy. Oburzył go zwłaszcza bogato ilustrowany felieton pt. „Polowanie na ptaki błotne”; jedna z ilustracji przedstawiała dinozaura o twarzy Bambosza, z otwartą zębata paszczą i ciężkim odwołkiem, goniącego po błocie chłopaków, a zamieszczony obok tekst wzywał do zaprzestania „polowań” na młodzież wybiegającą na podwórze i ustanowienia dla niej „czasu ochronnego” przynajmniej na miesiące wiosenne.

Jak można się było spodziewać, wspaniały ten artykuł wisiał na ścianie tylko niespełna pół godziny i został skonfiskowany. Jednocześnie Oberon odbył z nami w swym gabinecie zasadniczą rozmowę.

— Co to za wybryki?! — zagrmiał. — Robicie sobie żarty z poważnego człowieka?

— My przecież nic takiego... — bąknął Gnat.

— Ale pan Macoch myśli, że wy się wyśmiewacie z niego!

Wzruszyliśmy ramionami.

— A bo naprawdę to pan Macoch za bardzo się tym wszystkim przejmuje — zauważył Kwękacz — tym błotem i tymi podłogami...

— Przejmuje się, bo chciałby, żeby nasza szkoła była najlepsza — powiedział Oberon. — Po prostu zależy mu na naszej szkole i na was...

— Jakóż tego nie zauważyliśmy — skrzywił się Zyzio.

— Za mało go znacie — zaczął Oberon — pan Macoch to barwna postać, gdybyście wiedzieli o nim trochę więcej... — urwał nagle, jakby ugryzł się w tym miejscu w język.

— Co niby, panie dyrektorze? — podchwycił czujnie Gnat.

Ale Oberon już wlaź w swoją gogiczną skorupę.

— Nieważne — uciał opanowując szybko zakłopotanie — ważne jest natomiast, żebyście ułożyli swoje stosunki z woźnym. Ja nie chcę przez was tracić woźnego. Macoch mnie straszy odejściem. Kogo ja znajdę na jego miejsce pod koniec szkolnego roku przy tej

rozbabranej inwestycji? Czy myślicie, że ja mogę przyjąć byle kogo? O nie, to zbyt odpowiedzialna praca. A kto się zgodzi w tych warunkach za taką skromną płacę? Chyba jakaś emerytka staruszka, ale czy ja mogę przyjąć niedołężną emerytkę staruszkę?... — tak jęczał Oberon przez pół godziny powtarzając swoje stresy w kółko.

Sluchaliśmy raczej połowicznie, czekając na finał i wniosek.

A finał i wniosek był taki. Dyr napił się wody z karafki. Umilkł na chwilę i obserwował przez okno dźwig budowlany unoszący pojemnik z cementem do góry, wreszcie oświadczył tonem budującym:

— Musimy się podźwignąć i scementować. Tego właśnie oczekuję od gazety szkolnej; wzniesienia się ponad sztubackie kawały i scementowania poprawnych stosunków z woźnym. Jakaś życzliwa wzmianka w kronice szkolnej, miła fotografia, jakaś sympatyczna inicjatywa porządkowa — może rozładować napięcie.

Musicie ruszyć trochę dziennikarską głową. To wszystko. Możecie odejść.

Rzuciliśmy się do drzwi.

— Jeszcze jedno — Oberon zatrzymał nas na progu — uprzedzam, że to była poważna rozmowa i macie obowiązek przejawić inicjatywę — zaakcentował — jeśli wy nie przejawicie, to ja będę zmuszony przejawić — zagroził. — Ale wtedy pospadacie ze stołków.

— Z jakich stołków? — miał jeszcze wątpliwości Kleksik.

— Z redaktorskich — rzekł Oberon zamykając za nami drzwi.

Opuściliśmy gabinet zde gustowani i przykro dotknięci. Oberon wziął wyraźnie stronę Bambosza, a nam przedstawił ultimatum... Że to było ultimatum — nie ulegało żadnej wątpliwości.

— Podpadliśmy tym razem na dobre — jęknął Kwękacz.

— To jeszcze nie jest najgorsze — mruknął Zyziio patrząc przez okno na ulicę, którą właśnie przechodziła hałaśliwa grupa defonsiaków z roześmianym Grubym Cypkiem na czele. Zauważyłem, jak Zyziowi twarz stężała, gdy między defonsia-kami zauważył Adelę. Musieli coś mówić o nas, bo patrzyli na naszą budę i raz po raz parskali śmiechem. Najgłośniejszą śmiała się Adela.

Wiedziałem, co miał na myśli Zyziio. Nie to było najgorsze, że podpadliśmy Bamboszowi i Oberonowi. Podpadać — to w końcu los redaktorów. Przywykliśmy do tego. Najgorsze było, że defonsiacy śmieli się z nas w żywe oczy. I nie bez racjonalnej przyczyny.

U nich woźną była niejaka Bobulina, osoba równie wielkiej tuszy jak serca, poczciwa i wesola tłuściocha w okularach. Z pewnością jej posadzki mniej błyszczwały niż nasze, gdyż zajęta była głównie chowem kozy w przyszkolnym ogródku, ale za to nie sprawiała defonsiakom najmniejszych kłopotów. Miała przy tym jedną cenną dla komitetu redakcyjnego właściwość — lubiła być fotografowana. Defonsiacy wykorzystywali zrećznie tę niewinną słabostkę woźnej. Wmawiając grubasce, że jest bardzo fotogeniczna, co tydzień robili jej nowe zdjęcie i zamieszczali na honorowym miejscu w swej gazecie ściennej. Tym sposobem zaskarbili sobie bez reszty przychylność Bobuliny i wiedli życie swobodne tudzież bez troskie, wyzwoleni z tyranii błyszczących posadzek.

Zawsze nie cierpieliśmy defonsiaków, ale teraz do tego niskiego uczucia dołączyła się jeszcze gorzka, piekąca zawiść. I — co tu dużo gadać — upokorzenie i wstyd.

Przez następne dwa dni chodziliśmy więc wyjątkowo struci, tym bardziej, że z powodu wiosennego prostowania garbów oberwaliśmy sporo nowych bomb z różnych przedmiotów i zawaliliśmy zupełnie klasówkę z matmy. Nic więc dziwnego, że różne ponure, a nawet przestępcze myśli zaczęły snuć się nam po głowach. Drugoroczny Chrząszcz, który przeżył w tym czasie największe bombardowanie, twierdził, że nasze talenty marnują się w tej podlej budzie, i namawiał nas do skoku.

— Największy czas rzucić tę małpią szkółkę w diabły. Zostawić na pożegnanie zamiast artykułu szydercze oświadczenie w gazecie na ścianie:

„Z powodu dyktatury skubanego Bambosza, pogwałcenia wolności ruchu i słowa, stęchłego powietrza i garbów — odjeżdżamy na zawsze. Żegnajcie. Oby Oberon żył długo w chwale lizusów swoich!”

Pod spodem podpis:

„Zgarbiony (i zacadzony) komitet redakcyjny”.

— Nakleić to na tablicę! A to dopiero byłaby heca! — Chrząszczowi zaświeciły się oczy. — Mówię wam, nie ma się co wahać! — Świat jest szeroki. Brat mi mówił, że wystarczy pojechać do Gdyni i zadekować się na byle jakim statku. Brat ma w porcie znajomych marynarzy, którzy zgodzą się przemycić nas w swoich kufrach...

My jednak wahaliśmy się. Zygmunt Gnacki zresztą najkrócej.

— Nigdzie nie jedziemy — zdecydował twardo. — Będziemy walczyć na miejscu. Oswoimy w końcu Bambosza. Gdybyście mnie posłuchali na początku, już dawno byłby oswojony.

— Teraz już za późno na oswajanie — krakał Chrząszcz. — Brat mi mówił, że u niego w szkole był przez siedem lat nie oswojony woźny. Mówię wam, co się tam wyrabiało. Pół szkoły odwieźli do domu wariatów albo do kicia. Reszcie chłopaków wyrosły taaakie garby — pokazywał — i wszyscy zachorowali na gruźlicę. Brat mówił...

— Przestań już z tym swoim bratem — przerwał mu zniecierpliwiony Gnat. — Powiedziałem, że ten pomysł wysiada.

— A to czemu?

Gnat wzruszył pogardliwie ramionami.

— Jest to pomysł naiwny — powiedział już spokojniej po chwili.

Nie zrażony tą odprawą Chrząszcz przyczepił się z kolei do Maćka Kwękacza, redaktora naszego działu turystyczno-krajoznawczego.

— Spróbujmy przynajmniej urwać się gdzieś w Bieszczady — nalegał.

Ale i Kwękacz, choć miał już pewną zaprawę w „skokach” i kiedyś próbował nawet przemycić się w skrzyni do Wietnamu, nie palił się do nielegalnych podróży i szybko ostudził Chrząszcza.

— Skok?! — skrzywił się boleśnie. — Skok bez mamony i żarcia? A dajże mi spokój, człowieku! Urwać się na wariata jak pajac z choinki? Dziękuję. Próbowałem już trzy razy i zawsze brak zasobów zmuszał mnie do powrotu... A zapowiadały się takie piękne skoki — zapatrzył się rozmarzony w okno. — Nie — potrząsnął głową stanowczo. — Już jestem wyleczony z tego. Nie urwę się więcej z chaty, nie ma głupich, chyba... chyba, że wymyślą jakieś pigułki kosmiczne... Cała dzienna porcja żywnościowa w jednej pastylce za dwa złote.

— Kto wie, czy nie wymyślą już jutro — mruknąłem.

— E tam, nie oszukasz żołądka — wtrącił Gnat — brzuch potrzebuje masy. Jak nie poczuje ciężaru, to choćbyś zjadł najlepszą, najpożywniejszą pastylkę, będziesz głodny.

— Jeśli chodzi o masę, to brzuch można nadziać gliną i trocinami — pisnął Kleksik.

— To jest dyskusja przedwczesna — powiedział Gnat — nie mamy pigulek.

— W tej sytuacji — wtrąciłem — nie pozostaje nic innego...

— W tej sytuacji — przerwał mi Gnat — trzeba naprawdę przejawić jakąś inicjatywę. Nie widzę innego wyjścia. Zostańcie po lekcjach. Zdaje się, że mam pewien pomysł, ale musimy się dobrze zastanowić...

**ROZDZIAŁ III**  
— POMYSŁY... POMYSŁY...

Naradę odbyliśmy w ścisłym gronie redakcyjnym: Zyzio Gnacki, Maciek Kwę kac z, Olo Kleksik i ja. Była to narada drugiego stopnia tajności i dlatego odbyliśmy ją w pokoju za biblioteką na pierwszym piętrze, który służył nam za „gabinet posiedzeń specjalnych”.

Bibliotekarka, poczciwa pani Pietraszewska, oddawała go o każdej porze do naszej dyspozycji, wystarczyło tylko wypowiedzieć magiczne zaklęcie: „redagujemy dziś Kącik Biblioteczny”. Kącik biblioteczny zapewniał nam niewzruszoną życzliwość pani Pietraszewskiej, zwłaszcza, że w każdym numerze zamieszczaliśmy jej szalowe zdjęcie na tle okładek książek, z napisem: **W TYM TYGODNIU PANI BIBLIOTEKARKA POLECA** — tu następował dwukropek i wyliczenie tytułów polecanych przez panią Pietraszewska do czytania.

Wy tłumaczyliśmy pani Pietraszewskiej, że praca nad Kącikiem wymaga szczególnego skupienia i oderwania od szkolnego życia. Gdy byliśmy w gabinecie, uważała, żeby nam nikt nie przeszkadzał, w razie potrzeby dawała nam klucz i zamykaliśmy się na czas obrad. Tu zapadały najważniejsze uchwały komitetu redakcyjnego. Spokój, dodatkowe ciepło promieniujące ze ściany, w której biegł główny przewód kominowy, kojący widok na ogród szkolny na pierwszym planie tudzież na cmentarz miejski na planie drugim, a nade wszystko naukowa aura emanująca z encyklopedii i słowników oraz dzieł pedagogicznych zalegających półki na ścianie — wszystko sprzyjało wytężonej pracy mózgu, której tu oddawaliśmy się potajemnie.

Tym razem aura emanowała wyjątkowo skutecznie.

— Właściwie to ja już mam pomysł — powiedział Zyzio, ledwie zasiedliśmy przy dębowym stole.

— Naprawdę chciałbyś podjąć jakąś inicjatywę? — zapytałem podejrzliwie.

Zyzio z reguły nie był skory do ulegania sugestiom Oberona.

— Tak. Chciałbym podjąć inicjatywę — rzekł nadspodziewanie poważnym tonem, niemal uroczyście. — Pewną inicjatywę — zaakcentował z zagadkową miną.

— Kapitulujesz?

Umiarkowanie pryszczata twarz Zyzia wykrzywiła się grymasem, który przy dużym napięciu dobrej woli można było wziąć za uśmiech.

— Ja? Kapitulować? Nigdy!

— Skoro zgadzasz się usłuchać Oberona...

— To będzie specjalna inicjatywa — wycedził Zyzio. — Gdyby Oberon wiedział, co się za tym kryje, ostatni włos zjeżyłby mu się na łysinie.

— Co masz na myśli? — zainteresował się Kękuś.

Zyzio uśmiechnął się tajemniczo.

— No, mów, nie dręcz nas! — jęknął Olo.

— Konamy z ciekawości — dorzuciłem.

— Zaraz... po kolei... — uciszył nas Zyzio. — Analiza sytuacji wykazuje, że tu są dwie pilne sprawy do załatwienia. Pierwsza: ujarzmienie Bambosza, druga: uciszenie Dudniącej Góry i ewentualne zapobieżenie ruchom tektonicznym. Mój pomysł polega na tym, żeby to wszystko załatwić za jednym zamachem. Jednym genialnym pomysłem...

— Ujarzmienie Bambosza i uspokojenie Oberona? — wykrzyknąłem zaskoczony. — Ależ to są dwie przeciwstawne rzeczy. Każde posunięcie przeciw Bamboszowi wywoła nowe dudnienie Góry, a na pewno także groźne ruchy tektoniczne. ..

— Oczywiście, że to są przeciwstawne rzeczy — rzekł spokojnie Zyzio. — Ale zdolni politycy czasem umieją pogodzić sprzeczności — z fałszywą skromnością spuścił oczy i strzepnął niewidoczny pył z rękawa. — Wszystko zależy od tego, czy znajdziemy odpowiedni sposób.

— Sposób?! — Olo Kleksik z wrażenia poruszył uszami.

— Zyzio naczytał się pewnych książek — wyjaśniłem i wyrecytowałem szyderczo: — Jemu się marzy jakiś nowy „sposób na Alcybiadesa”, ale rzecz w tym, że Bamboszowi brak pięty, pięty Achilleś.

— Nie sądę — odrzekł spokojnie Zyzio. — Przeciwnie. Zapatrywałbym się jak najbardziej optymistycznie na piętę Bambosza. Czy przyjrzelście mu się dokładnie? To nie jest zwykły woźny.

— Oczywiście, że nie — przytaknałem szyderczo. — To jest szczególnie pedagogiczny i złośliwy, świetnie wyszkolony woźny.

— Nie tylko... — zaczął Gnat. Wyjął z kieszeni grzebień tudzież specjalne powiększające lustro kosmetyczne i zaczął rozczesywać swoje obfite kudły koloru zleżalej słomy. — Bambosz ma jeszcze inne właściwości, o których woli nie wspominać.

— Masz rację — podchwycił Kleksik. — On jest tajemniczy. Coś w nim jest bardzo dziwnego... nie wiem, jak to powiedzieć...

— Więc i ty zauważyłeś — uśmiechnął się zadowolony Zyzio.

— Otóż to! Bambosz jest tajemniczy, na tym buduje mój plan — umilkł pochłonięty czesaniem.

— Wyobraźcie sobie... no... mówię na niby oczywiście — podjął po chwili z dziwnym uśmiechem — otóż wyobraźcie sobie, że niewinny czyścioszek Bambosz wcale nie jest tym, za kogo się podaje.

— A kim? — Kękuś przygryzł nerwowo wargi.

— Kim? — siwe oko Gnata zabłysło na moment — powiedzmy, że jest zbiegłym więźniem.

Szokowanie nas tego rodzaju przypuszczeniami należało do ulubionych zagrań Gnata.

— Zzzbiegłym więźniem? — wybelkotał wystraszony Kleksik. — Co ci przyszło do głowy?!

— Albo ukrywającym się przed prawem, pod zmienionym nazwiskiem, przestępcą gospodarczym — ciągnął nie zmieszany Gnat.

— Go-gospodarczym?

— Powiedzmy: ukrywającym się dyrektorem.

— Bambosz — ukrywającym się dyrektorem!

— ... który zrobił milionowe nadużycia w PGR — dokończył zimno Gnat. — Albo sklepowym, który zrobił większe manko.

— Jak pani Pieśniarzowa w pasmanterii? — zapytał Kękuś, dając dowód, że dramaty życia gospodarczego w naszym mieście nie są mu obce.

— Tak jest — skinął poważnie głową Gnat. — Albo upadłym magazynierem, jak pan Wójcik z Chemoplasty, albo piratem drogowym, albo zabójcą weselnym.

— Zabójcą weselnym? Nie bardzo rozumiem — nastawił ucho Kękuś.

— Zabójcą weselnym — wyjaśnił spokojnie Gnat. — Na przykład gdyby córka Bambosza wyszła za mąż nie po jego myśli, no i gdyby Bambosz przyszedł z nożem na wesele, upił się i zakłuł pana młodego. Mogą się zdarzyć takie smutne wypadki.

Dreszcz nas przeszedł. Spojrzeliśmy po sobie. W dostojnym gabinecie bibliotecznym powiało grozą. Pomysły Zyzia były coraz bardziej makabryczne i robiło nam się od nich zdecydowanie niedobrze, ale nikt z nas nie przerywał. Jednak lubiliśmy ten dreszczyk.

— Mó-mów dalej — oblizal wargi podekscytowany Kękuś. Jego oczy i dziurki w zadartym nosie wydawały się trzy razy większe niż zwykle.

— Różne rzeczy mogą się zdarzyć — powtórzył Gnat. — Kto zaręczy, że Bambosz nie jest ukrywającym się piromanem albo narkomanem, albo nekrofagiem, albo porywaczem, albo tupamarosem, albo przynajmniej wampirem.

— Dotąd żadna kobieta nie została u nas zamordowana — zauważył trzeźwo Kleksik.

— To co z tego? — wzruszył ramionami Zyzio — Bambosz może być wampirem nawróconym.

— Nie slyszalem jeszcze o czymś takim.

— Nawróconym, to znaczy takim, który grasował parę lat temu, a potem przeszedł wstrząs wewnętrzny i zrozumiał, że błędził, no i przyjechał tutaj, żeby żyć uczciwie w naszej budzie.

— Nie slyszalem jeszcze o czymś podobnym... — Kleksik miał wciąż wątpliwości. — Myślisz, że to jest możliwe?

— Chyba tak, zresztą może on jest nie tyle nawróconym, co znudzonym wampirem.

— Myślisz, że takie rzeczy mogą się znudzić wampirom?

— Jasne... Och, nuda — westchnął Gnat — ktoś jej nie zna. „Nuda przenika świat do głębi jak deszcz jesienny spustoszone rżyska” — zacytował nie znany mi bliżej wiersz. — Każdemu każda rzecz może się znudzić. Wampirowi także. Nawet najprzyjemniejsza.

— Co masz na myśli?

— Wiadomo, co jest przyjemne dla wampira — mruknął ponuro Gnat. Przycesał ostatni niesforny włos na głowie i wciąż wpatrzony w swoje powiększające lustro zaczął uważnie oglądać sobie zęby.

— Zostaw w spokoju wampiry i wracajmy do rzeczy — powiedziałem zde gustowany. — To wszystko czysta fantazja i nie posuwa sprawy.

— Pomarzyć wolno — bąknął Kleksik.

— Ale po co? — wzruszył ramionami Kwękacz.

— A gdyby to nie była tylko fantazja? — rzucił nagle Gnat.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałem. — Masz jakieś rzeczowe poszlaki? — spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

— Może mam — Zyzio schował lustro i spowaźniał nagle.

— To nic nie da — powiedziałem. — Załóżmy nawet, że odkrywamy u Bambosza jakiś słaby punkt. No i co z tego? Bambosz nie jest gogiem. Żaden sposób czwororęcznych nie ma tu zastosowania.

— Kto mówił o sposobie czwororęcznych? — Gnat skrzywił się pogardliwie. — To są głupie sztubackie zagrania. Ja mam na myśli coś zupełnie innego, coś... coś piekielnie poważnego.

— Co mianowicie? No, gadajże!

— O, nie! Nie tak szybko, bracie — Zyzio potrząsnął swoją wielką głową. — Ja wam powiem, a wy wypaplacie od razu, albo, co gorsza, polecicie ze strachu prosto do Oberona...

— Co ty?! Zyziu, za kogo nas masz?!

— Zaraz... — Zyzio ucieszył nas gestem trybuna. — Najpierw przysięgniecie, że nie puścicie pary z gęby. Ani psyka! Choćby was prażono w smole. Przysięgajcie po kolei!

— Ani psyka! Przysięgam — pisnął przejęty Olo Kleksik.

— Przysięgam — powtórzył Kwękacz.

— I ty — Zyzio zwrócił się do mnie.

— Przysięgam — powiedziałem niechętnie.

Nie lubiłem takich ceremonii. Uważałem je za szczeniackie. Ale Zyzio wciąż jeszcze tkwił z upodobaniem w tych rzeczach.

— A teraz mów! — podniecony Olo oblizal wargi.

Zyzio strzepnął sobie niewidzialny pyłek z rękawa.

— No więc, proszę was, chyba odkryłem... pryszczę pod szatą tego czyścioszka Bambosza.

— Pryszczę?

— Jakiego niby?

— Gdzie?

— Co chcesz przez to powiedzieć, Gnat?

Zyzio chrząknął.

— Zanim wejdziemy w te anatomiczne, że tak powiem, szczegóły, chciałbym, żebyśmy najpierw zgodzili się co do pewnej zasady...

— Zasady?

— Zasady działania. Że póki nie oswoimy Bambosza...

— Oswoimy czy ujarzmimy? — zapytałem złośliwie.

— Zaczniemy od oswajania, a jak się nie da, spróbujemy ujarzmienia — odparł twardo Zyzio. — Ale zasada będzie jedna. Bezwzględność. Nie cofamy się przed niczym. Stosujemy każdy skuteczny sposób! Na tę zasadę musimy się zgodzić!

— To znaczy, że cel uświęca środki? — zapytałem.

— Tak jest — oświadczył TJJTAO. — Kto się nie zgadza, niech powie od razu, żeby potem nie trząśł mi portkami ze strachu, żeby potem nie było żadnego litowania się nad Bamboszem, żadnych wahań, żadnych pacyfistycznych skrupułów! Powtarzam: żadnej litości!

— Żadnej litości! — powtórzyli z przejęciem Kwękacz i Kleksik.

— Żadnego miłosierdzia! — powiedział Zyzio.

— Żadnego miłosierdzia! — powtórzyli obaj panowie K.

— A ty? — Zyzio spojrzał pytająco na mnie.

— Ja nie mogę się zgodzić — oświadczyłem.

— Jak to? Nie jesteś za skutecznym sposobem?! Ty?

— Nie zgadzam się na stosowanie wszystkich środków — powiedziałem. — Są środki tak ohydne, że żaden cel nie może ich uświęcić.

— Kto mówi o środkach ohydnych? — oburzył się Zyzio. — Przysięgam, że nie mam zamiaru robić Bamboszowi żadnej krzywdy! Lecz gdyby nie chciał się z nami dogadać i ponowił ataki, o, wtedy co innego! — Zyzio zacisnął szczęki. Twarz zrobiła mu się bardziej kwadratowa niż zwykle. — Wtedy musielibyśmy się bronić — wycedził — i wtedy cios za cios! Oko za oko!

— Ząb za ząb?

— Tak.

— Hammurabi?

— W pewnym sensie.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Spojrzałem na obu panów K. Oni spojrzeli na mnie i dreszczyk przeszedł nam po skórze.

— Oszalałeś chyba — powiedziałem do Zyzia. — Chcesz wybijać Bamboszowi zęby? Zastanów się, co mówisz?

— Jeśli on nam wybije, czemu nie? — oświadczył bohatersko Kwękacz przewyciężając pacyfistyczne skrupuły.

— Stul paszczę, Kękuś — zgasił go Gnat. — Głupi jesteś. Widzę, że nic jeszcze nie rozumiałeś. Nie mam na myśli żadnych rękoczynów fizycznych.

— A co? — zapytałem.

Zyzio milczał przez chwilę.

— Posłuchaj, Okist, czy głoszenie lub, powiedzmy ściślej, obwieszczanie prawdy jest według ciebie czymś ohydny?

— Chyba nie — rzekłem ostrożnie. Wyczuwałem zasadzkę.

— No więc naszą bronią będzie obwieszczanie prawdy.

Nie od razu zrozumieliśmy. Patrzyliśmy na Gnata głupio wytrzeszczonymi oczami, a na twarzy Kwękacza odmalowało się głębokie rozczarowanie.

— Mówiłeś, żadnej litości — przypomniał.

— Prawda jest czasem bezlitosna — odrzekł dość tajemniczo Zyzio. — Są ludzie, którzy najbardziej boją się prawdy.

— Myślisz, że Bambosz... — coś mi zaczęło świtać w głowie.

— Tak — uciał Gnat. — I dlatego chciałbym zastosować pewien zabieg... pewien bezlitosny zabieg, który się nazywa presją moralną...

— Nic nie rozumiem — małe oczka Kwękacza posmutniały wyraźnie. — To już nie będzie oko za oko?

— Będzie oko za oko, ale w specjalnym sensie — powiedział Zyzio.

— Jakim?

— W sensie przymknięcia oka — wyjaśnił Zyzio. — Posłuchajcie. Powiedziałem wam, że odkryłem pryszczę pod szatą Bambosza. Otóż gdyby ten pryszcz okazał się dość bolesny, gdyby Bambosz naprawdę miał coś brzydkiego do ukrycia, powiedzmy, mały poślizg w karierze, jakąś czarną plamkę w życiorysie, zadziór, haczyk... czy wręcz przestępczą przeszłość, o, to wtedy moglibyśmy mu zaproponować taki właśnie układ: my przymykamy oko na te wstydlive tajemnice Bambosza, na jego pryszczę i w ogóle, a Bambosz przymyka oczy na nasze wykroczenia przeciw świętej posadźce, na nasz styl i sposób bycia, co więcej, broni nas przed Oberonem. Powiemy: „Panie Macoch, takie są nasze warunki. Pan nie ma wyjścia. Wiemy wszystko o panu.” Rozumiesz, Tomciu?

— Rozumiem doskonale. Taki mały szantażyk — rzekłem prawie wesoło, umyślnie lekkim tonem.

Zyzio zmarszczył brwi.

— Po co od razu takie słowa? Po prostu proponujemy Bamboszowi układ, wzajemne ustępstwa, pójdzie sobie na rękę. Życ i dać żyć, to jest dobra zasada. Z tym, że nasze życie płynęłoby bez zgryzot. To byłoby szampańskie życie. Proszę bardzo, możemy przedyskutować, ale w tej chwili to najlepszy sposób na powstrzymanie Bambosza. Zobaczycie. Oblaskawimy go całkowicie. Będzie nam jadł z ręki jak ptaszek. I pomyślcie, jak to podziała na defonsiaków. Zbaranieją kompletnie! Głowa ich rozboli od myślenia, a nie dojdą, skąd taka zmiana u Bambosza! — Zyzio zaśmiał się pod nosem. — Skisną z zazdrości, kiedy zobaczą, co oswojony Bambosz robi dla nas! Bo oswojony Bambosz mógłby być bardzo pożyteczny. Na przykład Oberon dręczy Kękusia ułamkami albo tymi piekielnymi wielomianami, bomba wisi w powietrzu, labędź już lata nad Kękusiem, a wtedy wchodzi umówiony Bambosz i wywabia Oberona za drzwi pod byle jakim pretekstem. No i Kękuś jest uratowany. Podpowiadają mi, dostaje ściągę. Jak się zapatrujesz na to, Kękuś?

— Nieźle — Kękusowi zaświeciły się oczy.

— Nie musiałbyś już emigrować ani marzyć o pigułkach kosmicznych. Poza tym Bambosz mógłby być naszym wywiadowcą i donosić nam, co się dzieje w pokoju nauczycielskim, a nawet w gabinecie Oberona. Można by także zrobić z niego wtyczkę podczas sesji. Różne rzeczy mógłby dla nas robić Bambosz, och, to byłoby życie — Zyzio rozmarzył się, a jego zimne oczy nabrały blasku.

— Tak, to byłoby życie — zapalił się Kwękacz. — Żeby tylko coś znaleźć u Bambosza, żeby za coś się chwycić i trzymać!

Ale ja zgasilem go szybko.

— Ty lepiej siedź cicho i nie podniecaj się, Kękuś! Z twoim pechem to nie zdrowo. Zapomniałeś, co ci się przytrafiło w jesieni?

Maciek spuścił głowę, jego brzydka twarz spochmurniała i zrobił się podobny do skarconego szympansa.

— A ty lepiej zastanów się, Gnat — obróciłem się do Zyzia — zastanów się, co będzie, jak się okaże, że Bambosz to prawdziwy przestępca, może nawet niebezpieczny morderca. Czy też zawrzesz z nim układ? Też zgodzisz się przymknąć oko i będziesz go kryć? Żeby mógł dalej mordować bezkarnie? Do czego to nas doprowadzi?

Zyzio przygryzł wargi.

— No, nie przypuszczasz chyba, żeby Bambosz... Ja nie miałem na myśli morderstwa, raczej jakieś małe wstydlive plamki w przeszłości... których wyjawienie mogłoby zakłopotać Bambosza, niech Kękuś potwierdzi, co ja miałem na myśli.

— Zyzio miał na myśli pryszczę pod szatą... i... i haczyki — zaświadczył nieco zakłopotany Kękuś.

— Tak jest — odetchnął Zyzio — chyba wyraziłem się jasno.

— Owszem, wyraziłeś się jasno — zakaszła Kleksik — ale mnie się nie podobają żadne takie mowy... zupełnie mi się nie podobają. Ja myślę, że warto poznać tajemnicę Bambosza, bo to w ogóle jest ciekawe poznawać tajemnice, ale... ale nie po to, żeby potem przyciskać de... delikwenta... To mi się zu... zupełnie nie podoba — powtórzył. — Jak poznawać, to bez... bezinteresownie.

— Bezinteresownie?! — wybuchnął Gnat. — To bardzo interesujące, że masz bezinteresowne zainteresowania cudzymi interesami. Myślisz, że ja też nie chciałbym bezinteresownie? Jasne, że wolalbym bezinteresownie. Wolalbym bawić się w podchody. Ale nie czas teraz na zabawy. To jest poważna sprawa i nie moja w tym wina. To nie my w końcu czepiamy się Bambosza, to on nas się czepia. Nie jestem żaden jaskiniowiec i lubię żyć kulturalnie, ale przyznacie chyba, że Bambosz przesadził z tym porządkiem. Mamy chyba prawo żyć spokojnie, nie? Tymczasem facet truje. Dlatego my powiemy: stop! Sam Oberon nas zresztą do tego zmusza. Oczekuje inicjatywy. Żąda ułożenia stosunków z woźnym. Grozi, że pospadamy ze stołków. No to my sobie ułożymy stosunki — Gnat spojrzął na nas z ukosa. Czekal na rezonans z naszej strony. Rezonansu jednak nie było. Ja i Olo Kleksik milczeliśmy zakłopotani wyraźnie pomysłem Gnata. Świadczyło to niewątpliwie pochlebnie o wrażliwości naszych sumień. Maciek Kwękacz też milczał. Zyzio przypatrywał nam się przez chwilę rozczarowany, a potem wzruszył ramionami.

— Nie podoba się wam, to nie. Czy ja dla siebie to wymyśliłem? Ja sobie zawsze dam radę. A wy pożałujecie jeszcze i przekonacie się, że to był dobry pomysł, i sami przyjdziecie do mnie, zobaczycie. Życie, proszę was, to jest gra, a czasami to jest po prostu walka. Ale wy nie rozumiecie jeszcze tego. Za mało was jeszcze przycisnęli, ale jak was lepiej przycisną, to i wy nauczycie się przyciskać, chyba, że się poddacie od razu i ustąpicie innym z drogi, i staniecie sobie na boczku. I chyba tak będzie z wami — westchnął z odcieniem pogardy. — Nie jesteście silnymi ludźmi. To wszystko dlatego, że nie jesteście silnymi ludźmi.

— To się jeszcze okaże — zasapał poruszając nerwowo lewą łopatką Kleksik. — I powiem ci jeszcze jedno. Może będę musiał kiedyś przyciskać, jak mówisz, ale na pewno nie w taki sposób. Tomcio miał rację. To, co ty wymyśliłeś, to jest brudna rzecz... to jest szantaż.

— To jest trzymanie w szachu — powiedział zimno Gnat. — Ja mam prawo zaszachować człowieka, który mi włazi na głowę. A ty jesteś łajza, Kleksik.

— Dlaczego łajza? — wmieszałem się. — Rozważmy to spokojnie. Albo Bambosz ma co ukryć przed prawem, to znaczy naprawdę jest niebezpiecznym przestępcą, skrzywdził kogoś, okradł, zabił i wtedy kryjąc jego przestępstwo kpimy sobie ze sprawiedliwości, dodatkowo krzywdzimy jego ofiary, narażamy innych, po prostu stajemy się jego współnikami, a więc nie wolno nam bawić się z nim w jakieś układy, że będziemy milczeć, jak nam za to zapłaci... Albo, i to jest druga możliwość, Bambosz przeszkrobał coś wprawdzie w przeszłości, ale już odpokutował winę, już wszystko przeszło, minęło, już zrehabilitował się normalnym życiem i pracą, i wtedy odgrzebywanie tego i wygrywanie przeciwko niemu jest podle. Albo Bambosz nie popełnił żadnego przestępstwa, mą natomiast zmartwienie, albo coś go innego dotknęło, czego się wstydzi, co chciałby trzymać w tajemnicy, na przykład...

— Na przykład popełnił kiedyś jakąś gafę — wtrącił Kleksik — ośmieszył się, wyglupił i boi się, że to może zaszkodzić w opinii...

— Albo ma brata w więzieniu — mruknąłem.

— Albo był kiedyś leczony w szpitalu dla umysłowo chorych i nie chce o tym mówić.

— I wtedy wyciąganie tego i używanie do przyciskania Bambosza byłoby wyjątkowo wstrętne — powiedziałem. — Czy ty byś mógł zrobić coś takiego? — spojrziałem na Zyzia.

— Gardlujesz na przyciskanie, a sam przycisnąłeś mnie w tej chwili — roześmiał się sztucznie Gnat, usiłując zachować fason.

— Nie chcę cię wcale przyciskać — uśmiechnąłem się — chcę ci tylko powiedzieć, że nie będę mógł cię poprzeć.

— Ani ja — powiedział Kleksik.

— Ani ja — powtórzył Kękuś.

— Zostaw tę ideę, Gnat.

— Tak, zostaw to.

— Dobra.

Gnat podniósł ręce do góry:

— Przekonałście mnie. Zapomnijmy. Wycofuję projekt.

Spojrzałem na niego podejrzliwie. To nie było w jego stylu. Zbyt łatwo zmienił zdanie.

— Co się tak patrzysz? — zmarszczył brwi Gnat. — Nie wierzysz mi?

— Tego nie powiedziałem.

— Naprawdę wycofuję projekt — powiedział Zyzio.

— Wymyśl coś innego — powiedział Kleksik.

— Zaczekajmy na razie. Mamy jeszcze trochę czasu. Możemy poczekać jeden dzień.

— Tak, odłóżmy na jeden dzień — poparł mnie Kleksik i pociągnął nerwowo nosem. — Jakoś się może ułożyć...

— Tak, może się ułożyć — powiedziałem.

— To jest strusia postawa — wybuchnął Zyzio. — To jest chowanie głowy w piasek... Ale dobrze... — opanował się nagle. — Jak chcecie. Tylko nie myślcie, że na tym się skończy! Że wszystko rozplynie się po kościach! Zobaczycie niedługo, kto miał rację i pożałujecie sami...

Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy. A w tej ciszy nagle usłyszeliśmy dziwny chrobot... ni to pod podłogą, ni w ścianie...

— Tu jest szczur — powiedział Gnat. — Cała szkoła pełna jest szczurów. — Wstał, strzepnął niedbale niewidoczny pyłek z kłapy swej dżinsowej kurtki i ruszył do drzwi.

— Zaczekaj — zerwał się Kwękacz.

— Czego jeszcze?

— Może... może... jednak byś nam opowiedział coś o tym pryszczu Bambosza. ..

— Tak, o tym pryszczu — zapalił się Kleksik. — I o tym haczyku w życiorysie.

Jaki haczyk odkryłeś?

— Naprawdę mógłbyś coś powiedzieć, Gnat!

— Nie — odrzekł zimno Zyzio. — Skoro nie zgodziliśmy się co do wiadomej zasady, w ogóle nie ma o czym gadać. Cześć! — Uśmiechnął się pogardliwie i wyszedł z gabinetu, dając nam do zrozumienia, że nie chcę mieć do czynienia z takimi patalacami jak my.

ROZDZIAŁ IV  
— SEN

Nie miałem racji. Nic się nie ułożyło. Przeciwnie, nazajutrz od samego rana rozpruł się worek z osobliwymi przypadkami...

A właściwie zaczęło się już w nocy. Miałem niesamowity sen. Śniły mi się szczury. Wypelzały z piwnic, ze wszystkich otworów wentylacyjnych, z rur i kanałów, ze sklepów mięsnych i z aptek, ze szkół i ze szpitali, z kościołów i z urzędów, z wszystkich dziur i zakamarków, chude szczury kościelne i urzędowe, i wypasione szczury barowe, szczury ociążałe i fizycznie sprawne, szczury kalekie i zdrowe, osiwiiałe, sędziwe szczury i szczurze dzieci — cała społeczność szczurza wyległa niespodziewanie na ulice...

Ludzie bali się wychodzić z domów, zamykali się w pokojach i przez okna patrzyli ze zgrozą na te galopujące gryzonie. Ale już wkrótce okazało się, że szczury nie były agresywne, nikogo nie pokąsały, nikomu nic nie zjadły. I ludzie zrozumieli, że szczurom nie takie rzeczy teraz w głowie. One po prostu uciekają, przemykają przerażone ulicami, jak najszybciej chcąc wydostać się z naszego miasta.

Niektórzy mieszkańcy nawet zaczęli się cieszyć, że szczury uciekają, ale byli to ludzie głupi. Ludzie mądrzy wiedzieli, że nie ma powodu do radości, a woźny szkolny Macoch, zwany przez młodzież Bamboszem, przerwał natychmiast froterowanie podłogi, ściągnął fartuch i zaczął pakować swój wielki odkurzacz — dar komitetu rodzicielskiego.

Zaalarmowany przez lizusów nadbiegł Oberon. Oberon należał do ludzi mądrych. Gdy tylko zaczął się exodus szczurów, zrozumiał, co się święci, ale ze względu na wyższe racje nie dał tego po sobie poznać.

— Na miłość boską, co pan robi? — zagrmiał do Bambosza.

— Przygotowuję się do ewakuacji — odrzekł woźny. — I radzę, by pan dyrektor zrobił to samo wraz z całym personelem pedagogicznym i młodzieżą.

— Pan oszalał!

— Szczury uciekają. To zły znak — odparł z kamienną twarzą woźny.

— Głupi przesąd!

— Szczur jest zwierzęciem inteligentnym. Byłem marynarzem i wiem. Kiedy szczury uciekają z okrętu, to znaczy, że okręt tonie.

— Moja szkoła nie jest tonącym okrętem — rzekł dumnie Oberon — natomiast pan jest tchórzliwym eks-majtkiem. Niech pan natychmiast wraca do froterowania!

Ale Bambosz zignorował całkowicie rozkaz Oberona. Wyciągnął ze swojej walizki stary strój marynarski i flegmatycznie zaczął na i oczach wszystkich naciągać rozszerzone u dołu granatowe marynarskie spodnie. Potem sprzątaczkę pomogły mu włożyć marynarską koszulę w pasy oraz bluzę z marynarskim kołnierzem. Następnie wytoczyły z piwnicy wielką dawno nie używaną balię, a Bambosz przybił do niej maszt ze szczotki do zamiatania.

— To arka dla pana dyrektora — powiedział ustawiając balię pod gabinetem.

— Pan sobie kpi! — krzyknął Oberon.

— Bynajmniej! To się przyda panu dyrektorowi, na wszelki wypadek radzę trzymać w pogotowiu... Chyba, że pan dyrektor zdecydował się porzucić tę straconą placówkę i oddać pod moją komendę. To co innego. Mógłbym pana przyjąć na mój okręt flagowy...

— Nigdy nie porzucę placówki ani tym bardziej nie oddam się pod komendę woźnych. Choćby nawet byli eks-majtkami.

— Tak też myślałem — powiedział Bambosz i spokojnie wyciągnął ze schowka jakąś wielką zwiniętą materię, coś w rodzaju ogromnego żółto-czarnego flaka, i kazal nadymać kucharce oraz sprzątaczkom. Więc one zaraz siadły pod szkołą i nadymały cierpliwie, aż flak zamienił się w wielki ponton.

Pedagodzy przyglądali się z ciekawością tym niezwykłym przygotowaniom. Zdenerwowało to Oberona.

— Dość tego — powiedział — proszę nie zwracać uwagi na tego człowieka! Państwo zapomnieli, że dzisiaj mamy sesję. Musimy rozpatrzeć zachowanie Tomasza Okista i jego kolegów z komitetu redakcyjnego. To skandal, żeby sobie pozwalać na takie, rzeczy w gazecie! Proszę wszystkich do sali...

— Kiedy powódź... — bąknął fizyk, pan Gargul.

— Niech pan nie wierzy w powódź — zgromił go Oberon.

— Przecież Bambosz... On chce odpłynąć. Pan widzi...

— To przez nich! To właśnie przez nich! Skorzystał z pierwszego pretekstu, by nas opuścić! Człowiek małego ducha, lecz my znamy nasze obowiązki i nie damy się zastraszyć. Proszę na konferencję — powiedział Oberon i energicznie zaczął popędzać nauczycieli w kierunku sali posiedzeń gogicznych. — Proszę nie oglądać się i nie ociągać.

A więc stało się to najgorsze! Podpadliśmy. Definitywnie i bez żadnej nadziei. .. Ta sesja zadecyduje o naszym losie. Postanowiłem nie uronić z niej ani słowa. Wiedziałem, co teraz zrobić. Nie wahałem się ani chwili. Byłem przecież reporterem gazety. To należało do obowiązków reportera. Zakradłem się natychmiast pod okno sali konferencyjnej od strony ogrodu. Nie byłem pierwszy. Matylda Opat już znajdowała się tam na posterunku. Podobna do wielkiego czarnego pająka siedziała na wysokiej gałęzi tuż koło okna z aparatem fotograficznym w pogotowiu. Koło niej na wszystkich drzewach dookoła siedziały milczące gawrony, jak straż przyboczna i strzegły jej czujnie. A ona huśtała się beztrąsko.

— Uważaj, spadniesz! — syknąłem przestraszony.

Ona roześmiała się tylko rozbawiona i zaczęła popisywać się przede mną akrobatyczną sprawnością, skacząc jak córka Tarzana po gałęziach, to znów kołysząc się na lianach... Zastanawiałem się zdumiony, skąd u niej takie talenty i skąd takie wielkie, obrośnięte lianami drzewa koło naszej szkoły — zupełnie jak w tropikalnej dżungli.

Lecz oto moją uwagę zwrócił przykry hałas na korytarzach szkolnych. To właśnie pierwsze tabuny szczurów wdarły się do budynku. Nauczyciele zastygli na swoich miejscach przy stole konferencyjnym i przysłuchiwali się tupotowi szczurzych łapek.

— Co to takiego?! — zmarszczyła brwi polonistka, pani Szymańska. — O tej porze młodzież buszuje po szkole? Biegają po korytarzach?

— Pewnie podsłuchują — zauważył ponuro pan Gargul.

— Podglądają nas przez dziurkę od klucza! — oburzyła się pani Tromboniowa od geografii.

— Horrendalne do kwadratu — powiedział pan Dziobas, matematyk.

— Skandaliczne!

— I od razu całe tabuny!

— Przepędzę ich — pan Dziobas powstał mężnie i wypiął wąską pierś.

— Niech pan siada — rzekł spokojnie Oberon.

— Co? Dlaczego?!

— To nieuczciwie. To coś gorszego.

— Czy może być coś gorszego od uczniów?

— No, chyba tak...

— To kto tam biega?!

— Szczury.

Nauczycielki wydały okrzyk przerażenia i zerwały się z miejsc. Ale w tej samej chwili znieruchomiały, jakby ktoś przygwoździł je do podłogi. Oto bowiem przez szparę między drzwiami a podłogą przecisnęło się do sali kilka szczurów i zaczęło biegać wzdłuż stołu konferencyjnego.

— Proszę zachować spokój — rzekł Oberon. — Tylko spokój może nas uratować. Koleżanki zechcą wrócić na miejsca. Kolego Pelman, proszę usunąć te szczury.

— Jak mam usunąć? — wybelkotał chemik.

— Niech pan spróbuje środków chemicznych...

— Osobiście radziłbym zaatakować je liniałem — wtrącił pan Dziobas. — Liniałem albo cyrklem.

— Może jednak najpierw ewakuujemy koleżanki? — zaproponował pan Gargul.

— Ale tylko na półki — zastrzegł Oberon. — Będą mi zaraz potrzebne do konferencji.

— Tak jest, panie dyrektorze — skłonił się lekko pan Gargul, po czym z pomocą pana Dziobasa zaczął wsadzać koleżanki na półki przy ścianie. Każda z wystraszonych niewiast prosiła, by posadzić ją jak najwyżej, tylko pani Czupurska od WF jako najbardziej wysportowana poradziła sobie sama i wykonała samodzielnie wspaniały skok wzwyż lądując aż na szafie, gdzie stały słoje z wiśniami do produkcji sławnych pedagogicznych nalewek. Tu dzielna gimnastyczka odzyskała całkowicie spokój i zaczęła razić tymi słojami szczury jak bombami, aż przerażone gryzonie uciekły z bolesnym kwikiem.

— Przedstawiam panią do odznaczenia medalem za dzielność — oznajmił Oberon. — Proszę zejść z szafy i przygotować się do dekoracji.

— O-obawiam się, że nie potrafię — dopiero teraz ogarnął panią Czupurska prawdziwy strach. Spojrzała z szafy na dół i zadrżała.

— Kolego Dziobas, proszę zsadzić panią Czupurska z szafy.

Matematyk skoczył ochoczo i z pomocą pana Gargula zsadził panią Czupurska zaróżowioną uroczą z emocji. Oberon otworzył specjalnym kluczem szafkę, gdzie przechowywał druki urzędowe, blankiety dyplomów i medale. Wyciągnął stamtąd wielki złoty medal i już miał przystąpić do dekoracji pani Czupurskiej, gdy nagle rozległ się gdzieś niedaleko potężny łomot i huk, a potem pełne grozy krzyki:

— Woda idzie!

— Pękła zaporą!

— Ostatnie wały przerwane!

— Powódź!

Więcej nic nie można było zrozumieć, bo straszliwy szum zagłuszył wszystko, i przerażone grono nauczycielskie wybiegło na balkon. Właśnie pierwsze języki wody wdarły się na ulicę. A za nimi już szła spiętrzona fala z białą spienioną grzywą, unosząc z sobą jakieś znajome figurki... raz po raz niknęły w głębi, to znów wynurzały się na powierzchnię i mogliśmy rozpoznać ich skamieniałe twarze. To byli defonsiacy.

Tylko Gruby Cypek dawał sobie nieźle radę z żywiołem. Płynął pękaty, nadęty jak balon, z Adelą Wigor uczeptioną kurczowo jego ręki. Zapewne utrzymywał go na powierzchni ochronny zapas tłuszczu i umiejętność nadymania się, którą ćwiczył systematycznie.

— Nim przepłynęli koło naszej szkoły, sztormowy bałwan wodny zmiotł na ulicy cztery samochody, kiosk z gazetami i wózek Felusia Balona, zbieracza surowców wtórnych. Sprzedawca gazet odplynał. Przez chwilę widziałem, jak wygląda zdziwiony z okna kiosku, a potem rozbił się o front Zakładu Pogrzebowego „Trumna”. Feluś Balon miał więcej szczęścia, bo kotłująca się woda wepchnęła go ostatecznie do baru „Callypso” gdzie pomyślnie wylądował przy zastawionym bufecie.

Wkrótce potem w pirodze indiańskiej nadciągnął komendant OC naszego miasta, Lesławski, w towarzystwie strażaków z bosakami. Uchwyciwszy się rynny szkoły, aby nie uniósł go prąd, zawołał doniosłym głosem przez tubę:

— Dyrektorze, proszę ewakuować szkołę. Ogłosiłem stan oblężenia. Czy pan mnie słyszy?

— Słyszę — odrzekł Oberon, po czym zwrócił się do grona nauczycielskiego: — Koledzy, nastał czas próby! Sytuacja wymaga od nas najwyższych poświęceń. Czy jesteście gotowi? Kto jest niegotowy niech podniesie rękę — popatrzył nauczycielom w oczy.

Niegotowych nie było.

— Oto nasza odpowiedź — rzekł dumnie Oberon do komendanta.

— Pana odpowiedź, lecz sądzę, że rada pedagogiczna uzna...

— Niech pana nie mylą indywidualne, anatomiczne szczegóły. To pozory. Ma pan przed sobą jedno ciało wprawdzie wieloręczne i wielonożne, ale o jednej głowie. Ja jestem tą głową i przeze mnie przemawia całe ciało.

— Czy dobrze zrozumiałem?...

— Tak, zrozumiał pan dobrze. Odmawiamy ewakuacji. Honor szkoły nie pozwala na ten czyn.

— Niech pan się opamięta!

— To niemożliwe. Nie przerobiliśmy zaplanowanego materiału. Jesteśmy opóźnieni.

— Uprzedzam, szkoła zostanie zalana!

— Przeniesiemy się na wyższe kondygnacje. Choćbyśmy mieli uczyć młodzież na dachu!

— Zginiecie z głodu!

— Nauka nas nakarmi — oświadczył z samozaparciem Oberon. — A biorąc rzecz ściślej, chemia. Kolego Pelman — zwrócił się do chemika — proszę zademonstrować.

— Tak jest! — pan Pelman wyciągnął nerwowo z kieszeni swego czarnego fartucha wielką szklaną probówkę i potrząsnął nią w powietrzu. Zagruchotało.

— Co to jest? — zapytał komendant.

— Pastylki kosmiczne — odrzekł krótko pan Pelman.

— Co takiego?

— Zapewniają przetrwanie przez wiele miesięcy. Nie odczuwa się głodu.

— Bzdura, żołądek musi mieć odpowiednią masę pokarmową.

— Możemy jeść zeszyty — odpowiedział pan Pelman.

— To szaleństwo! — komendant patrzył przerażony to na pana Pelmana, to na Oberona. — Gdzie ja jestem?

— Jest pan wśród wysoko kwalifikowanych pedagogów, którzy traktują serio posłannictwo. Może pan być spokojny, wytrzymamy każde oblężenie. Zostaniemy przy naszej drodze młodzieży.

— Ale czy młodzież zostanie przy was? Według moich wiadomości już ewakuuje się z radością, szczęśliwa, że nie musi się uczyć...

— To nieprawda! — zawołał Oberon rozglądając się dokoła. — Zaraz tu wszyscy wrócą. Nich tylko zabrzmi dzwonek. Panie Macoch, niech pan dzwoni.

— Niestety, woźny odpłynął — rzekł pan Gargul.

— Racja. W takim razie podajcie mi tubę.

Pan Gargul podał mu zwinięte arkusze z harmonogramem lekcji. Oberon uczynił z nich tubę i zagrział tubalnym głosem:

— Młodzieży, wołam do ciebie, zostań! Pokaż, jak kochasz swoją szkołę! Zostaliśmy tu dla was, poświęciliśmy się. Wróćcie, nie odpływajcie!

Niestety, mimo tych wstrząsających apelów młodzież odpływała. Czym się dało, w łódkach i w kajakach, na tratwach skleconych z byle czego, w baliach i w wannach, zaopatrzonych w prymitywne żagle z koszul i majtek, a niektórzy malcy odpływali nawet w szufladach wiosłując zajadłe szuflami od koksów albo raketkami od tenisa stołowego. Dziewczęta i chłopcy całymi gromadami przepływali wyzywająco pod nosem Oberona paląc ostentacyjnie papierosy.

— Cześć, Oberonie! — wołali beczelnie. — Niepotrzebna nam już nauka! Zaczynamy swobodne życie! Czeka nas słońce, wiatr i przygoda! Chcemy, żeby nas uniósł wartki prąd. Ta wielka woda ma połączenie z oceanem. Popłyniemy daleko, aż do mórz południowych!

— To straszna pomyłka! Wracajcie! Nie znacie geografii! — krzyczała geograficzka, pani Tromboniowa.

— Byliście słabi z chemii — krzyczał pan Pelman z rozwianym włosami i fartuchem. — W dzisiejszym świecie zginie, kto nie zna chemii.

— Młodzieży, opamiętaj się! — zaklinał przez tubę Oberon. — Nie jesteś przygotowana do samodzielnych wypraw, nie znasz zasadzek fortuny, utoniesz w zdradzieckich falach życia. Pozwólcie, drodzy moi, że was wyłowię — to mówiąc, wspólnie z nauczycielami WF próbował łowić młodzież w siatki do siatkówki, ale bezskutecznie. Udało mu się złowić tylko paru gapiowatych mikrusów. Reszta uczniów odpływała w kłębach tytoniowego dymu, trąbiąc i gwizdząc na pożegnanie.

— Nie! Nie pozwalam — grzmiał Oberon. — Lizusi, do mnie — zawołał w przystępie rozpacz, ale i lizusi odpływali, tam gdzie unosił prąd i gdzie rozdawano coca-cole oraz ciepłe czapki z nausznikami dla powodzian.

Odpływała także najlepsza uczennica w naszej klasie, Ela Melasińska, na pokładzie wielkiej drewnianej estrady, w pięknym kostiumie bikini, jak rusalka, rozczesując sobie złote włosy... a za nią jej rywalka, znakomita Brunhilda Przypora, w długiej balowej sukni, malując sobie czerwone, jak dojrzewające wiśnie, usta...

— Żegnaj, miła szkoło — pomachały chusteczkami. — Już się nie zobaczymy.

— Ela, Brunia! Co to znaczy?! Wracajcie! — krzyczały nauczycielki. — Błagamy was, zostańcie.

— Nie mogę — powiedziała Ela Melasińska, smarując sobie ciało kremem. — Mamusia nie pozwoliła. Dostałabym kataru.

— Tu się zrobiło niezdrowo — dodała Brunia, przeglądając się w srebrnym lusterku. — Za bardzo mokro i zimno.

— I pewnie będą komary.

— Wolimy popłynąć do Bułgarii.

— Żegnaj, miła szkoło!

— Żegnaj, Oberonie miły!

Ich głos coraz słabiej rozlegał się po wezbranej wodzie, zmieszał się zupełnie z szumem i pluskiem fal...

— Co tutaj robisz? — usłyszałem nagle głos Zygmunta Gnackiego. Siedział jak zmokły gawron na sąsiednim drzewie, a koło niego kucal zziębnięty Kleksik.

Był bardziej trupio siny niż zwykle i drapał się bardziej nerwowo niż zwykle.

— Obserwuję wypadki. Myślę, że przyda się do gazety — powiedziałem.

— Głupi jesteś. W takiej chwili myśleć o gazecie?! — jęknął Zyzio. — Lepiej pomyśl, jak się stąd wydostać. Posłałem po łódź Kękusia, dałem mu swój strój pletwonurka, ale jakoś nie wraca. Boję się, że porwał go prąd albo Oberon złowił go do siatki. On miał zawsze takiego pecha.

— Tym razem pecha miał Oberon — usłyszeliśmy nagle wesoly głos. — Tak się zamachnął siatką, że wpadł razem z Czupurską do wody, a ja wciąż nurkując dopłynąłem aż do przystani sportowej na Zatruchlu i patrzcie, co przywiozłem...

Rozejrzeliśmy się dookoła. To był głos Kwękacza, ale nikogo nie było widać tylko nad wodą unosił się potężny kłęb mgły czy też dymu.

— Nic nie widzimy — powiedziałem.

— Podmuchaście trochę, to zobaczycie — odrzekł Kwękacz.

Nabraliśmy powietrza w płuca i zaczęliśmy dmuchać. Dym rozwiął się od razu i ujrzeliśmy najpierw zadarty nos Kwękacza, a potem jego szympanią twarz, rozjaśnioną w triumfalnym uśmiechu. W ustach trzymał grube cygare i kurzył jak parostatek. Siedział w prawdziwej łodzi wyścigowej dla czterech wiosłarzy ze sternikiem i niedbale poruszał wiosłami. Podpłynął do nas, za każdym ruchem wiosel wypuszczając nowy kłęb dymu z cygara.

— Skąd masz tę łódź?! — zapytaliśmy z podziwem.

— Podwędziłem Maciusiowi z Zatruchla. Jest w niej specjalna skrytka z żywnością na trzy tygodnie i skrzynka cygar. One spełniają podwójną rolę. Można ich także używać jako zasłony dymnej. Wsiadajcie!

— Wsiadajmy — powiedział ochoczo Zyzio.

— Nie wiem, czy powinniśmy wsiadać — powiedziałem z wahaniem — to jest bardzo podejrzana łódź. Zapewne służyła Zatruchlakom do przestępczych skoków... I pamiętajcie, że Kękuś ma pecha. On ma strasznego pecha i jeszcze żadna rzecz nie udała mu się w życiu...

— Mój pech przeszedł na Oberona — zaśmiał się Kwękacz. — Tomcio ma śmieszne skrupuły...

— Tak, masz śmieszne skrupuły — powiedział Zyzio. — Taką łodzią obejmujemy zaraz prowadzenie i pierwsi z całej szkoły dopłyniemy do oceanu.

— O... o ile nas nie złapią — wyjąkał Kleksik.

— Nie złapią, to jest ogólna powódź i nikt nie będzie nas sprawdzał... No, ładuj się!

Kleksik dygocząc mocno, więcej z emocji niż z chłodu, spuścił się ostrożnie do łodzi obładowany teczkami materiałów redakcyjnych. Pod pachą ścisnął kurczowo aparat telefoniczny.

— Pośpieszcie się — przynaglał Kękuś. — Musimy szybko uciekać, bo Zatruchlacy już płyną.

Istotnie, całą lawicą z głębi miasta nadpływali w łodziach, wiosłując rytmicznie w takt komendy Maciusia, wszystkie opryszki z Zatruchla.

— Tomciu, na co czekasz? — pociągnął mnie Zyzio, bo ja obejrzałem się za Matyldą.

— Musimy zabrać Madzie — powiedziałem.

— Nie ma miejsca. Ja będę sternikiem, wy trzej do wiosel.

— No więc zostanie jeszcze jedno...

— To miejsce dla Chrząszcza — powiedział Gnat. — Matylda Opat spuchłaby od wiosłowania. Dlatego zabieramy Chrząszcza. Wsiadaj, Chrząszcz! — skinął zachęcająco na drugorocznego Chrząszcza, ale on nie reagował. Stał uśmiechnięty w oknie budy, oparty leniwie o framugę i bawił się jak od niechcenia piłką nożną...

— Czy jesteś głuchy? — zdenerwował się Gnat.

Chrząszcz potrząsnął głową.

— Ja zostaję — powiedział.

— Oszalałeś?

— Przyzwyczailem się do budy. Tu mi dobrze.

— Myślałem, że jej nie cierpisz. Sam przecież namawiałeś nas niedawno do skoku.

— Mówiłem tak w chwili rozgoryczenia — wyznał zawstydzony Chrząszcz.

— Z powodu Bambosza, wiecie, że to był oszust, który tu się ukrywał pod płaszczykiem wzorowego woźnego. Ale teraz wszystko się odmieniło. Patrzcie, Bambosz odpływa, teraz się wszystko ułoży...

Spojrzeliliśmy. Zza rogu szkoły wypłynęła wielka łajba. Wcale nie można było poznać, że jest z gumy. Wyglądała jak statek piracki. Na mostku kapitańskim stał Bambosz, lecz odmieniony już zupełnie, bez czarnego fartucha; ten jego roboczy czarny fartuch powiewał już wysoko na maszcie, a nad nim jeszcze wyżej zatknięta była mała spreparowana głowa ludzka. Ubrany w strój marynarski stał w rozkroku na swoich krótkich nogach, zbrojny w wielki uniwersalny odkurzacz. Twarz zaczynała mu już porastać rudą szczecina.

— Porasta żeglarską brodą — wykrzyknął z podziwem i z zazdrością Gnat.

— Kto by pomyślał!

— Płynie do Kanady pod czarną flagą — mruknął ponuro Kwękacz. — On należy do łowców głów!

— Pigmej jest z nim — podniecony Kleksik wskazał na małego człowieka, który manipulował sterem.

— I cały personel szkoły — dodałem. — Palacz Nowicki, sprzątaczkę Lonia, Zosia i Mania...

— I kucharka Mateczka z pomocnicami...

— Wszyscy posępni i dumni.

- Nie żegnają się nawet z Oberonem.
- Przepływają bez zatrzymania...
- Nie! Patrzcie, zwalniają. Bambosz daje znak...
- Tuż koło frontowej ściany szkoły...
- Bambosz podnosi tubę... Krzyczy coś. Cicho... Posłuchajmy, co krzyczy.

Natężyliśmy słuch.

- Chcę mówić z panią Szyjkowską z kancelarii — zawołał Bambosz.
- Czego pan sobie życzy? — na balkonie obok gogów pojawiła się sekretarka Szyjkowską ze srebrnym lisem na szyi; lakierowała sobie długie, wąskie paznokcie.
- Kocham panią! — oznajmił Bambosz.
- Co takiego?! Panie woźny, jak pan śmie... — oburzyła się pani Szyjkowską.
- Udawałem woźnego, aby być blisko pani — odrzekł Bambosz — lecz w istocie jestem piratem, moja miła, i proponuję ci uczciwe małżeństwo.
- Och, czy można wierzyć piratowi? — pani Szyjkowską zatrzepotała długimi rękami. — Jak pan sądzi, panie dyrektorze?
- To człowiek dwulicowy i podejrzany — odparł Oberon. — Niech pani mu nie wierzy. On ma pryszczę pod szatą i plamę na sumieniu.
- Nie wierzę panu — rzekła do Bambosza Szyjkowską.
- Cóż łatwiejszego, jak przekonać się — powiedział Bambosz. — Zapraszam panią na rejs gratisowy w moje rodzinne strony, a przekona się pani, że należę do starej arystokracji morskiej i że wiodłem żywot pracowity i skromny, z dala od wielkomięjskich pokus i wszelkich gniazd rozpusty, gromadząc skarby dla przyszłej wybranki mego serca. Och, płyn ze mną, a uczynię cię królową mórz południowych.
- Niech pani mu nie wierzy, on tylko tak panią kusi — rzekł Oberon.
- Nie, nie, boję się!
- Nie oprzesz mi się — powiedział Bambosz. — Na wodzie moja wola jest prawem.
- Oprę się! — pani Szyjkowska oparła się mocno o balkon i zacisnęła dłonie na poręczu.

W odpowiedzi Bambosz zaśmiał się krótko śmiechem wilka morskiego, po czym wycelował w panią Szyjkowską swój gigantyczny odkurzacz. Biedna kobieta nie zdołała nawet wykrztusić słowa i została natychmiast wessana do wielkiej tuby aparatu.

Nauczyciele na balkonie popatrzyli po sobie ze zgrozą.

- Teraz Pelman — powiedział Bambosz.
- Co? Dlaczego ja?
- Podobasz mi się — powiedział Bambosz. — Umiesz robić pastylki kosmiczne i inne rzeczy, które przydadzą się piratom. Dlatego postanowiłem cię wyciągnąć z tej budy i zabrać ze sobą.
- Płyn sam — odparł Pelman. — Ja się poświęcam dla młodzieży.
- Nie bądź głupi. Skacz do łodzi! — zagrzmiał Bambosz, a gdy Pelman się wzdragał, znów sięgnął po swój gigantyczny odkurzacz.
- Nie... tylko nie to! — krzyknął przerażony pedagog i chciał uciec do klasy, ale było już za późno. Straszliwa siła ściągnęła go z balkonu i zaczęła wsysać do rury. Dzielny chemik nie dał jednak za wygraną. W ostatniej chwili wykonał w powietrzu rozpaczliwy rozkrok, tak, że odkurzacz wessał mu tylko jedną nogę. Wstrzymaliśmy oddech w piersiach. Przez chwilę trwała dramatyczna walka pedagoga z aparatem. Wreszcie udało mu się mocno uchwycić krawędzi jedną ręką, a drugą sięgnął do kieszeni fartucha i wydobyl stamtąd jedną z tych tajemniczych próbek, które stale nosił przy sobie. Podniósłszy ją do wysokości nosa i sprawdzwszy zawartość, wrzucił ją do gardzieli odkurzacza. Skutek był natychmiastowy. Rura ssąca wybrzuszyła się nagle i rozdęła jak balon, zakrzuszyła potężnie, kichnęła, po czym z jednej jej strony wyleciał kłęb żółtego dymu, a z drugiej uwolniony pan Pelman.

Bambosz z niedowierzaniem obejrzał aparat, a potem zawołał ze złością do Pelmana:

— Stary cymbale, chciałem cię uratować, ale na upór nie ma lekarstwa. Więc giń ty i pchły twoje!

— Ty zginiesz pierwszy — dyszał pan Pelman. — Zobaczysz, zjedzą cię rekiny!

— A ciebie zje po kawaleczku twoja kochana młodzież — Bambosz zaśmiał się szyderczo i krzyknął do swoich ludzi: — Rozwinąć wszystkie żagle! Odbijamy!

— No, odpłynął nareszcie! Niech wszyscy diabli dmuchają mu w żagle — odetchnął Chrząszcz. — Teraz się wszystko ułoży.

— Nie sądzę — wycedził Gnat. — Bambosze przychodzą i odchodzą, ale Oberon pozostaje. Oberon i jego niesłychane wymagania. On się nie zmieni.

— Zapytajmy go! — zaproponował Kleksik.

— To doskonale pomysł — zadrwił Gnat. — Uspokoicie swoje sumienie.

— Zapytajmy go — powiedziałem. — To naprawdę uspokoi nasze sumienie.

Podpłynęliśmy do Oberona.

— Życie młodzieży w tej szkole stało się zbyt kłopotliwe. Czy pan nam popuści? — zapytaliśmy oficjalnym głosem. — Czy pan nas zwolni od przykrych obowiązków i trudnych inicjatyw z uwagi na stan obłączenia?

— Nigdy nie zwolnię was od inicjatyw i obowiązków — odrzekł Oberon. — Nigdy... nigdy!... — przerażający głos toczył się po czarnym lustrze wody.

— Sam widzisz, Chrząszcz — westchnął Gnat. — On jest nieustępliwy. Z nim nie można dojść do zgody. Wsiadaj, odpływamy!

Ale Chrząszcz nie słuchał w ogóle tego, co się tu mówiło. Od dawna już był całkowicie pochłonięty grą w piłkę wodną wraz z chłopakami ze swojej paczki. Radośnie baraszkowali w wodzie na opustoszałych ulicach, jak stado beztroskich delfinów.

— Głupcy — wycedził pogardliwie Gnat. — Zatem ruszamy. Siadajcie do wiosel!

— Jest jedno miejsce wolne — zauważył Kleksik.

— Zabieramy Matyldę — powiedziałem.

— Nie, żadnych dziewczyn! Ona rozbije naszą paczkę!

— Głupi przesąd! Ja nie ruszę stąd bez Matyldy... Naprawdę miałbyś sumienie ją tu zostawić?

— Nie będziesz rządził! — Zyzio uderzył mnie w twarz.

Krzyknąłem i obudziłem się. Przez chwilę leżałem spocony, zanim uświadomiłem sobie, że to był tylko sen. Chciało mi się potwornie pić. Wstałem, poszedłem do kuchni, napiłem się wody...

A potem śniłem dalej...

**ROZDZIAŁ V**  
**— DLACZEGO NIE MOGŁEM ODPLYNAĆ DO WENECJI, CZYLI DALSZY**  
**CIĄG SNU**

Uporczywie szukałem Madzi okrążając dookoła smutne drzewa mangrowe rosnące przy szkole. Oni mi nie przeszkadzali. Zamienili się w węże i kłębili się na dnie łodzi, ale musiałem ich przygwaźdzać wciąż wzrokiem, bo mogliby rzucić się na mnie. Całe szczęście, że odkryłem w sobie siły fakira i mój wzrok ich poskramiał. Więc wili się bezradnie i syczeli z nienawiści.

Poznawałem ich łatwo. Ten wielki, rudy grzechotnik to Zyzio, ten cienki okularnik to Kleksik,, a czarna mamba — Kękuś.

I dlatego poszukiwanie było takie uciążliwe, bo nie mogłem, oderwać od nich wzroku i rozejrzeć się po gęstwinie koron tych drzew tropikalnych. Pozostawało mi tylko nawoływanie. Więc nawoływałem rozpaczliwie:

— Madziu, gdzie jesteś?! Odezwij się! To ja Tomek. Szukam cię!

Ale zamiast Madzi odpowiadał mi tylko głośny śmiech małych podpatrujących mnie z gałęzi mangrowców.

Zrozumiałem, że Madzie musi pochłaniać całkowicie polowanie z kamerą na sensacyjne wydarzenia, rozgrywające się w naszym mieście. Postanowiłem więc podejść psychologicznie i obudzić jej reporterską ciekawość.

— Chodź, zobacz — zawołałem. — Mam węże. Trzy najbardziej jadowite gatunki! To zupełnie niesłychana historia! Gnat, Kleksik i Kękuś, moi najlepsi przyjaciele, zamienili się w syczące węże!

— Pokaż! Pokaż! — rozległ się srebrzysty głos z góry jak głos ptaka.

— Madziu to ty?

— Nie poznajesz mnie?

— Nie mogę na ciebie patrzeć. Muszę cały czas przygwaźdzać wzrokiem te węże.

— Nie musisz tam siedzieć z nimi. Chodź, pohośćamy się na gałęziach.

— Nie bądź śmieszna. Nie mamy czasu na zabawę. Uciekaj z nami! To miejsce skazane jest na zagładę!

— Czyżby? — rozległ się znów z gałęzi ten melodyjny głos.

— Czego nie zniszczy powódź, zjedzą szczury — powiedziałem zdenerwowany. — I przestań się wreszcie zgrywać na córkę Tarzana, a posłuchaj głosu rozsądku. Są inne bezpieczne miasta. Zobacz, wszyscy uciekają.

— Ależ, Tomku, dlaczego chcesz robić jak wszyscy? Myślałem, że jesteś ciekawszy od innych, śmielszy, ambitniejszy, odważniejszy i że polujesz na wielką przygodę. Sam mówileś...

— To prawda — chrząknąłem zakłopotany. — Ale sytuacja się zmieniła. Musimy odplynąć z wiadomych ci względów. Oberon przedłożył nam ultimatum. Tym razem podpadliśmy bez reszty i z kretesem. Tu już nie będzie życia.

— Czy nie bierzesz aby rzeczy zbyt serio i czy nie boisz się na zapas? Przecież Bambosz odplynął, widziałam sama.

— Och, Bambosz! — zachnąłem się — Bambosze odchodzą i przychodzą, ale Oberon pozostaje zawsze — powtórzyłem sentencję Zyzia. — Jeśli chcesz wiedzieć, to właśnie sondowaliśmy Oberona, żeby uspokoić nasze sumienia. Niestety. Nie chciał zwolnić nas od wygórowanych obowiązków i inicjatyw, a nawet podejrzewamy, iż pod pretekstem stanu oblężenia gotów jest przycisnąć nas jeszcze bardziej. Znasz wymagania Oberona. To niebezpieczny gog, który ćwiczy się w doskonałości. On uprawia torturę śrubby...

— O czym ty mówisz? — zdumiała się Madzia.

— O śrubowaniu poziomym. Oczywiście kosztem młodzieży. To nią się kręci jak śrubą. Oberona cieszą takie męki... zaspokajają jego ciemne instynkty.

— Co ty wygadujesz?! — oburzyła się Madzia. — Jesteś uprzedzony do biednego Oberona i niesprawiedliwy. On kocha naprawdę młodzież. Został, żeby być z nami...

Zaśmiałem się szyderczo. Mój śmiech odbijał się boleśnie od wód.

— Został, bo chce być ważny — powiedziałem. — On to lubi. Lubi rządzić, lubi ćwiczyć i dręczyć młodzież.

— Zmyślasz... wykręcasz się... szukasz pretekstu — odpowiedziała Matylda i zaczęła znów niedbale huśtać się na lianach i przeskakiwać z gałęzi na gałąź, bowiedziała, że to mnie drażni. — Jesteś małym kanciarzem, Tomciu!

— A ty jesteś szalona i zginiesz. Nie pomogą ci te cyrkowe sztuczki i małpia zręczność. Patrz!

Z wody wynurzyły się zmokłe, na pół żywe szczury i mozolnie wspinały się po pniu... coraz wyżej... wciąż pelzły niestrudzenie.

Madzia krzyknęła przeraźliwie i z wrażenia spadła z drzewa... prosto na naszą łódź. Łódź oczywiście wywróciła się i wszyscy znaleźliśmy się w wodzie.

— Mówilem, że ta dziewczyna nam zaszkodzi — jęknął Zyzio.

— To nie ona, to Kękuś. On jest pechowy... — wykrztusiłem wypływając wodę.

— Ta łódź była zbyt wywrotna — pisnął Kleksik wynurzając się z głębin i wypuszczając ze swych odstających uszu fontanny wody.

Za nim, kilka metrów dalej walczyła z prądem Matylda. Tylko Kwękacza nigdzie nie było.

Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Znajdowaliśmy się na wielkiej głębi i prądy unosiły nas w różne strony. Nagle spostrzegłem, że od strony szkoły płyną jakieś rzeczy... ławki, miotła, wieszak z pokoju nauczycielskiego z kapeluszem pani Czupurskiej, równoważnia, koń z łękami i szafy szkolne.

Co za szczęście! Wytężyłem wszystkie siły i przebojowym crawlmem dopędziłem jakąś oszkloną szafę. Płynęła drzwiami do góry. Poznałem ją od razu. To była szafa z pracowni biologicznej, ta z wypchanymi zwierzętami. Wybiłem szybę. Z wnętrza wyleciały mole. Począłem wyrzucać ze środka wszystkie ssaki i ptaki. Nagle wzdrygnąłem się. Wypchany kot patrzył na mnie przenikliwie błyszczącymi oczami jak żywy. Zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie, jakbym popełniał zbrodnię. To śmieszne, ale przestraszyłem się tego kota. Rychło jednak krzyki tonących kolegów otrzeźwiły mój zmacony umysł. Wziąłem się w garść, wyrzuciłem z szafy kota, wyjąłem z niej jakąś półkę i posługując się nią jak wiosłem, począłem się szybko zbliżać do tonących. Ta wielka, szczelna szafa powinna spełnić rolę ratunkowej łodzi. Lecz kogo uratować najpierw? Prąd zniósł w dwie różne strony Matyldę i chłopaków. W jednym miejscu Matylda walczy mozolnie z falami, w drugim, dwadzieścia metrów dalej — Zyzio i Kleksik. A ja pośrodku, między nimi.

— Ratuj, Tomciu, bądź kumplem! Wir nas porwał — usłyszałem rozpaczliwy krzyk Zyzia.

— Ja... muszę najpierw Madzie! — wykrztusiłem.

— Nas jest dwóch... — krzyczeli. — Jesteśmy z jednej redakcji! Znamy się od przedszkola... Byłeś jeszcze krasnałem... Tyle lat... tyle przygód razem... Na pomoc! Kostniejemy... tracimy siły... Nie bądź świnią!

Ale ja wahałem się tylko chwilę, a potem zdecydowanym, potężnym pchnięciem wiosła ruszyłem na pomoc Madzi.

— Och, Tomku, to straszne... Czy wszystkich już uratowałeś? — zapytała Madzia wynurzając się tuż koło mnie z wody i przepasując sobie włosy zieloną wstążką.

— Jeszcze nikogo nie wyratowałem — odparłem. — Ty jesteś pierwsza.

— A Gnat?

— Dwadzieścia metrów stąd. Dostał się chyba w wir.

Matylda obejrzała się.

— Ależ, Tomciu, on tonie!

— Nie da się zaprzeczyć.

Przestraszyła się.

— O Boże! Ratuj go!

— Więc to tak... — zmarszczyłem ponuro brwi.

— To tak — westchnęła Matylda.

— Domyślałem się tego. Ty go kochasz!

— Od samego początku — szepnęła Matylda. Położyła się na wznak na wodzie i rozmarzona zapatrzyła się w niebo. Fale uspokoiły się dziwnie, pieszczotliwie muskały jej twarz i płomienne włosy. — Och, jak ja mogę... — oprzytomniała nagle gwałtownie i zatrzepotała w wodzie jak ryba. — On przecież tonie! Ratuj go, ratuj go, Tomciu, wiesz, jak go kocham, kocham go, kocham go... — powtarzała nieznośnie namiętnie.

— Ale ja kocham ciebie — powiedziałem ponuro.

— Więc wszystko jest w porządku — oświadczyła. — Ty kochasz mnie, ja kocham Gnata, więc ty z miłości do mnie spełnij moje życzenie. Zamiast mnie, uratujesz Gnata.

— To ma być w porządku?! — oburzyłem się. — Mam ratować Gnata, który nikogo nie kocha? Gdzie tu jest logika?

— W miłości nie ma logiki.

— Ale jest logika życia i dlatego...

— Och, co chcesz zrobić?

— Uratuję cię.

— Puść!

— Uratuję cię przemocą — zawołałem i wyratowałem ją. — Teraz ich!

Kiedy to powiedziałem i obejrzałem się Zyzia i Kleksika już nie było. Tylko w miejscu gdzie wirowali, unosił się czarny notes Zyzia i ołówek redaktorski Kleksika.

— Utonęli! — krzyknąłem poważnie zmartwiony.

— Nie mogłeś im pomóc — powiedziała Matylda wyciągając ze swej podręcznej torby-konduktorki wielki, kolorowy ręcznik kąpielowy. — Lepiej się wytrzymaj, jesteś cały mokry — powiedziała i podała mi jeden koniec ręcznika, a sama zaczęła wycierać się drugim.

Wycierałem się mechanicznie, patrząc jak wygląda się powierzchnia wody i zanikają ostatnie kręgi.

— Los tak chciał — westchnęła dość obojętnie Matylda. — Czy wolałbyś, żebym ja utonęła?

— Och, nie! — drgnąłem i spojrzałem na nią.

— Więc czemu tak patrzysz na mnie?

— Myślałem... myślałem, że ty i Gnat... Kazałaś go przecież...

— Och, żartowałam tylko, chciałam cię wypróbować. I tak nie utonęłabym, patrz — pokazała mi kamizelkę ratunkową, którą miała na sobie.

— Więc... więc nie kochałaś go?! — wykrztusiłem.

Matylda zaśmiała się swobodnie.

— Ależ tak, kochałam go jak wariatka. Miłość jest ślepa — dodała i spochmurniała nagle. — Miłość jest ślepa, ale prędzej czy później życie otwiera jej oczy.

— I... i tobie też otworzyło? — zapytałem z nadzieją.

— Chyba... tak. Och, Tomciu, pomóż mi, nie chcę kochać Gnata. On jest bez serca, nieczuły i okrutny!

— Naprawdę nie chcesz?

— Słowo! Los go ukarał sprawiedliwie!

— Nie mów tak — zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie. — Teraz ty jesteś zbyt okrutna. Nie powinnaś się cieszyć z jego, śmierci...

— Śmierci? — zdziwiła się.

— On utonął — powiedziałem ponuro.

— Nie bój się — odrzekła robiąc sobie beztrąsko z ręcznika wielki wschodni turban na głowie. — Mój tatuś go wyłowi. Zobacz, płynie na pomoc z całą swoją potęgą. Właśnie ewakuuje zakład.

Istotnie wkrótce nadpłynął pan Opat z wielką flotyllą trumien. W każdej pracownik przedsiębiorstwa w stroju pogrzebowym. Uratowane wieńce mieli na szyjach. Żałobne szarfy powiewały dostojnie na wietrze. Wiosłowali rytmicznie dziwnymi wiosłami, podobnymi do ludzkich piszczeli.

— Wzorowo przeprowadzona ewakuacja — zauważyłem z uznaniem.

— I jakie wspaniałe trumny — rzekła z dumą Madzia. — Zupełnie nie przeciekają.

— Z powodzeniem mogą służyć jako łódki.

— Tak. Nasza firma jest bardzo solidna. Możesz być spokojny, wyłowię wszystkich. Już zabierają się do nurkowania — wskazała na pletwonurków w czarnych kostiumach, gotujących cię do skoków w głębinę. — Nie ma co dłużej zwlekać, bierz się za wiosło, Tomku, odpływamy do Wenecji.

— Ale Gnat... — miałem pewne skrupuły.

— Chyba już jesteś na tyle dorosły, żeby nie bawić się w te głupstwa.

— Gazeta nie jest głupstwem.

— Zaczniemy robić własną. Bogato ilustrowaną i pełną fotografii. Właściwie wystarczą same fotografie.

— Myślisz?...

— Ja to załatwię. Po co miałbyś trzymać się Gnata? I tak przy nim byłeś zawsze drugi, tylko drugi. Zawsze chciał rządzić i postawić na swoim, mądrzył się i nie dopuszczał cię do słowa. Byłeś drugi, zawsze drugi. A ja mogłabym pokochać tylko kogoś ważnego i pierwszego... Wiesz o tym, Tomciu, i nie zgrywaj się. On cię nie interesuje nic...

— On mnie nie interesuje nic — powtórzyłem ponuro, patrząc na wodę.

— A zatem odpływamy.

— Mówiłaś, że chcesz zostać. Namawiałaś mnie przecież!

— Już nie chcę.

— Okropnie jesteś zmienna!

— To normalne u kobiet — odrzekła przeglądając się w lusterku. — Po prostu łatwiej przystosowują się do nowej sytuacji. A sytuacja jest zupełnie nowa. Wpadliśmy do wody, zrobiło się okropnie nieprzyjemnie i zimno. Och, płynmy szybko do Wenecji.

— Jak chcesz — powiedziałem. Zanurzyłem wiosło w wodę i chciałem odpłynąć do Wenecji, gdy nagle z przerażeniem stwierdziłem, że nie mogę nim zupełnie poruszać. Jakby woda zamieniła się w smołę. Zdumiony spojrzałem za burtę i zdrętwiałem. Tuż koło nas z wody wyłonił się czarny, obcy kształt... Rekin? Nie, to nie był rekin — to był Maciek Kwękacz w stroju pletwonurka. Wyskoczył jak delfin aż nad burtę i strącił mnie do wody.

— Co robisz? — krzyknąłem rozgniewany. — Głupie kawały!

— Zginiesz — zabulgotał. — Za to, że zdradziłeś paczkę! Za śmierć Gnata i Kleksika.

— Nie... nie... mylisz się! Pan Opat ich wyłowi!

— Tak jak wyłowi ciebie — zaśmiał się strasznym dudniącym śmiechem Kwękacz.

— Nie jestem winny — krzychałem krztusząc się wodą — naprawdę nie mogłem inaczej... zrozum!

Ale on już chwycił mnie za nogę i zaczął wciągać w głębinę, coraz niżej, w czarną czelusć, na dno... A tam już czaiły się żarłoczne piranie...

Chciałem krzyczeć ze zgrozy, ale nie mogłem wydobyć głosu. I w tym momencie — co za ulga! — obudziłem się.

Ależ idiotyczny sen! Nie dość, że człowiek ma ciężkie życie, to jeszcze w nocy męczą go jakieś sny! I skąd tyle okropnych postaci? Chociaż, gdy się zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że wszystkie te postaci były mi przecież dobrze znane i istniały naprawdę w rzeczywistości, wszystkie — z wyjątkiem tego Pigmeja w czerwonej spiczastej czapce, który sterował łodzią Bambosza... Z wyjątkiem Pigmeja? Ejże! Jego rysy i sylwetka też kogoś mi przypominały... Ależ tak, oczywiście! Nie dalej jak tydzień temu podobny zupełnie osobnik, nędznej postury, stał pod szkołą. Padał deszcz i ten człowiek miał na sobie pelerynę z

kapturem, nie czerwoną wprawdzie, lecz różową — ot, cała różnica. Potem na przerwie chciałem wybiec na ulicę do kiosku po zeszyt w kratkę, tak żeby Bambosz nie widział, więc ostrożnie uchylilem drzwi do przedsionka i zobaczyłem, że ten Pigmej tam jest i rozmawia z Bamboszem.

„Pływamy razem do końca” — usłyszałem charakterystyczny skrzeczący głos; nie zapomnę go nigdy, słowa zabrzmiały jak hasło, a może rzeczywiście były hasłem? Potem nastąpiła długa chwila ciszy, w oczach Bambosza narastało jakby przerażenie.

„Skierował mnie tu Trener, który był szyprem” — znów ten głos.

„Ja pana nie znam. Kto pan jest?” — powiedział Bambosz.

I wtedy Pigmej wydostał spod peleryny czarną teczkę i wyciągnął z niej dziwny przedmiot — małą główkę ludzką o bardzo brzydkiej twarzy i długich, czarnych włosach, zapewne była to główka lalki, albo maskotka samochodowa. Inna rzecz, że nie widziałem w życiu tak wstrętnej maskotki. Pamiętam, że o mało co nie krzyknąłem wtedy z wrażenia. Byłem ciekaw, co dalej, nastąpi, ale Bambosz nagle rozejrzał się czujnie dookoła i widząc uchylone drzwi, wyjrzał na korytarz. Nie czekałem, aż się przyczepi do mnie, i uciekłem.

Chyba dlatego ten Pigmej znalazł się w moim śnie...

Zamyślony poczłapałem do łazienki i wziąłem zimny prysznic. A kiedy oprzytomniałem zupełnie, stwierdziłem, że ten sen wcale nie był taki niedorzeczny... i nawet parę spraw rozjaśnił mi we łbie. Przede wszystkim, że najważniejsza jest Madzia. Sen na to wskazywał niedwuznacznie. A po wtóre, że wcale nie mam ochoty dłużej być w paczce Gnata. Jakoś przejadło mi się. I cała ta zabawa w redakcję pod wysokim nadzorem Oberona. Albo piszemy to, co naprawdę myślimy i czujemy, albo gazeta nie ma sensu. Dyktanda wystarczy pisać na lekcji w pierwszej klasie. Naprawdę znudziło mi się. Zresztą przy Zyziu będę zawsze drugi — mała satysfakcja. Odkąd poznałem Madzie tamte rzeczy i sprawy straciły na znaczeniu, a nawet zaczęły mi przeszkadzać. Zadawać się z tymi typami, to jednak strata czasu... Tylko głupio będzie im powiedzieć: znudziliście mi się, cześć, odchodzę... Poza tym... nie mogę tak łapu-capu podejmować tej ważnej życiowej decyzji. Rozważmy najpierw spokojnie sytuację. Kim oni naprawdę są, co przedstawiają sobą. Maciej Kwękacz, czyli Maciek, czyli Kękuś: zakuta pała, nieobliczalny, opanowany przez prymitywne, ciemne instynkty facet, który w dodatku ma pecha!

Aleksander Kleksiński, czyli Olo, czyli Kleksik: ten ma wyobraźnię, nawet za dużą, dlatego fantazja miesza mu się z rzeczywistością, rozchwiany, przewrażliwiony narwaniec, równie nieobliczalny jak Kękuś, obaj urwali się z choinki.

Zygmunt Gnacki, czyli Zyzio, czyli Gnat: geniusz bez przydziału, marnujący się w gazetce szkolnej, wielki komplikator rzeczy prostych, uzurpator władzy wszelkiej, specjalista od nieszczęśliwych pomysłów; zawsze wplątywał nas w jakąś kabałę i kończyło się poślizgiem, wpadką, wyspą, po której miałem przez pół roku zgagę... Owszem, były emocje, ale mam ich po uszy, zrobiłem się od nich nerwowy. Sen o tym świadczy... Żeby nie było nieporozumień. Powiedzmy sobie otwarcie: uwielbiam emocje. Ale nie tego typu. Wolę je przeżywać z Matyldą. Czyli sprawa jest jasna. Byłaby także łatwa do załatwienia, gdyby Matylda nie ujawniła swego przykrego zainteresowania redakcją i jeszcze bardziej przykrego — Zyziem. Ale ona interesuje się redakcją czy też, nie oszukujmy się, Zyziem. Czyli sprawa robi się głupia. Bo jeśli ja odejdę z redakcji, a Matylda na-dal będzie koło niej krążyć, albo, co gorsza, wejdzie do redakcji, no to drogi nasze fatalnie się rozejdą.

Po namyśle postanowiłem najpierw porozmawiać z Matyldą.

Mam ją dziś o siódmej skontaktować z Gnatem. Jeśli przyjdę wcześniej, zanim Zyzio nadejdzie, będę mógł z nią porozmawiać w cztery oczy. Zyzio nie zjawi się wcześniej jak o siódmej dziesiątej. Te kilka minut wystarczy, żeby przedstawić Madzi mój śmiały projekt. „Śniłaś mi się — powiem. — To był niezwykle sen. Namawiałaś mnie, żebym zerwał z Gnatem i założył do spółki z tobą, nowe, niezależne pismo. Bogato ilustrowane. To genialny pomysł. Postanowiłem właśnie dokładnie tak zrobić. Co ty na to?”

I to będzie próba. Wtedy zobaczę, czy Madzi chodzi naprawdę o redagowanie gazety czy też, odpukać, o Zyzia. A zatem — szybko do Matyldy! Która to godzina? Gdzie mój zegarek? Został przy łóżku. Popędziłem do pokoju. Stał. Z tego wszystkiego wczoraj zapomniałem go nakręcić. Ale już podejrzany ruch w domu. Siostry się kłócą za ścianą, a ojciec brzdęka garnkami w kuchni. Dziś jego dyżur. Mamy nie słyhać. Normalnie powinna dyrygować usługami ojca, a tymczasem ojciec brzdęka samodzielnie, manifestując głośno swoją niepodległość arią z operetki „Król włóczągów”. Fatalnie, jeśli mamy już nie ma, to znaczy, że minęła już godzina siódma. Mama jest chodzącą punktualnością. I według jej poruszeń na linii: Zakład Higieny, gdzie była kierownikiem — Sąd, gdzie była ławnikiem — Dom, gdzie była najwyższym zwierzchnikiem, można nastawiać zazwyczaj mniej precyzyjne zegarki. Nastawiłem i mój na godzinę siódmą minut piętnaście. Pomyliłem się tylko o dwie minuty, jak wynikało z zegarka na wieży kościelnej, koło której przemknąłem jak meteor dosłownie trzy minuty potem, bez śniadania, z kiszkami grającymi zbuntowanego marsza.

Niestety, wszystko na nic. Gdy o godzinie siódmej minut dwadzieścia wpadłem do parku i minąwszy w locie muszlę orkiestrową, posąg fauna oraz klub „Gong”, z którego dochodziły radosne pokwikiwania, zadyszany do ostatnich granic, wylądowałem wreszcie szczęśliwie pod srebrnym świerkiem, Matyldy Opat już nie było. Zamiast niej na ławce siedział Zygmunt Gnacki i spokojnie karmił wiewiórkę.

— Muszę z tobą pogadać — powiedział do mnie i otrzepał ręce z okruchów chleba.

ROZDZIAŁ VI  
— ZYZIO PODAJE SIĘ DO DYMISJI

Rozglądałem się zdenerwowany dookoła. Wciąż nie chciałem wierzyć, że Matyldy nie ma. Ale ten dziki zakątek parku był zupełnie pusty, jak zresztą zawsze o tak wczesnej porze.

— Dlaczego nie zaczekała? — zapytałem Zyzia.

— O kim mówisz?

— No, o Matyldzie Opat. Spóźniłem się parę minut, to fakt, ale mogła poczekać. A może w ogóle nie przyszła?

— Owszem, przyszła — warknął Zyzio.

— I co?

— Powiedziałem, żeby dała nam spokój, że nie reflektuję na żadną współpracę i gwizdę na jej zdjęcia.

— Jak mogłeś! — wybuchnąłem.

Zyzio spojrział na mnie swym uważnym „okiem wołu”, w którym czaiła się troska. Nie cierpiałem tego „wołowatego” spojrzenia jego wielkich zielonych oczu. Ileż tam zawsze było wyższości, ile politowania i źle ukrytej kpiny.

— Ostrzegam cię, Tomciu — powiedział spokojnie. — Weź się w garść. Ostatnio szajba ci zupełnie odbiła.

— Mnie? Szajba?!

— Jak przyjacielowi ci radzę. Przestań ty się afiszować z tą kozą! Będą się śmiać z ciebie. Zobaczysz. To się już rzuca w oczy... Urośnij najpierw, chociaż z parę centymetrów!

— Mam metr sześćdziesiąt osiem — odparłem. — Napoleon był mniejszy.

Zyzio zasapał zniecierpliwiony.

— Co ty w niej widzisz? Taka chuda gęś w okularach!

— Gęś?! Matylda gęś?! — zatrzęsłem się z oburzenia.

— A do tego przemądrzała i krzykliwa. Posłuchaj, ona by nam rozwalila redakcję. To wyjątkowo niebezpieczna, przebojowa dziewczyna, z tych, co idą po trupach.

— Po prostu z temperamentem. Z prawdziwym temperamentem dziennikarskim. Czy to źle, że ma określone zainteresowania, że wie, czego chce? Nie mamy fotoreportera. Byłaby znakomitym fotoreporterem. Gazeta by tylko zyskała. To byłby świetny nabytek dla gazety.

W oczach Zyzia zamigotały szydercze ogniki.

— Nie próbuj mnie oczarować. Ona po prostu ci się podoba.

— No i co z tego? — odpaliłem śmiało. — A tobie podoba się Adela Wigor. Do mnie masz pretensje, a sam co robisz? Może nie wiem! Próbowalesz poderwać Adelę Wigor! Widziałem, na kortach w niedzielę.

— Miałem chwilę słabości — rzekł Zyzio — ale otrząsnąłem się. Ty też musisz się otrząsnąć. A poza tym... wypraszam sobie takie porównania — warknął gniewnie — Adela to jest ktoś!

— Matylda też jest ktoś.

— Nie rozumiesz tego, Adela ma inne wymiary...

— To prawda, że jest grubsza, ale...

— Osiół jesteś — przerwał zdenerwowany Gnat. — Adela ma ustaloną markę. Adelę wszyscy znają i podziwiają. No i, co najważniejsze, Adela to filar Defonsiarni. Czy nie chwytasz tego? Gdyby mi się udało poderwać Adelę, zatrzęsłbym filarem!... Byłaby to duża porażka Cypka i wszystkich defonsiaków... A Matylda?! Kim jest Matylda?!

— Matylda jest wspaniała! — oświadczyłem bez namysłu.

— Nie używaj tego słowa — zatrzęsł się TĄTAO. — Jesteś zaślepiony, fatalnie zaślepiony. Ta dziewczyna cię zniszczy. Ostrzegam cię!

— Wiesz, co ja robię z twoim ostrzeżeniem? — zadyszałem. — Pluję na nie! Patrz! Po prostu pluję — to mówiąc splunąłem efektownie.

— Opamiętaj się!

— Nie! Nie! Nie masz racji! Ja stawiam na Matyldę. Ona jest wyjątkowa! Wyjątkowo sympatyczna, zdolna, wartościowa, myśląca, wrażliwa, utalentowana, niezrównana...

Zyzio umilkł zrezygnowany.

— No cóż... w tej sytuacji... — uśmiechnął się dziwnie. — Poczekaj tydzień, a będziesz mógł ją przyjąć do redakcji.

— Nie rozumiem — bąknąłem zaskoczony.

— Podaję się do dymisji — oświadczył TJJTAO.

— Ty?

— Właśnie chciałem ci to zakomunikować. Bierz się sam do redagowania, Tomciu, poprzyjmuj kogo chcesz, Matyldę, wszystkie dziewczyny, które lubisz, cały harem, a na dokładkę paru lizusów, na okrasę. Po tym, co się zdarzyło wczoraj, przemyślałem spokojnie sytuację i doszedłem do wniosku, że nie ma sensu nadstawiać się do bicia, szarpać sobie nerwy, użerać się co dzień z Bamboszem, znosić wieczne pretensje Oberona, codzienne mycie głowy. To szkodzi zdrowiu, słowo daję. Żadnego uznania, tylko same kłopoty. I w dodatku wy... wotum nieufności! Tego już za wiele... Byle lizus jest chwalony, a my za nasze wysiłki obrywamy cięgi. Oberon uznaje tylko kujonów, no więc dobrze, wezmę się do nauki i wtedy zobaczymy.

— Co powiedziałaś?

— Wezmę się do nauki.

-Ty?

— Sądzisz, że gdyby mi się chciało, to bym nie był najlepszy przy tutejszym poziomie, przy tych głuptakach i patentowanych leniach?

— Jasne. Gdybyś chciał, ale tobie się nigdy nie chciało.

— No więc teraz mi się zechce. Zobaczysz. Żał mi było was, że zostaniecie sami i zmarnujecie się. Ale po tym, co zrobiliście mi wczoraj, czuję się zwolniony od wszelkich zobowiązań i umyвам ręce... To było wotum nieufności! Proszę bardzo, radźcie sobie sami! Ja wysiadam! Nareszcie będę miał czas myśleć o sobie. Pouczę się dwa miesiące, tak do maja mniej więcej, i udowodnię Oberonowi, że nie doceniał mnie. Zakasuję wszystkich kujonów, Elamelę i nawet Branie Przyporę! Zagarnę wszystkie piątki. I będę miał duży ubaw, jak zobaczę minę Oberona, kiedy mi będzie wręczał nagrodę. Mówię ci, wszystko zrobię, żeby mieć tę satysfakcję. Jak będzie musiał wykrztusić te słowa: „Gnacki, jesteś najlepszy”. I oczywiście wtedy jako najlepszego sami mnie poproszą, żebym stanął na czele gazety, ale ja wtedy powiem: „już za późno, niech redagują lizusi, ja mam lepsze zajęcie, przygotowuję się do olimpiady matematycznej, niech wam redagują lizusi, ostatecznie możecie namówić Tomka Okista”. I wtedy masz dużą szansę, Tomciu zostać redaktorem naczelnym i będziesz mógł sobie przyjąć Matyldę.

— Gorycz przez ciebie przemawia — powiedziałem.

— Tylko rozsądek — odparł. — I czemu głupio szczerzysz zęby?

— Bo okazuje się, że obaj mieliśmy taki sam pomysł — oznajmiłem. — Ja też chciałem się podać do dymisji. Właśnie po to przyszedłem, żeby ci to powiedzieć.

Postanowiłem wycofać się z gazety.

— Bujasz!

— Nie.

— To znaczy, że pomysł jest zdrowy — mruknął Zyzio. — Zatem zgłosimy się obaj, na przerwie...

Ruszyliśmy żwawo do szkoły, jakoś dziwnie odprężeni oraz przyjemnie podnieceni, myśląc, jaką sensację zgotujemy Oberonowi. To będzie dla niego zupełnie zaskoczenie. Na pewno osłupieje z wrażenia.

Byliśmy już prawie pod szkołą, gdy nagle zatrzymała nas jakaś dziewczyna w dżinsach i wiatrówce z kołnierzem z misia. W ręku trzymała małą walizeczkę.

- Przepraszam was, chłopcy, gdzie tu jest numer trzynaście?
- To nasza szkoła, proszę pani — odparł Zyzio.
- Niemożliwe. Więc mój dziadek naprawdę mieszka w szkole? — zdziwiła się dziewczyna. — Napisał, że mieszka w szkole, ale myślałem, że cierpi na starcze zaburzenia umysłowe.
- Jak się nazywa pani dziadek? — zapytał Zyzio.
- Antoni Zakallo. Był znanym antykwariuszem.
- Ach, pan Zakallo!
- Znaliście go?
- Tak, proszę pani. On tu mieszkał od czasu wojny.
- Jak zburzyli jego dom — dodałem.
- Jego dom był niedaleko szkoły.
- Tu gdzie teraz budują nowe bloki.
- Więc ci ze zburzonych domów przenieśli się wtedy do szkoły.
- Bo szkoła była wtedy pusta.
- Bo uciekli z niej Niemcy.
- Bo oni zajmowali szkołę na koszary.
- I ci ze zburzonych domów mieszkali na początku w szkole.
- A potem dostali mieszkania i się przenieśli do innych domów.
- Tylko pan Zakallo został.
- W swoim pokoju na poddaszu szkoły.
- Bo pan Dziedziuch mu pozwolił.
- Pan Dziedziuch był wtedy kierownikiem szkoły.
- I przyjaźnił się z panem Zakallą.
- Dziewczyna z walizką spojrzała na małe okienka na poddaszu szkoły.
- Czy to tam?
- Tak, proszę pani, ale po drugiej stronie. Okienko pana Zakally wychodziło na ogród szkolny. — Zyzio przyglądał się ciekawie dziewczynie. — Ja panią chyba gdzieś widziałem?
- To niemożliwe — powiedziała dziewczyna. — Jestem pierwszy raz w tym mieście.
- Nigdy pani nie odwiedzała dziadka? — zapytałem, nieco przykro zaskoczony.
- Dziewczyna zmieszła się i spuściła oczy.
- Dziadek nie lubił mojej mamy — wyznała zakłopotana — za to, że wyszła za mąż za biednego, choć uczciwego, tapicera. On chciał, żeby mama wyszła za jubilera.
- Coś takiego!
- Tak, to bardzo smutne — powiedziała dziewczyna. — Wyklął moją mamę. Dopiero jak umarła biedaczka, napisał do mnie, żebym go odwiedziła, bo chce mi coś ofiarować przed śmiercią.
- I nigdy go pani nie widziała?
- Nigdy.
- To już go pani nie zobaczy. On umarł — oznajmił ponuro Zyzio.
- O, Boże! To niemożliwe! Kiedy?
- Miesiąc temu.
- Dziewczyna otarła łzę. Zrobiło nam się bardzo przykro, że to my musieliśmy powiedzieć jej tę smutną nowinę.
- Co ja teraz zrobię? — rzekła zmartwiona. — Gdzie się podzieje? Pokój dziadka jest pewnie już zajęty przez kogoś innego.
- Tak, proszę pani. Teraz mieszka tam pan Pelman, nasz chemik.
- A co się stało z rzeczami dziadka? Na pewno wszystko rozkradli...
- Co też pani! Wykluczone. U nas nic nie ginie.
- Jesteś pewien? — uspokoila się nieco.

- Całkowicie. Zwłaszcza odkąd mamy Bambosza.
- Bambosza?
- To nasz nowy woźny, pan Macoch. On jest bardzo czujny.
- To gdzie są dziadka rzeczy? Chciałabym zabrać choć rodzinne zdjęcia i pamiątki.
- Właściwie... nic nie zostało — powiedział Zyzio.
- Nic?
- Pan Zakallo prawie wszystko porozdawał. Najwięcej rzeczy podarował muzeum.
- Pewnie wszystkie zbiory?
- Tak. Przede wszystkim stare monety, medale, obrazy, porcelanę, broń zabytkową, to, co mu zostało z antykwariatu. W muzeum jest cały pokój wypełniony tymi rzeczami. A na drzwiach jest napis: „Zbiory Antoniego Zakally”.
- A meble?
- Meble też powędrowały do muzeum.
- Wszystko?
- No, nie.
- To co właściwie zostało w tym pokoju, jak dziadek umierał?
- No... kanapa, fotel, dwa krzesła, stół, szafa biblioteczna oszklona i stary zegar.
- To chyba wszystko.
- I gdzie teraz są te meble?
- W szkole, niektóre w pokojach nauczycielskich, a reszta w piwnicy.
- Pan Zakallo powiedział panu dyrektorowi, że przekaże je w spadku szkole, tak jak przedtem przekazał te wypchane zwierzęta. Słyszałem od mamy. Mama wie od pani Szykowskiej z kancelarii.
- O jakich wypchanych zwierzętach mówisz?
- O tych, co są w pracowni biologicznej. Chyba ze sto wypchanych ptaków i ssaków, proszę pani. Żadna szkoła nie ma takiej kolekcji jak nasza!
- I oddał je szkole jeszcze przed śmiercią?
- O, na długo przed śmiercią. Jak zlikwidował antykwariat w tych ruderach, co teraz zostały zburzone... Nie miał gdzie trzymać swoich rzeczy, więc podarował szkole. To był bardzo szlachetny człowiek, proszę pani.
- Jak to dobrze, że was spotkałam — dziewczyna znów otarła oczy. — Mogłam się przynajmniej dowiedzieć trochę o dziadku. Byliście dla mnie tacy mili... i tak świetnie się orientujecie we wszystkim...
- To ciekawość zawodowa, proszę pani — powiedział Zyzio. — Ciekawość i niejako obowiązek. Jesteśmy redaktorami gazety szkolnej.
- I pewno odwiedzaliście często dziadka?
- Nie... niezupełnie... — Zyzio chrząknął zakłopotany. — Pan Zakallo nie był zbyt towarzyski, a ostatnio stał się chorobliwie podejrzliwy... Raz chcieliśmy napisać o nim artykuł i przeprowadzić wywiad, ale naprawdę trudno z nim było rozmawiać. Po dwu minutach wyrzucił mnie z pokoju.
- Przykro mi.
- Nie szkodzi. Nie wziąłem sobie tego za bardzo do serca, proszę pani. Chory człowiek, odludek, dużo ludzi tak dziwaczeje na starość. Ostatnio, tuż przed śmiercią, w ogóle nikogo nie wpuszczał do pokoju...
- Zupełnie nikogo? Nawet sprzątaczkę?
- Zwłaszcza sprzątaczkę. Panią Lonię to nawet uderzył miotłą! A Umilak przez niego nie mógł zaliczyć pracy społecznej.
- Nie rozumiem...
- Bo pani mu nazaczyła opiekę nad panem Zakallą, więc poszedł do niego z książką pod tytułem „Perspektywy spożycia”, ale pan Zakallo był bardzo opryskliwy, a jak

Umilak chciał mu posprzątać pokój, to bardzo się rozzłościł i rzucił w Umilaka skorupą żółwia. Więc Umilak uciekł, a pani jeszcze do niego miała pretensje, że rozdrażnił pana Zakallę, zamiast mu pomóc. A potem panu Zakalle bardzo się pogorszyło. I jak przyszedł do niego Chruściel... to znaczy pan Dziedziuch, to już nie mógł rozmawiać z panem Zakallą, bo pan Zakallo nie poznawał ludzi i nie rozumiał, co się do niego mówi. Więc pan Dziedziuch wezwał pogotowie, ale lekarze nic nie mogli już pomóc i tego samego dnia wieczorem pan Zakallo umarł.

— Więc ostatni widział go przy życiu pan Dziedziuch? — zapytała dziewczyna.

— Tak. Pan Dziedziuch był jedynym człowiekiem, którego pan Zakallo dopuszczał do siebie przed śmiercią. I jemu zapisał wszystkie rzeczy, które pozostawił po sobie, z wyjątkiem mebli. Mówiłem już pani, że te zapisał szkole.

— Tak, mówiłeś mi. Będę musiała porozmawiać z tym panem Dziedziuchem. Chciałabym dostać po dziadku choć jedną pamiątkę. Taką rzecz, którą najbardziej lubił — znów popatrzyła gdzieś na dach naszej szkoły i otarła łzę. — Jak ci się zdaje — zapytała Zyzia — co było jego ulubioną rzeczą?

Zyzio zastanawiał się chwilę.

— Chyba kanapa, proszę pani, bo nie dał mi na niej usiąść — odpowiedział wreszcie.

— Dlaczego nie odwiedziłam go wcześniej... — płakała dziewczyna. — Dlaczego nic nie napisał, że jest chory... Pewnie nie miał mu kto wrzucić listu...

— Nie, to na pewno nie dlatego — zaprzeczył Zyzio. — Zresztą on chodził prawie do samej śmierci, proszę pani. Jeszcze tydzień przed zgonem pani Szyjkowska widziała, jak wyszedł wieczorem z łopatą i próbował kopać grządki... koło szkoły. I pani Szyjkowska bardzo się przestraszyła, bo już było ciemno. A on powiedział, że już wiosna i trzeba sadzić cebulę.

— Biedny człowiek!

— Tak, on miał takie zaćmienia umysłowe. A raz wyszedł przez okno na dach z walizką, ubrany jak do podróży. A kiedy woźny i pan dyrektor pytali go, bardzo przestraszeni, po co to robi, odpowiedział: „Zbliża się powódź i trzeba być spakowanym. Zarządzono ewakuację”. I siedział tam kilka godzin. Pan dyrektor nie wiedział, jak go ściągnąć. Wreszcie pani Szyjkowska poradziła, żeby przez tubę odwołał ewakuację. Pan dyrektor nie chciał, ale w końcu ustąpił. Wyszedł na balkon i przez tubę ze zwiniętej gazety zawołał: „Uwaga, uwaga, wody opadły, odwołujemy ewakuację”. Zawołał tak trzy razy, wreszcie pan Zakallo przyjął komunikat do wiadomości i zszedł z dachu. Ale nie rozpakował walizki. Co jakiś czas ogarniał go dziwny niepokój, wychodził na klatkę schodową i pytał każdego: „Czy jesteś spakowany? Zbliża się wielka powódź, zatopi nas, trzeba być spakowanym.”

— To straszne... — wyszeptała dziewczyna. — Cały czas żył w oblędzie?

— Ależ nie... na ogół był zupełnie normalny i jak przychodził do niego pan Dziedziuch, prawie zawsze ogrywał go w karty, nawet w szachy. Niech pani zapyta pana Dziedziucha. Właśnie do końca trzymał się całkiem dobrze, a te parę zaćmień to głupstwo. Ostatecznie nic się straszego nie stało.

— Jednak będę musiała porozmawiać z panem Dziedziuchem — oświadczyła poważnie dziewczyna. — Mnie się zdaje, że biedny staruszek był zupełnie zaniedbany, a za to, co zrobił dla muzeum i dla szkoły, należało mu się chyba więcej troski...

— Ależ mówię pani...

— Jaki jest adres pana Dziedziucha?

— Dom Spokojnej Starości. Leśna siedem.

— Gdzie to jest?

— Na Zatruchlu, proszę pani. Za rzeką.

— Dziękuję wam, chłopcy, byliście bardzo mili.

— Cieszymy się, że mogliśmy pani pomóc.

Dziewczyna uśmiechnęła się do nas i odeszła.

— Aleś się rozgadał — powiedziałem do Zyzia. — Niby nie lubisz dziewczyn, a każda od ciebie wszystko wyciągnie!

— Udzielałem tylko niezbędnych informacji przyjezdnej sierocie — odparł sucho Zyzio i spojrział na zegarek.

Ja też spojrzałem.

— Całe szczęście, że to było prawie pod samą szkołą, bo byśmy nie zdążyli — powiedziałem.

Rzuciliśmy się biegiem naprzód i równo z dzwonkiem wpadliśmy do szkoły.

ROZDZIAŁ VII  
— SZCZUR W REDAKCJI

Z powodu tej czynności Zyzia wynikły nad wyraz poważne konsekwencje, zarówno bliższe jak dalsze. Na razie opowiem o tych bliższych. Zapewne gdybyśmy od razu, tak jak zamierzaliśmy, jeszcze przed lekcjami udali się do razu, tak jak zamierzaliśmy, jeszcze przed lekcjami udali się do pokoju redakcyjnego, zabrali stamtąd nasze trefne rzeczy i następnie, korzystając z porannych zamgleń Oberonowych, złożyli spokojnie naszą dymisję w Czarnym Gabinecie, wypadki potoczyły się zgoła innym torem i nie przejechałyby się tak bezlitośnie po nas. Niestety, ledwie wpadliśmy do szkoły zadźwięczał dzwonek i likwidację spraw redakcyjnych należało odłożyć do najbliższej przerwy. Kiedy zaś na przerwie w towarzystwie Kleksika i Kwękacza, nie wtajemniczonych jeszcze zresztą w naszą decyzję, wkroczyliśmy do pokoju redakcyjnego, okazało się, że ktoś już nas uprzedził i wmieszał się brutalnie do naszych spraw. Przez chwilę staliśmy kompletnie osłupiali. Cały pokój przewrócony był do góry nogami, wszystkie szuflady wyciągnięte, a ich zawartość wywalona na podłogę, butelki z tuszem potłuczone, na rozrzuconych kartonach potworne czarne, zielone, czerwone i niebieskie kleksy, słoik kleju dosłownie zmiażdżony, jakby go ktoś rozdeptał obcasem! Powiedzieć: huragan przeszedł przez nieszczęsną redakcję — to jeszcze stanowczo za mało! Huragan nie potrafi złamać oszczepu na trzy części, nie potrafi zrobić kuli papierowych z naszych materiałów redakcyjnych, ani czapki z artykułu o różnych typach woźnych, ani tym bardziej wsadzić tej czapki na głowę gipsowego Izaaka Newtona w oszklonej gablocie pod ścianą, ani — co nas najbardziej ubodło — przybić nożem redakcyjnym do stołu pięknej, wielkiej fotografii przedstawiającej nasz zespół redakcyjny na pluszowej kanapie, czterech młodych intelektualistów, o białych, zamyślonych i zapatrzonych w obiecującą dal twarzach. Nawet Kękuś wyszedł na tym zdjęciu wyjątkowo „intelektualnie”.

— Panowie — powiedział dziwnie niskim, nieswoim głosem Gnat — w redakcji był szczur!

Milczeliśmy. Gnat podszedł sprężystym krokiem do półek i wyciągnął stamtąd zieloną teczkę z napisem „Bambosz”. Otworzył ją. Była pusta. Spojrzał na nas wymownie. My też spojrzeliśmy na niego.

— Chyba jasne teraz — powiedział.

— Zdecydowanie jasne — wycedziłem.

— To on — wykrztusił Kleksik.

— To jego zagranie — zamruczał ponuro Kwękacz. — Przyszedł po swoje karykatury i zdjęcia. I zdemolował nam z zemsty redakcję przy sposobności.

— Albo na odwrót — pociągnął nosem Kleksik. — Przyszedł zdemolować z zemsty redakcję, a przy sposobności zabrał swoje karykatury...

— Nie ma też naszych zdjęć! — zauważyłem przeglądając drugą teczkę.

— Jedno przybił do stołu — przypomniał Kleksik.

— To było zdjęcie zespołowe, ale oprócz tego mieliśmy różne pojedyncze zdjęcia...

— Widzę moje! — krzyknął Zyzio.

— Gdzie?

— Tam leży, koło szafy! — zawołał podniecony TATAO. — Na tych rozrzuconych kartonach!

Pobiegł do szafy, pochylił się i nagle cofnął ze wstrętem.

— O, do licha! — wykrztusił.

— Co się stało?! — doskoczyliśmy do niego.

— Patrzcie, co tu leży! — wybelkotał Zyzio i wskazał na sterczący spod fotografii dziwny przedmiot podobny do kawałka grubego sznura, zwężającego się przy końcu coraz bardziej jak ogon...

— To ogon... ogon szczura! — pisnął przerażony Kleksik. — Tam leży zdechły szczur!

— Kwękacz, sprawdź! — rozkazał Gnat.

Kękuś, człowiek o silnych nerwach, uniósł bez specjalnych oporów psychicznych fotografię Zyzia, a następnie kawałek poplamionego kartonu... Istotnie, pod tą fotografią i pod kartonem leżał wielki szczur z rozwartym nieruchomo pyskiem szczerząc zęby.

— No więc... — zasapał Gnat — w naszej szkole naprawdę są szczury! — spojrzał na nas jakby niezmiernie zaskoczony tym odkryciem.

— Myślisz, że Bambosz mógł tego szczura... — Kleksik podrapał się nerwowo za uchem.

— To nie jest wykluczone — mruknął zamyślony Gnat.

Schyliłem się, żeby podnieść z podłogi cenne słowniki, które wraz z całą zawartością górnych półek wały się pod naszymi nogami, ale Gnat mnie powstrzymał.

— Zostaw! Nie trzeba tu nic ruszać! To musi najpierw zobaczyć Oberon.

— Tak jest — pociągnął nosem przejęty Kleksik. — Najpierw do Oberona.

— Najpierw do umywalni — powiedziałem. — Spójrzcie na wasze łapy!

Spojrzeli. Wszyscy mieliśmy ręce powalane tuszem.

— Niczego nie dotykałem — zdumiał się Gnat — oprócz teczki.

— Ani ja! — powiedział Kleksik.

— Ja dotykałem kartonu i fotografii na podłodze, ale one nie były poplamione — stwierdził Kękuś.

— Ale wszyscy dotykaliśmy klamki! Albo stołu! — powiedziałem. — To wystarczy. Cała krawędź stołu jest zapaprana tuszem. I klamka!

— W takim razie ten, kto tu był, musiał też się strasznie ubrudzić tuszem! — wykrzyknął Gnat.

— Właśnie! — kiwnąłem głową. — Pobrudzić i zostawić mnóstwo odcisków palców.

— Mam! — zawołał Kleksik ostrożnie podnosząc z podłogi złamany oszczep. — Patrzcie, zielone wyraźne odciski na drzewcu.

— Ja mam lepsze. Jakby od razu przystosowane do badania — powiedział Kwękacz wymachując arkuszem brystolu. — Odbiły się na tym papierze!

— Głupi jesteś — zgasił go Zyzio. — Przecież to twoje własne.

— Moje? — stropił się Kwękacz.

— Zostawiłeś je, jak odkrywałeś szczura.

— A, prawda! — Kękuś zaczerwienił się zawstydzony.

— Ale te są dobre — wskazałem na białą kopertę pod stołem. — Tej koperty nikt z nas nie dotykał!

— Chyba nikt!

— Na pewno nikt!

— Pokaż!

Ostrożnie ująłem kopertę za sam róg i podsunąłem pod oczy Zyziovi.

— Tak! To wspaniały dowód! Aż trzy odciski palców — ucieszył się Gnat.

— Intruz musiał się oprzeć ręką o podłogę w tym miejscu, gdzie leżała ta koperta — powiedziałem.

— To jest koperta z teczki zdjęć — pisnął Kleksik. — Poznają ją. W tej kopercie trzymaliśmy nasze osobiste zdjęcia... Jest nawet napis: „własne red.”.

— Ale dlaczego on opierał się ręką o podłogę? — zastanawiał się Zyzio. — Już wiem! Szukał czegoś na podłodze! Pewnie te zdjęcia rozsypały mu się i zbierał..

— Tak, to możliwe — zgodziłem się.

— No to prędko do Oberona! — zdecydował Gnat. — Pokażemy mu te odciski. .. Jeśli w dodatku Bambosz będzie miał ręce pobrudzone tuszem, nie wykręci się... Zapłaci nam za wszystko!

Wybiegliśmy z pokoju.

Na korytarzu omal nie zderzyliśmy się z panem Dziobasem od matematyki, który z właściwą mu godnością niósł pod pachą potężny liniał tudzież cyrkiel półmetrowej długości.

— Co to za galopady?! — zagroził nam drogę liniałem jak szlabanem.

— My... właśnie do pana dyrektora, służbowo! — Zyzio jak zwykle nie tracił głowy.

— Do dyrektora? Z takimi łapami? Jak wam nie wstyd?! — zadudnił Dzio-

bas. — Natychmiast marsz do umywalni! I wyszorować ręce! — wskazał nam energicznie drogę jak milicjant ze służby ruchu, a dla zachęty zaczął ponaglać nas swym potężnym cyrkiem.

Nie chcąc wejść w przykry kontakt z ostrą igłą cyrkla, radzi nieradzi odskoczyliśmy do łazienki.

Nie było tu nikogo, tylko z kabiny natrysków dochodził głośny szum wody i chlapania tudzież ciężkie chrząkanie. Ciężkie i dziwnie nam znajome. Spojrzeliśmy z lękiem na drzwi kabiny.

— To on — pisnął Kleksik.

— Patrzcie! — wykrztusiłem i wskazałem na wspaniałą purpurowy szlafrok Bambosza, który, o dziwo, wisiał wysoko pod sufitem umywalni na sznurze w towarzystwie szmat i ścierek. Wisiał i, co dziwniejsze, ociekał obficie wodą.

— Widocznie uprał sobie — mruknął Zyzio. — Ale to mnie mało obchodzi, natomiast bardzo mi się nie podoba, że on wlaź do natrysku.

— Szoruje sobie paluchy!

— Właśnie.

— Zaciera ślady!

— Choćby nie wiem co robił, nie zmyje przy pierwszej kąpieli tego tuszu! — uspokoilem ich. — To bardzo dobry tusz. Raz miałem plamę na nosie przez trzy dni, choć szorowałem ją pięć razy dziennie niemal do krwi! Spróbujcie sami, czy zmyjecie ten tusz z własnych rąk!

Odkręciliśmy kurki i wsadziliśmy łapy pod krany. Zanim jednak zdołaliśmy rozpocząć mydlenie, z kabiny rozległ się gniewny pomruk, a potem przeraźliwy krzyk Bambosza, a jeszcze potem gwałtowne łomotanie do drzwi.

— Łotry, otwierać! — Bębnił rozpaczliwie pięściami. — Co za łobuz zamknął na klucz te drzwi?! Otwierajcie, skubańcy! Wszystkie kości wam porachuję!

Spojrzeliliśmy. W zamku tkwił przekreślony klucz. Kleksik chciał od razu otworzyć, ale Zyzio powstrzymał go gwałtownie.

— Nie otwieraj — syknął przytomnie. Będzie na nas. Jak udowodnisz, że to nie my?

Kleksik cofnął się.

— Porozmawiam z nim najpierw — powiedział Zyzio.

— No to rozmawiaj.

— Panie Macoch, co się stało?

— Puszczaj, łotrze!

— Jak pan się zwraca do pedagoga! — zadudnił udając głos pana Dziobasa Zyzio.

— Pan się zapomina, panie Macoch!

— Przepraszam, z kim mówię?

— Dziobas z panem mówi.

— Nie wierzę — powiedział Bambosz drżącym głosem.

— Pan drży — zauważył Zyzio. — Co pan wyrabia w tej kabinie?! Słyszać pana w całej szkole!

— Zimno mi... Łotry! Zepsuli kran! Nie mogę zakręcić prysznicu! — krzyczał Bambosz.

— Gorącego czy zimnego?

— Zimnego! Cały czas jestem pod lodowatym prysznicem!

— Czy nie może pan puścić sobie trochę ciepłej wody?

— Nie mogę! Łotry wyłączyły ciepłą wodę w ogóle! Niech pan otworzy!

— Proszę najpierw pokazać prawą rękę! — powiedzia Gnat I. — Niech pan wysunie ją przez szparę między posadzką a dolną krawędzią drzwi.

— Po co mam wysuwać? — zdumiał się Bambosz.

— Chcę zobaczyć, czy nie jest pan poplamiony tuszem, ktoś rozlał tusz w gabinecie. Właśnie prowadzimy śledztwo. Czy pan aby nie jest zamieszany w to przestępstwo, panie Macoch?

— Nie jestem zamieszany — oświadczył z godnością Bambosz.

— To bardzo poważne przestępstwo. Ukradziono szkolne dokumenty.

— Oburzające — wykrztusił Bambosz. — Ale mnie jest zimno!

— Zaraz pana wypuszczę. Proszę tylko pokazać rękę.

— Na pewno pan mnie wypuści?

— Tak.

Bambosz wysunął rękę. Obejrzelśmy ją ciekawie. Nie było na niej nawet najmniejszego śladu tuszu.

— Teraz drugą — rzekł mniej pewnym głosem Zyzio.

Bambosz wysunął lewą rękę. I ona była zupełnie czysta.

— Pomyłka — szepnął zmieszany Zyzio.

— Otwierać! — Bambosz znów załomotał do drzwi.

— Otwórz, obiecałeś mi — syknąłem.

— Boję się — jęknął Zyzio. — Zrobimy tak. My, to znaczy ja, Tomcio i Kleksik, damy najpierw nogę, a ty, Kękuś, będziesz liczył do dziesięciu, a potem otworzyszabinę...

— Ja, dlaczego ja? — przestraszył się Kękuś. — Ty mu obiecałeś...

— Lepiej uciekajmy wszyscy — zadygotał Kleksik.

Zanim uzgodniliśmy, kto ma otworzyć, a kto uciekać, na progu umywalni stanął z surową miną pan Dziobas.

— Kto tu tak bębni w drzwi niemożliwie? — zagrzmiał i spojrzał na nas podejrzliwie. — To wy?

— Nie, proszę pana.

— To co wy tu robicie?

— Myjemy ręce... Pan nam sam kazał...

— Co?! Do tej pory jeszcze nie umyte? To wy chyba jednak bębniliście — pan Dziobas zaczął zbliżać się do nas groźnie.

— Słowo, że nie bębniliście — powiedział Zyzio zasłaniając plecami drzwi kabiny, wyciągnął rękę do tyłu, nieznacznym ruchem przekręcił klucz w zamku i odsunął się na bok.

— Łotrze, wiedziałem, że oszukujesz! Udawałeś głupio Dziobasa! Ale ja wiedziałem od razu, że to ty! — rozległ się wściekły głos Bambosza, po czym z kabiny wybiegł nagi woźny wymachując mokrym ręcznikiem i natarł na osłupiałego matematyka.

— Co pan wyrabia?! Pan oszalał?! — krzyknął Dziobas chwytając rozpaczliwie za ręcznik.

Bambosz wytrzeszczył oczy i osłupiał.

— Pan Dziobas?!... — wybelkotał. — To pan nie udawał?!

— No wie pan!... — oburzony Dziobas wycierał się z wody.

— To pan mi kazał pokazywać ręce? — belkotał Bambosz.

— Pan jest chyba nieco niedysponowany... Proszę się ubrać.

Dopiero teraz woźny zorientował się, że jest zupełnie nagi. Czym prędzej przepasał się mokrym ręcznikiem.

— Mój płaszcz kąpielowy! — jęknął rozglądając się dookoła. — Zabrali mi płaszcz!

— Gdzie jest płaszcz pana woźnego?! — zagrzmiał Dziobas.

— Myśmy nie zabrali! My nic nie wiemy...

- Zamknęli mnie i schowali płaszcz! — krzyczał Bambosz.
- To nie my...
- Jak myśmy tu przyszli, to pan był już zamknięty...
- I to myśmy otworzyli drzwi!
- Myśmy pana wypuścili...
- A ten płaszcz to jest chyba uprany...
- Co?! — podskoczył Bambosz.
- Tam wisi, koło ścierek — pokazał mu Kleksik.

Bambosz i Dziobas spojrzeli na kolorowy, purpurowo-błękitny płaszcz zawieszony wysoko pod sufitem... i ociekający wodą.

— Wrzucili do wody! Mój płaszcz! A lotry! — Bambosz rzucił się na nas, ale my byliśmy o ułamek sekundy szybsi. Już myśleliśmy, że nam się uda bezpiecznie czmychnąć przez drzwi, ale tego dnia zdecydowanie nie mieliśmy szczęścia. W drzwiach stał już Oberon z kamienną twarzą. Nogi ugięły się pod nami. Zrozumieliśmy, że nie ma już ratunku ani odroczenia rozprawy. Generalna rozprawa odbędzie się zaraz.

— A więc nie myliłem się — rzekł surowo Oberon. — To wy! To jeszcze raz wy i zawsze wy! Co znów zrobili? — zwrócił się do pana Dziobasa.

Ale nim pan Dziobas zdolał zebrać myśli, już go wyręczył w odpowiedzi Bambosz.

- Zamknęli mnie w kabinie natryskowej, panie dyrektorze!
- Nieprawda! — przerwał Gnat.

Oberon spojrział na mnie ostrym wzrokiem.

— Potem się będziesz tłumaczyć, a teraz pozwól mówić panu woźnemu.

— Zamknęli mnie — powtórzył Bambosz — musieli ukraść albo dorobić drugi klucz!

— Może znaleźli w pańskim płaszczu? — wtrącił Dziobas.

— Nie jestem taki głupi, żeby zostawiać klucz w płaszczu. Biorę go zawsze ze sobą do kabiny. Mam go na szyi — zademonstrował i wtedy dopiero okazało się, że to, co braliśmy za dziwny amulet Bambosza, to był woreczek z kluczami zawieszonymi na srebrnym łańcuszku. — Musieli o tym wiedzieć — dodał — i dlatego zostawili klucz w zamku, żebym nie mógł otworzyć. Ale to jeszcze nie wszystko, to było obmyślane z góry, panie dyrektorze. Wylączyli ciepłą wodę i popsuli kurek od zimnej, tak, że ledwie ruszyłem tym kurkiem, dostałem się pod

prysznic lodowatej wody i nie mogłem z powrotem zakręcić ani wydostać się z tej okropnej kabiny i cały czas byłem pod prysznicem, a oni w dodatku wrzucili mój płaszcz kąpielowy do wody i powiesili go pod sufitem na szmatach, panie dyrektorze... mój nowy płaszcz — Bambosz zatrzęsł się i zaniósł kaszlem.

— Pan się przeziębi — powiedział Oberon. — Nie zatrzymuję pana dłużej. Niech pan się szybko przebierze i rozgrzeje. Resztę spraw wyjaśnię z panem Dziobasem... Gdzie pana ubranie?

— W komórce pod schodami.

— Pójdziemy przynieść! — zaofiarował się ochoczo Zyzio.

— Nie, nie chcę — przeraził się Bambosz. — Tylko nie oni, panie dyrektorze. Nie zobaczylibyśmy więcej ani ubrania, ani ich, wołę już sam...

— Pan nie może nagi pokazywać się na korytarzu — orzekł Oberon.

— Niby prawda. To co zarobimy? — Bambosz rozglądał się rozpaczliwie.

— Niech pan się uspokoi — rzekł ze współczuciem pan Dziobas. — Ja dostarczę panu ubranie.

— Dziękuję, kolego — rzekł Oberon. — To bardzo ładnie z pana strony.

Pan Dziobas oddalił się spiesznym krokiem.

— A wy, marsz do kancelarii! — zwrócił się do nas Oberon. — Poczekajcie tam na mnie.

— Na Rejtana, panie dyrektorze, to nie my! — jęknął Zyzio.

— My naprawdę...

— Porozmawiamy w gabinecie — uciął Oberon. — A teraz zostawcie nas tu samych!

Jak skazańcy ruszyliśmy do drzwi.

Z powodu niedyspozycji Bambosza wciąż jeszcze nie było dzwonka na lekcje i młodzież okupowała korytarze, zaintrygowana i niezdrowo podniecona tym dziwnym zjawiskiem w szkole. Zapewne musieli coś podsłuchać albo podejrzec, bo na nasz widok wszyscy rozstąpili się bez bicia i tylko patrzyli dokąd zasuwamy. Prawdopodobnie już wiedzieli wszystko.

— To znów Bambosz? — syknął mi w ucho Chrząszcz, gdy przechodziliśmy koło niego.

Skinąłem w milczeniu głową.

**ROZDZIAŁ VIII**  
**— ROZPRAWA**

W kancelarii pani Szykowska spojrzała na nas ciekawie swymi aksamitnymi oczami gazeli.

— Mamy tu zaczekać — wyjaśnił Zyzio.

— Ach tak — Gazela spojrzała na nas z widocznym współczuciem. — To dlatego jeszcze nie było dzwonka.

— My jesteśmy niewinni — uciął dyskusję w zarodku Gnat.

— Oczywiście — Gazela pokazała nam w uśmiechu cały garnitur swych olśniewających zębów, po czym wyciągnęła z szuflady okrągłe metalowe pudełko z „dropsami na uspokojenie”. Zawsze karmiła tymi dropsami skazańców, którzy szli na mycie głowy w gabinecie. Zastanawialiśmy się tylko, czy robi to z własnej inicjatywy czy z inicjatywy Oberona. — Poczestujcie się. To wam uspokoi nerwy — powiedziała.

— Dziękuję, nie potrzebujemy się uspokajać — rzekł z godnością Gnat.

— Nie mamy nic na sumieniu. Pani ma oberwaną firankę — zauważył — i piszczący zawias.

— Co takiego? — zdumiała się pani Szykowska, która widać już zapomniała o zagraniach Zyzia.

— Zaraz poprawimy — oświadczył Zyzio i przysunął się do okna. — Kleksik, skacz.

Kękuś od razu przysunął się do Zyzia, oparł się rękami o jego biodra, zgiął się w pół i utworzył stopień, po którym Kleksik wdrapał się aż na ramiona Zyzia. Podtrzymywany przez niego błyskawicznie nacisnął „żabkę” przy gzymsie i zaczepił firankę.

— Teraz zawias — zakomenderował Zyzio. — Smar kieszonkowy!

Kękuś popędził do drzwi, wy dostał z kieszeni małe okrągłe pudełeczko, otworzył, zanurzył palec w kieszonkowym smarze, nasmarował obficie zawias. Potem poruszył kilka razy drzwiami, aż przestały skrzypieć, wytarł resztę smaru o swoje gęste włosy, schował pudełko i odsapnął bardzo zadowolony.

Gazela patrzyła na nas osłupiała.

— Nadzwyczajne!

— Smar kieszonkowy ułatwia życie — wyjaśnił Gnat. — W życiu często trzeba smarować.

— Nadzwyczajne — powtórzyła Gazela. — Jaka szkoda, że macie niedobry charakter. Z takimi talentami moglibyście zrobić karierę — powiedziała i poszła z korespondencją do Czarnego Gabinetu.

Gdy tylko zostaliśmy sami, powiedziałem:

— Niepotrzebnie postradaliście ducha, panowie, głowę daję, że i tym razem wywinie się z tego...

— Wątpię, kiedy okazało się, że to nie Bambosz buszował w naszym gabinecie, nie mamy czym strzelać... — mruknął Zyzio.

— Ja bym jednak strzelał tą samą kulą. Fakt pozostaje niezbity, że zginęły zdjęcia i karykatury Bambosza. Komu mogłoby na tym zależeć? Tylko jemu!

— Ale odciski palców...

— To jeszcze wcale nie wyklucza jego winy... Naprawdę zbyt łatwo rozgrzeszyłeś Bambosza. Jeśli to jest naprawdę przestępca, mógł sobie wywabić tusz z palców specjalnym odczynnikiem. Oni potrafią wywabić nawet tatuaże! Czytałem o tym w gazecie.

Urwałem, bo do kancelarii wszedł Oberon i zabrał nas do Czarnego Gabinetu. Pani Szykowska krzątała się koło palmy i filodendronów, ale Oberon powiedział:

— Niech pani zostawi nas samych.

Nadobna Gazela zarumieniła się i wyszła, rzucając nam na pożegnanie krzepiący uśmiech swych negroidalnych ust.

Oberon pograżył się w swym głębokim antycznym fotelu, który stanowił spadek po antykwariuszu Zakalle, i wpatrywał się w nas przez chwilę z kamienną twarzą. Oberon lubił być nietypowy. Żadnych banalnych biadoleń, wyrzekań i tradycyjnych gogicznych łajań. Oberon stosował ostatnio metodę „kamiennej twarzy.”

— A więc protokół wygląda tak — rzekł po chwili, jakby mówił do samego siebie — zamknięcie woźnego, poddanie go przymusowemu natryskowi zimnej wody, zepsucie kurka, zakręcenie zaworu ciepłej wody w suterenie, zamoczenie płaszczka kąpielowego i powieszenie go koło ścierek, udawanie pana Dziobasa, zmuszanie woźnego do idiotycznych czynności, dręczenie go fizyczne i moralne. I to wszystko zaledwie w jeden dzień po naszej poważnej, jak mi się zdawało, rozmowie. Nigdy jeszcze nie miałem tak klarownej pedagogicznej sprawy. I tak beznadziejnie głupiej! Gdybym was nie znał, pomyślałbym, że to choroba umysłowa, może dementia precox albo obłęd maniackalny i oddałbym was natychmiast do zbadania przez psychiatrów. Ale wy jesteście zupełnie zdrowi i normalni. I to mnie zdumiewa, powiem więcej — przeraża. Jestem przerażony...

Spojrzeliliśmy ciekawie na Oberona. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy go przerażonego i ciekawi byliśmy, jak wygląda w tym stanie. Na pozór wciąż był spokojny, tylko te jego oczy... Były zdumiewająco gorące. Jak rozżarzone węgle. Kiedy patrzył na nas, czuliśmy ich żar przez skórę. Okłamywał nas. Wcale nie był przerażony. Był po prostu całkiem zwyczajnie wściekły, tylko ukrywał to przed nami. Ale oczy go zdradzały. Poczuliśmy się zdecydowanie niedobrze. Tymczasem on mówił dalej:

— Postanowiłem sprawę zakończyć krótko: spakujcie zaraz manatki i niech do mnie przyjdzie wasza opieka domowa.

— Panie dyrektorze, my nic nie zrobiliśmy... Ani jednej z tych rzeczy... — zaczął Zyzio, ale Oberon przerwał mu od razu:

— Dosyć. Nie mam zamiaru już niczego słuchać. Powiedziałem, pakujcie manatki.

— Więc pan dyrektor naprawdę nam wszystko to przyklepia? — jęknął zdumiony Kwękacz.

— Jazda stąd! — Oberon wykonał niecierpliwy ruch ręką, jakby odpędzał nieprzyjemne zmyry.

— Tak jest, panie dyrektorze, odjeżdżamy — powiedział Zyzio — ale najpierw pan dyrektor zobaczy, co się stało z naszym pokojem redakcyjnym... I spisemy protokół, żeby nie było na nas, żeśmy zniszczyli na odchodnym mienie społeczne...

Oberon spojrzał na Gnata z pewnym niepokojem.

— O jakim zniszczeniu mówisz?

— O zemście woźnego — odparł Zyzio.

— Co ty bredzisz?

Nim jednak Zyzio zdołał coś powiedzieć, do gabinetu wpadła pani Pietraszew-ska, bibliotekarka szkolna, w stanie ogólnego podniecenia:

— Panie dyrektorze — wykrzyknęła — u mnie są szczury!

— Co?!

— Inwazja szczurów! Roi się pod dywanem!

— Niechże pani nie opowiada! — zachnął się Oberon. — Od dwu lat nie widziałem tutaj ani jednego szczura.

— Widziałam! Na własne oczy! — opowiadała podniecona. — To było tak. Dziś od rana w bibliotece było dużo zamieszania, bo pan Macoch zakładał firanki i nowe zasłony, a potem ustawiał ten stojący zegar po panu Zakalle, a młodzieży przyszło więcej niż zwykle, bo zawsze jak brzydka pogoda, to więcej przychodzi. Właśnie ten mały Komiśniak nudził mnie o „Przygody Tomka” i nie chciał wierzyć, że nie ma na półce, próbował sam szukać, więc chciałam mu natrzeć uszu, a on zaczął kryć się, lobuz, między półkami! Zabawę sobie zrobił! Już go prawie miałam w rękach, kiedy usłyszałam ten hałas... Dopiero po chwili połapałam

się, że to z pokoju za biblioteką, tam gdzie chłopcy mają redakcję. Zdziwiłam się, bo nie widziałam, żeby ktoś wchodził do tamtego pokoju. Chciałam pobiec i sprawdzić, kto tam

tak biega i tak się rozbija, ale akurat zadzwonił telefon z Wydziału Kultury, więc nie mogłam, a potem wszystko ucichło i dopiero pięć minut temu tam zajrzałam, bo tam stoją słowniki i dzieła pedagogiczne, a właśnie pani Bularska przysłała uczennicę po słownik staropolski, więc zajrzałam i stanęłam jak wryta, panie dyrektorze, a serce to mi zupełnie zamarło, bo cały pokój był zdemolowany. Ani jedna rzecz na swoim miejscu... przewrócone krzeselka, potłuczone butelki z tuszem i klejem, rozsypane teczki redakcyjne i wybebeszone, a słowniki... takie drogie słowniki leżały zdeptane na podłodze razem z innymi książkami, bo cała półka się przewróciła, to znaczy ktoś przewrócił, panie dyrektorze. .. a na wierzchu po tym wszystkim chodziły szczury...

— Szczury?! — osłupiał Oberon. — To niemożliwe! Pani się przewidziało.

— Chodziły, a jeden leżał nieżywy — ciągnęła nie zmieszana bibliotekarka. — Nogi ugięły się pode mną. Poczułam się bardzo źle. Jak podnosiłam ten słownik z podłogi, to mi zaczęło wirować wszystko w oczach i myślałam, że umrę z osłabienia serca. Więc jak tylko ta uczennica ze słownikiem wyszła, to zaraz zażyłam środek uspokajający i położyłam się na chwilę na kanapce, bo pani doktor mnie ostrzegła, żebym unikała wzruszeń, bo mam bardzo słabe serce. Więc położyłam się i zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam... och, to było straszne! Zobaczyłam, że cały dywan wybrzusza się dziwnie i marszczy to w jednym, to w

drugim miejscu, po prostu rusza się jak żywy... I nagle jeden po drugim zaczęły spod niego wyskakiwać szczury. Musiały przejść przez szparę w murze... mówiłam już panu dyrektorowi, że ja mam szparę w murze... Ta szkoła się rozsypuje. Boję się...

Oberon spojrział na panią Pietraszewską z troską.

— Niech pani się uspokoi... To prawda, że stan techniczny budynku jest fatalny. Ta szkoła ma sto trzydzieści lat, ale już budują nową... przecież widzi pani za oknem... więc cierpliwości, koleżanko!

— Ale szczury...

— Nie ma szczurów. Pani miała sen. Przykry sen... — chrząknął Oberon. — Niech pani wraca do siebie.

— Boję się...

— Powtarzam, że nie ma tam żadnych szczurów — rzekł ostro Oberon. —

Pójdę z panią i przekona się pani...

— Jeden szczur jest na pewno — powiedział Zyzio. — W naszym pokoju. Nieżywy. Pokażemy panu. Chodźcie, chłopaki!

Oberon spojrział na niego ciężkim wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Ruszyliśmy wszyscy na górę do biblioteki. Pani Pietraszewską, Oberon, a na końcu my.

W sali bibliotecznej panował idealny spokój. Stary indyjski dywan leżał na swoim miejscu, nie wybrzuszał się, ani nie falował. Mimo to pani Pietraszewską chwyciła kurczowo Oberona za rękę.

— Niech pani się odpręży — rzekł łagodnie Oberon. — To wszystko nerwy, pracujemy w ciężkich warunkach, po prostu pani jest przepracowana, koleżanko. Sama pani widzi, że miałem rację. To był sen, tylko przykry sen. Jak wróci pani Lelusiowa, dostanie pani urlop zdrowotny.

— Naprawdę, panie dyrektorze? — ucieszyła się pani Pietraszewska.

— Tak. I pojedzie pani do sanatorium dla nerwowych nauczycieli do Nałęczowa. — Oberon uściskał drobną dłoń pani Pietraszewskiej. — Odwagi, droga koleżanko — powiedział i chciał już odejść, gdy nagle w ciszy biblioteki rozległ się charakterystyczny szelest i chrobotanie... gdzieś między półkami.

— Co to?! — Oberon znieruchomiał.

— O, Boże — szepnęła pani Pietraszewska i przycisnęła rękę do piersi, a na twarzy jej pojawiła się trupia bladość. — To one... to one... mówiłam... plaga gryzoni! Pożerają moje książki!

Oberon zdecydowanym krokiem ruszył między półki. Po chwili usłyszeliśmy jakiś tupot, szamotanie i pisk, a następnie z głębi biblioteki wynurzył się zwycięsko Oberon, ciągnąc za sobą... czerwonego z emocji Wojtka Komiśniaka.

— Oto gryzoń — zasapał. — Gryzoń książkowy! Zamiast na lekcjach... wagaruje w bibliotece!

— Chciałem przeczytać „Przygody Tomka” — wymamrotał mały przestępca.

— Moje dziecko — zapytała słabym głosem pani Pietraszewska — powiedz mi, jak to się stało, że ciebie nie widziałam?

— Byłem pod dywanem — wycedził ponuro pożeracz książek.

Oberon chrząknął i spojrzał na biedną bibliotekarkę niezbyt przyjaźnie.

— To niedołęstwo pedagogiczne — stwierdził zdenerwowany. — Pani zavraca mi głowę szczurami, a tymczasem tu się ukrywają wagarowicze! Wybrzuszenie dywanu! Ruchy falowe! — wykrzyknął wzburzony. — Wyludzanie współczucia. ..

— Ależ, panie dyrektorze...

— Pani nie jest tak wyczerpana, jak pani wygląda. Muszę zrewidować mój pogląd. W końcu pani nie wszystko się zdawało... z tym dywanem. Pani wytrzyma z powodzeniem do wakacji...

— O, Boże — jęknęła pani Pietraszewska.

— Panie dyrektorze — wtrąciliśmy nieśmiało — może jednak zobaczy pan nasz pokój.

— Co? — Oberon zmarszczył brwi. — Ach tak, ten zdemolowany pokój. Idziemy! Zyzio spiesznie otworzył drzwi.

— Jak to się panu dyrektorowi podoba? — zapytał z jakąś złą satysfakcją.

Oberon patrzył w milczeniu. Wygląd pokoju zrobił na nim silne wrażenie. Zauważyłem, jak ściągnął krzaczaste brwi. Twarz mu stężała na moment, ale zaraz wziął się w garść i już nic nie można było po nim poznać. Oberon jest starym lisem. Zyzio twierdzi, że Oberon ma specjalne „amortyzatory wewnętrzne”. Im coś bardziej nim wstrząsa, tym większy spokój maluje się na jego twarzy. Umie wkładać kamienną maskę. Zyzio mówi, że dzięki tej właściwości został dyrektorem. Możliwe. Ale Oberon ma także inne niezwykle właściwości. Założyliśmy specjalną teczkę w redakcji i gromadzimy tam spostrzeżenia dotyczące Oberona. W każdym razie największe wrażenie na nas zrobiło odkrycie, że Oberon złości się tylko wtedy, kiedy chce, niemal jak aktor na scenie. Szkoda tylko, że za mało się śmieje. Czyżby w naszej szkole było za mało powodów do śmiechu? Gdy milczenie Oberona się przedłużało, Zyzio zagaił ponownie.

— Pan dyrektor sam widzi, nic nie przesadziliśmy. I nawet mamy odpowiedź na pytanie, kto to zrobił...

— Kto? — zapytał krótko Oberon.

— Woźny.

— Nie opowiadajcie bzdur!

— Mamy dowody.

— Dowody? To duże słowo.

— No, w każdym razie mocne poszlaki.

— Odcisk palców jest dowodem — powiedziałem wyciągając z kieszeni poplamioną kopertę, ale Oberon nie zdradził zbytniego zainteresowania.

— Po pierwsze, nic nie zginęło, prócz karykatur i fotografii woźnego oraz naszych — ciągnął Zyzio. — Po drugie, tak zniszczyć redakcję mógł tylko ktoś, kto nas nienawidzi. Zwłaszcza mnie. Nikt inny nie położyłby mojej fotografii na szczurze. To celowa złośliwość. Zapytajmy, kto miał na nas złość? Pan dyrektor wie doskonale. To woźny Macoch. On tu był od rana w bibliotece, zawieszał nowe firanki i zasłony, a potem ustawiał zegar. Cóż łatwiejszego, jak w tym tłoku, jaki dzisiaj panował w bibliotece, przeniknąć do tego pokoju, zabrać swoje zdjęcia i karykatury, a przy sposobności rozwalić wszystko z dzikiej zemsty.

— Więc nazywacie to zemstą woźnego — powiedział Oberon.

- Tak.
- A potem była zemsta redaktorów.
- Nie! To nieprawda! — zaprzeczył dobitnie Zyzio. — Natomiast prawdą jest, że uratowaliśmy woźnego.
- Odemknęliśmy kabinę! — dodał Kleksik.
- A on nas oskarżył.
- Tak funkcjonariusz szkoły odpłaca się za dobry uczynek!
- Czy warto być szlachetnym? — pociągnął nosem Kleksik, a jego retoryczne pytanie zadźwięczało bolesną skargą.
- To nas napelnia goryczą, panie dyrektorze — rzekł Gnat.
- Na przyszłość nie będziemy nikogo wyciągać z prysznic — oznajmił rozżalony Kękuś.
- Nawet pani Tromboniowej!
- I będziemy się trzymać z daleka od wszystkiego!
- To jest nauczka!
- Dostyc tego! — uciął surowo Oberon. — Bez hysterii! To są krokodyle łyzy. Wszystkie poszlaki świadczą przeciwko wam!
- A przeciwko panu Macochowi może nie?
- Każdy mógł wejść do tego pokoju — powiedział Oberon.
- Mamy odciski trzech palców — przypomniałem. — Gdyby je zbadać...
- Nie będziemy badać — uciął Oberon. — Zresztą pan Macoch, nie miał palców pobrudzonych tuszem. Widziałem dokładnie... I nie chcę więcej mówić na ten temat. Zrozumiano?!
- I nie chce pan dyrektor zbadać, kto to zrobił? — zapytał rozczarowany Zyzio.
- Owszem, znajdziemy winnych — powiedział Oberon. — Na początek pani bibliotekarka przygotowuje spis osób, które były dzisiaj w bibliotece. Przesłuchamy je po kolei...
- Tak jest, panie dyrektorze.
- Ale najpierw zrobię porządek z wami — oświadczył Oberon. — Tu na szczęście sprawa jest zupełnie prosta...
- Prosta?! — wykrzyknął Gnat. — To straszne, że pan dyrektor tak uważa.
- Schwytano was na miejscu przestępstwa.
- Cudzego!
- Cudzego? To skąd akurat wzięliście się pod natryskami?
- Bo akurat wracaliśmy z tego pokoju i mieliśmy ręce pobrudzone tuszem, i pan Dziobas skierował nas do łazienki.
- Potrzebujecie skierowania, żeby umyć ręce? Czy ty nie widzisz, Gnacki, że to was kompromituje?
- Nie w tym wypadku, panie dyrektorze, bo znajdowaliśmy się w stanie silnego szoku, po tym co zobaczyliśmy tutaj, i pędziliśmy do pana dyrektora, żeby zameldować... to znaczy zaalarmować... Trudno sobie myć ręce, jak się biegnie alarmować. Tego nie robią nawet dyżurni strażacy... Ale pan Dziobas nas zatrzymał i skierował do mycia...
- Oberon spojrział ze wstrętem na nasze brudne ręce.
- I w końcu do tej pory nie umyliście, jak widzę...
- Kiedy mieliśmy umyć, jak cały czas walczymy o sprawiedliwość?
- Dość gadulstwa! Marsz do umywalni! — krzyknął Oberon.
- Może lepiej umyjemy już w domu, skoro i tak mamy pakować manatki — zaproponował rzeczowo Kękuś.
- Pakować manatki?! Jak to, panie dyrektorze — zaskoczona pani Pietraszewska zwróciła się do Oberona.
- Pan dyrektor nas wyrzuca — wyjaśnił Zyzio.
- Pani słyszała — dodałem. — Padliśmy ofiarą niesprawiedliwych podejrzeń i niewdzięczności.

- Och, panie dyrektorze — pani Pietraszewska spojrzała na nas ze współczuciem.
- Przecież oni wszystko wyjaśnili. Pan dyrektor im nie wierzy?
- Nie — odparł Oberon.
- A co będzie z gazetą? Oni tak świetnie redagowali gazetę...
- Świetnie?! — Oberon zaśmiał się szyderczo. — Właśnie od gazety zaczęło się całe zło! Ostatni wybryk to tylko kolejne ogniwo w długim łańcuchu ich występów...
- A jeśli oni mówią prawdę, a jeśli nie było ich winy w tym ostatnim wybryku? ..
- Ja ich znam... poznaję po ich twarzach, czytam z oczu...
- Ha, ha — śmiał się Oberon — fizjonomistka i okulistka!
- Oni są szczerze rozgoryczeni. Jeśli pan ich niesłusznie ukarze, mogą na całe życie przestać wierzyć w sprawiedliwość. Pan dyrektor sam powiedział, kiedy zaczynałam tu pracę, że lepiej puścić winnego, niż skazać niewinnego.
- Ja tak powiedziałem?
- Podczas pogadanki wychowawczej. I jeszcze pan powiedział, że niesprawiedliwość może doprowadzić do recesji uczuć społecznych i wywołać zaburzenia psychiczne...
- Słowo daję, to szczerza prawda! — podchwycił przytomnie Zyzio. — U mnie już się zaczynają zaburzenia psychiczne!
- I u mnie! Ja to czuję — pisnął Kleksik.
- Kękuś nie potrzebował nic mówić. Wiadomo, Kękuś ma zaburzenia psychiczne wypisane na twarzy.
- Oberon popatrzył na nas i po raz pierwszy w jego oczach zamigotała wesoła iskierka.
- Istotnie — powiedział — nie wyglądacie zbyt mądrze.
- Dlatego proponuję zastosować podwójne zawieszenie do czasu pełnego wyjaśnienia sprawy — uśmiechnęła się pani Pietraszewska. Był to uśmiech przebiegły. I bardzo nas zdziwiło, że stać ją na przebiegłość.
- Podwójne zawieszenie? — zmarszczył brwi Oberon. — Co to znaczy?
- Zawieszenie zawieszenia — odparła ta wspaniała kobieta.
- To są podstępne sofizmaty! — warknął Oberon.
- Sprawa na pewno wyjaśni się za parę dni.
- Parę dni? — zagrzmiał Oberon. — To mnie nie urządza. Skoro mam ich oglądać w szkole codziennie, muszę od razu wyjaśnić pewną, znacznie ważniejszą rzecz...
- Co takiego, panie dyrektorze? — zapytała zdziwiona bibliotekarka.
- Oni już wiedzą, o co chodzi — Oberon wbił w nas ciężki wzrok.
- Wymieniliśmy spojrzenia.
- Pan dyrektor dał nam przecież trzy dni — bąknął Gnat.
- Skracam termin z uwagi na wypadki. Czekać będę tylko do jutra.
- Ależ...
- Cieszcie się, że to się na razie tak skończyło... Zrozumcie, chłopcy, nie możemy dłużej czekać — dodał zupełnie innym, ciepłym głosem. — Musimy przywrócić porządek i dobre obyczaje w szkole, inaczej zjedzą nas klótnie, udry i szczury!
- Oberon jest bardzo dziwnym człowiekiem.

**ROZDZIAŁ IX**  
**— NIECH ŻYJE ZYZIO, ZNÓW NA CZELE!**

Muszę z przykrością wyznać, że Kleksik i Kękuś zupełnie nie mają honoru. Od razu na korytarzu dopadli do Zyzia i zaczęli skomleć niegodnie:

— Och, Gnat, co teraz?! Wymyśl coś! Słyszałeś! Mamy czas tylko do jutra! Zyzio przez chwilę sycił się swoim triumfem.

— Mówilem, że jeszcze będziecie mnie prosić, ale nic z tego! Już za późno. Trzeba było zdecydować się wczoraj!

— Och, nie obrażaj się, Gnat! Wczoraj to było wczoraj, a dziś się wszystko zmieniło!

— Wszystko? Tylko bez przesady, proszę. Bambosz się nie zmienił, ani Oberon. Ja się też nie zmieniłem. Tylko wy zmieniliście zdanie...

— Daj spokój, nie mów o tym... lepiej pomyśl, co robić. To przecież i ciebie dotyczy. Pomyśl, co teraz, zrobisz, Gnat!

— Moja rzecz!

— Mówiłeś, że masz pomysł.

— Owszem, kosmiczny pomysł, ale nic z tego! Jeśli coś zrobię, to nie z wami! — rzekł Zyzio i uśmiechnął się błado do swoich kosmicznych myśli. — To będzie duża rzecz.

— I naprawdę zrobisz to, Gnat? — Kleksik obliznął wargi.

— Pewnie! — odrzekł Zyzio — Oberon nie potrzebuje mnie namawiać ani straszyć. To jasne, że trzeba coś zrobić. Ja to wiedziałem od początku. Uprzedzałem was, no i czyje na wierzchu?! Z Bamboszem nie ma żartów! A wyście chcieli łagodnie, żeby mu nie urazić pryszcza!

W ten mniej więcej sposób pastwił się nad nami przez parę minut, zresztą dosyć ulgowo, myślałem, że będzie gorzej.

— Teraz sami kapujecie — zakończył — jeśli ja czegoś nie zrobię to nikt nie zrobi i nic się samo nie ułoży. Widzieliście na własne oczy. Oberon kryje Bambosza. Nie chce żadnych dowodów, bo jemu potrzebny jest woźny. A Bambosz jest dobrym woźnym. Tym gorzej dla nas. Dlatego właśnie sytuacja jest tak pieska i dlatego muszę działać. Ale nie z wami! — ruszył z godnością do umywalni.

Kleksik i Kwękacz pobiegli za nim. Ja też ruszyłem. Bez pośpiechu. Och, wcale nie dlatego, żeby prosić o cokolwiek Zyzia. Po prostu musiałem umyć ręce.

— Powiedziałeś „nie z nami” — jęczał przy kranach Kleksik. — Dlaczego nie z nami, Gnat? Już odegrałeś się, stary, masz satysfakcję!...

— Piekelną satysfakcję, aż płakać się chce! — powiedział Zyzio mydląc obficie ręce.

— Czego chcesz więcej?... Przecież powiedziałem, że wszystko się dzisiaj zmieniło. Przyjmujemy twoją zasadę...

— Naprawdę? — Zyzio szorował zażarcie płamy tuszu na skórze.

— Słowo. Niech tylko będzie jak dawniej, Gnat!

— I przyrzekacie zachować do końca tajemnicę? — zmarszczył brwi Zyzio.

— Jasne!

— To będzie dobra zabawa — powiedział udobruchany już Zyzio — ale uprzedzam, nie wolno wyskoczyć przed końcem z zabawy! To by popsulo wszystko... Więc kto się boi, że nie wytrzyma, niech powie od razu!

Zyzio uważnie spojrzal nam w oczy. Ale nikt nic nie powiedział.

— Pamiętajcie — zagroził. — Jak ktoś coś popsuje, nie chciałbym być w jego skórze! Policzę się z takim osobiście i robi mu się smutno. Bardzo smutno. I jeszcze jedno — dodał jakby od niechcenia — byłbym zapomniał, ktoś musi kierować akcją — zrobił efektowną przerwę.

Oczywiście, kiedy Zyzio mówi „ktoś”, to ma na myśli tylko jedną osobę, czyli siebie samego.

Wstrętny obłudnik! Mógłby przecież powiedzieć od razu prosto z mostu: „Ja pokieruję, bo zawsze kierowałem i nie mam ochoty zrzekać się władzy, a wy nie macie nic do gadania i lepiej mi się nie sprzeciwiajcie, bo porachuję się z wami! Koniec, kropka!” Ale on mówił „ktoś”, żeby tym kretynom Kleksikowi i Kękusowi zdawało się, że mają jakieś znaczenie, że naprawdę wybierają. I to zagranie jest skuteczne. Kleksik i Kękuś chrząkają zakłopotani:

- To pokierujesz, nie ma sprawy!
- Jasne, że ty! Wybieramy cię jednomyślnie!

Więc Zyzio tylko dla formalności patrzy jeszcze na mnie, a ja oczywiście się nie sprzeciwiam i mówię z pogodnym uśmiechem:

- Co tak patrzysz? Zostałeś wybrany! A teraz do roboty!

— Tak, do roboty! — mówi Zyzio zadowolony. — Okist będzie jak zwykle moim zastępcą i generalnym sekretarzem akcji.

- Ja? Znowu? Może tym razem Kleksik albo Kękuś — bronię się.
- Nie! Ty będziesz, Tomciu.
- Dziękuję za zaufanie.

— Nie wyglupiaj się! Pędzimy do naszego gabinetu. Zanim będzie dzwonek, zdążamy wszystko obgadać — powiedział Zyzio patrząc na zegarek.

Wytarliśmy ręce i ruszyliśmy na górę.

Pani Pietraszewska spojrzała na nas zdziwiona.

- Co? Jeszcze nie na lekcji?

— Mamy podjąć ważną inicjatywę, proszę pani — powiedział Zyzio. — Pani słyszała. Pan dyrektor nam kazał. Więc musimy odbyć naradę.

— I posprzątać — dodałem. — W końcu jesteśmy placówką kulturalną i nie możemy tolerować nawet przez godzinę bałaganu.

Pani Pietraszewska pokiwała głową z aprobatą. Trafiliśmy w czułą strunę Pani Pietraszewskiej.

- Naprawdę porządni z was chłopcy.
- Staramy się, proszę pani.
- Może pani na nas zawsze liczyć.

— Wiem o tym, drodzy chłopcy — bibliotekarka wpuściła nas do tajnego gabinetu.

— Niech pani nas zamknie na klucz — poprosił Zyzio. — Musimy się skupić i nie chcemy, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał. Zwłaszcza gdyby pan woźny...

- Możecie być spokojni.

— Dziękujemy pani — powiedział Zyzio, a gdy pani Pietraszewska wyszła zamykając nas zgodnie z życzeniem, dodał: — To nadzwyczajna kobieta. Zanotuj, Tomciu, pod jutrzejszą datą w rubryce sprawy do załatwienia: „Zrobić coś dla pani Pietraszewskiej”.

- A teraz do rzeczy — rzekł Kękuś. — Mów o swoim pomysle.

— Po kolei i systematycznie — powiedział Zyzio. — Mój pomysł nie ucieknie, ale najpierw chciałbym go podbudować pewnymi faktami. Jeden podejrzany fakt, który zaobserwowałem to za mało. Nie możemy się wyglupić. Jestem jednak przekonany, że faktów podejrzanych może być więcej. Dlatego zanim przystąpimy do konkretnej akcji, musimy wstępnie rozszyfrować Bambosza, dowiedzieć się, kim on jest i czy gra w ogóle warta jest świeczki!

- Tak... jest!

Oczywiście poparli go Kleksik i Kękuś.

— Zebrać wiadomości — powtórzył Zyzio — to jest nasze dziennikarskie prawo. Więcej — to jest nasz obowiązek!

- Obowiązek? — zdziwili się obaj panowie K.

— Obowiązek redakcyjny — rzekł szybko Gnat — jako dziennikarze mamy obowiązek poznać taką barwną postać, jaką jest Bambosz. Sam Oberon nas do tego zachęcał... A może i to wam nie odpowiada, może wolicie śledzić ruchy dżdżownic i karaluchów?!

Woleliśmy śledzić ruchy Bambosza.

— Zbieranie wiadomości w celach redakcyjnych to zupełnie coś innego — zaakcentował z przekonaniem Kleksik.

— Nie wiem, czy zupełnie, ale... ale poznanie człowieka to jest cel naukowy. Sam Oberon w mowie na początku roku zachęcał przez pół godziny do poznania człowieka — powiedziałem.

— Więc nie masz, Tomciu, nic przeciwko poznaniu Bambosza? — zapytał Gnat.

— Przeciwko poznaniu nic! Jako humanista i spełniając wskazania znakomi tego Oberona.

— Nie wygłupiaj się. Mów poważnie.

— Poważnie też nie mam nic...

— Choćby dla bezpieczeństwa własnego warto wiedzieć, z kim się ma doczynienia — dodał Kękuś.

— Zresztą może Bambosz jest fantastyczną postacią, którą warto przedstawić młodzieży — powiedział z dziwnym uśmiechem Gnat.

— I moglibyśmy chwalić się nim przed defonsiakami — dorzucił Kękuś.

— Tak, moglibyśmy się chwalić przed defonsiakami — podchwycił Kleksik.

— No, to ładnie — zreasumował zadowolony Zyzio — zatem zgadzamy się wszyscy na rozpracowanie Bambosza...

— Tylko bez tego słowa.

— No więc rozszyfrowanie...

— To też nie jest właściwe słowo — zaprotestowałem — nie z tej branży!

— Przepraszam. Jeśli zależy ci tak na sformułowaniu, sformulujemy to tak: poznanie Bambosza... Czy ktoś jest przeciw?

Nikt nie był przeciw.

— Poznanie jest rzeczą szlachetną — zamruczał Kleksik.

Trudno było zaprzeczyć. Mimo to nawiedziły mnie pewne wątpliwości.

— Najpierw musimy zbadać, czy gra warta jest świeczki, a skórka wyprawki — powiedziałem.

— Skórka Bambosza?

— Tak jest. Czas młodzieży dojrzewającej jest drogocenny, bo jest krótki. Dojrzewanie trwa mniej niż jedną dziesiątą część życia, a ile my mamy w tym czasie do zrobienia... do zrobienia, żeby... no, żeby właśnie dojrzeć...

— Posłuchaj... — Gnat chciał mi przerwać.

— Zaraz... skoro zacząłeś tę bardzo dziwną rozmowę o Bamboszu, to chyba masz coś...

— Jasne, że mam — przerwał niecierpliwie Zyzio — myślę, że my wszyscy mamy... Każdy z nas, gdyby się zastanowił, mógłby coś powiedzieć... na pewno zauważył u Bambosza coś... coś podejrzanego... coś dziwnego. Uzbierałoby się! Nawet sam Oberon... Nie wiem, czy zwróciliście uwagę wtedy w gabinecie na pewne słowa znakomitego Oberona.

— Że nie znamy jeszcze dobrze Bambosza? — zapytałem.

— Tak. To się chyba niechcący wypsnęło Oberonowi. Potem ugryzł się w język i już nie chciał puścić farby, mimo, że go naciskałem. Ale dla mnie sprawa jest jasna. Bambosz ma jakieś tajemnice i Oberon o tym wie!

— Dawno już mi się wydał podejrzany — przytaknął Kleksik. — On... on jest po prostu zbyt... zbyt dobry... zbyt wykształcony, zbyt mądry... jak na prawdziwego woźnego.

— A więc wszyscy jesteśmy tego zdania. Pięknie — stwierdził Zyzio — ale to może być wpływ sugestii. Potrzebujemy faktów. Czy można przytoczyć jakieś fakty na poparcie twierdzenia, że Bambosz jest tajemniczy?

Przez chwilę panowała cisza. Ja odezwałem się pierwszy i opowiedziałem o dziwnym spotkaniu Bambosza z człowiekiem, któremu nadałem przezwisko Pigmej.

— Kapitalna historia — ocenił Zyzio i spojrzał na mnie podejrzanie — ale może ty bujasz?

— No, nie, panowie — powiedziałem. — Bawimy się poważnie! Twoje posądzenie mnie obraża.

— Dobra, wierzymy ci. Kto następny?

Następny odezwał się Kleksik.

— To było tydzień temu. Wracalem z kina i nagle na Podwalnej zobaczyłem Bambosza. Wyszedł z restauracji „Egipskiej”.

— Zaprawiony?

— Nie, niespecjalnie, raczej zdenerwowany. Był z nim jakiś blondyn.

— Z wąsikiem?

— Dlaczego z wąsikiem?

— Nie... nie... Ja tylko pytam.

— Bez wąsika. — odparł Kleksik i utknął.

— I co dalej?

— Dalej? — Kleksik miał wyraźne trudności z opisem.

— O rany, jak trudno coś z ciebie wyciągnąć!

— Było ciemno — usprawiedliwiał się Kleksik.

— Nie denerwuj mnie! — zasapał Gnat. — Mieliśmy podać fakty. Podejrzane fakty. Czy to, że Bambosz wychodzi z „Egipskiej” w towarzystwie znajomego blondyna, to jest podejrzany fakt? Czy to w ogóle jest fakt?

— To jest fakt — chrząknął Kleksik — pozwól...

— Ja nie mam czasu słuchać tych beznadziejnych relacji.

— Zaraz, pozwól mu dokończyć — przejąłem przesłuchanie. — Więc widziałeś jakiegoś osobnika z Bamboszem — zwróciłem się do Kleksika. — Wróćmy do jego rysopisu. Mimo ciemności musiałeś zauważyć, czy był to osobnik wysoki czy niski.

— Raczej średni — odparł z wahaniem Kleksik.

Nie zrażony pytałem dalej.

— Młody czy stary?

— No, młodszy od Bambosza.

— Jak był ubrany?

— Nie zwróciłem uwagi, chyba w jakieś palto.

— No, to rzeczywiście niewiele zobaczyłeś.

— Za to usłyszałem.

— Co?

— Jego imię, on ma na imię Mariusz.

— I tylko to usłyszałeś?

— Nie. Usłyszałem jeszcze rozmowę. To znaczy kawałek rozmowy... — Kleksik zawahał się na moment. Słuchaj, Zyziu — zwrócił się nagle do Gnata — co ty zrobiłeś jakiemuś Fredkowi?

— Ja? Fredkowi? Nic! — zdumiał się Zyzio. — Nie znam żadnego Fredka.

— To dziwne, bo oni mówili... Właściwie to ja nie wiem...

— Co nie wiesz?

— Czy mogę powiedzieć... — utknął Kleksik.

— Co cię tak zatkało? — zniecierpliwił się Gnat.

— Bo... bo oni mówili o tobie.

— O mnie? — zaśmiał się nerwowo Zyzio.

— Tak, o tobie.

**Zyzio umilkł zdetonowany. Zapanowała nieprzyjemna cisza.**

ROZDZIAŁ X  
— PODWÓJNE ŻYCIE BAMBOSZA

— No proszę, chcieliśmy faktów, no to mamy fakty — powiedziałem przyglądając się nie bez satysfakcji zdetonowanemu Gnatowi. — Zdaje się, że o takie właśnie „podejrzone fakty” ci chodziło, Zyzio. Tylko powiedz nam, skąd ty się wzięłeś w tej aferze?

Zyzio spojrział na mnie krzywym okiem.

— Powiem ci we właściwym czasie. Przedtem chciałbym posłuchać Kleksi-ka — zamruczał. — No, mów, stary... więc twierdzisz, że oni mówili o mnie. Co mówili?

— Wolalbym...

— Mów!

— Ale nie zdenerwujesz się?

— Zdenerwuję się...

— To ja nie powiem.

— Zdenerwuję się, jak będziesz tak drażnił się ze mną. Mów!

— Kiedy boję się, że ty się naprawdę obrazisz i mi coś zrobisz.

— Trzymajcie go! — krzyknął Gnat — ja mu ukrećę głowę. No mów, Olu — złagodniał nagle — nic ci nie zrobię, idioto!

Kleksik przelknął ślinę, odchrząknął i zaczął:

— Więc ten Mariusz powiedział do Bambosza: „Jest pan pewien, że to był tylko ten łobuz?”

„Tak, poznałem go od razu” — Bambosz na to.

„Bo Fredek się bardzo zdenerwował.”

„Niepotrzebnie. Znam tego smarkacza. Nazywa się Gnacki.”

„Może został nasłany?”

„Nie. To głupek...”

W tym miejscu Kleksik przerwał i spojrział zezem na Gnata. I myśmy też spojrzeli, ja i Kękuś jednocześnie. Gnat jest czuły przesadnie na punkcie honoru i często bywa porywczy. Ale tym razem nie poruszył się nawet.

— Referuj dalej, na co czekasz? — powiedział spokojnie do Kleksika.

— Więc on powiedział — podjął Kleksik — wiec on powiedział: „To głupek. Udaje reportera. Oni tam się bawią w robienie gazety. Nieszkodliwi.”

— „Nieszkodliwi”? Też coś! — wykrzyknął oburzony Kękuś. Widać było, że najbardziej dotknęła go ta „nieszkodliwość”.

— Nie przejmuj się — powiedziałem — to jest stek jawnie niesprawiedliwych opinii, wyraźnie krzywdzących, zwłaszcza Zyzia. Zyzio ma dużo wad, ale nazwanie go głupkiem to mała przesada. Dobrze, że nie przejąłeś się, Zyziu.

— Czym miałem się przejąć?

— No, tymi epitetami. Stary nie ma o nas zbyt wysokiego mniemania — westchnąłem.

— Tym lepiej dla nas — stwierdził Gnat.

— Lepiej?

— Proszę bardzo, niech Bambosz nas lekceważy. Ja się cieszę z tego. To nam ułatwi zadanie. Kto nie docenia przeciwnika, robi grubo błąd, Tomciu. Wielu już położyło się na tym. Czy to wszystko, co usłyszałeś na mój temat, Kleksik?

— Tak. Wszystko. Potem już mówili o czym innym.

— O czym?

— Zaraz... — wtrącił podniecony Kękuś — czego ja się dowiaduję! Może najpierw wyjaśnisz nam, Zyziu, co to ma znaczyć. Śledziłeś Bambosza na własną rękę?! Tak by wynikało z tego.

— Śledziłem? To za dużo powiedziane — mruknął Gnat. — Ja od razu wiedziałem, że będą komplikacje, i nie mogłem czekać z założonymi rękami, aż Bambosz dobierze nam się

do skóry. Nie mam takiego zwyczaju. Zaczęłam więc lepiej przyglądać się Bamboszowi. — Zyzio oglądał sobie w skupieniu paznokcie. — Ja mam taki zwyczaj, że lubię poznać ludzi, którzy będą mi się dobierać do skóry. Możecie mnie krytykować, ale ja mam taki zwyczaj.

— To nie jest zły zwyczaj — powiedziałem. — I do jakich doszedłeś wniosków?

— Że Bambosz jest maksymalistą.

Nie bardzo zrozumieliśmy.

— Może zechciałbyś konkretniej? — bąknąłem.

— Konkretniej? Konkretniej to Bambosz wyhodował kaktus o najdłuższych kolcach, jakie kiedykolwiek widziałem... zastanawiam się, czy tylko po to wyremontowałem szklarnię.

— Zostaw tego kaktusa! — zdenerwował się Kękuś. — Mów o tym facecie, Fredku, którego widziałeś z Bamboszem — oczy zabłyśły mu podnieceniem — to jest ważny trop!

— Za bardzo się podniecasz, Kękuś — Zyzio spojrział na niego z naganą. — Albo jesteś oklapły jak stary muł, albo cię ponosi niepotrzebnie. W sumie nierówny jesteś człowiek. Powinieneś się leczyć.

Kękuś zaczerwienił się zawstydzony. Wiedziałem, że cierpiał z powodu swojej popędliwości i marzył, aby być równym. Tymczasem Gnat wyjął notes i przerzucił kilka kartek.

— Niewiele właściwie mam do powiedzenia — zaczął. — To było jeszcze przed odwilżą. Dokładnie osiemnastego lutego. Zasiałem się tego dnia w redakcji. Już się ściemniło. Wstałem, żeby zapalić lampę, i w tym momencie usłyszałem na dworze brzęk szkła. Od razu mi się skojarzyło ze szklarnią.

Odruchowo spojrzeliśmy wszyscy za okno. Istotnie, okno redakcji wychodziło na ogród i widać stąd było w odległości kilku metrów szklarnię.

— Ja też wtedy spojrzałem od razu za okno — ciągnął Gnat. — Zobaczyłem jakiegoś niepoczytalnego człowieka... Tłukł kijem szyby szklarni.

— Wariat?

— Wyglądał raczej na pijanego. Krzyknąłem na niego z okna. Nie reagował. Pędzę więc na dół, żeby odegnać go od szklarni. Ale tam jest już Bambosz. Widzę z daleka, że daje wandalowi po pysku. Ten od razu się uspokoił. Nie podchodzę. Obserwuję z daleka. Bambosz bierze pijaka za ramię i wyprowadza go za bramę. Myślałem, że prowadzi go na posterunek milicji. Idę za nimi, żeby w razie czego wystąpić jako świadek, ale nie jestem pewny, czy idą na milicję. Im dłużej za nimi idę, tym mniej jestem pewny, bo już jakby się pogodzili. Teraz nie Bambosz łobuza, ale łobuz trzyma Bambosza pod rękę, jak starego kumpla, i rozmawiają prawie normalnie, tylko ten łobuz o pół tonu głośniej, bo jest zalany. Ale nie mogę nic zrozumieć, o czym mówią. W pewnej chwili zatrzymują się i oglądają. No i oczywiście zauważają mnie. Wtedy przestają mówić. Widzę tylko z daleka jak dochodzą do przystanku PKS i jak Bambosz wsadza wandala do autobusu...

— W jakim kierunku jechał ten autobus? — zapytałem.

— Do Miłkowa. No i cała historia.

— Dlaczego o niej wcześniej nie powiedziałeś?

— Nie wydawała mi się specjalnie ważna. Pełno pijaków się włóczy. A że ten akurat był znajomym Bambosza? No cóż, mogło się zdarzyć...

— Ale teraz, po tym co usłyszeliśmy od Kleksika... — wtrąciłem.

— Tak, teraz to nabiera innego znaczenia — zgodził się Gnat. — Wtedy nie wiedziałem, że tego intruza łączą jakieś konszachty czy interesy z Bamboszem.

— Na pewno łączą ich jakieś interesy, i to chyba brudne — powiedział Kękuś.

— Dlaczego od razu brudne? — zapytałem.

— Bo ten człowiek... jak mu tam...

— Fredek.

— Bo ten Fredek bał się, żeby Gnat nie usłyszał, o czym mówili... albo żeby go nie rozpoznał. Bardzo możliwe, że ten Fredek to jest osobnik poszukiwany za przestępstwo.

— Niekoniecznie — oświadczyłem. — Fredek mógł mieć inne powody, żeby się bać. Przecież w końcu porozbijał szyby w szklarni. Strach to ludzka rzecz, powiedziałbym ogólnoludzka, a nawet ogólnozwierzęca. Każdy się kogoś boi. Ja się kogoś boję, ty się kogoś boisz, on się kogoś boi. Fredek też mógł mieć sto różnych powodów, żeby się bać, i bać się stu różnych facetów.

— Na przykład kogo?

— Na przykład Dariusza Jasnobrzeskiego, że mu depcze po palcach, żeby go okraść. Pamiętajcie, że Dariusz Jasnobrzeski jest niebezpiecznym kieszonkowcem.

— Co ty?! — Gnat spojrział na mnie zaskoczony.

Nie zrażony ciągnąłem dalej:

— Albo Felusia Bańki, że go dopadnie w ciemnym zaułku i rozbierze z ciuchów. Pamiętajcie, że Feluś Bańka jest nader podejrzanym handlarzem starzyzną. Albo mógł się bać Onduli.

— Tego fryzjera z rynku?

— Ondula zajmuje się ostatnio parapsychologią i telepatią, i wypróbowuje na klientach swoje zdolności hipnotyzerskie. Fredek mógł bać się, że go Ondula zahipnotyzuje.

— Ty poważnie?

— Najzupełniej. Mógł się bać fryzjera, ale równie dobrze dentysty (może uciekł mu z fotela), pielęgniarki ze strzykawką (może uciekł jej z gabinetu zabiegowego), swojego majstra (może uciekł mu z roboty), doktora Psychonia (może uciekł mu z domu wariatów)...

— Przestań, poniosła cię wyobraźnia!

— Dlaczego? Biedny, wyczerpany nałogiem alkoholik o zmąconej świadomości każdego mógł się bać. Nawet własnego syna, żeby go nie zobaczył w takim nędznym stanie. Nawet własnej żony...

— No wiesz — zaprotestował Kleksik — chyba Zyzia nie mógł wziąć za swoją żonę.

— W nocy wszystkie koty są czarne — odparłem bez namysłu. — Mógł wziąć równie łatwo Zyzia za swoją żonę, jak za prezesa Gołąbka z Ligi Ochrony Moralności i Porządku w Odrzywołach i przestraszyć się go po ciemku...

— Dosyć! — warknął Zyzio. — Kpiny sobie urządzasz!

— Bynajmniej — oświadczyłem. — Aczkolwiek może za daleko szukamy... Ten Fredek mógł się przecież po prostu bać, że ktoś widział, jak on potłukł tę szklarnię. Ty byś się też bał na jego miejscu!

— Tak jest! — zachrypiał Kleksik. — Tomcio ma rację. Żarty żartami, ale nie trzeba z tego robić od razu kryminalnej afery przez bardzo duże K. To może być zwyczajny wybryk chuligański. Ten Fredek nie wygląda mi na zawodowego przestępcę. Zawodowy, rutynowany przestępca raczej nie zajmowałby się tłuczeniem szyb w szklarni. Zysk żaden, za to dużo hałasu...

— Fredek może nie, ale ten Mariusz, którego ja widziałem, jak rozmawiał z Bamboszem... — zaczął Kleksik.

— Zaraz... zaraz — przerwał mu Gnat — dyskutować będziemy potem, a najpierw musimy znać fakty. Nie dokończyłeś swojego opowiadania. Czy Bambosz z Mariuszem po wyjściu z „Egipskiej” mówili tylko o Fredku i o mnie? Miałeś powiedzieć, o czym mówili Bambosz i Mariusz wtedy pod „Egipską”, jak skończyli mówić o Fredku i o mnie.

— Mówili o pieniądzech i o gęsi — odparł Kleksik.

— To ciekawe — powiedziałem — i cóż takiego mówili?

— Mariusz powiedział: „To jak będzie, szefie?” Tak powiedział „szefie”. Na to Bambosz: „Nie dam już ani grosza”. „Jak to, szefie, zawalić taki interes?” — biadolil Mariusz. A Bambosz: „Nie idę na to!” „Pan się wycofuje?” — spytał zdenerwowany Mariusz. „Już się wycofałem” — Bambosz na to do niego. A on: „Pan tego nie może zrobić, to nasza ostatnia szansa! Woli pan kombinować z Jaksą?” „Niech pan uważa, co pan mówi!” — zdenerwował się Bambosz. „To pan niech uważa — krzyknął Mariusz. — Takie hece w pana

wieku! To się źle skończy dla pana! Na co pan właściwie liczy?! Gęś nie poleci za morze, bo ma za ciężki kuper!" Tak powiedział o tej gęsi na zakończenie. To wszystko, co słyszałem — Kleksik umilkł i wytarł nos wielką kraciatą chusteczką.

Spojrzeliliśmy na siebie, Gnat i ja.

— Naprawdę tak rozmawiali? — zapytał z niedowierzaniem Gnat. — Czy może wyczytałeś to w jakiejś książce?

— Tak rozmawiali — Kleksik przygryzł wargi.

— I ty to wszystko usłyszałeś?

— Usłyszałem.

— I zapamiętałeś?

— Tak.

— Chcesz nam wmówić, że masz taką świetną pamięć. A ta bomba z przyrody? — uśmiechnął się krzywo Gnat. — Wszystko zapomniałeś, chociaż tak wykuleś...

— Bo... bo to było o niesporczakach — zakaszłał Kleksik.

— I ja mam wierzyć, że o Bamboszu i tej gęsi, i tym kuprze zapamiętałeś, a o niesporczakach zapomniałeś?

— Jak mnie coś ciekawi, to zapamiętuję — wykrztusił Kleksik. Jego trupio sine policzki zaróżowiły się nieco, co wskazywało, że jest bardzo wzburzony.

Niedowiarstwo Gnata musiało go tak wzburzyć.

— Daj mu spokój — powiedziałem do Zyzia. — Faktycznie mógł zapamiętać. Najwyżej coś przekręcił.

— Nic nie przekręciłem — oburzył się Kleksik.

— No to pięknie — powiedziałem.

— Zbyt pięknie, żeby było prawdziwe — westchnął Zyzio.

— Ale gdyby założyć... — zacząłem ostrożnie.

— Och, gdyby założyć... to wszystko wyglądałoby re-we-la-cyj-nie! Rysowałaby się wyraźnie a f e r a. Te interesy, to kombinowanie z niejakim Jaksą, te hece i ta gęś na dodatek! Ale jeśli ten trupek zełgał... no, to byśmy ładnie wyglądali!

— Za bardzo zrobiłeś się podejrzliwy — powiedziałem.

— Nie chcę znów się wygłupić jak z Potępą w browarze...

— Ja wierzę Kleksikowi — powiedział Kękuś. — Dlaczego nie chcecie mu wierzyć? Bambosz naprawdę nie jest zwykłym woźnym. Ja też coś mógłbym powiedzieć — zrobił tajemniczą minę.

— Co? — zapytał Gnat.

— Nie wiem, czyście zauważyli... Jak przyjechał do nas pan Pelman i Bambosz niósł mu walizki na górę na poddasze, to ja od razu zauważyłem, że Bambosz jest „na ty” z panem Pelmanem. Tomcio też był przy tym i słyszał. Musiałeś słyszeć, Tomciu.

— Tak, słyszałem — odparłem — faktycznie, oni są „na ty”. Wtedy to mnie zdziwiło, ale teraz już mnie nie dziwi. Pan Pelman został tu ściągnięty przez Bambosza. ..

— Jak to „ściągnięty”?

— To znaczy Bambosz polecił go Oberonowi, kiedy Oberon szukał nowego chemika. Moja mama słyszała od pani Szyjkowskiej z kancelarii. Podobno już kiedyś razem byli w jakiejś szkole. Ale to dla mnie bardzo niejasna postać ten Pelman...

— Nie widziałem jeszcze tak roztargnionego człowieka — mruknął Zyzio.

— Nie chodzi o roztargnienie — powiedziałem — chodzi o pewne zdarzenie, niby drobne, które jednak daje mi dużo do myślenia... Przedwczoraj był w kancelarii pewien człowiek. Przedstawił się jako magister Pakosz i pytał o pana Pelmana. Może jeszcze nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ stale ktoś pyta o jakiegoś nauczyciela. Ale ten Pakosz zadał pani Szyjkowskiej na końcu jedno pytanie: „Czy nic niezwykłego nie zdarzyło się w szkole?” „Nic” — odpowiedziała zaskoczona pani Szyjkowska. „No to pewnie się zdarzy — powiedział Pakosz — nich mnie pani wtedy zawiadomi. Odwdzięczę się pani” — tak

powiedział i zostawił jej swój adres oraz telefon. „Ale co ma się zdarzyć?” — zaniepokoiła się na dobre pani Szykowska. On jednak nie chciał wyjaśnić. Uśmiechnął się tylko tajemniczo i kazał się zameldować panu dyrektorowi. No i trzeba powiedzieć, że bardzo zdenerwował Oberona. Siedział u niego prawie godzinę, potem drzwi się otworzyły, Oberon stanął czerwony na progu. Krzyczał: „To skandal! Jak pan śmie! Za kogo pan nas ma! Proszę wyjść!” i zaczął wyrzucać magistra Pakosza. A Pakosz cofał się tyłem przed furią Oberona, ścisnął kapelusz, uśmiechnął się pobłaźliwie i mówił: „Pan dyrektor sam się przekona, pan dyrektor źle zrozumiał moje intencje.” Na progu zatrzymał się jeszcze i zauważył ni w pięć, ni w dziewięć: „Pan ma śmieszne firanki. Przyślę panu nowe. A zamiast froterować podłogi, radzę polakierować... Mamy doskonale lakiery. Zaoferuję gratisowo...” A te jego uwagi zupełnie dobiły dyra.

— Rzeczywiście interesujące — przyznał Gnat — zanotuj to wszystko, Tomciu. Kiedy będziemy później składać lamigłówkę, to nam się na pewno przyda ten klocek... Czy jeszcze ktoś zauważył jakieś ważne fakty?

— Ja — powiedział Kękuś.

-Ty?

— Ja widziałem coś... coś okropnego... To, co powiedział Tomcio, to jest nic w porównaniu z tym, co ja widziałem... Tego nikt jeszcze nie widział, w żadnej szkole.

— Co takiego? — zapytał bez przekonania Zyzio.

— Widziałem, jak Bambosz bił Pelmana.

— Bił? Co ty wygadujesz?

— Przewrócił go na podłogę. Trząśł nim jak workiem. Żeby woźny bił nauczyciela, tego jeszcze nie było w szkole — sapnął Kękuś. Na czerwonej twarzy pojawiły mu się białe cętki, jak wtedy, gdy ulegał wzburzeniu drugiego stopnia.

Oslupieliśmy. Rzeczywiście, tego jeszcze nie było w szkole.

— Musiałeś coś poplątać — zasapał Gnat — kto uwierzy w takie rzeczy?!

— Ja nie kłamię — zaperzył się Kękuś. — To było w piątek, kiedy miałem karne froterowanie. Pamiętacie, zostałem po lekcjach, żeby czyścić te przeklęte posadzki. W szkole było już cicho. Skończyły się wszystkie lekcje. Myślałem, że jestem sam... Nagle usłyszałem gniewny głos Bambosza, brzęk szkła i łomot, jakby padającego ciała. Pobiegłem do pracowni chemicznej... i... i... zobaczyłem. .. — Kękuś obliznął wargi i poruszył odstającymi uszami, co mu się zdarzało w chwilach największej emocji.

— Co zobaczyłeś?!

— Pelman był już powalony — ciągnął Kękuś. — Leżał na podłodze. Ale Bambosz nie dawał mu jeszcze spokoju. Pochylał nad nim i szarpał go z wściekłością. Krzyczał: „Ty oszuście! Znowu oszukujesz! Przrzekałeś! Chcesz nas wykończyć ostatecznie... Ale ja ci wybiję z głowy... wszystko ma swoje granice. Uważaj, ja ci to mówię: zginiesz!” I tak w kółko w tym stylu. A Pelman — półprzytomny. A on się nad nim znęca.

Zaniemówiliśmy z wrażenia. Obraz, jaki malował nam Kękuś, był zbyt brutalny, zbyt przerażający.

— Jeśli tak było naprawdę... — zaczął Gnat.

— Tak było, jak pragnę polecieć w kosmos — przysięgał Kękuś. — Przecież. .. przecież widzieliśmy na drugi dzień, że pan Pelman miał plaster na nosie i wyglądał jak świeży trup, i nie wiedział, co się do niego mówi na lekcji, i zamiast kolbę zaczął podgrzewać palnikiem swój zegarek kieszonkowy, a kolbę chciał schować do kieszeni...

Trudno było zapomnieć obraz pana Pelmana z plastrem na nosie podgrzewającego nad palnikiem zegarek. Toteż nikt już nie śmiał poddać w wątpliwość relacji Kękusia. Przez długą chwilę panowała śmiertelna cisza, a potem Zyzio powiedział:

— Zdaje się, że zebraliśmy przekonujące fakty i nawet ty, Tomciu, nie masz już zastrzeżeń...

— Nie mam zastrzeżeń — potwierdziłem.

— Zgadząmy się jednomyślnie, że Bambosz wart jest bliższego rozpracowania. .. to jest, chciałem powiedzieć, bliższego poznania, jako osobistość, mówiąc delikatnie, dwuznaczna, a w każdym razie zagadkowa. Pozostają jednak sprawy techniczne...

— Tak jest, pozostają sprawy techniczne.

— Chodzi o technikę poznania.

— Właśnie. O technikę i sposób. Pamiętajmy, że sytuacja ogólna jest napięta.

— Wybitnie nie sprzyjająca.

— Teren jest śliski i grząski.

— Możemy się łatwo przejechać. Jeszcze gorzej niż z Potępa.

— Bambosz może być niezadowolony, że...

— Że go poznajemy — dokończyłem.

— Dlatego zwykle deptanie mu po piętach może tylko pogorszyć sytuację — dodał Zyzio. — Jest jeszcze drugi czynnik, z którym musimy się liczyć: Oberon. Oberon żąda naprawienia stosunków z woźnym i odpowiednich inicjatyw. Pamiętajcie, że postawił nam ultimatum.

— Pamiętajmy — potwierdziłem.

— W tym stanie rzeczy urządzić nas może tylko dobry pomysł — powiedział Zyzio.

Nim jeszcze skończył, już wyrwał się Kleksik.

— Ja mam pomysł! — zapiszczał.

— To niemożliwe, żebyś miał tak od razu pomysł.

— Ja mam. To mi nagle przyszło do głowy.

— To się zdarza ludziom genialnym — potwierdziłem — daj mu się wypowiedzieć,

Zyziu.

— Mów!

— Trzeba ogłosić, że zakładamy kółko — powiedział triumfalnie Kleksik.

— Jakie kółko?

— Oczywiście porządkowe. Do współpracy z Bamboszem... i...

— Żadnej współpracy! — zdenerwował się Kękuś.

— I to ma być ten genialny pomysł! — wykrzyknął Gnat. — Ty chyba żartujesz sobie.

— Mamy dobrowolnie czyścić parkiety? Mamy zostać niewolnikami froteru? Oszalałeś! — pienił się Kękuś.

— Dajcie mi skończyć... — pociągnął nosem Kleksik.

— Niech mówi! — powiedziałem.- Każdy ma prawo się wypowiedzieć.

— Dobra, niech mówi. — Machnął ręką zrezygnowany Zyzio.

— Nie rozumiecie, o co chodzi — zakaszła Kleksik. — Kółko to będzie płaszczyk.

— Płaszczyk?

— Płaszczyk, czyli zasłona dymna, czyli parawan. Pod płaszczykiem kółka będziemy mogli być blisko Bambosza... mieć go stale na oku... patrzeć mu na ręce... zostawać po lekcjach w szkole bez wzbudzania podejrzeń, nawet chodzić bezpiecznie za Bamboszem... W razie gdyby zapytał, czego chcemy, zawsze możemy odpowiedzieć, że właśnie skończyła się pasta, że szukamy szczotki, że chcieliśmy się go zapytać, co jeszcze ma dla nas do roboty, nie opędzi się od nas, a wszystko będzie wyglądać normalnie.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, zaskoczeni przebiegłością pomysłu. Kto mógł przypuszczać, że taki niepozorny Kleksik o niewinnej buzi może mieć takie pomysły.

— To jest pomysł zdradziecki — rzekł wreszcie z podziwem Kwękacz.

— Chytry pomysł — powiedziałem.

— To nie jest zły pomysł — wycedził Gnat — tak, to można by przyjąć... niby kółko... a w rzeczywistości będziemy pilnować Bambosza. To nam załatwi wszystkie rzeczy. Wyobraźcie sobie minę Oberona, jak przyjdziemy i powiemy: „Pan dyrektor chciał, żebyśmy przejawili inicjatywę, no to właśnie przejawiamy”. .. ha, ha... — zaśmiał się i zatarł ręce — organizujemy kółko porządkowe. Oberon spadnie chyba z krzesła! Tylko, że „kółko” źle

brzmi. Nieciekawie. Tyle już jest różnych kólek. Może lepiej nazwać... już wiem! Straż Porządkowa. I jakieś odznaki specjalne. Może gwiazdy jak u szeryfów. To podziela na młodszych chłopców i zachęci ich do wstępowania. Szkolna Ochotnicza Straż Porządkowa.

SOSP! No i Bambosz...

— Bambosz też zbaranieje!

— Tak, to go oszołomi. Taka inicjatywa. Będzie obłaskawiony z miejsca. SOSP załatwi nam wszystko! I do tego programowy artykuł w gazetce. Na całą szerokość kolumny. Ze zdjęciami.

Uznałem, że nadeszła odpowiednia chwila, by jeszcze raz postawić sprawę Matyldy.

— Jeśli chodzi o zdjęcia, to my już mamy takie zdjęcia — powiedziałem niewinnie.

— Jakie zdjęcia?

— Dałem ci już dawno temu, nie pamiętasz?... Bambosz w różnych pozach w czasie froteru.

— Ach, chodzi ci o zdjęcia tej piekielnej Matyldy — skrzywił się Gnat.

— Czy nie są dobre?

— Są... są za dobre.

— Co to znaczy „za dobre”?

— To znaczy zbyt dowcipne. One za bardzo obnażają Bambosza...

— Obnażają? On jest tam przecież w fartuchu.

— Nie bądź głupi. Obnażają w innym sensie. Obnażają charakter Bambosza, jego komizm podczas froteru... To może jest dobre na wystawę, to może nam się podobać, ale czy spodoba się Bamboszowi. Bardzo wątpię. Kto wie, czy nie poczulby się ośmieszony. Tacy ludzie jak on wolą specjalnie, upozowane portrety w odświętnych garniturach. Lepiej nie ruszać sprawy froteru. Pomyśli jeszcze, że nabijamy się z niego.

— Defonsiacy obłaskawili woźną Bobulinę za pomocą zdjęć — zauważyłem.

— Tak, ale jakich zdjęć? Sympatycznych. To znaczy sympatycznych dla Bobuliny.

Gdybyśmy zdobyli podobne zdjęcia Bambosza... Na przykład w pokoju, czytającego książkę, Bambosza wyelegantowanego na spacerze, Bambosza ściskającego dłoń jakiegoś notabla... no, choćby Oberona, który mu gratuluje sukcesów porządkowych.

— To się da zrobić — powiedziałem.

— Nie wierzę...

— Zamówię takie zdjęcia u Matyldy Opat.

— Myślisz, że ona dogodziłaby gustom Bambosza?

— Och, ty jeszcze nie znasz możliwości Matyldy Opat. Pomówię z nią.

Gnat nic nie powiedział. Uznałem to za wyraz milczącej zgody i odetchnąłem z ulgą. Sprawa Matyldy Opat zdawała się ruszać z miejsca...

— To byłoby na dziś wszystko — powiedział Gnat wstając. — Jutro idzie my do Bambosza przedstawić mu naszą inicjatywę... a potem do Oberona, żeby zatwierdził statut Straży!

ROZDZIAŁ XI  
— SĄD W POKOJU STOŁOWYM

Byłem pewny, że Matylda Opat znajduje się w strasznych stanach frustracji, depresji, przygnębienia i melancholii, w każdym razie w jednym z wymienionych wyżej stanów. Każdy wzgardzony, zapoznany i odepchnięty artysta znajdowałby się, a Matylda była niewątpliwie odepchniętą artystką, i to niesprawiedliwie, wyłącznie na skutek adelistycznego odchylenia Zyzia. Czy redaktor naczelny powinien kierować się tak osobistymi względami? Z pewnością nie powinien. Z tym większą satysfakcją chciałem natychmiast zanieść Matyldzie tę wspaniałą wieść o przewycięzeniu adelistycznego odchylenia u Zyzia i ucieszyć artystkę perspektywami współpracy z gazetą.

Pogwizdując optymistycznie, zbiegłem beztróska z monumentalnych dwunastu schodów zewnętrznych, wiodących od drzwi szkoły prosto w błoto ulicy Projektowanej. Dopiero, gdy miałem postawić nogę w błocie tej nieszczęsnej ulicy, która od lat pozostała tylko jednym z nieziszczonych marzeń urbanistycznych naszego miasta, wzdrygnąłem się i uświadomiłem sobie, że przecież nie mam zielonego pojęcia, gdzie Madzia mieszka, co gorsza, nie znam numeru jej telefonu, a nawet nie wiem, czy w ogóle posiada telefon. Niewybaczalne zaniedbanie! Rad nierad ruszyłem więc do domu rodzinnego. Postanowiłem, że dowiem się adresu Madzi od Eli Melasińskiej. Elamela jako przewodnicząca rady klasowej powinna mieć zapisany ten adres albo przynajmniej telefon. Tak czy owak jeszcze dziś skontaktuję się z Madzią.

Niestety, okazało się, że w mojej fatalnej sytuacji nie mogę snuć realnych planów nawet na najbliższe godziny. W domu czekała mnie bowiem rozprawa sądowa. Moja mama od czasu jak została ławnikiem w sądzie, z przyjemnością urzędowała takie rozprawy w domu. Podejrzewam, że z przyjemnością tym większą, że mogła tu być także prokuratorem i sędzią głównym zarazem. Ojcu pozostawiała skromną rolę obrońcy.

Oczywiście było już po obiedzie, ale rodzice znajdowali się jeszcze przy stole. Dlatego rozprawę przygotowano w pokoju stołowym. Mama piła herbatę usadowiona majestatycznie za stołem pośrodku jego długości, idealnie naprzeciw drzwi wyjściowych, jej czarny szlafrok przypominał sędziowską togę. Ojciec chodził swoim charakterystycznym krokiem bociana po pokoju, zaaferowany jak zwykle. Prawdopodobnie mimo formalnego udziału w rozprawie myślami był wciąż przy swoim pacjencie w szpitalu i układał sobie plan nowej operacji ocznej. Sióstr nie było, ale dałbym głowę, że w tej chwili podsłuchiwały pilnie pod drzwiami, gotowe zaprotokołować w pamięci każde słowo.

Na mój widok mama usztywniła się w krześle, odstawiała głośno i energicznie szklankę i zagaiła.

— Jesteśmy w końcu! To o tej godzinie się wraca? A na domiar słyszę, że ci głupcy znów dzisiaj chodzą po gzymsach i skaczą po drzewach...

— To nie ja — powiedziałem — niech mama się uspokoi, to ci ze szkoły kaskaderów. Ja naprawdę tam nie należę.

— No, nie wiem...

— Mam alibi. Zatrzymały mnie ważne sprawy w szkole.

— Tylko mi nie opowiadaj znów, że pomagałeś tej biednej pani od geografii, co ma nogę w gipsie, i odprowadzałeś ją do domu. To już nie przejdzie. Wiem od pani Szykowskiej, że pani Tromboniowa od miesiąca już chodzi bez laski. Nie opowiadaj także o ćwiczeniach w chórze. Wiem, że pan Gromek wyrzucił cię z chóru.

— Co też mama... czy ja potrzebuję coś zmyślać? Mieliliśmy ważną naradę w redakcji. Mama może zadzwonić do pani Pietraszewskiej i sprawdzić. To było posiedzenie redakcji.

— Mielili posiedzenie redakcji — mama usiłowała nasycić swój głos goryczą. — Słyszałeś, Tolu — zwróciła się do ojca — pewnie znów nie raczyłeś się włączyć i usłyszeć.

— Słyszałem — odparł przytomnie mój ojciec, zadając kłam wszystkim teoriom o roztargnieniu profesorów, naukowców, chirurgów i innych maniaków nauki i pracy. — Mówilem ci przecież, Misiu, że musiało go coś zatrzymać w redakcji.

— Redakcja! — wybuchnęła mama. — Też mi redakcja! Czas skończyć z tym oszustwem. Ta redakcja to tylko parawan! Wygodny parawan dla ich paczki! Tam się lęgną występki!

— Ależ, Misiu, Tomek naprawdę poświęca się tej pracy — powiedział ojciec.

Podszedł do mnie niespodziewanie i zajrzał mi w oko.

— Nie szanujesz oka — stwierdził — *coniunctiva rubra* i znów podrażnienie *epithelii corneae*

— Tak się boję, żeby to się nie przerodziło w grupę przestępczą — westchnęła mama — nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę... Działanie w grupie przestępczej jest okolicznością obciążającą...

— Co też mama z tą grupą... co mama ma na myśli?

— To całe towarzystwo. Ten cyniczny Gnacki, ten włóczęga Kwękacz, ten perfidny Olo Kleksiński...

— Perfidny Olo?

— Ładnych rzeczy o was znów dowiedziałam się przed godziną!

Tym razem ja westchnąłem.

— Pewnie pani Szykowska...

— Tak, pani Szykowska.

— Mama za bardzo się przejmuje tym, co mówi pani Szykowska.

— Uważasz, że nie mam się czym zajmować?

Wzruszyłem ramionami.

— Nic się przecież nie stało.

— To jest właśnie najgorsze, to wasze otępienie moralne! Nic się nie stało? Słyszałeś, Tolu? Nic się nie stało! Dlaczego ty milczysz, Tolu, czy nie widzisz, że on zatracił wrażliwość etyczną! Ale ty milczysz... zawsze milczysz, gdy trzeba po męsku zabrać głos — w oczach mamy zapaliły się święte płomienie. — Dlaczego na mnie spada ciężar wychowania tego łobuza. Ci dzisiejsi mężczyźni! Wszystko spychacie na nasze głowy! Kieruj wszystkim, walcz o wszystko, stój w kolejkach, płac rachunki i jeszcze zajmuj się domem, och, my kobiety współczesne!

— Chciałyście rządzić, to macie — rzekł mój ojciec.

— Ty też jesteś zmęczony! Ogólna znieczulica. A ja jeszcze na domiar złego dowiaduję się tych okropnych rzeczy o Tomku!

— Cóż zrobiłem takiego strasznego?

— Póki dopuszczaliście się wykroczeń przeciwko czystości w szkole, mogłam to znieść, ale kpiny ze starego człowieka, który mógłby być twoim dziadkiem?!...

— Jeśli chodzi o pana Macocha... to... to... wcale nie były kpiny — oburzyłem się.

— To był skandal — powiedziała mama — brzydki i niesmaczny! Najgorsze, że wieść się rozniosła. Mam syna oszczercę! Syna, który dopuszcza się publicznych zniewag... Jak ja teraz wyglądam w oczach ludzi? Każda kobieta może mi teraz rzucić w twarz: „Jakim prawem sądzi pani naszych synów! A syn pani! Niech pani sądzi najpierw swojego syna!” — płomienie w oczach mamy zgasły. Sięgnęła po chusteczkę. Otarła powieki. — Nie mogę być dłużej ławnikiem. Nie mam moralnego prawa. Nie potrafię patrzeć ludziom w oczy w sądzie... Złożę rezygnację...

— Nie przesadzaj, Misiu — rzekł mój ojciec — zawsze wszystko bierzesz krańcowo.

— Ty tego nie rozumiesz oczywiście — westchnęła z goryczą. — Co znaczy dla ciebie oko? Dla ciebie oko to galka. To torebka z galareta! Och, straszne być żoną okulisty...

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Te straszne sformułowania mamy... i znów wszystko skupiło się na ojcu z mojej winy.

— Mamo, niech mama lepiej posłucha mnie, a nie pani Szyjkowskiej — przerwałem energicznie. — Naprawdę nie stało się nic strasznego, tylko pan Macoch nie ma poczucia humoru.

— Używaj sobie na własnych kolegach — odparła mama. — Pan Macoch nie jest twoim kolegą. Zapamiętaj to sobie. Należy do personelu. Są pewne osoby w szkole, których nie wolno ruszać... Przewróciło się wam w głowach! Żadnego szacunku dla starszych! Niedługo będziecie pisali na ścianie publiczne paszkwile na nauczycieli i nabijali się w gazetce z własnego dyrektora! Zaczyna się od woźnego, a potem... To nie są tematy do waszych wycieczek...

— Wycieczki? Co też mama! To poważna gazeta!

— Poważna?! I dlatego te kawały na temat pana Macocha?

— Nie było żadnych kawałów. Był reportaż z pracy Bam... to znaczy pana Macocha.

— Reportaż był złośliwy.

— Po prostu wesoly.

— Ośmieszyliście starszego człowieka.

— My? Myśmy tylko przedstawili rzeczywisty stan rzeczy. Myśmy tylko pokazali Bam... pana Macocha tak, jak wygląda.

— Czyżby?

— Tak go wszyscy widzą. Może mama spytać, kogo chce. On sam wymyślił froter, a że śmiesznie wygląda przy froterze, to nie nasza wina.

— Jesteś pewien, że wszystkim wydaje się śmieszny? Że wszyscy tak go widzą?

— Och, mama truje. Mówię o tych wszystkich, co patrzą na świat bez końskich okularów. Wszyscy, co mają wyostrzony wzrok, tak widzą Bambosza.

— Zresztą to nie ma znaczenia — powiedziała mama — wasze intencje są w tym wypadku nieważne. Ważne jest, że pan Macoch poczuł się dotknięty. I to przezwisko!

— Tak go u nas nazywają. Nic na to nie poradzę. Ani na to, że jest ponurakiem.

Mówiłem już mamie, gdyby miał choć trochę poczucia humoru...

— Nie musi mieć. A wy powinniście go szanować. I nie do was należy krytykowanie go. A w ogóle, co wy od niego chcecie?

— Zabroniona krytyka?! Pierwszy raz słyszę! — oburzyłem się. — Więc mama jest zdania, że o przykrych rzeczach nie należy pisać w gazetce? Tylko co? Skarżyć się nauczycielom? Chodzić po cichu na skargę do Oberona? A może pisać tylko do Płomyka. To najlepiej, bezpiecznie, bo daleko. I jeszcze pod pseudonimem!

— Uważam, że jesteście jeszcze zbyt młodzi, bo móc wyrobić sobie słuszne zdanie w takich trudnych sprawach, i że nim zabierzecie publicznie głos, powinniście poradzić się rodziców albo nauczycieli... Sprawa z panem Macochem jest tu najlepszym przykładem. Uczepiliście się tego niewinnego człowieka...

— Niewinnego? — podchwyciłem z szyderczym uśmiechem. — Skąd mama jest taka pewna? Dałaby mama za to głowę? A gdybym miał jakieś dowody... Musiałoby być w moim głosie coś dziwnego i niepokojącego, bo mama zawahała się.

— O czym ty znowu...

— Bambosz jest podejrzany — oświadczyłem stanowczo.

— Podejrzany?

— Podejrzany o przestępstwo. Młodzież może jest za młoda, jak mama twierdzi, by mieć wyrobione zdanie i zabierać publicznie głos, ale nie jest za młoda, żeby patrzeć. Na szczęście mamy dobre oczy, widzimy czasem więcej niż starsi. Gdybym mamie powiedział, co widzieliśmy...

— Co takiego?

— Nie chcę teraz o tym mówić, może się zresztą mylimy, ale byłoby wam wszystkim bardzo głupio, gdyby się okazało, że Bambosz jest... ukrywającym się w przebraniu woźnego dyrektorem.

— Co ty bredzisz?! — osłupiała mama.

— Dyrektorem, który zrobił nadużycia — ciągnąłem nie zrażony — albo poszukiwanym przez milicję magazynierem, co zrobił manko, albo zabójcą weselnym, który...

— Ależ on pracował przedtem w szkole, w Tarnobrzegu! — wykrzyknęła mama — wiem dobrze od pani Szyjkowskiej...

Wzruszyłem ramionami.

— To jeszcze o niczym nie świadczy. To może świadczyć najwyżej o tym, że Bambosz ukrywał się także w poprzedniej szkole. Zresztą pracował tam tylko półroku... I właśnie — ożywiłem się — to jest nowa kwestia, mama sama widzi, że to jest podejrzane. Dlaczego tylko pół roku? Taki świetny woźny! Czy pani Szyjkowska nie mówiła nic na ten temat?

— Nie.

— Zataiła pewnie przed mamą.

— Zataiła? Przede mną? — mamie zrobiło się wyraźnie nieprzyjemnie. — To chyba niemożliwe. Pani Szyjkowska nie ma przede mną żadnych tajemnic.

— A jednak nie powiedziała mamie tak kapitalnej rzeczy jak ta, że pan Macoch został wylany z poprzedniej szkoły.

— Wylany? A ty skąd wiesz?

Zrobiłem tajemniczą minę.

— A mama — rzekłem po chwili z naciskiem — czy mama naprawdę nie zauważyła niczego podejrzanego w zachowaniu Bambosza?

— Nie, niczego — odrzekła mama, ale w słowach jej zauważyłem pewne wahanie.

— A może przynajmniej coś... coś niezwykłego, zastanawiającego? Nic pani Szyjkowska nie mówiła mamie na ten temat?

— Nie... to znaczy... — tym razem mama zawahała się wyraźnie.

— Czy mogę przesłuchać mamę na tę okoliczność?

— Przesłuchać?!

— Skoro już jest sąd, to oskarżony też ma chyba prawo powołać świadków. Czy mama się zgadza, że oskarżony ma takie prawo?

— Zgadza się.

— No więc ja właśnie powołuję mamę na świadka. Niech mama odpowie bezstronnie, jak świadek... Czy nic mamy nie zastanowiło w zachowaniu albo w słowach Bambosza?

Mama zamyśliła się na chwilę.

— Owszem, jedna rzecz mnie zastanowiła — odpowiedziała wreszcie.

— Co?

— Tydzień temu Macoch zapytał ni stąd, ni zowąd panią Szyjkowską, co to są awaramisy...

— Awaramisy? Zaraz!... — o mało nie podskoczyłem z wrażenia. — To przecież ta kolekcja biżuterii w naszym muzeum!

— Tak, kolekcja arabskiej biżuterii, bardzo starej, chyba z dziesiątego wieku...

— No proszę, a mama mówi, że nic podejrzanego! — gorączkowałem się. — Podobnie z Pelmanem. Sama mama mówiła, że jakiś dziwny człowiek pytał o niego — wyciągnąłem notes. — Proszę, mam tu zapisane. Niejaki magister Pakosz.

Dawał do zrozumienia, że Pelman jest niebezpieczny i zapowiadał „niezwykłe zdarzenia w szkole”. A przecież Pelman jest związany z Bamboszem, to są koledzy, mówią sobie na ty... Bardzo dziwne, co? I jak w takiej sytuacji można być spokojnym... i mówić, że nic się nie dzieje...

— Obawiam się, że wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

— Mógłbym podać mamie jeszcze dziesięć takich dziwnych faktów, ale po co? — rzekłem z goryczą. — Mama i tak mi nie uwierzy. Mama wierzy tylko pani Szyjkowskiej. Ale

to ciekawe, za co go wylali. Niech mama spyta przy sposobności panią Szyjkowską — zaproponowałem niewinnie.

— Tomku, skończ już z tym — usłyszałem ostry głos ojca. — Czy nie widzisz, biedna Misiu, że ten cymbał umyślnie cię wywodzi na manowce? — dodał przytomnie nie przerywając spaceru po pokoju. Niewątpliwie mimo okulistycznych myśli kontrolował cały czas przebieg rozmowy. Pomyślałem, że mam genialnego ojca. Jego roztargnienie, nawet jeśli istnieje, jest zupełnie innego rodzaju niż roztargnienie takiego na przykład Pelmana. Mój stary kontroluje sytuację. Potrafi co jakiś czas zaskoczyć wszystkich, nawet mamę, niezwykle bystrą uwagą. To było czasami tak, jakby potrafił śledzić bieg dwu różnych myśli jednocześnie. Teraz też jego uwaga ostudziła zupełnie mamę.

— Masz rację, Tolu — powiedziała po chwili zaskoczenia — za bardzo dałam się wciągnąć w tę nieprzyjemną dyskusję... Obiad jest w kuchni — zwróciła się do mnie już spokojnie. — Nie będę tu rozkładała na nowo talerzy... I żebyś nie zniknął znów gdzieś po obiedzie. Przez dwa dni kasuję ci wychodne! Nie chcę słyseć o żadnej redakcji i kolegach...

Czułem, że dyskusja w tej chwili nie ma sensu, ani opór.

— Zadzwoń tylko do Melasińskiej — powiedziałem.

— Jak masz dzwonić, to dzwoń teraz. Potem telefon będzie zamknięty na klucz w gabinecie ojca.

— Jak to zamknięty? Co to za nowe metody?

— Postanowiłam ukrócić te wasze niekończące się rozmowy! Wiem, że życie towarzyskie można prowadzić także przez telefon, ale dosyć tego!

Wobec takiej perspektywy chwyciłem pośpiesznie za telefon i nakręciłem numer Elameli.

— Czy jest Ela?

— Przed chwilą wyszła na imieniny do Kasi — usłyszałem głos matki Eli.

— Kiedy wróci?

— Nie wcześniej jak o dziesiątej.

— No to jestem załatwiony... — zamruczałem pod nosem.

— Co?

— Nie, nic, dziękuję pani.

Odłożyłem zrezygnowany słuchawkę. Wiedziałem już, że nic nie załatwię tego dnia.

— Skoro już zechciałeś, Tolu, włączyć się do procesów wychowawczych — usłyszałem głos mamy — to dowiedz się o ostatnim paszteciku, jaki przygotował nam Tomek.

— Jest nowy pasztet? — ojciec zachmurzył się na nowo.

— Dostał pod rząd dwie dwójki z matematyki i nie pisał ani słowa. Na szczęście pani Szyjkowska uprzedziła mnie.

Zasapałem ponuro i pomyślałem, że uduszę kiedyś panią Szyjkowską. Jest to coraz bardziej możliwe.

— Nie trzeba robić tragedii — powiedziałem głośno do rodziców. — To małe potknięcie. Pan Dziobas stawia łąbędzie bez opamiętania. Na każdej lekcji co najmniej dwadzieścia w klasie. Zapewne w ramach inflacji. Mama wie, co to jest inflacja. Dlatego te jego bomby tracą na wartości i nie robią wrażenia, mama powinna podnieść na zebraniu komitetu albo chociaż na wywiadówce, że pan Dziobas prowadzi dziwną politykę inflacyjną.

— Dosyć już tego! — rzekła surowo mama — ty się w ogóle niczym nie przejmujesz. Po kim odziedziczyłeś takie nerwy!

Zaśmiałem się w duchu. Gdyby mama wiedziała, jak strasznie się przejmuję pewnymi rzeczami. Iloma rzeczami przejąłem się dzisiaj!

Tego dnia po raz pierwszy od paru tygodni odrobilem lekcje jak wzorowy kujon. Potem chciałem obejrzeć niedozwolony film w telewizji, ale zachciało mi się od razu strasznie spać.

ROZDZIAŁ XII  
— SPOTKAJMY SIĘ W „TRUMNIE”

Nazajutrz już na progu szkoły czekał na nas Kwękacz z nową wiadomością:

— Słuchajcie, słuchajcie! Niesłychana historia! Bambosz kupił sobie psa!

— Psa? Do tropienia? Wilczura?

— Nie... malutkiego szczeniaka, teriera szkockiego! Nazwał go Rozpylaczem i przyszedł z nim do szkoły! Co tu się wyrabia od samego rana!

Spojrzeliliśmy na siebie zaskoczeni! Sylwetka psychologiczna Bambosza komplikowała się coraz bardziej.

Zaciekawieni popędziliśmy na korytarz. To był niesamowity widok. Cała szkoła bawiła się psem! Chyba ze dwieście rąk wyciągało się naraz do kudłatego czworonoga. Nie speszony tym bynajmniej Rozpylacz, merdając beztrudnie ogonkiem, buszował dzielnie w labiryncie nóg. Jedne nogi próbował lizać, drugie — szarpać zębami. W rezultacie to tu, to tam wybuchały salwy śmiechu, okrzyki i piski zaatakowanych przez Rozpylacza delikwentów.

— Mają ubaw — zauważyłem.

— Potwierdza się to, co mówiłem — rzekł Gnat.

— Tak — zgodziłem się. — Ten pies ma duże możliwości.

— Spójrz na Bambosza — Gnat szturchnął mnie kciukiem w żebro.

Nad rozbawionym tłumem górowała zwalista postać woźnego. Stał nieruchomy jak posąg. Patrzyłem na niego ze zdumieniem. Nie... to nie złudzenie... po raz pierwszy od wielu miesięcy na jego kanciastej, surowej, jakby z drzewa wyciosanej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Tak, nie mogłem się mylić — to był autentyczny uśmiech.

— Widziałeś? — mruknął Zyzio. — To o czymś świadczy, nie?

— Tak. To jest zadowolenie kynologa.

— Nie tylko. Bambosz jest kimś więcej niż woźnym — oświadczył z przekonaniem.

— Jest także kimś więcej niż kynologiem, ja wam to mówię. Przekonacie się. Moim zdaniem on jest zadowolony, że udał mu się ten numer z psem.

— Tak, gdyby to rzeczywiście przyjąć za... za element dywersyjny i mamiący...

— To jest element dywersyjny.

— I dygresyjny — wtrącił bystro Kleksik — ale nie dajmy się zwieść dygresjom.

— Tak jest. Okażemy odporność, panowie.

— Wracamy do tematu.

— Ale ten pies...

— Właśnie... trzeba zająć stanowisko wobec psa.

— Jak potraktujemy psa?

— Proponuję potraktować go jako słabostkę Bambosza, którą należy wykorzystać w ten sposób, jak mówił Zyzio — powiedział Kleksik.

— Owszem, psa należy wykorzystać, nie ma dyskusji! Ale w tej chwili proponuję go potraktować jako element dywersyjny, który nie może nas powstrzymać — powiedział Gnat.

— Tak, pies nie może nas łamać — oświadczył Kwękacz.

— Ani odwieść od wyczerpującego poznania Bambosza — sprecyzował Gnat.

— Wyczerpującego kogo?

— Nie to miałem na myśli. Chodzi o dogłębne poznanie Bambosza jako człowieka. Bambosz rzuca na żer naszej wyobraźni psa. Chce, żebyśmy zaklasyfikowali go jako kynologa. My jednak odrzucamy tę przynętę. Prowadzimy dalej badania naukowe. Chcemy znać całą prawdę o Bamboszu. Dobrą czy złą. Miłą

czy straszną — obojętnie. Ogłaszamy Bambosza naszym człowiekiem roku. Czy zgadzacie się?

Pokiwaliśmy głowami, aczkolwiek bez entuzjazmu. Na mój rozum Zyzio za bardzo się angażował w tę sprawę, za dużo sobie obiecywał po niej. Ale taki właśnie był Gnat, że jak się

do czegoś zapalił, to na całego. Ze mną była zupełnie inna sprawa. Mówiąc szczerze, w tej chwili naprawdę interesowała mnie tylko Matylda Opat.

— A zatem — ciągnął Zyzio — nasze postanowienia z wczorajszej narady są w mocy?

— Oczywiście — powiedziałem.

— Regulamin Straży Porządkowej mam gotowy — oznajmił Gnat i wyciągnął z kieszeni złożony we czworo plik kartek. — Trzeba tylko przepisać na maszynie. Chcecie przejrzeć?

Przejrzeliśmy pobieżnie.

— Macie jakieś uwagi?

— Poczekaj... zaraz wrócę — powiedziałem nagle, bo zobaczyłem na korytarzu Matyldę. I nim Gnat zdolał coś powiedzieć, pognałem za nią.

— Madziu! — zawołałem nie bacząc, że wszyscy oglądają się za mną. Matylda Opat przystanęła raczej zaskoczona.

— A, to ty nareszcie! Ostatnio zupełnie cię nie widuję.

— Byłem zapracowany — odparłem szybko. — Ale... ale właściwie ja cię szukałem od poniedziałku, tylko ty gdzieś znikłaś...

— Naprawdę? Przecież co dzień jestem w klasie...

— Klasa to nie jest miejsce na poważne rozmowy. Zaraz by nas wzięli na języki. Wiesz, że jest rozdział... Nawet tutaj — obejrzałem się — zobacz, jak na nas patrzą. Myślałem, że uda mi się z tobą umówić po szkole, ale byłaś nieuchwytna na przerwach...

— To dlatego, że pani Stypułkowska zwała na mnie robotę — powiedziała Matylda — musiałam zająć się pracownią przyrodniczą. Robiłam zdjęcia wnętrza, a zwłaszcza eksponatów. Tam są bardzo ciekawe eksponaty.

— Te wypchane truchła, te okropne ptaszyska nadgryzione przez mole i te wyleniałe zwierzaki? Współczuję ci.

— Nie znasz się na tym — odparła urażona Matylda. — Te truchła, jak je nazywasz, mają wartość muzealną. Czy wiesz, że one pochodzą z bardzo starych zbiorów przyrodniczych z pałacyku myśliwskiego w Jeleńcu?

— Co ty mówisz! — roześmiałem się. — Wszyscy wiedzą, że te truchła należały do pana Zakalły, emerytowanego archiwariusza. On miał kiedyś sklep ze starociami tu obok, tam gdzie teraz jest budowa... Nikt ich nie chciał kupić i pan Zakalło, jak likwidował antykwariat, oddał je w depozyt naszej szkole, bo nie miał ich gdzie trzymać. Bo on mieszkał w tym małym pokoju na poddaszu, tam gdzie teraz mieszka pan Pelman.

— Być może — powiedziała Matylda — ale pani Stypułkowska powiedziała mi, że one pochodzą z tych zbiorów z Jeleńca. Zakalło mógł je zdobyć dopiero potem... Możesz zapytać pani Stypułkowskiej albo pana prezesa Gołąbka w muzeum. Pani Stypułkowska chciała je pokazać na wystawie międzyszkolnej, ale konserwator z muzeum nie zgodził się...

— Konserwator z muzeum?

— Bo one są pod opieką konserwatora, jako zabytkowe, i czekają w kolejce do konserwacji.

— Pewnie bał się, żeby się nie rozleciały przy transporcie — zauważyłem zgryźliwie.

— Chyba tak — przytaknęła Matylda. — I dlatego pani Stypułkowska postanowiła, że na wystawę pojedą tylko zdjęcia tych okazów. I poprosiła mnie, czy bym nie mogła zrobić tych zdjęć, bo fotograf drogo kosztuje. Głupio było odmówić. ..

— Na pewno czułaś się zachwycona tą propozycją.

— Pewnie. Było mi przyjemnie, że pani Stypułkowska poznała się na mnie. Przynajmniej ona jedna — Matylda spojrziała na mnie z wyrzutem.

— Nie tylko pani Stypułkowska — odparłem. — To fakt, że długo czekałaś na uznanie ze strony redakcji, ale nie było wcale łatwo przekonać Gnata. Wiesz, że on jest zarażony adelizmem. Za to dziś nareszcie...

- Co nareszcie? — Matylda wstrzymała oddech.
- Dziś postawisz mi wielkie wiosenne lody! Mam dla ciebie extra nowinę.
- Och, Tomciu, chcesz powiedzieć, że Zyzio...
- Zyzio? — skrzywiłem się.

Matylda niepotrzebnie wplątywała tu Zyzia.

— Jeśli chcesz wiedzieć, jak naprawdę było, to ci powiem: Zyzio nie miał właściwie chęci, ale postawiłem sprawę ostro...

- Postawiłeś?!
- Oczywiście. Byłem bardzo stanowczy. Krótko mówiąc, zmusiłem Zyzia!.. ..
- Och, Tomciu, jesteś wspaniały.
- Nie używaj tego słowa — powiedziałem.
- Dlaczego? — Matylda spojrzała na mnie zdziwiona.
- Kiedyś ci wytłumaczę. Zresztą za wcześnie podskakiwać ze szczęścia...
- Jak to za wcześnie... przecież mówiłeś...
- Jeszcze ci nic nie powiedziałem.
- Więc nie zamieścicie w końcu tych zdjęć?
- No... nie od razu.
- Co to znaczy nie od razu? To za co mam ci postawić duże wiosenne lody?
- Za to, że dostaniesz u nas pracę!
- Zostanę redaktorką! O Boże...
- Redaktorką? — chrząknąłem. — No, niezupełnie.
- Jak to niezupełnie?
- Za bardzo jesteś w gorącej wodzie kąpana. Nie masz żadnego stażu, a już

chciałabyś być redaktorką.

- To w końcu kim mam zostać? — najwyraźniej zdenerwowała się Matylda.
- Oczywiście pracowniczką redakcji... będziesz u nas zatrudniona...
- Przy sprzątaniu redakcji? — zaszydziła.
- Przy robieniu zdjęć... Na razie to będą prace zlecone, ale jak na początek, to i

tak dobrze...

- Jeśli to nie jest kawał... — Matylda spojrzała na mnie podejrzliwie.
- Uśmiechnąłem się.

- Jeśli to nie jest kawał, to co? — zapytałem.

- To... to jest bomba! — wykrztusiła.

— To jest bomba — powiedziałem — ale pamiętaj, że nie wszystkie bomby wybuchają. Nie myśl, że to będą łatwe zdjęcia...

— Mnie nie zdarzają się niewypały... — oświadczyła Matylda. — Powiedz tylko, co to mają być za zdjęcia...

— Przepraszam... ale Gnat mnie woła — powiedziałem pospiesznie. — Powiedz mi, gdzie możemy się dzisiaj spotkać po szkole, żeby to omówić spokojnie. ..

— Dzisiaj to będzie trudno — powiedziała zakłopotana Matylda — nie będzie mnie w domu... Może jutro?

- To pilne, Madziu, nie chciałbym tego odkładać.

— Będę całe popołudnie zajęta... chyba... chyba żebyś chciał przyjść do... — urwała zaczerwieniona.

- Dokąd? Przyjdę na pewno!

- W takim razie spotkamy się tam...

- Gdzie?

- W „Trumnie”.

- W trumnie? — osłupiałem. — Co ty...

- Mój tatuś prowadzi Zakład Pogrzebowy, chyba wiesz...

— O... oczywiście — wykrztusiłem — twój tatuś jest bardzo sławny. Ale czy... czy musimy od razu... w trumnie?

— Wiedziałam, że będziesz miał opory — westchnęła Madzia — no więc trudno... odłóżmy...

— Nie... nie, nie odkładamy. Zgadzam się. Dobrze, Madziu — przelamałem się bohatersko — jeśli nie widzisz innych możliwości, spotkajmy się w tej trumnie. Czy to duża trumna? — zapytałem.

— O czym ty mówisz? O jakiej trumnie?

— Przecież sama mówiłaś...

— Ja mówiłam o Zakładzie Pogrzebowym Spółdzielni Użytkowników „Trumna”. .. Będę tam dzisiaj pomagać rodzicom, bo mają dużo pilnych zamówień...

— Wyleciało mi z głowy, że ten Zakład nazywa się „Trumna”. Tym... tym bardziej przyjdę — zapewnilem — a teraz muszę lecieć, bo Gnat się denerwuje...

Zostawiłem Madzie i pobiegłem do Gnata, który dawał mi gwałtowne znaki w drugim kącie korytarza.

— Co ty wyprawiasz? — spojrzał na mnie jak na wariata. — Wołam cię od kilku minut, a ty nic...

— Musiałem załatwić z tą Opat — wymamrotałem.

— Akurat teraz i tak?!

— Jak?

— Romansowo-pokazowo. Kto to widział! Żeby tak na oczach wszystkich! Wyglupiłeś się, stary.

Chrząknąłem.

— Wylecisz z redakcji, jak będziesz miał takie szusy! — pieklił się Gnat. — To nam szkodzi, to ośmiesza całą redakcję. Zobacz, jak chichoczą te małpy.

Obejrzałem się zaczerwieniony.

Istotnie, musiałem niewąsko się wyglupić. Wszystkie dziewczyny z naszej klasy patrzyły na mnie rozbawione i chichotały po kątach.

— Ale co ja w końcu takiego zrobiłem? — wzruszyłem pogardliwie ramionami.

— Nie wiesz? Mam ci jeszcze tłumaczyć?!

— Nie. Lepiej powiedz, coście postanowili z tą Strażą — zmieniłem szybko temat.

— Zaczynamy służbę od dzisiaj — powiedział Zyzio. — Nie mamy czasu czekać, aż Oberon raczy zatwierdzić regulamin.

— Każda chwila jest droga — pociągnął nosem Kleksik.

— Trzeba trzymać rękę na pulsie... — oświadczył uroczyście Kwękacz.

— Na chorobliwym pulsie szkoły — uśmiechnął się krzywo Gnat. — Zakładamy punkt obserwacyjny na podwórzu czynny przez wszystkie przerwy i po lekcjach aż do wieczora.

— Punkt obserwacyjny? — skrzywiłem się.

— Masz jakieś zastrzeżenia?

— Boję się, że Bambosz...

— Nie bój się nic — przerwał mi Gnat. — Patrz! — rozwinął czerwony płócienny transparent na dwu drążkach, używany co roku do pochodów pierwszomajowych. — Zmieniłem tylko napis.

Przeczytałem. Na transparencie widniały słowa: „Szkolne prace porządkowe. Ekipa Nr 1”.

— Rozmawiałem z facetem, co kieruje budową nowego skrzydła szkoły — wyjaśnił Gnat. — On nazywa się Dzikko. Powiedział, że możemy porządkować teren między nowym pawilonem a starą budą. Już tam zakończył roboty. I wyda nam z magazynu grabie i łopaty. Chciał nam nawet zapłacić według stawek dla niewykwalifikowanych, ale nie zgodziłem się. Jak się bierze pieniądze, to się bierze jednocześnie obowiązek. A ja nie chciałem brać na siebie obowiązku, bo skąd mogą wiedzieć, czy wywiążemy się — Zyzia spojrzał smętnie na „księżycowy krajobraz” za oknem, na doły, kraterzyki i gliniaste wąwozy na dawnym placu budowy, na gruz i śmieci walające się wszędzie. — W każdym jazie wejdziemy tam z grabiami

i łopatami. Wbiję się transparent i zacznę się robotę. Ta nam pozwoli na spokojną obserwację o każdej porze dnia i na pełną kontrolę terenu. Nikt nie powinien się czepiać. Od dziś zaczynamy dyżury. Chodzi o to, żeby zawsze tuktoś był i grzebał...

— Grzebał? Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć — zaniepokoił się Maciek Kwękacz.

— Będziemy równać i grabić — odparł Gnat.

— Grabić naprawdę?!

— W tempie umiarkowanym, ale trochę ruchu się przyda.

— Czy to konieczne? — Maciek stropił się wyraźnie i ochłodził dla idei inwigilacji.

— Nie myślę, żeby to było konieczne — odparł Zyzio. — Kto nie chce ruszyć łopata, może tylko markować, że coś robi...

— A ty będziesz ruszać naprawdę?

— Jasne.

— Ale po co?

— Żeby to jakoś uprzątnąć i wyrównać, bo mnie drażni...

— Ciebie też? — Maciek spojrział na mnie z niepokojem.

— Cholernie mnie drażni — powiedziałem.

— Mnie też — zapiszczał Olo Kleksik. — Zresztą bez ruchu byłoby nudno. Cały czas w jednym miejscu. Pomyśl o tym!

Kękuś stropił się ponownie, bo znów się okazało, że inaczej widzi te rzeczy.

— Ktoś tu jest stuknięty — zauważył głośno, gdy na pierwszej przerwie zabieraliśmy się do pracy — ale kto?

— Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić — powiedział Gnat, kończąc umocowywanie transparentu.

Jak było do przewidzenia, zainstalowanie tego niewinnego przedmiotu oraz nasze energiczne prace porządkowe wzbudziły sensację w budzie.

— Grabią pod transparentem! — niewiarygodna wieść rozbiegła się w ciągu dwu minut po szkole. Po chwili otoczyła nas ciżba gapiów, poważnie utrudniając kontrolę terenu.

— Tego nie przewidziałeś — mruknął Kwękacz do Gnata.

— Spokojna głowa — wzruszył ramionami Zyzio. — Znudzą się i odejdą, opatrzy się im. Trzymaj lepiej fason i zasuway łopata.

Więc Kękuś zasuwał, choć cały czerwony, nie wiadomo czy bardziej z wysiłku czy ze złości.

— Czy Gnat nas nie wykorzystuje? — wysapał, gdy znalazł się na moment przy mnie.

— W jakim sensie? — zapytałem.

— Może jest w zмовie z Oberonem i w ten sposób chce nas po prostu nakłonić do pracy?

— Bardzo możliwe — odparłem bawiąc się niepokojem Maćka.

— Co?! Więc tobie też to przyszło do głowy?!

— Tak, ale nie jestem pewny...

— Jak to zbadać?! — denerwował się rozindyczony Kwękacz.

— Poznamy po tym, czy będą wyniki... Jeśli rzeczywiście zdarzy się tu coś ciekawego, przebaczysz chyba Gnatowi ten głupi pomysł?

Kwękacz otarł pot z czoła.

— Jeśli będą wyniki.

Wyniki były od razu, choć niezupełnie takie, jak sobie życzyliśmy. Wbrew temu, co mógłby przypuszczać ktoś naiwny, Bambosz mimo swego zamilowania do porządku patrzył na nas, mówiąc delikatnie, ponuro. Wcale mu się nie podobało to, co robimy.

— Tak myślałem — powiedział Zyzio. — Jeśli ma coś do ukrywania, to nie będzie mu się podobać nasza obecność tutaj.

— Może po prostu nie znosi konkurencji na tym polu? — zauważyłem.

— Nie, to nie to — zaprzeczył Zyzio. — Jego drażni, że mu się pętamy pod nosem. Patrzcie, krąży dookoła niespokojny. Widać popsuliśmy mu szyki!

Istotnie, Bambosz bacznie obserwował nas, acz z daleka. Co trochę wylazil ze szkoły, to znów wracał. W jego zachowaniu widać było nerwowość.

— Ciekawe, jaką wymyśli ripostę. — Zyzio wodził za nim czujnym okiem.

Na razie jednak riposty nie było. Natomiast od razu znalazło się kilku dzielnych zapaleńców z klas młodszych, którzy chcieli pracować pod transparentem razem z nami. I ten ich zapal był nader kłopotliwy. Mogli zupełnie wypaczyć naszą ideę placówki obserwacyjnej. Ledwieśmy się przed nimi opędzili. Potem paru starych cyników z klas ósmych przyszło popatrzeć, jak machamy łopata, i mieli duży ubaw. Myśleliśmy, że Chrząszcz też będzie miał ubaw, ale on nie objawił ubawu. Popatrzył na nas, pokiwał smutno głową i powiedział:

— Nie ma co wydziwiać nad nimi. Normalna sprawa. Nałożyli na nich karę. Za dużo sobie pozwalali w gazecie.

Wszyscy uwierzyli Chrząszczowi i przestali się śmiać, a Matylda Opat przyniosła nam na drugiej przerwie bułki z serem tyłżyckim. Gnat dostał największą, niestety, nie zdążył jej zjeść, bo gdy się na chwilę zagapił, przybiegł Rozpylacz, ten szczeniak Bambosza, i sprytnie wyrwał mu ją z ręki, a potem zaniósł pod szkołę i pożarł na oczach Matyldy. Ale za to ludzie Chrząszcza przynieśli nam butelkę wody mineralnej, a znany harcerz Jacek Pęcherski, czyli Perzyk z którym kiedyś mieliśmy tajne konszachty, przyniósł nam papierowe czapki reklamowe z kiermaszu książki, ale nie chcieliśmy nosić tych czapek, chociaż słońce wyjątkowo silnie tego dnia przypiekało.

Budziliśmy więc chwilowo współczucie, potem jednak przestaliśmy budzić, bo sprawa szybko się wyjaśniła. Bambosz się o to postarał. Pobiegł do Oberona i naskarżył, że robimy jakąś dziką hecę. Więc Oberon przyszedł do nas zdenerwowany i zaraz:

— Kto was zorganizował? Kto namówił? Dlaczego tak? Dlaczego dzisiaj? I dlaczego w ogóle?

Przez całe dziesięć minut na oczach całej szkoły nas maglował i badał, co się za tym kryje. A Zyzio wcale nie kwapił się z wyjaśnieniem i nie przerywał Oberonowi, dopiero jak się Oberon wyladował, wyciągnął z kieszeni projekt regulaminu Straży Porządkowej i powiedział, że przejawiamy inicjatywę. „Jaką inicjatywę?!” — Oberon na to. Wtedy my: „Pan dyrektor zapomniał? Zapowiedzieliśmy, że przejawimy inicjatywę. Uprzedzaliśmy!” (to już na cały głos, żeby wszyscy słyszeli). — „Wy zapowiedzieliście? Nie przypominam sobie” — Oberon traci wyraźnie pewność siebie, a my robimy niewinne miny i wzdychamy, że naczelnny pedagog ma taką słabą pamięć. „To ja chyba was uprzedzałem” — Oberon próbuje niepewnie kontrataku. „Oczywiście! — to znów ogłaszamy na cały regulator — pan dyrektor uprzedzał, że nam dobierze się do skóry. Nie myśleliśmy jednak, że praca z transparentem też jest zabroniona... Skoro jednak jest zabroniona, to zwijamy sztandar”.

Oberon spojrzal na nas wzrokiem zdolnym zabić wołu.

— Nie jest zabroniona — zasapał wreszcie. — Niech kopią i grabią — zwrócił się do woźnego. — Nie mogę przecież zakazać prac porządkowych w szkole.

— A co będzie z projektem regulaminu? — zapytał Zyzio, znów podtykając Oberonowi swoje bazgroły.

— Jak śmiesz podtykać mi coś podobnego... takie brudy! — Oberon cofnął rękę ze wstrętem.

— No, bo to jest brudnopis! — wyjąkał Zyzio.

— Brudnopis nie musi być zaświniony, upaprany i zatłuszczony, a do tego nieczytelny... pokreślony, wymęczony.

— Bo ja się męczyłem! Pan dyrektor myśli, że tak można od razu wymyślić regulamin?

— Przepisz to porządnie! Przepisz i przynieś jutro! — zagrzmiał Oberon, po czym skarżąc się na nasze kłopotliwe pomysły wycofał się ze wstrętem z rozkopanej błotnistej ziemi, podnosząc wysoko nogi jak żuraw na mokradle.

I wszyscy widzieli, jak Oberon krzyczał na nas, i zrozumieli, że to nie on kazał nam babrać się w tych gruzach i śmieciach, i w tej ohydnej glinie, że w ogóle nikt nam nie kazał i że to my sami... I to nas od razu ustawiło w opinii. I urosiliśmy w oczach ferajny. Bo u nas już tak jest, że jak się coś samemu wymyśli i robi się samemu mimo przeszkód, to się rośnie w oczach ferajny.

W tej chwili jednak nie zależało nam, żeby rosnąć. Czekaliśmy na wydarzenie. Ale dopiero na dużej przerwie coś się zdarzyło. Początkowo w ogóle nie myśleliśmy, że to będzie miało jakiegokolwiek znaczenie. Po prostu, gdy po trzeciej lekcji wróciliśmy na nasz punkt obserwacyjny, ujrzelśmy na podwórku szkolnym niedaleko nowo wzniesionego pawilonu dwoje ludzi wykonujących jakieś pomiary. Uwagę naszą zwrócił przede wszystkim chudy mężczyzna w czarnej wiatrówce i obcisłych džinsach; miał długą twarz, haczykowaty nos i wystającą dolną szczękę ozdobioną kozią bródką, co nadawało mu wygląd diaboliczny. Przypominał nieco pana Pelmana, tylko ta bródka i bardzo krzaczaste brwi... Towarzyszyła mu asystentka w podobnej wiatrówce i džinsach, z długimi, jasnymi włosami.

Trzymała w ręku plik papierów, zapewne plany, i odmierzała za pomocą taśmy mierniczej odległość. A jej kompan wbijał w oznaczone miejsce paliki. Potem znów mierzyli i notowali.

Zyzio oczywiście nie wytrzymał z ciekawości i od razu podszedł do nich.

— Co państwo robią? — zapytał bez wstępów.

— Nie twoja rzecz — odpowiedział mierniczy.

— Jestem dyżurnym Szkolnej Straży Porządkowej — oświadczył Zyzio. —

Właśnie przystąpiliśmy do porządkowania tego terenu i chcemy wiedzieć, czy znów nie będzie rozkopane.

— Niestety tak — odparł człowiek z bródką. — Będziemy tu kłaść nowe kable. Lepiej wynoście się stąd.

— Inżynier Dzidko nic nie mówił o kablach, kiedy z nim rozmawiałem — zauważył Zyzio przyglądając się natrętnie dziewczynie.

Zdenerwowało to człowieka z bródką.

— Dlaczego tak gapisz się na tę panią?

W odpowiedzi Zyzio podszedł jeszcze bliżej do dziewczyny i oświadczył:

— Ja panią chyba już gdzieś widziałem.

— To pomyłka — odparła dziewczyna.

— Pani szukała mieszkania swojego dziadka. Pytała pani o niego. Rozmawialiśmy przecież niedawno. Była pani z walizką. Pani dotąd nie wyjechała?

— Nie wiem, o kim mówisz — dziewczyna potrząsnęła swoimi pięknymi włosami, odwróciła się plecami do Zyzia i zabrała się z powrotem do swojej pracy.

Człowiek z bródką też się zabrał. Ale nie pracowali już długo. Po trzech minutach zwinęli taśmę i odeszli. Zyzio kazał nam zostać, a sam ruszył za nimi. Wrócił po krótkiej chwili.

— Odjechali samochodem Fiat 125p — powiedział podniecony. — Zapisalem numer rejestracyjny.

— Myślisz, że ta dziewczyna... to... to naprawdę ta sama, co wtedy...

— Nie poznałeś jej?

— Tamta miała czarne włosy i krótkie.

— To nic nie znaczy u kobiet — rzekł Zyzio z miną znawcy. — Farbują włosy i noszą różne peruki. — A potem zmarkotniał i mruknął zawstydzony: — Daliśmy się wtedy strasznie nabrać!

— I myślisz, że ona na pewno...

— Nie ma wątpliwości. To oszustka.

— Falszywa wnuczka czy fałszywa asystentka od pomiarów?

— Jedno i drugie. I ten facet, co był z nią, też oszust! Że ja się dałem nabrać na jej niewinne oczy! Ja zawsze dam się nabrać na niewinność.

— To znaczy, że jesteś typem opiekuńczym — stwierdziłem ironicznie, ale on nawet nie zauważył mej ironii.

— Jak ktoś gra rolę nieporadnego cielęcia i ofiary losu, mięknie od razu — westchnął ciężko, choć chyba niezupełnie szczerze. — Całe szczęście, że jeszcze nie wszyscy o tym wiedzą, bo każdy robiłby mnie w konia jak ona... Wyciągnęła ze mnie wszystko, co chciała. Przyszła wtedy umyślnie na przeszeptanie, a mnie się żal zrobiło...

— Nie kłam! — przerwałem. — Po prostu ci się spodobała. Jakby miała dłuższy nos, albo pryszcze, nic byś jej nie powiedział.

— Nieważne — przerwał zniecierpliwiony Maciek. — Grunt, że mamy nowych podejrzanych.

— To prawda, kolekcja się wzbogaciła — dodał Kleksik.

— Zarówno faktów, jak ludzi...

— Ale to nie posuwa sprawy naprzód, to ją tylko zaciemnia — zauważyłem sceptycznie. — Robi się z tego galimatias.

— Na następnej przerwie spróbujemy to trochę uporządkować — powiedział z animuszem Zyzio. — Dokonamy analizy sytuacji i rozważymy, co robić dalej. Czas przejść do ofensywy... Ale co, warto było założyć ten posterunek kontrolny — uśmiechnął się zadowolony pod nosem.

**ROZDZIAŁ XIII**  
**— AWARAMISY**

**Analiza przebiegła sprawnie.**

Zyzió wyciągnął z teczki „M” i „P” wszystkie zapiski i skonfrontował je z notatkami w swym kieszonkowym kalendarzyku.

— Wymienię po kolei wszystkie osoby podejrzane — zaczął. — Najpierw te, które widzieliśmy, potem te, o których tylko słyszeliśmy, oczywiście z wyjątkiem Bambosza i Pelmana, którzy też są podejrzani, ale nam chodzi o tych innych...

Otóż osoby podejrzane, które widzieliśmy osobiście, są następujące:

1. Mariusz (widziany przez Kleksika),
2. Fredek (widziany przez mnie),
3. Pigmej (widziany przez Tomka),
4. dziewczyna w dzinsach podająca się za wnuczkę Zakally (widziana przez nas wszystkich),
5. facet z bródką, podający się za „kablarza” z budowy (widziany przez nas wszystkich).

Osoby podejrzane, o których tylko słyszeliśmy, są następujące:

1. Jaksza (wspomniany przez Mariusza),
2. Trener, który był szyprem (wspomniany przez Pigmeja),
3. magister Pakosz (wspomniany przez panią Szykowską). Co wiadomo o tych postaciach?

Mariusz i Fredek namawiali Bambosza do udziału w nieznanym nam interesie i do finansowania tego interesu.

Pigmej przybył w imieniu osobnika zwanego Trenerem. Trener ma chyba coś wspólnego ze sportem, a także z morzem i żegluga. Jako znak rozpoznawczy służyły słowa: „Pływamy razem do końca”, oraz bardzo dziwna główka lalki.

— Zastanawiałem się nad tą główką — wtrącił Olo. — To może być spreparowana ludzka głowa. Trofeum „łowców głów” znad Amazonki. Ja oglądałem w telewizji taką główkę...

Gnat zbył milczeniem tę uwagę i ciągnął dalej:

— Wynika z tego, że Bambosz znał Trenera, i to od dawna. Coś ich łączyło.

**Hipoteza**

**A:** pływali kiedyś na tym samym statku, byli marynarzami. Hipoteza

**B:** pływanie ma znaczenie przenośne, łączyły ich jakieś inne wspólne sprawy, interesy, może przestępstwa. Że Bambosz był zamieszany w jakieś niejasne interesy, świadczyłaby także wzmianka Mariusza o kombinacjach Bambosza z Jakszą, jakimś ciemnym typem, o którym nic nie wiemy. Ogólna hipoteza dotycząca Trenera: Trener namawia Bambosza do podjęcia na nowo współpracy, przedstawia mu jakąś kryminalną propozycję. Przyjmijmy, że jest to hipoteza nr 1. Pytanie brzmi: co to za propozycja? A teraz dziewczyna w dzinsach, nadajmy jej kryptonim Dżinsula. To zupełnie inna postać. Nie zależy jej na kontakcie z Bamboszem. Natomiast interesuje się rzeczami po zmarłym antykwariuszu Zakalle. A więc hipoteza nr 2: w rzeczach antykwariusza był jakiś ważny lub cenny przedmiot, Dżinsula chce go odnaleźć i zapewne przywłaszczyć. Dlatego zbiera informacje. Pytanie brzmi: co to za przedmiot? Dzisiaj wystąpiła razem z innym podejrzany, którego nazwaliśmy „Kablarzem”; dokonywali pomiarów na podwórzu szkolnym, w miejscu gdzie niedawno była budowa...

— I gdzie przedtem stała rudera z antykwariatem antykwariusza Zakally — uzupełniłem oglądając sobie paznokcie.

Moja spokojna uwaga zrobiła silne wrażenie na Zyziu i na obu panach K.

— Zupełnie zapomniałem — wymamrotał Zyzió. — A to rzuca przecież zupełnie nowe światło...

- Pamiętaj o tej plotce, że Zakallo zakopał coś przed swoją śmiercią w okolicy szkoły — powiedziałem.
- Pamiętam, ale tu może chodzić także o coś więcej. Antykwariusz mógł ukryć coś na terenie swojej bylej posesji jeszcze przed przeprowadzką...
- I myślisz, że zapomniał zabrać przed wyburzeniem domu? Niemożliwe.
- Z pewnością nie zapomniał, ale może nie mógł, bo... — Zyzio zawahał się i urwał.
- No, mów!
- Może ktoś ukradł mu plany, a bez dokładnego oznaczenia miejsca nie potrafił niczego odnaleźć...
- Mało przekonywające.
- A jeśli to był rodzaj labiryntu, albo jakiś specjalny skomplikowany sposób ukrycia, wymagający znajomości szyfru? — Zyzio gorączkował się coraz bardziej.
- Ponoś cię fantazja, stary — powiedziałem. — Wróćmy lepiej do naszych drogich podejrzanych. Kolej na magistra Pakosza.
- Moja hipoteza jest taka — powiedział Gnat. — Pakosz zna tajemnicę Pelmana i próbuje małego szantażu, grożąc Oberonowi skandalem.
- Ja mam inną. Pakosz chce wykorzystać zdolności Pelmana, chce, żeby Pelman pracował dla niego. Zapewne chodzi o jakiś wynalazek z dziedziny chemii. Dlatego chce odebrać Pelmana szkole, chce go skompromitować, rozpuszcza o nim plotki, straszy Oberona, robi wszystko, żeby Oberon pozbył się Pelmana.
- Dobra — powiedział Zyzio. — Zanotujemy obie hipotezy jako hipotezę nr 3a i nr 3b.
- Jeszcze Mariusz i Fredek — przypomniał Kleksik. — Zapomniałeś przykleić do nich jakąś hipotezę.
- Nie zapomniałem — odparł Zyzio. — Po prostu chwilowo nic się do nich nie klei. Za mało faktów.
- Ale może to być główny trop...
- Albo ślepy. W śledztwie większość tropów prowadzi zwykle donikąd. Musimy się zawsze z tym liczyć.
- Jednakże...
- Dosyć. Nie mamy czasu na jałowe rozważania. Czas przystąpić do wyznaczenia zadań... — podniósł głos Gnat. — Na podstawie przeprowadzonej analizy każdy z nas otrzyma konkretne zadanie...
- Za wcześnie urwałeś dyskusję — powiedziałem. — A ja mam bardzo ważny meldunek.
- No, to melduj!
- Opowiedziałem krótko, ale sugestywnie o zainteresowaniu woźnego Macocha awaramisami.
- Co to są awaramisy? — zapytał zdziwiony Zyzio.
- Kolekcja wschodniej, chyba arabskiej biżuterii.
- I mówisz, że to wisi w naszym muzeum?
- Leży. W specjalnej gablocie. Nie widziałeś? W sali kultur Bliskiego Wschodu.
- Nie byłem.
- Nie byłeś nigdy w muzeum? — zapytałem szyderczo.
- Tylko w części wojskowej, tam gdzie jest broń, stare mundury i wyposażenie żołnierzy.
- Wstydź się, ty, redaktor naczelny i znany teoretyk?
- Nadrobimy to jeszcze dzisiaj. Nakładam na siebie i na ciebie zadanie nr 1 — wycodził z uśmiechem Gnat — zaraz po lekcjach zasuujemy obejrzeć te awaramisy.
- Uważasz, że to takie ważne?

— Piekielnie ważne. Skoro Bambosz zainteresował się akurat nimi... Ten klocek bardzo by nam pasował do naszej lamiglówki. Takie klejnoty chyba są warte miliony.

— Nie podejrzewasz chyba, że propozycja Trenera, to właśnie...

— Skok na te awaramisy? Czemu nie?

— I do tego koniecznie byłby potrzebny Trenerowi Bambosz? Myślisz, że to taki niezastąpiony fachowiec w tej branży? Stary rabuś? Specjalista od sejfów? Włamywacz wyższej rangi?

— Czemu nie. Co ty właściwie wiesz o Bamboszu?

To prawda. Wiedzieliśmy bardzo mało. Umilkłem więc zakłopotany. Zyzio przyglądał mi się podejrzliwie.

— Jeśli nie robisz mnie w konia z tymi awaramisami, to będzie bomba! A może wyssałeś wszystko z palca?

— Nie mam zwyczaju ssać palców — odparłem.

— I twoja mama tak ci normalnie powiedziała?

— Niezupełnie normalnie. Miałem przykrość w domu.

— Rozprawa?

— Sądowa. Najpierw byłem oskarżony i mama mnie przesłuchiwała, a potem ja przesłuchiwałem mamę.

— Ty?

— Zgodziła się, żebym ją przesłuchał w charakterze świadka. Mama jest ławnikiem i traktuje bardzo poważnie rozprawę. Musiała zeznawać, skoro ją powołałem na świadka. I właśnie w ramach tych zeznań wydobyłem od niej tę wiadomość, a ona wydobyła ją przedtem od pani Szykowskiej. Proponuję, abyś wpisał do odpowiedniej książki odpowiednie podziękowanie dla mnie za dostarczenie wiadomości istotnej dla prowadzenia badań nad naturą Bambosza.

Zyzio chrząknął nerwowo.

— Niepotrzebnie się upominasz. I tak wpisałbym.

— No, nie wiem. W każdym razie chciałbym, żebyś na następnej naradzie odczytał głośno ten wpis.

— Skończyłeś?

— Dziękuję, skończyłem. Możesz przejść do zadania nr 2.

Zyzio spojrział na mnie ze złością i zasapał:

— Zadanie nr 2 powierzam Kękusiowi. Twój stryjeczny brat jest filarem klubu sportowego i na pewno zna różnych ludzi związanych ze sportem... — zwrócił się do przejętego Maćka. — Wyniuchasz więc, czy mieszka w naszym mieście albo czy mieszkał trener, który był szyprem lub choćby zwykłym marynarzem albo rybakim morskim, dowiesz się, jak wygląda i jak się nazywa. Powinien być mniej więcej w wieku Bambosza... Czy wszystko jasne?

— Tak jest — powiedział Kękuś.

— Zadanie nr 3 to będzie zadanie dla Kleksika. Obejrzyj sobie, stary, wszystkie rzeczy, które dawniej należały do pana Zakalły, a które teraz znajdują się w szkole. Obejrzyj dokładnie i obszukasz, czy nie ma tam czegoś schowanego. W grę wchodzi kolekcja wypchanych zwierząt i ptaków oraz meble. Tu masz spis — Gnat wręczył Ołowi kartkę. — Dla pewności zapytaj jeszcze panią Stypułkowską od przyrody i Chrząszcza. Chrząszcz i jego ludzie pomagali przenosić te rzeczy. .. To byłoby wszystko, jeśli chodzi o sprawy bieżące. Zrobiliśmy chyba krok naprzód. Zrobilibyśmy większy, ale wciąż nie mamy dojścia do Bambosza...

— Ciągłe jest taki podejrzliwy! — westchnął ponuro Kękuś.

— On nas po prostu nie znosi! — pociągnął nosem Kleksik.

— To nic, jego pies za to nas lubi — zauważyłem z uśmiechem.

— Właśnie — podchwycił Zyzio — chciałem wam powiedzieć, że kiedy ta bestia pożarła mi bulkę, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Słuchajcie! Wykorzystajmy tego psa!

Przez niego zbliżymy się do Bambosza. Krótko mówiąc, panowie, ja stawiam na psa! Ten pies powinien się sprawdzić. Jutro z samego rana zasuwamy do Bambosza z psią konfekcją...

— Konfekcją? — przerwałem zdziwiony.

— Konfekcją i galanterią. Olo ma w domu obrożę z czerwonej skóry po jamniku i smycz, powinny się nadać. Kwękacz przynosi psią szczotkę, a ja gumową kość i pożywkę dla psów „Huckleberry Dog Dinner”.

Zaniemówilem.

Gnat uśmiechnął się zadowolony.

— Oslupiałeś, widzę. Bambosz tym bardziej powinien oslupieć. O to nam właśnie chodzi. Po osłupieniu przyjdzie odprężenie.

— Albo podrażnienie.

— Nie. Jeśli Bambosz jest choć trochę kynologiem, to rozładuje atmosferę...

— I pójdziemy wręczać to wszyscy? — zapytałem dręczony niepokojem.

— No... niezupełnie — oznajmił Gnat — postanowiliśmy, że ty to wręczysz.

— Ja?! — przeraziłem się. — Dlaczego ja?! Chcecie mnie wrobić?

— Ty masz najpoważniejszą twarz — oświadczył Gnat.

— Poza tym Bambosz wie, że jesteś synem okulisty — pociągnął nosem Klek-sik — słyszałem, jak rozmawiał z kucharką, że musi zmienić okulary i kucharka poleciła mu twojego tatę! Więc... więc nie odważy się chyba...

— Ależ słuchajcie... — zacząłem rozpaczliwie, lecz jak na złość zadzwieczał dzwonek i te lotry czmychnęły skwapliwie do klasy.

Zaraz po piątej lekcji poszliśmy z Zyziem do muzeum. Mieliliśmy szczęście. Pod muzeum stał autokar z rejestracją warszawską. Na marmurowych schodach kłębiła się liczna grupa gości na tyle ważnych, że sam kustosz Gołabek witał ich u wejścia, a następnie osobiście poprowadził do sal muzealnych. Przyłączyliśmy się z głupia frant do tej grupy. Dzięki temu mogliśmy słuchać objaśnień kustosza, który cieszył się sławą nie tylko wybitnego znawcy historii i sztuki, ale i znakomitego gawędziarza w dawnym, dobrym stylu. Niestety, wiele jego objaśnień puszczałyśmy mimo uszu, gdyż nasze myśli pochłaniały bez reszty awaramisy. Wreszcie po kwadransie, który dłużył nam się nieskończenie, przeszliśmy z całą grupą do sali z awaramisami. Umieszczone były pośrodku sali w szklanej gablocie. Rzeczywiście robiły imponujące wrażenie, zarówno kunsztem roboty jubilerskiej, jak i bogactwem zdobiących je drogocennych kamieni, rubinów, szmaragdów, szafirów i oczywiście brylantów o wspaniałych iskrzących szlifach. Każdy z klejnotów leżał na osobnej aksamitnej poduszce. Przy gablocie widniał ich spis. Jak wynikało z niego, w skład kolekcji wchodziły następujące precjoza: diadem, naszyjnik, dwa kolczyki, brosza, dwie bransolety, dwa pierścienie duże, dwa pierścionki małe oraz sygnet.

Jak wynikało z barwnych wyjaśnień kustosza klejnoty te pochodziły prawdopodobnie z wieku dziesiątego i wykonane były w Bagdadzie, na zamówienie kalifa. Nazywano je także klejnotami śmierci, ponieważ wielu ich kolejnych właścicieli zginęło w wypadkach losowych lub umarło przedwczesną śmiercią. To było między innymi powodem, że klejnoty przechodziły dość często z rąk do rąk, stawały się przedmiotem handlu, a także grabieży. W początkach siedemnastego wieku były własnością pewnego baszy tureckiego, który dostał się do niewoli polskiej podczas strasznej bitwy pod Chocimiem. Za wykup z niewoli przekazał on stolnikowi sandomierskiemu Bogusławowi Jelenieckiemu całą kolekcję, nie uprzedzając go wszakże z zemsty o śmiercionośnych właściwościach klejnotów. Mimo to przez sto lat nikogo z rodziny Jelenieckich nie dosięgła zemsta baszy, ponieważ klejnoty były przechowywane w skarbcu i żaden z domowników nie miał z nimi bezpośredniej styczności. Dopiero August Jeleniecki, zwany Rozpustnym, wydobyl klejnoty z ukrycia i podarował je kurtyzanie Augusta II Sasa, z którą miał potajemnie romans, niebawem zresztą poślubił ją. Nieszczęsna zmarła w trzy tygodnie po ślubie. Odtąd dziwne choroby i przedwczesne zgony dziesiątkują nieszczęsną rodzinę. Wreszcie po powstaniu styczniowym na znak żałoby ordynat Dominik

Jeleniecki zamyka z powrotem awaramisy w skarbcu w podziemiach wieży pałacowej i pokazuje je tylko co znakomitszym gościom podczas ważnych uroczystości rodzinnych.

Niestety, w okresie międzywojennym hulaszczy tryb życia, a zwłaszcza namiętna pasja podróży, jaka rozplenila się w rodzie Jelenieckich, i obsesja polowań w krajach tropikalnych doprowadziły do ruiny finansowej rodziny. Po cichu, poszczególne egzemplarze kolekcji były sprzedawane. Ostatni z ordynatów miał już tylko w posiadaniu dwa duże pierścienie z żółtymi kamieniami.

— A zatem ta kolekcja, którą tu widzimy — wyrwało się nagle Zyziowi — ta kolekcja nie jest... — urwał speszony karcącymi spojrzeniami gości.

Kustosz Gołabek uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Oczywiście ta kolekcja, którą oglądamy w gablocie, to tylko doskonała imitacja — powiedział. — Należy wątpić, czy choć jedna sztuka z tej kolekcji zachowała się w naszym kraju. Nie żyją już także ci, którzy widzieli na własne oczy oryginały. Ostatni z nich, znany niegdyś w naszym mieście antykwariusz pan Zakallo zmarł niedawno. Pozostała po nim obszerna relacja z jego ostatniego spotkania z awaramisami. Jej istotne fragmenty mogą państwo odczytać na ścianie tej sali, o tam, na tablicy — wskazał.

Korzystając z tego, że większość gości wolala dalej oglądać „doskonałą imitację” awaramisów w gablocie odczytaliśmy spieszenie powiększoną fotokopię relacji Zakallo, licząc na to, że znajdziemy tam coś, co pomoże nam w rozwikłaniu tajemnicy.

„Ordynat zjawił się u mnie — pisał Zakallo — tuż przed wigilią Świąt Bożego Narodzenia w 1940 roku, w parę tygodni po tym, jak władze hitlerowskie wypędziły go z majątku. Przyniósł z sobą dwa złote pierścienie z żółtymi kamieniami, oświadczył, że są to ostatnie egzemplarze z jego rodowej kolekcji awaramisów i prosił o ich oszacowanie. Po oględzinach i dokonaniu odpowiednich prób stwierdziłem, że pierścienie te należą istotnie do oryginalnej kolekcji klejnotów arabskich zwanych awaramisami. Kamienie w obu pierścieniach zidentyfikowałem jako hiacynty, niespotykanej dziś czystości. Były one osadzone w gniazdach ze stopu metali szlachetnych z nieznacznymi domieszkami innych metali trudnych do rozpoznania. Oświadczyłem ordynatowi, że klejnoty te mają prócz wartości jubilerskiej wartość trudno wymierną, historyczną i antykwaryczną wartość zabytku, i uchyliłem się od podania jakiegokolwiek ceny. Gdy jednak klient nalegał odparłem, że ich wartość antykwaryczna przewyższa co najmniej dziesięć razy wartość jubilerską, a bogaty kolekcjoner na światowym rynku w normalnych czasach musiałby za nie zapłacić co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Ale my nie żyjemy w normalnych czasach i w tym mieście nie ma bogatych kolekcjonerów, natomiast mnie i moim dzieciom jeść się chce — odparł ordynat.

— Niech pan hrabia raczej wyjdzie na ulicę i żebrze, a nie pozbywa się tych pierścieni — ja na to. — To bezcenne unikaty.

Co się dalej stało z awaramisami, dokładnie nie wiem, mogę się tylko domyślać, ponieważ ordynat nie tylko nie wyszedł na ulicę i nie żebrał, ale wyprawił nadzwyczaj sute jak na czasy okupacji święta...”

Nie mieliśmy czasu czytać dalej, ponieważ kustosz zabrał wycieczkę do muzeum sportu. Była to wyjątkowa okazja, ponieważ muzeum sportu było w reorganizacji i od zimy nie wpuszczano tam żadnych gości.

— Zrobimy dla państwa wyjątek — powiedział życzliwie kustosz. — Są między państwem dziennikarze z Warszawy i zależy nam, aby napisali w prasie centralnej o nas, tym bardziej, że nasze muzeum sportu należy do najlepiej wyposażonych w ekspozyty w skali całego kraju. Przy sposobności obejrzą państwo wystawę p.t. „Nie kostium robi sportowca”.

W drzwiach pojawił się czerstwy, opalony mężczyzna koło sześćdziesiątki, ubrany z nieco przestarzałą elegancją, miał przystojną, aczkolwiek nieco zwiędłą, jakby zgorzkniałą twarz i kędzierzawe siwe włosy.

— Panie Wojciechu — zwrócił się do niego kustosz. — Pan będzie łaskawy zaopiekować się naszymi gośćmi z Warszawy i zaprezentować wszystko, co mamy do pokazania.

— Proszę za mną! — pan Wojciech ochoczo poprowadził wycieczkę i wtedy zauważyliśmy, że nieco utyka na nogę, choć porusza się nader sprężyście i sprawnie, a jego gibka sylwetka zdradza długotrwałą zaprawę sportową...

— Najpierw parę słów z historii sportu — zaczął. — Otóż w sensie historycznym pojęcie kostiumu, to rzecz bardzo względna... Na przykład na starożytnych olimpiadach greckich zawodnicy występowali całkiem nago...

Z ciekawości wysunęliśmy się do przodu i to był błąd. Bystre oko pracownika muzeum sportu wyłowilo nas od razu.

— Co wy tu robicie? Wy nie jesteście z tej grupy. Proszę mi natychmiast wyjść! To nie jest wersja dla młodzieży! — pan Wojciech energicznie wypędził nas z sali.

Na ulicy zrobiliśmy małe podsumowanie wizyty.

— Mamy jeden nowy element — powiedział Zyzio. — Już teraz wiemy na pewno, że antykwariusz Zakalło zetknął się z oryginalnymi awaramisami.

— Mamy także drugi — dodałem. — Odpada wersja o planowanej kradzieży awaramisów z muzeum. Wiemy już, że kolekcja wystawiona w gablocie, to tylko zręczna imitacja.

— Co z tego wynika? — zapytał Gnat.

— Praktycznie niewiele.

— Wynika bardzo dużo — rzekł zamyślony Zyzio — jeśli przyjmiemy, że antykwariusz kłamał.

— Jak to kłamał?!

— Pamiętaj, że miał te bezcenne klejnoty w ręce, że oglądał je przez dłuższy czas, wsadzał pod lupę, poddawał próbom, badał...

— Sądzisz, że mógł zręcznie manipulując...

— Wiele rzeczy mogło się zdarzyć. Czy nie przyszło ci na przykład do głowy, że antykwariusz sam mógł je kupić od ordynata, kupić albo przyjąć w zastaw...

— Lecz w takim razie nie jest wykluczone, że miał je przy sobie do śmierci...

— Tak. I że do dziś znajdują się ukryte gdzieś w szkole — dokończył Zyzio.

Spojrzeliśmy sobie w oczy, po raz pierwszy chyba tak poważnie. Ale też i sprawa zaczęła być diabelnie poważna.

— Nikomu ani słowa o tej hipotezie — wyszeptał Zyzio.

— Nawet Kleksikowi i Kękusowi?

— Nawet im na razie. Róbnmy wszystko dalej jak dotąd. Nikt nie powinien poznać, że coś wiemy, że czegoś się domyślamy. Trzeba wzmóc dodatkowo kontrolę w szkole i nie spuszczać ani na chwilę oka z Bambosza...

— Nasadzę na niego Matyldę — powiedziałem. — Będzie za nim chodziła z aparatem jak cień, jeśli zgodzisz się zamówić większą ilość zdjęć... cały reportaż „Życie prywatne Bambosza”.

— Dobrze, daję ci wolną rękę. Niech Matylda działa, byle tylko nie pętała mi się po redakcji.

Spojrzałem na niego ciężko.

Spod muzeum pobiegłem bezpośrednio do chaty, choć Gnat namawiał mnie, żebyśmy rozegrali parę pilek na kortach. O tej porze jest pusto i warto poćwiczyć trochę, bo nasz dystans od Fibaka powiększa się z każdym dniem: wskutek tej sprawy z Bamboszem zaniedbaliśmy zupełnie nasze obowiązki sportowe. Tak mówił Gnat, a ja przyznawałem mu rację. Pamiętałem jednak, że tego dnia czeka mnie jeszcze spotkanie z Madzią, i że będę musiał w związku z tym uśpić czujność mamy, a zatem w żadnym wypadku nie powinienem spóźnić się na obiad. Udało mi się zdążyć punktualnie na trzecią, co było rzeczywiście rekordem ostatnich dni. Nadto ku miłemu zdziwieniu mamy zjadłem potulnie i bez

jakichkolwiek uwag krytycznych mdle siekance w obrzydliwym sosie, których szczerze nie znoszę i zawsze „rosną mi w ustach”, a potem udałem się do mojego pokoju i umyślnie głośno (aby słycać było przez drzwi) recytowałem „Drzewo rozpaczające” oraz „Bagnet na broń” Broniewskiego aż do godziny piątej. A o godzinie piątej, gdy Broniewski uśpił już zupełnie czujność mamy — prysnąłem... Udałem się do Zakładu Pogrzebowego „Trumna”.

Zakład Pogrzebowy „Trumna” miał niegdyś fatalną opinię w naszym mieście. Już sam wygląd zewnętrzny siedziby Zakładu źle działał na nerwy przyszłych jego użytkowników: odrapane mury, powybijane szyby. Zresztą wszystko tu było poniżej wszelkiej krytyki: zdezelowany sprzęt i zdemoralizowany personel, brudne, trzeszczące i dziurawe karawany, które gubiły po drodze ładunek, nie domyci i nie goleni, za to stale podgazowani karawaniarze o szczeciniastych gębach, pełnych spróchniałych zębów i plugawych słów, wieńce przypominające raczej wytarte chomąta końskie, trumny źle zbite i rozeschnięte, ze szparami tak wielkimi, że nieboszczyki mogli z łatwością obserwować przez nie przebieg uroczystości żałobnych, a nawet wysuwać palce... Gdyby mogli w dodatku pukać w trumny, wyraziliby niewątpliwie choć w ten sposób swoje zaniepokojenie poziomem usług przedsiębiorstwa, a gdyby mogli uciekać, porzuciliby z ulgą kondukt, demonstrując swój namiętny protest; niestety, z powodów zasadniczych nie mogli tego uczynić. Spółdzielnia karawaniarzy wiedziała o tym doskonale i bimbała sobie z nieszczęśników i z ich rodzin, pokrywając milczeniem swe karygodne zaniedbania. Za to tym głośniej krzyczały gawrony i kawki krążące posępnie nad Zakładem w groźnych, zbitych gromadach. Mówiono, że to duchy zmarłych, uskarżających się na sposób potraktowania ich przez spółdzielnię i żądających zwrotu pieniędzy za nieudane pogrzeby. Lecz znacznie większe wrażenie robiły inne pogłoski. Mianowicie, jak przysięgało wielu niedoszłych klientów, Zakład miał nadto w środku duchy etatowe, które straszyły wieczorami. Istotnie, nietrudno było sprawdzić, iż po zamknięciu Zakładu i wygaszeniu światła dzieją się tam rzeczy niesamowite. Przechodnie słyszeli wyraźnie podejrzane brzęki, ni to łańcuchów, ni to szkła, ciężkie westchnienia, czkawkę, diabelskie chichoty oraz inne efekty dźwiękowe, które wrażliwszych mogły przyprawić o atak serca. Dopiero dr Gołąbek, prezes Ligi Ochrony Moralności i Porządku w Odrzywołach, po przeprowadzeniu wnikliwej wizji lokalnej wykazał, że duchami byli karawaniarze, którzy po bardziej dochodowych pogrzebach urządzali sobie w Zakładzie po ciemku libacje. To jeszcze bardziej popsuło opinię Zakładowi. Doszło do tego, że starsi mieszkańcy naszego miasta przy pomocy specjalnej klauzuli w testamencie zakazywali wręcz grzebania ich przez przedsiębiorstwo „Trumna”. Utargi zmniejszały się z dnia na dzień, nastąpił masowy odpływ klientów do konkurencyjnego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego „Wiekuiście”, które gwarantowało skromne wprawdzie, lecz bardziej solidne usługi.

Ostatnim pogrzebem był pogrzeb głównego księgowego Zakładu, który po kontroli ksiąg finansowych, w przypływie silnej depresji, zażył dużą dawkę środków uspokajających, położył się do trumny i usnął. Karawaniarze widząc ciało w trumnie, przybili wieko i załadowali trumnę na karawan. Niestety był to pogrzeb nieudany. Po przybyciu na cmentarz okazało się bowiem, że nieboszczyk opuścił trumnę. Jak stwierdziło śledztwo, wstrząsy źle resorowanego karawanu zbudziły księgowego. Mimo słabej kondycji zdołał rozwalić trumnę i, zapewne zrażony niewygodą transportu, zrezygnował z pogrzebu ulatniając się dyskretnie i potwierdzając raz jeszcze opinię o niskiej jakości usług oferowanych przez Zakład Pogrzebowy „Trumna”.

Po tej kompromitującej hecy pogrzeby ustały całkowicie. Klienci odpłynęli do konkurencyjnego przedsiębiorstwa „Wiekuiście”. Nastąpił ostateczny upadek Zakładu Pogrzebowego „Trumna” i koniec ponurego dramatu zatrudnionych tam ludzi. Ostatni kierownik Zakładu, włożywszy sobie na szyję ostatni żałobny wieniec, powiesił się na ostatniej szarfie żałobnej. Niestety tandetna szarfa pękła i kierownik zamiast zakończyć honorowo życie, doznał tylko szoku i został przewieziony do szpitala. Razem z nim, aczkolwiek do oddziału odwykowego, odwieziono dwu ostatnich karawaniarzy.

Wszystkie te fakty podaję na odpowiedzialność naszej kucharki szkolnej, pani Antosi. Usłyszałem je podczas skrobania ziemniaków, gdy miałem dyżur w kuchni. Biedna Antosia zawsze miała kłopoty z wymyślaniem nowych potraw, toteż sądzę, że nie mogłaby wymyślić także i tych rzeczy.

Faktem jest, że Zakład był zamknięty przez wiele miesięcy. Odrodził się dopiero ubiegłej jesieni, lecz w całkowicie nowej, jakże wspaniałej postaci, zupełnie jak mityczny feniks. Ponowne otwarcie Zakładu poprzedziła fama, iż jego dyrekcję ma objąć wybitny specjalista w branży, pan Cezary Opat. Wszyscy łączyli duże nadzieje z pojawieniem się w naszym mieście tak znakomitego fachowca i nie zawiedli się. Cezary Opat zaczął swą działalność od radykalnych reform. Pierwszą z nich było dalsze uspołecznienie Zakładu i przekształcenie go ze Spółdzielni Pracowników w Spółdzielnię Pracowników i Użytkowników. Wkrótce wszyscy mieszkańcy naszego miasta stali się członkami tej pożytecznej spółdzielni. To właśnie dzięki panu Opatowi miasto nasze po dłuższym okresie przerwy znów zostało pokazane w magazynie DTV w reportażu p.t. „Miasto wzorowych pogrzebów — Odrzywoły”. Po okresie indolencji, zastoju w interesie, nieporządków, brudów, odrapanych karawanów i gorszych dramatów osobistych karawaniarzy, o których wspomniałem wyżej — Zakład Pogrzebowy „Trumna” wszedł w okres świetności i stał się nie tylko najbardziej sprawną, lecz także najbardziej wykwinną placówką usługową w naszym mieście.

Oczywiście sprawiał mi przyjemność fakt, że Madzia jest córką tak znakomitego kierownika tej placówki, ale w głębi ducha zastanawiałem się, ile w pochwałach pod jej adresem jest grzecznościowej przesady i być może celowej reklamy. Próbowałem to zbadać. Nieraz umyślnie zbaczałem z drogi wracając ze szkoły, aby przejść koło Zakładu, nigdy jednak nie zdołałem przeniknąć do środka. Onieśmiał mnie atletyczny osobnik w fioletowo-czarnym mundurze funkcjonariusza Spółdzielni czujnie dyżurujący u wejścia. Toteż tym razem szedłem pełen emocji i dziwnych przeczuc...

Zauważyłem z daleka, że budynek Zakładu został świeżo odnowiony. Wbrew tradycji pomalowano go na kolory jasne, optymistyczne i uspokajające nerwy, od niebieskiego, poprzez nostalgiczny fioletowy, aż do zielonego znamionującego nadzieję, zapewne zgodnie ze wskazaniami psychologa. Nad drzwiami wejściowymi zauważyłem zachęcający napis:

**WSTĄP I PODPISZ UMOWĘ WSTĘPNĄ!**

Skorzystaj z naszej usługi. To potrwa tylko chwilę, a ułożysz sobie sprawy na wieczność. Dla młodzieży szkolnej, żołnierzy i emerytów 50% zniżki.

Zrobiło mi się nieco wstyd, iż mimo tak korzystnej oferty jakoś nie zdobyłem się dotąd na zawarcie umowy wstępnej.

Spojrzałem jeszcze raz. Miałem wielką ochotę wstąpić, a jednak coś mnie powstrzymywało na progu... Napis zachęcał: „WSTĄP...” Zdusiłem niemądre obawy i... wstąpiłem.

ROZDZIAŁ XIV  
— POGRZEBY BEZ KŁOPOTÓW

W rześście oświetlonym hallu Zakładu uklonił mi się atletyczny funkcjonariusz w mundurze:

— Witamy pana... Pan wybaczy, że nie możemy załatwić pana od ręki, lecz chwilowo mamy klienta w przymierzalni. Zechce pan spocząć pięć minut w poczekalni i przejrzeć nasze prospekty.

Nim zdołałem coś wykrztusić zaskoczony tą uprzejmością, już wręczył mi kolorowe prospekty i ujął kościstą ręką za ramię.

— Proszę tędy — wprowadził mnie do małego salonu zastawionego wygodnymi miękkimi fotelami. — Pan spocznie...

— Przepraszam, aleja raczej w osobistej sprawie... — próbowałem wyjaśnić, lecz na nic to się nie zdało.

— Pan wybaczy — powiedział portier — ale jestem zbyt nisko ustawionym funkcyjnie funkcjonariuszem, bym mógł poruszać takie subtelne tematy. Zaraz podejdzie do pana psycholog Zakładu, który odbędzie z panem rozmowę wstępną.

Proszę odprężyć się i przejrzeć nasze prospekty.

Zrozumiałem, że muszę poczekać na nadejście psychologa i zabrałem się rad nierad do przeglądania prospektów.

Zdumiała mnie różnorodność form usług proponowanych przez przedsiębiorstwo: abonamenty pogrzebowe ze zniżką dla instytucji, skierowania ulgowe dla członków związków zawodowych, pogrzeby premiowe... „Wykup kartę uczestnictwa — zachęcał prospekt — a weźmiesz udział w losowaniach kwartalnych, za standartową opłatę możesz wylosować pogrzeb klasy S, a nawet pogrzeb klasy EXTRA”. Poniżej reklamowano atrakcyjne pogrzeby oszczędnościowe: zbiorowe, ryczałty rodzinne oraz szeroki asortyment trumien. Nowością Zakładu były trumny familijne dwu-, trzy- i czteroosobowe „szczególnie przydatne — jak głosił prospekt — dla ofiar rodzinnych kraks samochodowych, oraz tak zwane trumny towarzyskie”. „Jeśli całe życie byłeś towarzysko usposobiony, dlaczego masz nie spędzić w towarzystwie i tego czasu, który przyjdzie potem?” — zapytywał rezolutnie prospekt. Przyznam się, że nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Nie tylko nie mogłem znaleźć odpowiedzi, ale w dodatku zrobiło mi się zdecydowanie niedobrze. Dobra reklama to jednak diabelnie mocna rzecz. Chyba najbardziej te trumny rodzinne mi zaszkodziły. Tak, że nie zdołałem już dotrzeć do „wstępnych umów pogrzebowych”, które takim powodzeniem cieszyły się w naszym mieście, i z żalem odłożyłem prospekt. Minę musiałem mieć bardzo niewyraźną, bo osobnik w żałobnym fraku i cylindrze, który zjawił się w następnym momencie, pochylił się nade mną wyraźnie zatroskany. Zapewne był to ów zapowiedziany przez portiera psycholog Zakładu.

— Pan to ciężko przeżywa, jak widzę, ale głowa do góry, młody człowieku — rąbnął mnie serdecznie w plecy — pogrzeby nie są takie straszne, jak pan myśli. .. Wręcz przeciwnie. Nasz Zakład udowodnił światu, że pogrzeby mogą się stać przyjemnością. Zaręczam panu, że nigdzie w tym mieście klienci nie są tak kulturalnie, fachowo i życzliwie obsługiwani, jak w naszym Zakładzie. Czy pan wierzy, że niejednokrotnie nasi drodzy zmarli byli przedmiotem zazdrości ze strony gości pogrzebowych z tego właśnie powodu. To się wyraźnie malowało na ich twarzach, to można było wyczuć w ich wypowiedziach. Ja to potwierdzam autorytatywnie jako psycholog zakładowy. Jedynym mankamentem jest fakt, że nie można być przez nas dwa razy pochowanym, że posługa nasza jest ostateczna i raczej niepowtarzalna, gdyż znalazłoby się wielu klientów, którzy dla samej przyjemności zechcieliby repetować u nas, jeszcze raz powtórzyć ten niezapomniany obrzęd... Nie wiem, czy pan to docenia...

— Doceniam — powiedziałem pośpiesznie, aby przerwać nużące wywody psychologa — od dawna interesował mnie rozwój waszego przedsiębiorstwa. Zamieściłem nawet w gazecie reportaż z waszej pracy...

— Pan jest redaktorem w tak młodym wieku? — zdumiał się psycholog.

— Jestem redaktorem gazety szkolnej, która wisi na ścianie — wyjaśniłem.

— Znakomicie — powiedział psycholog — powiem szefowi, aby nawiązał z panem bliższy kontakt. Zbyt mało dotąd dziewcząt i chłopców podpisało z nami umowy wstępne... mimo oferowanych zniżek... zapewne z powodu wrodzonej beztroski młodzieży, lecz myślę, że pan podejmie na łamach swojego organu odpowiednią reklamę. Szef na pewno zaoferuje panu w zamian skierowanie ulgowe albo kartę uczestnictwa w losowaniu premiowym. Niech pan położy nacisk w następnym artykule na to, że najświetniejsze tradycje sztuki pogrzebowej łączymy z najnowszymi zdobyczami współczesności, dysponujemy wspaniałą płytoteką... najwspanialszymi nagraniami... sprzętem zmechanizowanym, wypożyczamy szalowe stroje żałobne, od mini do maxi, według ostatniego krzyku mody...

— Przepraszam pana — podniosłem się — ale my mówimy zupełnie nie na temat... To wszystko zupełnie mnie w tej chwili nie interesuje.

— A co pana interesuje? — uśmiechnął się łagodnie psycholog.

— Interesuje mnie Madzia.

Psycholog zaśmiał się, acz był to śmiech w tonacji grobowej, raczej stonowany i głuchy.

— Doskonale. O to mi właśnie chodziło, pan nie chce więcej mówić o pogrzebie ani myśleć...

— Mam tego dosyć — wyznałem szczerze.

— A zatem spełniłem swoją misję. Moim zadaniem jest uwolnić klientów od dręczących myśli.

— Ależ ja wcale się tym nie dręczyłem, to pan...

— Przepraszam, ale jako psycholog wiem lepiej, czym pan się dręczył. Te zgony w rodzinie... te pogrzeby...

— Dosyć już tego! — wykrzyknąłem.

— Coraz lepiej — ucieszył się psycholog — pan odrzuca stanowczo tę myśl!

— Odrzucam!

— Wyjątkowo szybko pana uwolniłem — zatarł ręce psycholog — czuje pan wstęt.

— Okropny — zasapałem — przede wszystkim do pana.

— To nie ma znaczenia. To nawet prawidłowe. A zatem... — popatrzył na mnie badawczo.

— A zatem co? — zaniepokoiłem się.

— A zatem jest pan gotowy do dalszej obróbki.

— Obróbki?!... Co to ma znaczyć?

— Niech pan się uspokoi, przekażę pana w ręce recepcjonisty.

— Ja nie chcę! Po co?! — przestraszyłem się. — Ja chcę do Madzi!

Chciałem uciekać, ale w tej chwili zgasło światło. Zapewne wszystkie moje reakcje zostały z góry przewidziane. W zupełnej ciemności, która mnie ogarnęła, widać było tylko jedno zielono-złote światełko, błyszczące gdzieś daleko jak gwiazda nadziei. Opanowałem się i rad nierad ruszyłem w kierunku tego światełka.

Po kilkunastu krokach dostałem się w strefę działania silnych prądów powietrznych. Co prawda to zmaganie wiatrów było raczej przyjemne i studziło skutecznie moją wzburzoną krew, ale coraz trudniej było iść. Nagle zrobiło się coś dziwnego. Zamiast jednego zielonego światełka, ku któremu się przedzierałem, zapaliło się wokół mnie chyba ze sto podobnych światełek. W zielonkawej poświacie ujrzałem, iż znajduję się w obszernym salonie wyścielonym puszystymi dywanami. Zapachniało żywicą — czy ten zapach wydzielają wiszące na ścianach wieńce? Ach nie, to tylko takie malowidła. A więc musi tu działać jakaś specjalna klimatyzacja.

Zza lady wysokiego bufetu w kącie wyłonił się szczupły mężczyzna o uduchowionej twarzy, w fioletowo-czarnym mundurze podobnym do tego, który nosił portier, ale bardziej strojnym, ze złotymi szamerowaniami. Był to zapewne mundur wyższej rangi.

— Proszę przyjąć wyrazy serdecznego współczucia — usłyszałem zwrócone do mnie słowa.

— Współczucia? Dlaczego? — zapytałem.

— Współczucia nigdy nie jest za mało w niedoli ludzkiej. Jak pana godność?

— Nazywam się Tomasz Okist.

— Syn okulisty Okista?

— Tak właśnie...

— Miło mi pana poznać. Jestem recepcjonistą Zakładu. Pan zapewne w sprawie transferu funeralnego?

Nie bardzo rozumiałem, co recepcjonista miał na myśli. Na wszelki wypadek zaprzeczyłem.

— Nie... ja tylko... — urwałem zmieszany, gdyż wobec tak dostojnego recepcjonisty poczułem całą niewłaściwość mojego wtargnięcia do tego Zakładu w sprawie czysto osobistej i nie związanej z jego zaszczytnym posłannictwem. — Ja... ja bardzo przepraszam... ale przyszedłem tylko do... Matyldy... — to ostatnie słowo wypowiedziałem tak cicho i wstydliwie, iż nie zostało zrozumiane, mimo nachylenia się życzliwego recepcjonisty w moją stronę.

— Rozumiem pana — rzekł łagodnym barytonem — słowa giną w ustach, żal ściska gardło. Postaram się jednak cierpliwie wysłuchać nawet słów wyduszonych ze ściśniętej krtani bądź wyjąkanych. Niech pan kontynuuje.

— Wolalbym...

— Pewne wyjaśnienia są niezbędne, byśmy mogli należycie obsłużyć pana oraz tę drugą osobę, która odeszła. Czy chodzi o odejście dobrej babuni?

— Niech pan da spokój, nie chodzi o babunię, niech pan posłucha...

— Przykro mi niewymownie, więc ktoś najbliższy? Tatuś? Mamusia? Czy, nie daj Boże... mam przygotować transfer obojga?

— Jak pan może? — oburzyłem się — moi rodzice są w najlepszym zdrowiu.

— A zatem ciocia? Wujek? Nie daj Boże, siostrzyczka?

— Niech pan przestanie! Nikt mi nie umarł.

— Nikt nie umarł? — w głosie recepcjonisty zadźwięczał zawód. — Zatem chodzi panu o pogrzeb premiowy...

— Jak nie w sprawie pogrzebu.

— Na razie nie — sprostował recepcjonista — niech pan ma na uwadze, młodzieńcze, kruchość naszego ciała i niepewność naszej kondycji.

— A więc na razie nie — zgodziłem się zniecierpliwiony drobiazgowością tego nudziarza w mundurze. — Pan jest nadmiernie życzliwy, usłużny i dociekliwy — dodałem krytycznie, nie zdołałem jednak ostudzić jego zapałów.

— W takim razie pan z pewnością w sprawie przymiarki — indagował mnie dalej.

— Przymiarki?! Co też pan! Chyba na to za wcześnie.

— Nigdy nic nie wiadomo — oświadczył recepcjonista — ale skoro pan nie do przymiarki to z pewnością pan dopiero w sprawie umowy wstępnej... Zechce pan spocząć...

— Nie mam zamiaru zawierać z wami żadnej umowy — wybuchnąłem.

— To przykre — w głosie recepcjonisty zadźwięczało już wyraźne rozczarowanie. Nie ulegało wątpliwości, że wyrządziłem zasadniczą przykrość temu nie wątpliwie wysoko kwalifikowanemu i usłużnemu funkcjonariuszowi.

— Naprawdę nie życzy pan sobie... — spojrzał na mnie z gorzkim wyrzutem — stanowczo nie?

Zrobiło mi się go żal.

— Stanowczo nie — powiedziałem — to znaczy na razie nie! — poprawilem.

Funkcjonariusz złagodniał nieco.

— To czego pan sobie życzy?

— Zobaczyć Madzie.

— Madzie?! — spojrzał na mnie nieprzychylnie, a ja zrozumiałem, że wyraziłem się niestosownie.

— Pannę Matyldę Opat — poprawilem.

— Aa — powiedział recepcjonista i spojrzał na mnie badawczo. — Czusiu, zaprowadź pana Tomasza Okista juniora do szefowej! — wydał dyspozycję, po czym zgasił światła.

Ładne rzeczy! Zamiast do Matyldy prowadzą mnie do szefowej! Podejrzewałem, że była to mama Matyldy.

Z ciemności wyłonił się ledwie widzialny Czuś. Zapachniało wodą kolońską „Mefisto” i dezodorantem „Faust”. Sprawna ręka chwyciła mnie delikatnie, lecz pewnie pod ramię i zostałem doprowadzony do szefowej. Przez chwilę staliśmy w korytarzu ozdobionym płomykami zapalających się i gasnących zniczów, zapewne elektrycznych, w każdym razie bardzo nowoczesnych.

Czuś pukał cierpliwie. Wreszcie z wnętrza rozległ się matowy kobiecy alt:

— Proszę!

Czuś wepchnął mnie do gabinetu.

— To jest pan Okist junior, Tomasz Okist — zameldował i wycofał się szybko.

— O — powiedziała pani Opatowa i spojrzała na mnie skrzywiona — więc ty jesteś

Okist.

— Tak, proszę pani.

— Twój ojciec jest lekarzem?

— Tak, proszę pani.

— Chirurgiem? — zapytała ciekawie.

— Tak.

— Chirurgia klatki piersiowej? Serce?

— Nie, proszę pani.

— Mózg?

— Nie.

— A więc operacje brzuszne. Woreczek, żołądek, jelita? Właśnie mnie boli woreczek — wyznała niespodziewanie.

— Nie, proszę pani, mój tatuś jest chirurgiem ocznym.

— Okulistą?

— Tak właśnie, proszę pani.

W oczach pani Opatowej pojawiło się wyraźne rozczarowanie. Na pewno wolała chirurgów operujących bardziej rozległe części ciała i dostarczających Zakładowi nieporównanie więcej klientów niż okuliści. A może chodziło jej o ten woreczek? Była jednak zbyt dobrze wychowana, by wyrazić swoje rozczarowanie w słowach.

— Okuliści też są potrzebni — zauważyła łaskawie.

— Pani jest bardzo uprzejma — powiedziałem — ale... ale ja tu właściwie do Madzi...

— Ooo! — pani Opatowa zwinęła usta w trąbkę i wydała tym razem bardzo zaokrąglone „o” — Ach, ta Matylda! — westchnęła głośno — za dużo ma zajęć, za dużo ma znajomych, stanowczo za dużo. Boję się, że wpadła w nieodpowiednie towarzystwo w tych okropnych Odrzywołach. Czy nie przyszło wam do głowy zmienić nazwę tego miasta?

— To jest nazwa historyczna — rzekłem urażony — od zbójców, którzy nie gdyś obdzierali tu woły.

— Zbójcy! I pewnie tu się roi od potomków tych zbójców.

— Nie bardziej niż gdzie indziej — rzekłem dotknięty — gdyby pani posłuchała, co na ten temat mówi prezes Gołąbek, kustosz naszego muzeum...

— Och, pan prezes Gołąbek sam mnie ostrzegał przed mętami i wyrzutkami tego miasta. Bardzo tu dużo wyrzutków — patrzyła na mnie podejrzliwie.

— Ja... ja nie jestem wyrzutkiem, proszę pani. Jestem kolegą Madzi.

— Z GRAFONU czy z FOTOBANDY? — zapytała.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

— Z FOTOBANDY?

— Więc z PELEFIKSU?

— Nie, proszę pani.

— A zatem jesteś z sekcji?

— Z jakiej sekcji?!

— Od razu powinnam się domyśleć. Jesteś po prostu z teki.

Sluchałem oniemiały.

— Z teki? Nie rozumiem, proszę pani...

Pani Opatowa uśmiechnęła się smutno.

— Pytam, czy jesteś z płytoteki, z filmoteki czy z taśmoteki, bo chyba nie z biblioteki ani pinakoteki.

— Więc Madzia... Madzia tam wszędzie bywa? — wybelkotałem.

— Niestety, mam poważne podejrzenia. A może właśnie z tobą?

— Nie... skądże... ja...

— Powiedziałeś, że jesteś kolegą Madzi.

— Tak.

— Więc skoro nie jesteś z teki, to może jesteś z paki?

— Z... z paki? Jakiej paki?

— No... może z tej okropnej paczki dżezodżemów?

— Pierwszy raz słyszę, słowo daję...

— No więc pozostaje to najgorsze. Jesteś w takim razie kolegą z FOTOPAKI!

— Nie. Jestem po prostu kolegą szkolnym — wyprostowałem się dumnie.

— Ooo! — szefowa umilkła na chwilę zaskoczona — czyżbyś był kolegą szkolnym Madzi ze szkoły tańca czy ze szkoły jazdy figurowej na lodzie?

— Nie, proszę pani. Jestem kolegą ze zwykłej szkoły.

— Z podstawowej szkoły?

— Tak.

— Oooo! — powiedziała ponownie szefowa, lecz było to już wyjątkowo długie i wysokie „o”. — I tam się poznaliście?

— Tak, proszę pani.

— Więc ona chodzi jednak czasami do szkoły?

— Ależ ona... chodzi... chodzi prawie codziennie, proszę pani. Ostatnio nawet wyróżniła się... i chyba zostanie przewodniczącą Kółka Przyrodniczego, bo się zasłużyła dla gabinetu fotografując truchła, to jest...

— Truchła? Co to takiego? — zainteresowała się mama Madzi.

— Przepraszam... to są wypchane zwierzęta i ptaki, proszę pani. Ona jest bardzo inteligentna i zdolna, ona jest znakomita — wykrzyknąłem i urwałem nagle, gdyż zdałem sobie sprawę, że wpadłem w niekontrolowany zachwyty i demaskuję moje uczucia.

Pani Opatowa chrząknęła... poprawiła świadectwa zgonu na biurku i spojrzała na mnie laskawiej.

— Wydajesz się miłym chłopcem, moje dziecko, ale dziwię się, że umówiłeś się z Madzią tutaj. To jest zakład pracy...

— Ja wiem, proszę pani, ale...

— To jest zakład trudnej, zawsze pilnej i delikatnej pracy. Madzia jest dzisiaj bardzo zajęta, bo mamy nagle zamówienie na zbiorowy pogrzeb z DSS.

— Przepraszam, ale umówiliśmy się z Madzią w ważnej sprawie szkolnej... i wyjątkowo tym razem prosiłbym... Na przyszłość będziemy się umawiać gdzie indziej.

— Trzymam cię za słowo — powiedziała szefowa i zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem, który spoczywał na biurku.

Z zakamarków Zakładu wyłonił się w stroju żałobnym tłustawy młodzieniec.

— Lesiu — powiedziała do niego szefowa — zaprowadź pana Okista do pracowni wieńców, do panny Matyldy.

ROZDZIAŁ XV  
— DRUGA TWARZ BAMBOSZA

— Panno Matylde, klient do pani — powiedział głośno Lesio wprowadzając mnie nagle do jasno oświetlonego pomieszczenia.

Wisiały tu wieńce żałobne, z jedliny, z cisów i z tworzyw sztucznych, rozmaitych wymiarów i kształtów, od bardzo tanich po bardzo kosztowne, przeplatane złotymi liśćmi dębu, lauru i akantu. Pospolitsze nadziane były na drążki po kilkanaście sztuk jednakowych, standartowych wyrobów. Wieńce strojniejsze, robione zapewne na zamówienie specjalne, zawieszane były na oryginalnych hakach w kształcie rogów nosorożca.

— Ach, to ty! — powiedziała Matylde wychodząc z czarną szarfą w ręku zza ostatniego rzędu najuboższych wieńców.

— Przeniknąłem.

— Właśnie myślałam, czy przenikniesz. Mama mnie strasznie pilnuje, bo uważa, że za dużo biegam po mieście. Czy nie zahaczyła cię?

— Zahaczyła, ale udało mi się odhaczyć.

— Tomciu, jesteś wspaniały.

— Już ci mówiłem, żebyś nie używała tego słowa.

— Przepraszam, stale zapominam. Czy... mama bardzo cię sondowała?

— Dosyć, ale to było nawet ciekawe — powiedziałem.

— Ciekawe?

— Dowiedziałem się dużo rzeczy o tobie.

Matylde Opat poczerwieniała.

— Mama jest okropna! Na pewno chciała cię wypędzić... wszystkich moich znajomych przepędza. Tak mi wstyd!

— Nie. Było akurat na odwrót. Kiedy uwierzyła, że jestem twoim prawdziwym kolegą ze szkoły, wpuściła mnie od razu. Zrozumiałem, że jestem dość rzadkim okazem; masz dużo kolegów, ale nie ze szkoły.

Matylde zmieszala się.

— Mama przesadza jak zwykle. To nie są żadni koledzy... to zwyczajni znajomi. Kiedy się jest aktywną...

— Aktywną?

— Aktywną społecznie, oczywiście — dodała szybko — to się poznaje różnych ludzi, czy się chce czy się nie chce.

— Jesteś bardzo aktywna sądząc po tych tekach, iksach i bandach, które wyliczyła twoja mama — rzekłem nader ponuro.

— Gdybyś tak jak ja znalazł się nagle w obcym mieście, o takiej strasznej nazwie w dodatku, to byś też nie wiedział, co z sobą począć i z samych nudów... z samych nudów i ze strachu, żeby nie być sam, zaglądałbyś do... do różnych miejsc, gdzie jest młodzież. A ty, jakim prawem robisz mi wymówki?... Jeszcze gotowam pomyśleć, że jesteś po prostu zazdrosny...

— Ja?! No wiesz... — oburzyłem się — po prostu wydaje mi się, że za bardzo się rozpraszasz. To nie jest dobre. Jeśli człowiek chce do czegoś dojść, musi się koncentrować.

— Zastanowię się nad tym — powiedziała Matylde Opat, ale nie byłem pewien, czy poważnie.

— Ty się nabijasz ze mnie — powiedziałem na wszelki wypadek, żeby nie wyjść na naiwnego.

— Ależ skąd! Ja sama wiem, że się rozpraszam — westchnęła i spojrzała gdzieś wysoko. — Więc na czym radziłbyś mi się skoncentrować? — zapytała z półprzymkniętymi oczyma, jakby rozmarzona nagle.

Spojrzałem na nią zakłopotany. Dziwnie się zachowywała. Skąd nagle taki ogarnął ją nastrój?

— Powinnaś... powinnaś skoncentrować się na fotografice — powiedziałem — skoro już masz tam osiągnięcia...

Matylda roześmiała się.

— Na fotografice?

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — powiedziałem urażony tym jej śmiechem — czy to zły pomysł?

— To bardzo dobry pomysł — odparła przestając się śmiać.

— Właśnie o tym chciałem z tobą szczegółowo porozmawiać.

— Nie wiem, czy nam się uda. Widzisz, co się wyrabia. Wszyscy mamy pełne ręce roboty. Szykuje się jutro dziewięć pogrzebów! — powiedziała zaaferowana Matylda.

— Nie wiedziałem, że tylu ludzi umiera w naszym małym mieście. Czy to z powodu tej marcowej epidemii grypy?

— Z powodu epidemii grypy zmarło tylko dwu klientów — powiedziała Matylda.

— A reszta?

— To zbiorowe zatrucie w Domu Spokojnej Starości.

— Co ty? Zatrucie?

— Pokarmowe. Siedmiu starców się przejechało.

— To okropne! — wykrzyknąłem wzburzony.

— A razem z nimi pan Dziedziuch.

— Kto?!

— Na pewno słyszałeś o nim. Pan Seweryn Dziedziuch był podobno zasłużonym nauczycielem waszej szkoły.

— Jasne. Uczył mnie przyrody jeszcze w czwartej klasie, zanim przeszedł na emeryturę i nastąpiła pani Stypulkowska.

— Ten wieniec to dla niego. Właśnie przygotowywałam szarfę. Będzie na niej napisane: „Naszemu drogiemu nauczycielowi, panu Sewerynowi Dziedziuchowi — młodzież szkoły im. T. Rejtana w Odrzywołach”. Zastanawiam się tylko, czy dać napis złoty czy srebrny — powiedziała Matylda przymierzając do szarfki wycięte z papieru litery.

Aleja nie patrzyłem nawet, wstrząśnięty śmiercią pana Dziedziucha, zwanego przez uczniów Chruścielem z powodu długich nóg i charakterystycznego głosu. Bardzo go lubiliśmy, bo stale zabierał nas na wycieczki i był sprawiedliwy. Jeszcze tydzień temu widziałem go na spacerze. Był w doskonałej formie. Przemierzał dzielnie swoimi długimi nogami dzikie ścieżki nadrzeczne... Wierzyliśmy, że będzie żył sto lat. A tu masz!...

— To skandal! — zasapałem. — Czym oni ich tam karmią? Ładne porządki w tym Deesiaku!

— Ja też tak myślałam — powiedziała Matylda — i byłam oburzona, ale personel DSS-u wyprowadził mnie z błędu. Ludzie tu byli niewinni, wszystkiemu były winne szpaki!

— Szpaki?! Co ty?! Wierzysz w takie rzeczy? Zwyczajnie musieli ich tam struć nieświeżym jadłem.

— Cicho! — syknęła Matylda. — Tu jest przedstawiciel załogi. Usłyszysz...

— I tak już usłyszałem — rozległ się smutny głos koło nas.

Obejrzałem się. Zza trumien wysunął się podobny do pingwina osobnik, krągły i łysy, w stroju czarnym, żalobnym i uroczystym, acz nieco wytartym, zapewne od częstego używania.

— Poznaj Tomku, naszego kontrahenta — powiedziała Matylda — to jest Gaudenty Gudelko. A to jest Tomek Okist, mój kolega — przedstawiła mnie krągłemu człowieczkowi.

— Bardzo mi miło, a nawet specjalnie przyjemnie — rzekł Gaudenty Gudelko — gdyż, jak mniemam, mam do czynienia z synem znakomitego okulisty — to mówiąc wyciągnął do mnie pulchną dłoń.

— Pan Gudelko jest spedytorem DSS-u — powiedziała Matylda.

— Pan wysyła? Czyli ekspediuje? — zapytałem.

— W pewnym sensie, przyjacielu.

— Wysyła pan listy i paczki?

— Przeważnie ludzi.

— Na wczasy, na odpoczynek? W podróże turystyczne?

— Można to tak określić — uśmiechnął się pobłaźliwie Gudenty Gudelko. — Pan wyraża się bardzo delikatnie, młody człowieku, ale można to tak określić: na odpoczynek lub, jeśli pan woli, w podróż. Niestety tylko w jednym kierunku.

— W góry? Do Nałęczowa? Czy nad morze?

— Daj spokój — uszczypnęła mnie Matylda — czy ty naprawdę nic nie rozumiesz?... Zupełnie jak dziecko!

Dopiero w tym momencie zrozumiałem i zrobiło mi się strasznie głupio z powodu mojej niedomyślności.

— Więc pan... — wybelkotałem — pan ekspediuje tam...

— Tak, tylko w ostatnią drogę, przyjacielu, i tylko jeden raz — dodał jakby z żalem — stąd moje ścisłe kontakty z tym szacownym Zakładem. Muszę przyznać, iż odkąd ojciec panny Matyldy zreorganizował tak szczęśliwie ten Zakład, praca moja byłaby samą przyjemnością, niestety, złość ludzka i jadowite języki zatruwają nasz pełen poświęcenia trud. Ilekroć ekspediuje naszego pensjonariusza w ostatnią drogę, spotykam się z brzydkimi podejrzeniami, jak choćby ostatnio o tym zatruciu... To bardzo przykre i krzywdzące nasz oddany personel... Wszyscy powtarzają tę ohydłą wersję, nawet pan — spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Przepraszam pana... Nie miałem zamiaru nikogo urazić ani tym bardziej szkalować — wyjąkałem — więc to nie było zatrucie?

— Było — odparł spedytor — ale nie my byliśmy winni, młody człowieku.

— A kto był winny?

— Szpaki — oświadczył bez zmrużenia powiek spedytor Gudelko patrząc na mnie smutno swoimi żalobnymi oczyma.

— Właśnie mówiła mi Matylda, że to szpaki, ale nie bardzo rozumiem... — chrząkałem zakłopotany.

— Sprawa nie podlega dyskusji — rzekł Gudelko. — Tak stwierdziła komisja, którą powołaliśmy specjalnie do zbadania tego ubolewania godnego wypadku.

— Ale przecież jedzenie było nieświeże.

— Oczywiście, lecz zaraz to panu wytłumaczę.

— Chciałbym wiedzieć, jak było naprawdę — powiedziałem — jeden ze zmarłych był moim nauczycielem... cała młodzież chciałaby znać prawdę... Bardzo lubiliśmy Chruściela.

— Niech pan będzie spokojny. Mnie też na tym zależy. Podam panu prawdziwą i dokładną wersję wypadku. Chciałbym, żeby ją pan upowszechnił wśród młodzieży szkolnej — rzekł spokojnie Gudelko. — Prawdą jest, że nastąpiło zatrucie z powodu nieświeżego mięsa, lecz mięso straciło świeżość wyłącznie wskutek nieprzewidzianej awarii lodówki...

— Na pewno była stara i nie na chodzie — wtrąciłem.

— Stanowczo protestujemy przeciw tej insynuacji. Lodówka była sprawna i na chodzie. Awaria lodówki nastąpiła wyłącznie z powodu nieprzewidzianej awarii transformatora na podstacji, która to awaria nastąpiła wskutek awarii przewodów wysokiego napięcia, a te spowodował balon.

— Balon?

— Balon meteorologiczny, który zaplątał się w przewody i wybuchł, lecz winę za to ponosi wyłącznie „Gawron”...

— Gawron? — spojrzałem podejrzliwie na Gudelkę — pan robi ze mnie balona z tym gawronem.

— Nigdy bym się nie ośmielił żartować z tak sympatycznego młodzieńca — rzekł poważnie spedytor. — Balon został potrącony przez „Gawrona”, to znaczy samolot typu

„Gawron”, co się stało zresztą wyłącznie z powodu awarii „Gawrona”, za którą odpowiedzialność ponoszą szpaki. Zostało udowodnione, że w pewnej chwili przed samolotem pojawiła się chmura wiosennych szpaków. Właśnie wracały z południa i samolot zderzył się z nimi. Można oczywiście powiedzieć, że zawiniła tu wiosna, lecz nie chcę posuwać się zbyt daleko, by nie rozcieńczać odpowiedzialności. Dlatego twierdzę: wszystkiemu były winne szpaki i poprzestańmy na szpakach. Rozumie pan chyba, że wszelkie inne wersje krzywdzą nasz dzielny personel. Wyłożyłem to chyba jasno, przedstawiłem związki przyczynowe wypadku, proste i jednoznaczne. Czy można nas winić za przeloty szpaków i za to, że nie przewidzieliśmy wszystkich skutków nadejścia wiosny? Oczywiście, że nie... gdyby jednak miał pan wątpliwości, zaraz przeprowadzę stosowny wywód, a pan, młody człowieku, poda go do wiadomości młodzieży. Ale gdy już mówimy o bolesnych sprawach — Gudelko spojrzał na mnie bystro — czy zechce pan mi powiedzieć, z jakiego powodu tak bardzo interesują pana te tragiczne zgony? Czy tylko z powodu naturalnej u młodzieży wrażliwości?

— Interesują mnie z powodu Chruściela.

— Chruściela? To ptak błotny.

— Przepraszam... tak nazywaliśmy naszego nauczyciela biologii, pana Dziedziucha. Bardzo go lubiliśmy. To straszne, że uległ zbiorowemu zatruciu!

— Kto tak powiedział?! — zjeżył się spedytor. — Stanowczo dementuję te niskie oszczerstwa! Czy taka wersja szerzy się w szkole?

— Nie... nic nie słyszałem.

— Zażądałbym sprostowania na apelu! Powód śmierci drogiego pana Dziedziucha jest zgoła inny i zgoła niecodzienny. Wszystkiemu winien jest drozd śpiewak.

— Co takiego? — myślałem, że Gudelko kpi sobie ze mnie, ale on był śmiertelnie poważny. — Pan myśli, że ja w to uwierzę? — dodałem po chwili.

— Z pewnością pan uwierzy, gdy przedstawię dramatyczny przebieg wydarzeń. Kilka dni przed śmiercią pan Dziedziuch wybierał się nam towarzyszyć w spedykcji innego naszego pensjonariusza i czyścił starannie miotłką swoją czarną marynarkę, jak zwykle powiesiwszy ją na wieszaku w naszym zakładowym ogrodzie. I wtedy usłyszał śpiew drozda. Zaintrygowany tym faktem ruszył w samej tylko kamizelce w kierunku, skąd rozległ się głos nie spotykanego dotąd w naszym ogrodzie ptaka. Jak wiadomo, przyjacielu, drozd śpiewak jest gatunkiem leśnym. Niestety w pewnym momencie ptak zaciął się, zachrypl i wydał jęk bolesny nie notowany w żadnym podręczniku ornitologii. Zbulwersowany biolog miotał się po całym ogrodzie, daremnie szukając tego przedstawiciela nieznanego gatunku drozdów. Kiedy wrócił wreszcie sfrustrowany na miejsce, z którego wystartował, stwierdził z przerażeniem, że jego marynarka zniknęła, a wraz z nią notes, wielki notes typu kalendarz-agenda w błyszczącej czarnej okładce, w którym znakomity pedagog zapisywał myśli ulotne, myśli złote oraz myśli praktyczne tudzież własne wspomnienia z przeszłości i przypomnienia na przyszłość. Okazało się, że nieszczęsny padł ofiarą przemyślnej i zaplanowanej w szczegółach kradzieży, prawdopodobnie pary wykwalifikowanych złoczyńców. Gdy jeden złoczyńca skradał się po zawieszoną na drzewie marynarkę, drugi naśladował w tym czasie głos drozda-śpiewaka i wabił śpiewem naszego drogiego pensjonariusza. W miejscu gdzie się ukrywał ów perfidny imitator, znaleźliśmy opróżnioną flaszkę po syropie odkrztusnym. Tymczasem pan Dziedziuch ciężko zaniemógł. Pozbawiony myśli, wspomnień i przypomnień gasł nam w oczach. Nastąpiło załamanie organizmu, w wyniku doznanego stresu wywiązało się wirusowe zapalenie płuc. Taka jest wersja, jedyna i wiarygodna, przyczyn zgonu nieodżałowanego pedagoga. Sądzę, iż będziesz ją glosił, jako herold prawdy i stróż dobrego imienia Domu Spokojnej Starości... Gdyby interesowały pana dodatkowe szczegóły...

— Chodźmy — szepnęła do mnie Matylda — on będzie jeszcze truł przez dwie godziny. Pan Gudelko jest nieco rozwlekły. Niech pan trzyma! — bez ceregieli włożyła w ręce spedytorowi wieniec i korzystając z jego zaskoczenia, pociągnęła mnie w głąb Zakładu.

Minęliśmy stolarnię pełną wiórów, lakiernię trumien i wykończalnię, aż wreszcie znaleźliśmy się w magazynie. Mimo że dookoła piętrzyły się żalobne rekwizyty, atmosfera

była tu nader przyjemna, a nawet, powiedziałbym, ożywcza. Kręciło w nosie ostrym zapachem lakieru i bejcy, zmieszanym z leśną wonią świeżego drzewa i żywicy.

— Siadaj — powiedziała Matylda.

Zawahałem się.

— Na tym?... przecież to...

— Nie bój się, już wyschły, nie przylepisz się.

— Nie chodzi o to, tylko, że...

— Mówię ci, że są całkiem czyste... nie bądź śmieszny! Ojej, co za ceregiele!

Przestałem się opierać i usiedliśmy na trumnach. Odchrząknąłem.

— Jak wiesz, załatwiłem ci pracę. Redakcja chce zamówić u ciebie zdjęcia.

Cieszysz się?

— Ekstacycznie — powiedziała Matylda.

— Konkretnie chodzi o zdjęcia Bambosza — ciągnąłem.

— Bambosza? — zdziwiła się Matylda — już zrobiłam sporo jego zdjęć.

— One się nie nadają.

— Dlaczego?

— Chodzi o zdjęcia specjalne. Do reportażu.

— One właśnie były do reportażu. Tam był pokazany Bambosz, przy pracy w różnych ujęciach. Nie rozumiem, dlaczego wam się nie podobają...

— Ależ przeciwnie, nam się bardzo podobają, tylko nie podobają się Bamboszowi.. Zyzio mówi, że one są za dobre i dlatego...

— Jak to „za dobre”? Czy mogą być za dobre zdjęcia?

— Oczywiście — powiedziałem. — Mogą być za dobre zdjęcia, za dobre obrazy, koncerty, powieści, a nawet za dobrzy lekarze. Na przykład dyrektor szpitala uważa, że mój stary jest za dobrym, okulistą, za dużo czasu traci dla jednego chorego i za długo trzyma swoich pacjentów na oddziale.

— Ale moje zdjęcia... Moje zdjęcia nie mogą być za dobre... daleko im do doskonałości. One są tylko... prawdziwe... Staralam się, żeby były prawdziwe.

— Są za prawdziwe. W tym właśnie rzecz. Bambosz ich nie trawi. Ludzie nie lubią prawdy o sobie. Widziałas, jak się stroją, zanim pójda do fotografa, chcą wyglądać nie tak jak zwyczajnie wyglądają, ale lepiej. I mają pretensje do fotografa, gdy „źle” wychodzą na zdjęciach i nie mają tak pięknych gęb, jak sobie wyobrazili. Wielu ludzi prawda okropnie drażni. Wolą piękną baśń o sobie. Ulizaną i wyretuszowaną jak zdjęcia ślubne.

— Szkoda — powiedziała Matylda — to były, dla mnie przynajmniej, dość niezwykle zdjęcia.

— Dobrze się bawiłaś przy tym, co? Przyznaj się.

— Pewnie. Na przykład taki froter. Bambosz jak baletnica w „Jeziorze łabędzim”, z uniesioną głową jedzie na suknie po posadzce... Czy to nie zabawne?

— Zbyt zabawne — mruknąłem.

— Och, mam tego dosyć! Ciągłe słyszę: zbyt dobre, zbyt prawdziwe, zbyt zabawne! Można oszaleć — zdenerwowała się Matylda.

— Nie złość się — powiedziałem. — Taki jest los artysty. Jeśli chcesz zostać artystką, musisz to wszystko znosić. Nigdy nikomu nie dogodzisz, a w każdym razie nigdy wszystkim naraz! Wracając do twoich zdjęć, przyznasz, że one nie były odkrywcze. Froter Bambosza? Ależ to właśnie wszystkim najpierw rzuciło się w oczy. Że Bambosz był przy tym śmieszny? Ależ tak wszyscy widzieli Bambosza. Wszyscy go podziwiali trochę i jednocześnie śmiali się z niego. Otóż chcemy, żebyś tym razem inaczej spojrzęła na Bambosza. Rzeczą artysty jest widzieć więcej, niż widzą wszyscy, a w każdym razie widzieć inaczej. Pod innym kątem. Wtedy dopiero będziesz prawdziwą artystką.

— Myślisz, że ja bym potrafiła?

— Jasne. Już przekonałem się, że umiesz patrzeć pod ciekawym kątem. Chodzi teraz o to, żebyś tak zobaczyła Bambosza i tak go utrwaliła na kliszy. Już mam tytuł do cyklu tych fotografii: „Bambosz jakiego nie znamy”. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Rozumiem. Bambosz od innej strony, taki, jakiego nikt w szkole nie oglądał jeszcze... Tak go pokazać i wtedy...

— Wtedy byłabyś artystką — dokończyłem. — Prawdziwą artystką, nie tylko fotografem.

— Już wiem, co zrobię — zapaliła się Matylda — zrobię całą serię zdjęć z życia prywatnego Bambosza. On jest dotychczas znany jako funkcjonariusz szkolny, taka w końcu urzędowa osoba... Ale gdyby pokazać, co robi po pracy...

— O właśnie. To jest twoje zadanie — podchwyciłem — musisz zobaczyć drugą twarz Bambosza.

— Na przykład grającego w piłkę nożną w krótkich spodenkach albo grającego na flecie...

— Masz bujną wyobraźnię, ale Bambosz nie gra.

— Ale może tańczyć... na pewno tańczy na imieninach...

— Ani się waż! Tym razem nie chodzi o żadne zdjęcia zabawne. Już ci przecież mówiłem. Pamiętaj, w jakim celu robisz te zdjęcia. Cel jest ściśle użytkowy. Żadnych dwuznacznych i śmiesznych sytuacji. Takie zdjęcia pójdą od razu do kosza! To musi być robione w specjalnej tonacji.

— Tonacji c-dur czy c-moll?

— Cieszę się, że chwytasz — powiedziałem — to musi być zrobione w poważnej tonacji.

— W tonacji akademii?

— No... niezupełnie. Bardzo prywatnie, z uczuciem.

— W tonacji „Popołudnie Fauna”?

— Raczej w tonacji „Popołudnie dostojnej osobistości naszego miasta nie słusznie nazwanej Bamboszem”.

— Na przykład zdjęcie Bambosza na spacerze...

— Tak jest. Albo w rozmowie z jakąś drugą wybitną osobistością naszego miasta.

— Na przykład z naczelnikiem powiatu.

— Albo z prezesem LOMPO, Gołąbkim.

— Albo Bambosz w niedzielę, na tarasie kawiarni, w gronie rodzinnym.

— On nie ma tutaj rodziny.

— No więc w gronie przyjaciół.

— Albo Bambosza odświętnego, w kapeluszu, krawacie i nienagannie zaprasowanych spodniach.

— Przed teatrem.

— Na tle pomnika.

— Wsiadającego do mercedesa służbowego.

— Nadymającego się.

— Zapalającego cygaro.

— Karmiącego łabędzia w stawie.

— Dość — powiedziałem — widzę, że to pojmujesz, choć próbujesz się zgrywać. Ale tu nie ma nic śmiesznego. Wskazówka jest jedna: to musi być zrobione pod gust Bambosza. Żeby się spodobał sam sobie.

— Ale po co? Jaki macie w tym cel?

— Cel jest czysto użytkowy.

— To jakaś ciemna historia.

— Rzecz jest czysta jak łza — mruknąłem.

— Ale głupia.

— Nie wyrokuj. Nie znasz sprawy.

— Chcecie podlizać się Bamboszewi?

— Za kogo ty nas masz?

— No to powiedz, o co chodzi?

— Nie powinnaś być tak ciekawa — powiedziałem — to ci może zaszkodzić. Jeszcze nie jesteś w redakcji i nie możesz wszystkiego wiedzieć. Ciesz się, że masz zamówienie. Niech ci to wystarczy na początek.

— Myślałam, że skoro jesteście przyjaciółmi...

— To nie ma nic do rzeczy. To są tajemnice służbowe. Gdybym powiedział Zyziovi, jaka jesteś wścibska... On się właśnie tego bał... on się bał, czy nie jesteś nasłana przez defonsiaków na przeszpiegi. On jest bardzo podejrzliwy — dodałem ponuro.

Ostrzeżenie poskutkowało. Matylda przestraszyła się wyraźnie.

— Ależ nie... nie jestem wścibska! Nie mów mu!

— A więc załatwione — powiedziałem. — Masz tydzień czasu na wykonanie tych zdjęć.

— Nie wiem, czy zdążę, mam tyle pracy — przestraszyła się Matylda — wiesz, co mama myśli o moim fotografowaniu... Mogę mieć trudności... A to zupełnie co innego niż w szkole. To bardzo trudne zamówienie.

— Jakby było łatwe, to by Zyzio zlecił komu innemu, ale przekonałem go, że tylko ty potrafisz.

— To wspaniale, że go przekonałeś — zadyszała Matylda — ale boję się, że może mi nie wyjść. Dotąd robiłam to, co mi się nawinęło pod obiektyw, albo to, co mi się podobało, a teraz...

— Teraz musisz sobie powiedzieć, że przechodzisz na wyższy etap. Tamto było zabawą, a teraz zaczyna się poważna praca... Ale jeśli chcesz się wycofać, to mów od razu. Znajdziemy kogoś innego...

— Nie, nie chcę, dziękuję ci, że mi to załatwiłeś.

— Wiedziałem, że będziesz zadowolona — uśmiechnąłem się. — No, to byłoby wszystko, co do tych piekielnych zdjęć... Możemy teraz...

— Zaraz! — przerwała mi niecierpliwie — nie powiedziałeś mi jeszcze, kiedy mam się zgłosić do Zyzia. Jutro na przerwie czy po lekcjach? A może najpierw zadzwonić?

— Zgłosić do Zyzia? — powtórzyłem zdziwiony. — Po co?

— No... skoro rozpoczynam pracę... chyba musi się ze mną zobaczyć, żeby mi udzielić wskazówek?

— Już ja ci udzieliłem. On wcale nie musi.

— Ale na pewno chce...

— Wcale nie chce.

— Jak to „nie chce”?!?

— Bo nie potrzebuje. I ty też nie potrzebujesz go widzieć. Ja ci wszystko załatwię.

— Ty? Ale przecież on jest redaktorem naczelnym?!

— To co z tego. On nie będzie się tym zajmował. On w ogóle nie zajmuje się zdjęciami... ani grafiką, ani w ogóle.

— Nie będzie się zajmował — powtórzyła zawiedziona.

— On ma kurze oko — zasapałem zdenerwowany.

Entuzjazm Matyldy osłabł. Stwierdziłem to z przykrością.

— Posłuchaj... — podjąłem — chciałem ci oszczędzić fadygi i rozmów z tym brutalem. Ty go jeszcze nie znasz. To jest adalista. Przekonałaś się sama. Miałaś niedawno próbkę jego zachowania... On jest straszny.

— Wiem — westchnęła Matylda.

— Najadłabyś się tylko stresów!

Matylda milczała nader zagadkowo. Powziąłem podejrzenie, że nie obawia się stresów.

— Nie jesteś zadowolona?

— Ależ tak — powiedziała jakby przebudzona ze snu — byłeś bardzo miły.

Prawdę mówiąc spodziewałem się po Matyldzie większej wdzięczności i byłem rozczarowany.

Mimo tego zapewnienia wyczułem moim wprawnym dziennikarskim okiem, że nie jest zupełnie szczerą i że coś ją gnębi... postanowiłem ją pocieszyć.

— Nie można mieć wszystkiego od razu — strzeliłem na chybił trafił. — Pozycję zdobywa się stopniowo. Będziesz awansować szybko, nie bój się, ja się tym zajmę. Na pewno na przyszły rok zostaniesz członkiem redakcji, jak wszyscy poznają twoje prace... A na razie grunt, że się posuwamy i krok za krokiem zdobywamy teren.

Ale jak mi się zdawało, Matylda nie była bynajmniej zachwycona tą strategią.

— To ja już pójdę — powiedziałem wstając z trumny.

— Odprowadzę cię bocznym wyjściem, żeby cię Gudelko nie zobaczył.

Potykając się o rekwizyty pogrzebowe i lawirując między trumnami, całą drogę do drzwi myślałem gorączkowo, jak zagaić tę drugą sprawę, która leżała mi na sercu. O nią mi przecież najbardziej chodziło. Szedłem jak baran do drzwi i myślałem, że już za chwile stracę szansę... Do licha, muszę jakoś napocząć ten temat, ale jak? Tuż przed progiem przystanąłem.

— Byłbym zapomniał — powiedziałem siląc się na obojętny ton — uważaj, jak będziesz fotografować. Ten Bambosz jest niebezpieczny. Wpada w szal. Nie może widzieć, że go bierzesz na obiektów!

— Mówiłeś coś? — zapytała Matylda wciąż rozkojarzona.

— Mówiłem, że musisz obmyśleć sposób robienia tych zdjęć, bo Bambosz jest diabelnie drażliwy.

— Och, co to za problem. Zwyczajnie umówię się z nim. Powiem, że jego zdjęcia są potrzebne do gazetki ściennej.

— Ani się waż! — wykrzyknąłem. — A to byś nas urządziła.

— Dlaczego?

— Bambosz jeszcze nam nie przebaczył poprzedniego reportażu. Tam były różne uszczypliwości na jego temat i karykatury. Mieliśmy za to straszne mycie głowy u Oberona. Gdyby się dowiedział, że robisz zdjęcia do naszej gazety, od razu pomyślałby, że znowu chcemy nabijać się z niego. Te nowe zdjęcia muszą być dla niego zupełną niespodzianką. Oczywiście przyjemną niespodzianką. Jest jeszcze drugi powód... — powiedziałem — względy artystyczne. Najlepsze zdjęcia są przecież naturalne, nie upozowane... kiedy model nie wie, że jest fotografowany.

— Mówiłeś, że to mają być zdjęcia użytkowe...

— Użytkowe, oczywiście. Ale na dobrym poziomie. Jeszcze nie splamiliśmy się zamieszczaniem kiczów. I nie mamy powodów, żeby to teraz zrobić. Gdyby Bambosz wiedział, że jest fotografowany, zacząłby zaraz pozować, ustawiać się, puszyć, robić miny, jednym słowem zgrywać. No i wtedy właśnie wypadłby głupio i śmiesznie. A tego przecież chcemy uniknąć. Dlatego te zdjęcia muszą koniecznie być wykonane dyskretnie. Rozumiesz chyba?

— Rozumiem, ale nie wiem, czy potrafię — westchnęła Matylda — co innego gdybym miała teleobiektyw, ale nie mam.

— Nie potrzebujesz — powiedziałem szybko — mam lepszy pomysł.

— Jaki?

— Zmylenie czujności Bambosza. Działania pozorne... Posłuchaj, gdybym poszedł z tobą...

— Ty ze mną?

— No, robić te zdjęcia... Gdybyśmy poszli razem za Bamboszem, jak się wybierze na spacer... i cały czas udawali, że jesteśmy zajęci tylko sobą... Piekielnie zajęci sobą!...

— Niezwykły pomysł!

— Wtedy moglibyśmy podejść do modelu zupełnie blisko bez wzbudzania jego podejrzeń. Chyba, że wolisz drugi pomysł — rzekłem szybko — wstępujesz do Straży Porządkowej i jako członek Straży pętasz się przy Bamboszu z aparatem. W czasie przerwy w pracy korzystając z nieuwagi Bambosza wykonujesz odpowiednie zdjęcia. — W tym miejscu

wyjaśniłem Matyldzie, na czym polega nasza najnowsza inicjatywa i co to takiego jest SSP. — Ale widzę tu dwie niedogodności — dodałem ochoczo — dwie niedogodności, a raczej niebezpieczeństwa. Jedno, że możesz się dostać pod komendę Eli Melasińskiej i ta dopiero da ci szkołę, drugie, że Bambosz może cię zapytać, dlaczego snujesz się z aparatem fotograficznym zamiast z miotłą.

— Nie... nie! — przestraszyła się Madzia. — Wolę już ten pierwszy pomysł.

— Chodzić ze mną?

— Tak. To... to nie jest chyba zły pomysł.

Biedaczka miała jeszcze wątpliwości!

— To jest świetny pomysł — rzekłem z przekonaniem i pomyślałem, że jestem jednak bardzo zdolny. Za jednym zamachem upiec dwie pieczenie! A głośno dodałem: — Jeszcze jeden drobiazg, Madziu. Potrzebujemy twojego zdjęcia dla celów ewidencyjnych.

— Ewidencyjnych?

— Do kartoteki redakcyjnej. Każdy pracownik redakcji ma tam swoje zdjęcie.

— Nie mam przy sobie... — zmartwiła się Madzia. — Przyniosę jutro do szkoły.

— Naprawdę nie masz żadnego? — skrzywiłem się niezadowolony. — Może znalazłoby się coś w Zakładzie.

— Poczekaj chwilę — powiedziała Madzia i zniknęła. Wróciła po dwu minutach bardzo zakłopotana.

— Jest tylko takie...

— Pokaż!

— Kiedy... to jest z trumną...

— Z trumną? Co ty?! — wzdrygnąłem się.

— Bo to jest zdjęcie reklamowe. Trumna na pierwszym planie, a ja kładę wieniec na trumnie. A do tego ten napis: „Pogrzeby bez kłopotu”. Patrz — odsłoniła fotografię — na pewno ci się nie spodoba.

— Nie szkodzi — chrząknąłem — wezmę je.

— Naprawdę weźmiesz?

— Trumna mi nie przeszkadza... Już... się przyzwyczailem.

— Noto masz!

Schowałem zdjęcie do kieszeni.

— Teraz to już na pewno wszystko — uśmiechnąłem się. — Spotkamy się jutro po szkole. W szkole niestety nie będę mógł z tobą rozmawiać, bo Gnat dostaje furii...

— A Ela i koleżanki biorą mnie na języki — dodała Madzia. — Gdyby chociaż było o co! — westchnęła niespodziewanie, a mnie nagle zrobiło się smutno.

Mimo to po powrocie do domu zanotowałem ten dzień w moim kalendarzu i narysowałem przy nim gwiazdkę. Tak znaczyłem tylko dni szczęśliwe, z których byłem naprawdę zadowolony.

Zdumiewająco łatwo wchodziła mi tego wieczoru w głowę matma, a z polskiego udało mi się w ciągu pół godziny spłodzić sążniste wypracowanie na temat: „Czy rewolucyjne pierwiastki polskiej poezji romantycznej mogą być aktualne w dzisiejszym świecie?” — bardzo bojowe, optymistyczne i pobrzmiwające pogroźkami w stosunku do sił ciemnych i wstecznych, do klas podupadłych i próchniejących oraz do ludów bez krwi i bez ducha. Spostrzegłem tylko, gdy ochłonałem nieco z pasji twórczej, że dziewięć razy powtarzał się w tym wypracowaniu motyw trumny. Po namyśle uznałem, iż jest to obsesja i usunąłem siedem trumien; zostawiłem tylko „złożoną trumnę nadziei” oraz wyrażenie „zatrzasnąć głucho w trumnie historii”, ponieważ wydawało mi się mocne.

Na kolację z wielkim apetytem spożyłem pół wędzonej kaczki. Kaczka na stole w dzień powszedni świadczyła o tym, że mama straciła cierpliwość. Zwykle kilka razy do roku mama traciła cierpliwość do stania w kolejce po kiszkę i kielbasę, i wtedy „rujnowała się” na zakup wędzonej kaczki w sklepie delikatesowym. Przyznam, że nader upodobałem sobie te wędzone kaczki.

Po kolacji poćwiczyłem trochę hantlami, a gdy wspomnienie kaczki zatarło się w mej świadomości, znów zacząłem intensywnie myśleć o Matyldzie. Wyjąłem z kieszeni jej fotografię i przyszpiliłem do kilimu u wezglowia mojego łóżka.

Gdy wracałem z łazienki, zastąpiła mi drogę mama.

— Co ty wyrabiasz?! — odezwała się zdenerwowana. — Zawiesiłeś sobie nad łóżkiem zdjęcie trumny?!

— Trumny?! — zdumiałem się i spojrzałem na ścianę. No tak, zapomniałem zupełnie, że na tym zdjęciu jest także trumna; w ogóle nie myślałem o trumnie. Była dla mnie czymś blahym, po prostu tylko nieistotnym dodatkiem do Matyldy. Tymczasem mama spostrzegła oczywiście tylko trumnę i nie zwróciła uwagi na Matyldę. Ta wspaniała dziewczyna była dla niej tylko nieistotnym dodatkiem do trumny. To smutne, ale taka niestety jest prawda. Oto jest właśnie ta względność spojrzenia, która doprowadza do szału racjonalistów, a na której robią interes artyści! Po prostu wybiorcza właściwość ludzkiego umysłu. Jasne, że polemizować w tej sytuacji nie ma sensu.

— Mamie chodzi o ten nieistotny szczegół? — próbowałem bagatelizować.

— Kto to widział, żeby wieszając sobie coś takiego. Jeśli to znowu żart, to niesmaczny! — wybrzydzała mama.

— To nie jest żart, mamo.

— Tylko co?

— Memento mori — odparłem — to mi przypomina o znikomości spraw tego świata. Naprawdę to dobrze na mnie wpływa, mamo.

— Nie jesteś normalnym chłopcem! To jest zwyrodnienie. A przy tym ten twój chorobliwy apetyt!

— Chorobliwy? — zdumiałem się.

— Zjadłeś kilo kaczki na jedno posiedzenie.

— Pół kilo — sprostowałem z goryczą — mama jest zawsze niezadowolona.

Kiedy mało jem, mama narzeka, kiedy dużo jem, mama narzeka.

— Zlituj się, kto widział tak się obżerać wędzonym mięsem drobiu! Jak ty to strawisz?!

— Niech mama będzie spokojna.

— Jak mogę być spokojna, gdy ty pałaszujesz za ponad sto złotych!

— Czy chodzi mamie w końcu o strawienie czy o sto złotych?

— O sto złotych — wyznała po chwili wstydliwie mama — nie zapominaj, że jesteśmy na utrzymaniu okulisty. Czy wiesz, ile zarabia okulista?

Umilkłem. Było mi przykro, że postawiłem takie nietaktowne pytanie, a moje żarty przestały mnie bawić.

ROZDZIAŁ XVI  
— CZY KTOŚ PODŁOŻYŁ NAM ŚWINIĘ?

Rano o pół do ósmej spotkałem się z chłopakami w umówionym miejscu, pod stertą desek w północnym kącie podwórza szkolnego, tuż obok placu budowy. Czekali już na mnie w komplecie z pełnym zestawem przynęt kynologicznych dla Bambosza. Oto Kleksik trzymał w ręku ozdobną smycz i obrożę z czerwonej skóry, nabijane błyszczącymi mosiężnymi guzami. Kękuś miał przy sobie psią szczotkę i zaraz oczywiście chciał ją wypróbować na moim owłosieniu, ale dostał w łeb gumową kością od Gnata.

— Bez wyglupów, bracie. Musisz uderzyć w ton powagi, bo Bambosz uzna, że nabijamy się z niego. Tomciu, zabieraj fanty i idź wypełnić zadanie, zanim zaczną się schodzić i zrobi się ciasno na korytarzu...

— A wy?

— Czemu się boisz? Idziemy za tobą!

Zabrałem fanty.

— Miała być jeszcze pożywka dietetyczna dla psa — zauważyłem. — Nie przyniosłeś, Zyziu?

Gnat chrząknął zakłopotany.

— Przyniosłem, ale nie wiem, czy można zastosować.

— Dlaczego?

— Pożywka jest prze... datowana. Boję się, że utraciła świeżość.

— Pokaż!

Zyzió wręczył mi puszkę z czerwoną etykietą, na której widać było uśmiechniętego psa oraz ozdobny napis: „Huckleberry Dog Dinner”. Wszystko prezentowało się nader apetycznie.

— Według napisu na wieczku należało to zjeść do 30 czerwca 1974 roku, czyli co najmniej dziewięć miesięcy temu — rzekł Zyzio.

Spojrzałem. Istotnie na wieczku napisano: 30 June 1974.

— Zgadza się — powiedziałem — ale zobacz, ta pożywka wygląda wyjątkowo świeżo, chyba jeszcze się nadaje.

— Trzymałem ją w lodówce — oświadczył Gnat — ale nie wiem, czy może my zaryzykować. Gdyby Rozpylacza potem bolał brzuch, Bambosz miałby pretensje. .. to by zatruło nasze stosunki na nowo.

— Tak, dla pewności należałoby to wypróbować...

— Kękuś może skosztować — bąknął Olo.

— Tak, to jest myśl — zgodził się Gnat. — Kękuś przeprowadzi degustację.

— Ja?! Dlaczego ja? — przestraszył się Kwękacz.

— Bo ty masz strusi żołądek.

— Kto tak powiedział?

— Sam powiedziałeś. Chwaliłeś się, że połknąłeś ściągaczkę przy tablicy, gdy Oberon zaczął podejrzewać, że ściągasz...

— I że połknąłeś pięć sportów, gdy rewidowali palaczy, którzy nakurzyli w sali gimnastycznej.

— I nic ci nie było.

— A potem połknąłeś nawet gwóźdź i nic nie poczułeś..

— Był w bulce.

— Tę pożywkę też możesz zjeść z bulką — zgodził się łaskawie Gnat.

— Dajcie spokój — wybelkotał Kwękacz — każdy wam powie, że strusi żołądek to jest na twarde rzeczy, a nie na jakieś papki i podejrzane pożywki. Mogę się zatruć.

— Nie bądź śmieszny. Polizesz tylko.

— Powącham tylko — oświadczył Kękuś — wystarczy, jak powącham, ja mam dobry węch, od razu poznam, czy pożywka jest jak należy.

— Dobra — westchnął zrezygnowany Gnat i odkręcił wieko.

Kwękacz powąchał.

Patrzyliśmy na niego ciekawie.

— To jest na mięsie kangura — oświadczył autorytatywnie.

— Skąd wiesz? — zapytałem.

— Czuję.

— Skąd wiesz, jak kangur pachnie?

— Mam wujka w Australii, mówiłem wam kiedyś, i wujek przysłał nam na święta pasztet z kangura. Pachniał tak samo — wyjaśnił Kwękacz, po czym nabrał na palec pożywki i polizał z apetytem. — Niezwykły smak...

— Daj spróbować — powiedział zaciekawiony Kleksik.

Kwękacz podstawił mu palec, ale Kleksik wołał posłużyć się własnym. Nabrał na paznokiec większą próbkę pożywki i zjadł z nabożeństwem.

— Tak jest. To jest kangur, ale chyba z domieszką strusia — zakomunikował oblizując palec.

— Raczej z domieszką strusiego jaja, ściślej żółtka — sprostował Kwękacz, degustując ponownie — tak, to na pewno żółtko.

— Wykluczone. To nie domieszka jaja, to jest domieszka wątroby — orzekł Kleksik nabierając nową porcję pożywki — chyba czujesz ten gorzkawy smak...

— Dosyć tego — wykrzyknął Gnat i wyrwał im z rąk pożywkę „Huckleberry Dog Dinner”. — Jak tak dalej pójdzie, to zjecie wszystko. A co zostanie dla Rozpylacza? Trzymaj, Tomku — wręczył mi puszkę — chyba ten pasztet został wypróbowany dokładnie i możemy śmiało karmić nim Rozpylacza.

— No, nie wiem — mruknąłem przyjmując z ociąganiem puszkę — czasem objawy występują dopiero po godzinie i dłużej...

— No, no, nie bądź taki pesymista. Mnie przekonało zupełnie to, że zjedli z apetytem. Smaruj teraz biegiem do Bambosza z dobrą wieścią...

— Z jaką niby dobrą wieścią?

— No, że zakładamy Straż Porządkową.

— Myślisz, że to będzie dla niego dobra wieść?

— Jasne. Co mogłoby bardziej ucieszyć takiego czyściocha jak Bambosz? Zresztą, gdyby miał jakieś opory, te dary kynologiczne powinny go rozbroić i wzruszyć. — Poklepał mnie zachęcająco po łopatkach. — No leć, bracie.

— A wy?

— My będziemy tu czekać. Zbyt liczna delegacja mogłaby przstraszyć Bambosza. On jest taki nerwowy. Naprawdę lepiej jak tu zaczekamy...

Popatrzyłem nader niepewnym okiem na smycz, obrożę, kość gumową, psią szczotkę i pożywkę, które trzymałem w rękach. I poczułem się raczej głupio.

— Zupełnie nie wiem, jak zagaic przed Bamboszem — powiedziałem — na serdeczność mnie nie stać, a znowu w stylu urzędowym może wypaść zbyt drętwo. .. „Zostałem delegowany do pana w sprawie Straży Porządkowej”... nie, to brzmi fatalnie... „Miło mi zawiadomić pana, że zapadła decyzja utworzenia Straży Porządkowej” —jeszcze gorzej!

— Normalnie coś powiesz — zamruczał Gnat.

— Co to znaczy „normalnie”?

— To znaczy tak, jakbyś mówił do własnego dziadka.

— Nie mam dziadka. Jednego, rozwalili hitlerowcy, a drugi zmarł, jak byłem jeszcze bąkiem.

— O, rany, no to zagaj tak, jak mówiłeś do nieboszczyka pana Dziedziucha od przyrody, gdy przyniosłeś mu muchę. „Proszę pana, przyniosłem coś dla Rozpylacza, chyba

się panu przyda", rozumiesz, w ten deseń. Najlepiej zacząć od tych fantów, podrzucić Bamboszowi przynętę!

- I myślisz, że to będzie „normalne”?
- To będzie zupełnie normalne. Zasuważ!

Pobieglem.

Bambosz zabierał się właśnie do sprawdzianu śliskości. Nasza rozmowa trwała krótko. Po minucie byłem z powrotem przy chłopakach z całym zestawem przynęt kynologicznych w rękach.

— Co ty?! — Gnat spojrzał na mnie zdezorientowany. — Stchórzyleś?! Strach cię obleciał?

- Ale skąd!
- Nie widziałem, żebyś rozmawiał. Zagaileś?
- Zagailem normalnie.
- No i co Bambosz?
- Normalnie... przepędził mnie miotłą.
- To przenośnia.
- To smutna dosłowność, niestety.
- Przepędził cię ścierką czy miotłą?
- Powiedziałem, że miotłą.
- Niemożliwe. Skąd by wziął na korytarzu miotłę?
- Przyniósł. Do omiatania pajęczyn z sufitu. Ale czy to ważne?
- To ważne — mruknął Gnat — to wskazuje na wyjątkową agresywność

Bambosza... Nie rozumiem, co mu się stało. Nigdy dotąd nie atakował nikogo żadnym narzędziem, a teraz od razu miotłą... Musiałeś go zdenerwować...

- Nic podobnego, zbliżyłem się z uśmiechem...
- Może ten uśmiech zaszkodził... Ty masz głupi uśmiech, Tomciu. Trudno —

Gnat westchnął zrezygnowany — sam mu powiem.

- Nie radzę.
- Nie bój się, ja mam sposób. Chodźcie.

Ruszyliśmy korytarzem w stronę Bambosza. Gnat zatrzymał nas koło ostatniego okna. Leżało tu nie sprzątnięte jedno z sukien od „froteru”. Gnat wlaź na nie jedną nogą.

- Co chcesz zrobić? — zdumiałem się.

— Cicho, zademonstruję naszą dobrą wolę. To się nazywa chwyt poglądowy. Poczekajcie tu — to mówiąc Gnat odepchnął się jedną nogą i wykonał ślizg próbny w podobny sposób, jak to robił Bambosz.

Był to widok niezwykle: Gnat na suknach! Gnat podejmujący zabiegi froter-skie! W dodatku robił to z widoczną przyjemnością i z niezaprzeczalnym wdziękiem.

Popis ten musiał wywrzeć wrażenie nawet na Bamboszu, bo zastylł nieruchomo w miejscu. Czekaliśmy, co z tego wyniknie. Widziałem, jak ręka Bambosza już sięgała po miotłę... ale nagle cofnęła się. Woźny zmienił widać decyzję. Położył zielone sukno na posadzce, zatarł ręce i jak gdyby nigdy nic wykonał wspaniałą, popisową ślizg. Zyzio widząc to uśmiechnął się zadowolony i odpychając się lekko lewą nogą począł łagodnym zygżakiem zbliżać się do Bambosza, ale Bambosz jakby go nie zauważył... Wykonywał swoje artystyczne ewolucje nie zważając wcale na partnera. Przez chwilę jeździli tak koło siebie mijając się w bezpiecznej odległości. Wreszcie Gnat zmienił taktykę i zaopatrzywszy się w sympatyczny uśmiech tudzież wyeksponowawszy z gracją wszystkie owe psie rekwizyty, które trzymał w rękach, począł zbliżać się do Bambosza... Już miał dojechać do niego, gdy nagle Bambosz skręcił z nienacka i odjechał daleko w drugą stronę. Po chwili Gnat ponowił próbę zbliżenia, lecz z tym samym skutkiem. Obserwowaliśmy w napięciu te dramatyczne manewry.

- Bambosz wyraźnie uchyla się od pertraktacji — zauważył z niepokojem Olo.
- Tak, robi wyraźne uniki — potwierdziłem.
- Odrzuca wszelkie kontakty!

— To wojna nerwów!

— Bambosz droży się tylko — przymrużył oczy Kękuś — nie bójcie się, wszystko jest na najlepszej drodze. Gdyby było inaczej, już dawno przepędziłby Zyzia miotłą.

Niby racja, a jednak nie mogłem pozbyć się niepokoju.

Popisy taneczne obu zawodników na posadzce trwały dwie minuty, może trzy. Potem akcja przeniosła się niepostrzeżenie w drugi koniec korytarza. Znajdowała się tu pod schodami komórka służąca do przechowywania narzędzi do froteru. Nazywaliśmy ją azylem i używaliśmy niegdyś jako wygodnej kryjówki mimo wstretów, które czyniła nam dawna woźna. Dopiero Bambosz wykurzył nas stamtąd definitywnie i wprawił do drzwi nowy zamek, do którego nie mieliśmy klucza.

Tym razem komórka była jednak otwarta na oścież. Bambosz nie zamknął jej przez roztargnienie, czy też może miał właśnie zamiar chować narzędzia po froterze? A może...

Sprawa rozstrzygnęła się wkrótce. Bambosz wykonał parę popisowych figur tanecznych pod drzwiami komórki, jakby wabiąc Gnata. Zyzio podjechał natychmiast do niego wciąż uśmiechając się przyjacielsko... już miał zatrzymać się z darami przy Bamboszu, gdy nagle woźny uskoczył o pół kroku i pchnął gwałtownie Zyzia zdradzieckim ciosem w plecy. Rozpędzony i pchnięty w dodatku Zyzio wjechał do komórki, a Bambosz błyskawicznie zatrasnął za nim drzwi i przekręcił ze zgrzytem klucz w zamku.

Z wnętrza dobiegł nas rozpaczliwy krzyk Zyzia i jego dudnienie w drzwi. Ale Bambosz nie reagował. Z krzywym uśmiechem schował flegmatycznie klucz do kieszeni, zwinął zielone sukno i pomaszerował w głąb korytarza. Oczywiście do kancelarii.

Ogarnęły nas najgorsze przeczucia. Coś było nowego w zachowaniu się woźnego. Kryła się za tym wszystkim jakaś tajemnica, o której nie mieliśmy pojęcia. Coś się widocznie zdarzyło bardzo niedobrego dla nas... Bambosz nigdy dotąd nie pozwalał sobie na takie rozgrywki.

— Wiejmy lepiej — szepnęła Kękuś.

Instynkt podpowiedział nam, że byłoby to w tej sytuacji celowe. Ukryliśmy się więc na wszelki wypadek w naszym pokoju za biblioteką i postanowiliśmy czekać na lepszy rozwój wydarzeń. Nie dane nam jednak było nawet ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy otworzyły się drzwi i stanęła w nich pani bibliotekarka.

— Pani Czupurska was szuka — powiedziała.

— Je... jesteśmy ra... raczej zajęci... — wykrztusiłem — może potem.

— Pani Czupurska już tu jest. Przyszła po was. I pan Pelman.

Skóra nam ścierpła. Wszystko na nic! W chwilę później wyciągnięto nas z pokoju, a w dwie chwile później maszerowaliśmy już korytarzem gęsiego. Pani Czupurska na przedzie, potem my gęsiego, a na końcu nieszczęśliwy pan Pelman, którego zmobilizowano do eskorty.

Na korytarzu zauważyliśmy dziwne poruszenie. Młodzież klębiła się koło gazety ściennej. Całe tłumy bractwa oblegały naszą gazetę. Ale dlaczego? Przecież nie wypuściliśmy nowego numeru, a stary został skonfiskowany przez Oberona. Mój niepokój pogłębił się.

— Dokąd pani nas prowadzi? — wyjąkałem.

Ale pani Czupurska nie raczyła odpowiedzieć. Niebawem okazało się, że zmierzamy prosto do kancelarii. Oberon czekał na nas przed drzwiami.

— Są, panie dyrektorze — zameldowała Czupurska.

— Brakuje mi Gnackiego — zauważył Oberon.

— Gnacki został schwyty na gorącym uczynku przedrzeźniania pana Macocha i uwięziony w komórce pod schodami do dyspozycji pana dyrektora. Pan Macoch meldował już.

— Meldował, że Gnacki został zatrzymany, ale nie wiedziałem, że został uwięziony — zagrzmiał Oberon. — Co to za metody?! Pani każe Macochowi go wypuścić... Chcę go przesłuchać.

— Może najpierw jednak pan dyrektor przesłucha tych trzech. Będzie lepiej, jak pan ich przesłucha bez Gnackiego. Gnacki jest prowodyrem. On ich usztywnia, panie dyrektorze. To zły duch...

— Usztywnia, pani mówi — Oberon spojrział na nas ze wstrętem. Staraliśmy się rozluźnić i zrobić w miarę przyjemny tudzież niewinny wyraz twarzy, ale nie bardzo nam wyszło. I bez Zyzia byliśmy całkowicie usztywnieni ze strachu.

Sądziliśmy, że Oberon wciągnie nas bezzwłocznie do kancelarii, ale on powiedział tylko: „idziemy!” i poprowadził nas za sobą na korytarz.

Znów ruszyliśmy gęsiego. Na końcu eskortowali nas Czupurska i coraz bardziej nieszczęśliwy ze swej roli Pelman. Dyrektor zatrzymał się w połowie korytarza. Korytarz wciąż jeszcze był niedrożny. Nauczyciele próbowali rozpędzić czytelników naszej gazety, bez większego zresztą sukcesu.

— Kolego Pelman, niechże pan się ruszy i pomoże... Pan widzi, co się wyrabia — zagrział Oberon.

Pelman westchnął ciężko i ruszył do ataku wymachując bezradnie ramionami, podobny do żalostnego stracha na wróble, którego nikt się nie boi. Wkrótce został rozplaszczony na ścianie.

Zdegustowany Oberon zaczął sam przedzierać się przebojem przez ciżbę. My za nim. Już wiedzieliśmy, gdzie nas prowadzi. Prowadzi nas do gazety ściennej. Na nasz widok młodzież ucichła i cofnęła się o dwa kroki. Zauważyliśmy, że przyglądają nam się ciekawie i gotują na nowe widowisko. Wkrótce w polu naszego widzenia znalazła się tablica, na której zawieszaliśmy naszą gazetę szkolną. Spojrzeliśmy na nią i zdrętwiliśmy. Na tablicy wisiał bowiem... nowy numer gazety. Z daleka już można było przeczytać wielki tytuł głównego artykułu: **REPORTAŻ KYNOLOGICZNY**. Opisywał on dość dokładnie, acz ze złośliwą przesadą, wczorajsze awantury z Rozpylaczem i pozwalał sobie na dowcipy pod adresem Bambosza zupełnie w stylu naszych dawnych artykułów. Ale najbardziej mnie zdumiało, że reportaż przytaczał niemal dosłownie całą rozmowę Oberona z Bamboszem w kancelarii. To było niepojęte, bo przecież... przecież tylko my słyszeliśmy tę rozmowę!

Tekst był bardzo obszerny i starannie wykonany pismem technicznym na wielkim arkuszu pergaminu; autor posługiwał się fioletowym tuszem. Ale żeby wszystko było bardziej niesamowite, tekst ilustrowany był obficie fotografiami. Pierwszy rzut oka wystarczył, bym poznał, kto je robił. Były to zdjęcia wykonane przez Matyldę Opat, niektóre z nich widziałem już poprzednio, to były właśnie zdjęcia odrzucone przez Gnata.

— Przyjrzyjcie się dobrze — powiedział głośno Oberon. Zauważyłem, że obserwuje nas ciekawie.

— To nie my! — wybelkotał Kleksik.

— My nic nie wiemy — jęknął Kękuś.

— To jacyś złośliwy łobuzi!

— Ktoś nam podłożył świnię, panie dyrektorze!

— Będziecie się tłumaczyć w kancelarii — powiedział Oberon. — Czy przyjrzelście się?

— Tak, panie dyrektorze.

Oberon zdarł gazetę z tablicy, sapiąc głośno miał ją przez chwilę w rękach, aż zrobił z niej wielką papierową kulę i rozejrzał się za koszem na śmieci. Ale kosza nie było. Olo Kleksik też to zauważył od razu i przytomnie wyciągnął rękę. Oberon rzucił mu zmiętą gazetę, a Olo schował ją w przepastnej kieszeni swoich spodni.

Następnie zaprowadzono nas do kancelarii. Oberon rozpoczął tu wyjątkowo gwałtowną mowę, nie szczędząc epitetów pod naszym adresem. Wśród nich wyrażenie „bezczelne piszolki” było jednym z najłagodniejszych. Na próżno demonstrowaliśmy swoją niewinność dziecięcą i podkreślaliśmy, że padliśmy ofiarą ohydnej intrygi, i to właśnie w momencie, gdy chcieliśmy zorganizować tak wspaniałą rzecz jak Straż Porządkowa.

Oberon uznał wszystko za bluff i tchórzliwe wykręty. Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, zapewne zawieszeniem i wezwaniem rodziców do szkoły, na szczęście w kulminacyjnym momencie gniewu Oberona do gabinetu weszła pani Szykowska.

— Panie dyrektorze — powiedziała — nie ma miejsca na cmentarzu.

— Co takiego? — Oberon nie zorientował się w pierwszej chwili, o co chodzi.

— Właśnie pan spedytor Gudelko dzwonił, że nie chcą przyjąć pana Dziedziucha...

— Gdzie nie chcą przyjąć?

— No właśnie mówię. Na cmentarz. I chcą go wywieźć do Wólki.

— Co?! Kolegę Dziedziucha do Wólki?! — zdenerwował się Oberon — za pięćdziesiąt lat udręki z tymi... z tymi galganami — spojrzał na nas ciężko — za pół wieku poświęceń, za niesienie kagańca, za stanie w pierwszym szeregu... za trwanie na reducie! To niesłychane! Idę do Urzędu. — Oberon wybiegł z gabinetu.

— A co z tymi uczniami? — zapytała Szykowska.

— Wypuścić...

— Pan chce im to puścić płazem?

— Po drodze się zastanowię — zasapał Oberon i obrócił się do nas — biada wam, jeśli do jutra nie załatwicie sprawy z panem Macochem. Nie tylko pospadacie z redakcyjnych stolców, ale nasypię wam soli do majtek!

Przez chwilę staliśmy jeszcze oszołomieni tą niezwykłą groźbą.

— Wynoście się! — krzyknęła pani Szykowska. — Gdybym nie weszła we właściwym momencie, dyrektor zrobiłby was na amen i popiół. Kto to widział tak się podkładać głupawo?! Czy nie wiecie, że dyrektor jest specjalnie uczulony na psa i na Bambosza?

Chcieliśmy raz jeszcze podkreślić, że padliśmy ofiarą intrygi, ale pani Szykowska nie miała ochoty słuchać i bezceremonialnie wypchnęła nas za drzwi.

Myśleliśmy, że Zyzio jest już wolny, ale okazało się, że Bambosz korzystając z nieobecności Oberona przetrzymał Zyzia w areszcie aż do końca szóstej lekcji. Wypuścił go dopiero, gdy Oberon wrócił i ogłosił triumfalnie wiadomość, że udało mu się załatwić miejsce dla pana Dziedziucha w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Odrzywolach i że cała młodzież powinna wziąć udział w pogrzebie, który odbędzie się o godzinie szesnastej. Wyznaczeni do niesienia wieńców oraz delegacje specjalne z kwiatami mają zgłosić się natychmiast na odprawę do kancelarii. Od razu zrobiło się zamieszanie i wiadomo było, że już z dalszych lekcji tego dnia będą nici.

Zyzio wyszedł z więzienia spocony i ukurzony z czarnymi smugami na twarzy. Myśleliśmy, że będzie się pieklił i dyszał zemstą, ale on zachował zdumiewający spokój.

— To wszystko tylko potwierdza moje teorie, wiecie jakie — przymrużył oczy i spojrzał znacząco na Bambosza. — Byłem za mało czujny. Ale gra się dopiero zaczęła. W każdym razie mamy teraz czyste sumienie. Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało. Widzieliście, wyciągnąłem do niego rękę...

— Widzieliśmy.

— A on zastawił na mnie pułapkę. Zawsze podejrzewałem, że z niego złośliwa i okrutna bestia, ale dzisiaj jakiś diabeł dodatkowy wstąpił w niego. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak nagle odsłonił swoje karty.

— Za to my rozumiemy już doskonale — mruknąłem cicho. — Zaraz po twoim uwięzieniu wszystko się wyjaśniło.

— Co masz na myśli?

— Ktoś podłożył nam świnię.

— Co wy? O czym mówicie?! — zmarszczył brwi Gnat.

— O tej hecy z gazetą.

— Z jaką gazetą?!

— Jakaś małpa wywiesiła na tablicy nowy numer gazety — oznajmiłem lęklonie, bojąc się reakcji Zyzia.

— Lotr zamieścił niby reportaż z wczorajszych historii z Rozpylaczem — wyjaśnił Kleksik i zreferował z grubsza wygląd i treść artykułu.

Zyzio zbladł. Myślałem, że dostanie ataku wściekłości, ale opanował się i zapytał niby spokojnie, tylko głosem o dwa tony niższym.

— Zaraz, ale kto to zamieścił, lotr czy małpa?

— Chodzi ci o pleć?

— Powiedzmy.

— My nie wiemy...

— Powiedziałeś małpa...

— Tak mi się powiedziało... każdy może być małpą.

— Niby racja — przyznał Gnat — ale co się stało z tą gazetą?

— Oberon zdarł i wyrzucił — mruknął Kwękacz.

— Niezupelnie ściśle — uśmiechnął się Kleksik. — Oberon dał mi do wyrzucenia, ale ja schowałem do kieszeni — to mówiąc wyciągnął kulę zmiętego papieru.

Gnat rozwinął go ciekawie i zabrał się do czytania.

— Patrzcie — wykrzyknął nagle — tu jest cała rozmowa Bambosza z Oberonem w gabinecie!

— Właśnie zastanawialiśmy się — powiedziałem — kto mógł podsłuchać tak dobrze.

— Tylko my! — zasapał Gnat — zatem wniosek jest jasny — urwał nagle...

— Chcesz powiedzieć, że to ktoś z nas? — uśmiechnąłem się krzywo.

— Tak chyba wynika z dedukcji logicznej.

— Tak wynikałoby — odparłem — gdyby okno w gabinecie było wtedy zamknięte, a ja pamiętam dokładnie, że było uchylone i nawet żółty motyl wleciał do pokoju... Zatem gdyby ktoś stał wtedy pod oknem...

— Albo gdyby drugie okno obok okna gabinetu było także otwarte... — dodał Kleksik.

— Wtedy ktoś mógłby podsłuchać oprócz nas...

— Ale przecież drugie okno obok okna gabinetu to właśnie okno naszej klasy! — zauważył Kleksik.

— Słusznie! Gdybyśmy więc zbadali, kto wtedy był w klasie...

— To było w czasie przerwy...

— Tym łatwiej zbadać.

— Jedną osobę już mam na myśli — zamruczał Gnat — zauważcie, że w tej gazecie były zdjęcia zrobione przez Matyldę Opat!

— A zatem Matylda? — wytrzeszczył oczy Kleksik.

— To może być jej zemsta za to, że nie chcieliśmy jej zrobić redaktorem. Bardzo się do tego paliła — zauważył Gnat.

— Nie! To bzdura — zaprotestowałem gwałtownie. — Matylda nie mogłaby zrobić takiego świństwa! Znam Matyldę...

— Zbadamy sprawę — powiedział ponuro Gnat — jedno wam tylko powiem. Nie chciałbym być w skórze sprawcy.

Zapatrzył się w tłum młodzieży opuszczającej właśnie gromadnie szkołę i oczy zwięzły mu się jak kotu.

**ROZDZIAŁ XVII**  
**— CZY WARTO BYĆ DOBRYM DLA DZIEWCZYN?**

Staliśmy jeszcze chwilę w korytarzu pogrążeni w ponurych myślach. Ja osobiście myślałem o Matyldzie i o tym strasznym niebezpieczeństwie, które zawisło nad jej głową. Gnat nigdy nie darzył Matyldy sympatią, a teraz z satysfakcją wrobi ją w te okropną historię. Trudno zaprzeczyć, że poszlaki obciążają Matyldę... Jeśli Gnat rzuci publiczne oskarżenie, kto ją obroni? Ja! — odpowiedziałem natychmiast w duchu i postanowiłem od razu odszukać Matyldę, by przygotować ją na najgorsze i razem z nią obmyślić plan obrony...

Wpatrywałem się więc w rącze tabuny, zwarte kierdele i rozhukane hordy cwałujących przed nami uczniów, usiłując dostrzec wśród nich Madzie. Widok był imponujący. Wprost nie chciało się wierzyć, że to wszystko mieści się w murach naszej skromnej szkoły i co dziwniejsze, że szkoła to wszystko znosi i nie eksploduje od tej olbrzymiej nagromadzonej energii. A potem pomyślałem, że jednak ta energia jest zabójcza dla mniej odpornych nauczycieli i że za dużo mieliśmy ostatnio w tym mieście przedwczesnych gogicznych pogrzebów... Chyba pięć, nie licząc oczywiście ucieczek... tak, chyba pięć albo cztery. Nie zdołałem dokładnie ustalić, bo właśnie w tym momencie zauważyłem Matyldę.

Szła zaaferowana obok tych rozpędzonych tabunów, jakby była postacią z innego świata. Niewątpliwie Matylda jest postacią z innego świata. Wciąż jeszcze nie zdołała wtopić się w nasze życie, nie zdołała, a może po prostu nie chciała... Tym gorzej dla niej w obecnej sytuacji. Wystarczy, żeby padł na nią cień podejrzenia, a jako obca będzie od razu zgubiona. Czy zdaje sobie z tego sprawę? Najwyższy czas, by ją ostrzec!

— Pójdę już — rzuciłem do chłopaków.

— Dokąd?! Musimy odbyć naradę! — Gnat zrobił krok w moją stronę, jakby mnie chciał zatrzymać, ale ja byłem już przy drzwiach.

— Naradzimy się na pogrzebie! — krzyknąłem przez ramię i oddaliłem się pośpiesznie.

Za rogiem szkoły obejrzałem się przezornie, a gdy upewniłem się, że stracili mnie już z oczu, dodałem gazu i dopędziłem Matyldę. Zatrzymała się na mój widok zdumiona.

— Co się stało?!

— Musimy porozmawiać.

— Znowu?

— Znowu i pilnie.

— Jakież zmiany?

— Chyba zauważyłaś sama...

— Gdzie miałam zauważyć?

— No, na ścianie.

— Ach, chodzi ci o tę śmieszna gazetę — spojrzała na mnie rozbawiona.

— Gnat jest wściekły.

— Że wykorzystaliście moje zdjęcia?

— To nie my...

— Co nie wy?

— To nie my wypuściliśmy ten numer! Nikt z redakcji!

— Jak to?!

— Być może jesteśmy stuknięci, ale trzeba by chyba urwać się z księżycą, żeby w naszej sytuacji podkładać się tak nachalnie. Ktoś nam zrobił świński kawał. ..

— Co ty mówisz? Kto? — Madzia wydała się szczerze zdumiona.

— Gnat podejrzewa, że to ty! — wypaliłem.

— Ja?! Coś takiego!

— Pewne... pewne poszlaki świadczą przeciwko tobie — wykrztusiłem — oczywiście ja nie wierzę, że to ty — dodałem pośpiesznie — ale inni... Gnat strasznie odgrażał się. Jeśli podburzy klasę... — W nader obrazowej formie przedstawiłem Madzi czyhające na

nią niebezpieczeństwa. — Trzeba uprzedzić wypadki — zakończyłem. — Najlepiej będzie, jeśli od razu przedstawiś jakieś dobre alibi...

— Alibi? — spojrzała na mnie niespokojnie.

— Tak, alibi... to znaczy, że nie mogłaś podpatrzeć i podsłuchać tej awantury z Rozpylaczem i Bamboszem, i tej śmiesznej dysputy Bambosza z Oberonem, że byłaś wtedy gdzie indziej... rozumiesz.

— Rozumiem.

— A więc?...

— A więc ja... ja nie mam alibi — wyznała zmieszana Matylda.

— Jak to? — przestraszyłem się — chyba potrafisz udowodnić, że nie było cię ani pod oknem gabinetu, ani obok w naszej klasie...

— Ra-raczej nie potrafię.

— Dlaczego?

— Bo ja właśnie byłam wtedy w klasie.

Oslupiałem.

— Nieszczęsna, kto ci kazał! — jęknąłem.

— Musiałam... Byłam akurat tego dnia dyżurną...

— Brawo! Coraz lepiej!

— Ale chyba mi wierzysz, że to nie ja... tę gazetkę... — spojrzała na mnie zakłopotana.

— O... oczywiście wierzę, że to nie ty — wyjąkałem — te poszlaki są stanowczo... nie... nieprzekonywujące.

— Myślisz? — spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Jestem tego pewien! — potwierdziłem rozpaczliwie. — Poza tym mam nadzieję, że nikt cię nie widział w tej klasie...

— Wszyscy mnie widzieli!

— Wszyscy? — powtórzyłem raczej nikłym głosem — jak to wszyscy?

— Bo co trochę ktoś wchodził do klasy w czasie przerwy, żeby się ochłodzić, bo na korytarzu było strasznie duszno, a Bambosz zamknął na klucz drzwi na podwórzu. No i wszyscy widzieli, że ja stoję w oknie i podsłuchuję — wyznała Matylda.

— To znaczy, że wszystko słyszałaś, co oni mówili w gabinecie? — zapytałem zupełnie już słabym głosem.

— Wszystko — odparła.

— To zupełnie fatalnie!

— I ja tak myślę — zgodziła się.

— Zupełnie nie wiem, co robić — bąknąłem.

— Nie przejmuj się — pocieszyła mnie — mam pomysł.

— Jaki ty możesz mieć pomysł?

— Pójdę do Gnata i wytłumaczę mu — oświadczyła z niezrozumiałą dla mnie lekkomyślnością i beztroską.

— Oszalałaś?! — przeraziłem się.

— Porozmawiamy w cztery oczy — ciągnęła z dziwną determinacją.

— Tylko nie w cztery oczy! — sprzeciwiłem się gwałtownie.

— Na pewno go przekonam — uśmiechnęła się Matylda, a jej oczy zabłysły niepokojąco.

— Ani się waż! — zasapałem wzburzony. — W ogóle nie wolno ci się przyznać, że cokolwiek słyszałaś... Musimy zastosować inną linię obrony.

— Jaką?

— Musimy odnaleźć tego, kto spreparował ten skandaliczny numer! Posłuchaj, jest pewien punkt zaczepienia. Do tej gazety wykorzystano twoje ostatnie zdjęcia. Przypomnij sobie, komu je dałaś.

— Och... dałam je różnym osobom... — Matylda wzruszyła ramionami.

- Ale te, na których jest Bambosz i pies — nalegałem.
- Te dałam pani bibliotekarce.
- Bibliotekarce?! Oszaleć można — otarłem czoło — której bibliotekarce? Pani P. czy Jasnej Biblioli?
- Jasnej Biblioli — odparła Matylda.
- Po co?
- Bibliola powiedziała, że ożywią jej wystawę... Wiesz, że Bibliola co tydzień organizuje w bibliotece wystawę plastyczną.
- Tak, to jej mania, reprodukcje dzieł znanych malarzy. Ale trudno mi uwierzyć... — potrząsnąłem głową zaaferowany — chociaż z drugiej strony...
- Myślisz, że Bibliola mogłaby zrobić wam taki kawał?
- Nie wiem... zupełnie nie wiem — powtarzałem bezradnie — to byłoby zapewne mało prawdopodobne, ale czy zupełnie niemożliwe? Mogła jej szajba odbić...
- Szajba? Co ty!
- To się zdarza najporządniejszym ludziom. Czasem z przepracowania, czasem z nerwów. Wiesz, jaka ciężka jest praca w szkole. Jednych wynoszą przedwcześnie jak pana Dzedziucha, innym szajba odbija... Bibliola była ostatnio bardzo nie zrównoważona — zauważyłem.
- To prawda — zgodziła się Madzia. — Bibliola była ostatnio w dziwnym humorze. Deklamowała na głos jakieś zdania.
- To były aforyzmy Lecą.
- Podśpiewywała coś tym swoim niskim głosem.
- Tym razem niższym niż zwykle. Bardzo niskim, prawie męskim, niby dla zabawy i wesoło...
- Ale to była wesołość, od której ciarki przechodziły po grzbiecie.
- Jej spojrzenie było szydercze...
- Tak, pamiętam, że spojrzała na mnie z głęboką ironią, gdy pożyczałem „Niedobrą miłość”.
- Ja myślę, że ją ogarnął pesymizm — stwierdziłem z przekonaniem.
- Bardzo możliwe — powiedziała Madzia.
- Musimy to zbadać, a na razie trzymaj się z daleka od Gnata — zaleciłem. — Najlepiej, żebyś w ogóle nie wychodziła dziś z domu.
- Och nie, muszę przecież być na pogrzebie! A co do Zyzia...
- Zrozumiałem, że żądam zbyt wiele.
- Ostrzegłem cię — rzekłem zimno — ale ty jesteś podobna do ćmy, co bezmyślnie leci w ogień.
- No, wiesz, takie porównanie — oburzyła się Matylda — jeszcze nikt mnie nie porównał do ćmy. Dziękuję ci!
- No więc ja ci to mówię. Jesteś ćmą — zadyszałem z tłumionego wzburzenia. — Powiedz mi, dlaczego jesteś taka zaślepiona...
- Zaślepiona? Nie rozumiem...
- Jesteś zaślepiona, gdy chodzi o Zyzia! To się rzuca w oczy! Zaślepiona i głucha!
- Wcale nie jestem — poczerwieniała Matylda — to ty — zaatakowała mnie nagle — to ty z jakiegoś powodu przestałaś lubić Zyzia... To ty go nie cierpisz! Ja go traktuję normalnie... po prostu normalnie, a ty masz uraz...
- Ja mam uraz?! — wykrzyknąłem ze złością.
- Tak. Wyraźny uraz! — powtórzyła — zupełnie nie rozumiem, skąd to u ciebie. Powinniśmy to wyjaśnić sobie w trójkę...
- W trójkę?! — spojrzałem na Matyldę osłupiały. — Masz niesamowite pomysły!
- Nie chcesz?
- Dajże spokój! Rozmawiać z Zyziem na takie tematy! Ty w ogóle niczego nie rozumiesz... Nie zdajesz sobie z niczego sprawy... Mówiłem ci już, że Zyzio to zakuty adalista.

On nie znosi dziewczyn z naszej klasy! A teraz w dodatku ten skandal... Błagam cię — jęknąłem łamiącym się głosem — bądź ostrożna, nie ustawiaj się do bicia... ja znam sytuację... ja...

— Nudny jesteś — przerwała mi zniecierpliwiona — ciągle to samo w kółko, aż się niedobrze robi! Przepraszam cię, ale muszę już pędzić na obiad!

Znieruchomiałem, jak rażony obuchem. Nawet nie próbowałem jej gonić. A potem zrobiło mi się wybitnie nijako, mdło jakoś i gorzko na dodatek. Niewątpliwie miałem „tę gorycz w sercu”, którą niegdyś z takim zapalem opiewali poeci. I ogarnął mnie pesymizm zasadniczy, i zastanawiałem się, czy pesymizm Biblio-li nie jest tego samego rodzaju... Czy warto być dobrym dla dziewczyn? Zyzio okazuje Matyldzie jawne lekceważenie, mało tego, tępi ją wyraźnie, a Matyldy to zupełnie nie zraża. Przeciwnie! Tym bardziej interesuje się Zyziem! Nie trzeba się dłużej okłamywać! Spójrzmy rzeczywistości w oczy! Prawda jest smutna: Matylda z niezrozumiałych powodów uwielbia Zyzia, ja natomiast, który zawsze stałem po jej stronie i narażałem się dla niej, zupełnie się nie liczę, a przed chwilą dowiedziałem się na domiar złego, że jestem nudny! Czy więc warto być dobrym dla dziewczyn?

Tak myślałem rozgoryczony chyba z pięć minut, może trochę dłużej, a potem otrząsnąłem się z przygnębienia i pomyślałem dumnie, że nie robiłem niczego z myślą o nagrodzie ani dla zapłaty. Po prostu uważałem, że tak należy postępować i nie potrafiłbym inaczej. „Dobroć sama dla siebie jest najwyższą nagrodą, wzbogaca bardziej tego, kto daje, niż tego kto bierze”... Zabrzmiało mi to bardzo filozoficznie, może trochę za bardzo, ale uspokoiło mnie poważnie... i do tego stopnia, że gorycz ustąpiła, a zamiast niej poczułem normalny głód. Przyśpieszyłem więc kroku, by nie spóźnić się do domu na obiad.

Niestety nie danym mi było pokrzepić się w sprzyjającej zdrowemu trawieniu atmosferze. Okazało się, że pani Szykowska była znów równie szybka jak niezawodna i nie omieszkała powiadomić mamy o skandalu z gazetą szkolną, oczywiście z własnym komentarzem.

Mama obserwowała mnie chwilę wnikliwym okiem sędziego, a potem zapytała podchwytliwie:

— Co tam dziś było w szkole?

— Stereotyp, czyli błada pospolitość — odparłem, choć wiedziałem od razu, do czego mama zmierza. Ale nie chciałem ułatwić jej przesłuchania.

— Naprawdę nie masz nic do powiedzenia?

— Tylko to, że dzień jest nieco smutny. O czwartej idę na pogrzeb Chruściela. Żeby się mama nie zdziwiła, jak wrócę późno. To będzie pogrzeb pierwszej kategorii, z przemówieniami, z orkiestrą, poza tym z deszczem i z błotem, bo pogoda też smutna.

— Tym bardziej mnie dziwi, że w taki smutny, żałobny dzień pozwoliliście sobie na taki głupi dowcip! — rzekła mama.

Mój ojciec pochylony w skupieniu nad potrawką cielęcą drgnął, a raczej się wzdrygnął.

— Byłeś znowu dowcipny? — obrócił się w moją stronę. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, mama mnie wyręczyła.

— Popisali się jeszcze raz w swojej gazecie. Powtórzyli ten niesmaczny numer o śmiesznym woźnym. Tym razem o woźnym, jego psie i panu dyrektorze. Wybuchł największy skandal szkolny tego roku! Cała szkoła o tym mówi! Sam dyrektor musiał interweniować!

— Powtórzyliście się? — zapytał ojciec wyraźnie zdegustowany, jakby najgorszy w tej całej aferze był brak oryginalności.

— To nie my, tato — odparłem.

— To nie oni — odetchnął ojciec.

— Ty mu wierzysz, Tolu?! — oburzyła się mama.

— Ktoś się podszył pod nas... zrobił nam ohydny kawał — tłumaczyłem.

Ojciec chrząknął.

— No widzisz, Misiu, ktoś się podszył pod nich!

— Władze szkolne są innego zdania — ucieła mama — ta sprawa dojrzała do generalnego rozpatrzenia. Nie woźny i jego pies są tu ważni, ważny jest problem tej gazety w ogóle.

— W ogóle?

— Pani Szyjkowska, osoba o dużym doświadczeniu szkolnym, jak wiesz, uznała tę gazetę za czołowy problem roku. Oczywiście gazetę wraz z jej zespołem, to znaczy z tą bandą, do której należy Tomcio.

— Ja protestuję! — wykrzyknąłem znad szczątków potrawki.

— Korzystając z zapracowania nauczycieli stanowczo za dużo sobie pozwalają — ciągnęła nie zrażona mama.

— Pozwalacie sobie? — ojciec lypnął na mnie badawczo swym okulistycznym okiem.

— Tatuś sam widział... gazeta jak gazeta... Po prostu czasami jesteśmy tylko szczyrzy.

— Ich biją za szczyrność — orzekł ojciec.

Mama opanowała się z trudem.

— Szczyrność! — zasapała — zgadzam się z panią Szyjkowską, że do bani z taką szczyrnością!

— Ależ, Misiu.

— Za dużo już tego przechwalania się szczyrnością! Szczyrność ma rozgrzeszać wszystko! Nią się wszystko zasłania! Zwykłą bezczelność, chamstwo i brak wychowania! Ktoś pięścią popiera swoje racje, jest tylko szczyry! Ktoś bluzga, jest tylko szczyry! Ktoś komuś podłożył nogę i jeszcze tym się przechwala — dajcie mu spokój, on tylko nie ukrywał, że jest zły, jakże go karać za szczyrność! Ktoś zdradza cudze tajemnice, bębni na lewo i na prawo o przykrych sprawach kolegi — co wy od niego chcecie, on jest tylko tak wzruszająco szczyry...

— Dosyć, Misiu, zrozumiałem już całkowicie twój punkt widzenia... — przerwał ojciec — jednakże z drugiej strony ogólna nieszczyrność... Ale mama go nie słuchała.

— Na szczęście są jeszcze ludzie, co szanują pewne formy — ciągnęła z narastającym wzburzeniem. — Nawet ludzie zwichni moralnie, nawet przestępcy zmuszają się nieraz do dobrego zachowania, czyli w twoim pojęciu, Tolu, są nieszczyrzy, ale ja mówię: w ich wypadku oby jak najwięcej tej nieszczyrności! To całe szczęście, że są czasami nieszczyrzy! Oby byli jak najczęściej! Zdrowa część społeczeństwa nie życzy sobie, aby tacy ludzie pokazali swoją prawdziwą twarz! Gdy ktoś ma twarz wampira, niech ją lepiej kryje! Kto ma twarz potwora, niech lepiej nosi maskę! Kto ma zbrodnicze instynkty, niech lepiej je chowa! Czy wolisz, żeby opryszek szczyrze ci nabluzgał czy też raczej nieszczyrze udał osobnika kulturalnego? Oczywiście wolalbyś, żeby w tym wypadku pohamował swoją szczyrność.

— Zapewne, ale przecież Tomek...

— Mój drogi Tolu, życie byłoby nieznośne, gdyby każdy był zupełnie szczyry! Wyobrażam sobie, co by wtedy wygadywała o mnie ta okropna Szczeżujka. Och, uszy mi wędzną na samą myśl o tym! Albo ta Gangusowa w kolejce po mięso! Na szczęście jeszcze ma trochę wstydu i krępuje się być zupełnie szczyra... Albo weź, Tolu, takiego Kulkiewicza. Gdyby był szczyry, pobiłby cię w pierwszej lepszej bramie.

— Pobiłby mnie?

— Z zawiści, bo on zepsuł oko temu detaliście. Do ciebie ludzie się garną drzwiami i oknami. Oczywiście Kulkiewiczowi nie przyjdzie nawet do głowy, że jesteś po prostu lepszym okulistą, on jest przekonany, że pacjenci dlatego cię lubią, ponieważ dajesz się oszukiwać i sztasz zwolnieniami... Poza tym on rozpuszcza plotki, że jesteś zarozumiały. Bo nie może zrozumieć, że jesteś zapracowany i dlatego się mało udzielasz... Gdyby kiedyś zdobył się na szczyrność, zdemolowałby twój gabinet!

— Wolalbym to, niż żeby fałszywie uśmiechał się do mnie i udawał przyjaciela.

— Jesteś dziwnym człowiekiem — powiedziała mama.

— Być może — odparł ojciec — ale Tomek jest zupełnie normalny i bynajmniej nie dziwny. Szczerłość u młodzieży jest naturalną cechą. Skoro wierzysz w jego szczerłość, to przecież tym samym nie powinnaś wątpić w uczciwość jego intencji, kiedy sam nam wyjaśnił...

— Tak jest — dodałem szybko — tata ma rację! My nie przez złośliwość, my po prostu tak widzimy i czujemy... wszyscy czują, że Bambosz przesadza z tym porządkiem.

— Szkoła to nie jest stowarzyszenie dobrowolnie uczących się chłopców i dziewcząt — zaczęła mama.

— Wielka szkoda! — westchnął mój niezwykle ojciec.

— Ani federacja wolnych walkoni! — ciągnęła mama.

— Jasne — przytaknałem.

— Ani klub wzajemnej adoracji!

— Z pewnością, mamó, ale...

— Żadnego ale — podniosła głos mama. — Musisz zrozumieć, że szkoła to jest zakład!

— Zakład karny? Więzienie? — zaatakowałem. — Mama za dużo czasu spędza w sądzie, to się w końcu musiało odbić...

— Nie udawaj głupka, wiesz, o co mi chodzi! Szkoła to jest zakład wychowawczy! Musi tam być porządek i rygory. Muszą być zwierzchnicy i podwładni! Ile razy mam ci to powtarzać. Czy wreszcie wbijesz to sobie do głowy?

— Już sobie wbilem, mamó — westchnąłem — mama chciałaby tak jak w wojsku. Mama kocha wojsko, ale mama zapomina, że w wojsku nie siedzi się tyle godzin w ławkach. Ciekawym, jak by wyglądało takie wojsko, które cały czas musiałoby siedzieć w ławkach z dziewczynami i wkuwać przydawki. Mama myśli, że ja też nie wołałbym strzelać i brykać? Na pewno wołałbym strzelać i brykać po polu, niż słuchać pani Czupurskiej i ślęczyć nad wielomianami, w dodatku cały czas w bamboszach! Czy mama widziała kiedy wojsko w bamboszach — zaśmiałem się — a to dopiero pomysł! Bamboszewo wojsko! Mama sama widzi, że nie można nas porównywać, to przecież nie ma sensu, bo my nie możemy być podobni do wojska.

— Ale możecie być przynajmniej podobni do normalnych uczniów i szanować podstawowe przepisy... inaczej nic z waszej nauki... Stoczyć się! Już się staczacie! Czy wiesz, Tolu, że dyrektor rozpędził ich redakcję...

— Rozpędził? — zauważyłem, że te słowa wyraźnie poruszyły mojego ojca.

Ojciec traktował niesłuchanie poważnie każdą pracę. Moją też. Nawet tę w Komitecie redakcyjnym. Podejrzywałem nawet, że był dumny z mojego stanowiska.

— Dostaliście dymisję? — zapytał z niedowierzaniem.

— Och, nie! Mama przesadza jak zwykle. Oberon powiedział wprawdzie, że pospadamy z redakcyjnych stołków, ale niech się tatuś nie przejmuje. Na pewno nie pospadamy. Siedzimy nawet mocniej niż zwykle!

— Nie wierz mu, Tolu — wtrąciła mama — to są jego czece przechwałki. Ja wiem od pani Szyjkowskiej. Pospadają z tych stołków, to są własne słowa Szyjkowskiej.

— Pani Szyjkowska nie zna rozwoju wypadków i ostatnich wiadomości — odparłem nie zmieszany. — Właśnie wydajemy specjalny numer gazety ustawiający poważnie Bambosza.

— Poważnie, to znaczy jak?

— Tak jak by sam sobie życzył. Będzie z pewnością zachwycony. Ale to jest detal. Ważne jest, że przejawiliśmy zasadniczą inicjatywę. To jest bomba! Jeśli ktoś spadnie teraz ze stolka, to tylko Oberon. Oczywiście z wrażenia, a raczej z zachwyty...

— Boję się waszych inicjatyw, cóż to za inicjatywa? — zapytała niespokojnie mama.

— Straż Porządkowa!

— No widzisz, Misiu — odetchnął ojciec — przejawili inicjatywę i po co się było denerwować!

- Na pewno pan dyrektor jeszcze o tym nie wie — zauważyła sceptycznie mama.
- Dowie się niebawem.
- Więc odłóżmy tę dyskusję — zakończył zręcznie mój ojciec — i bierzmy się do deseru!

ROZDZIAŁ XVIII  
— KANAŁ MONIUSZKI

Pogrzeb pana Dziedziucha był uroczysty i tłumny, bo wszyscy w Odrzywołach lubili i szanowali popularnego Chruściela. Ale na nasz gust ceremonie trwały zdecydowanie za długo, a to z powodu zbyt dużej liczby mówców, a także z powodu ich wyjątkowego krasomówstwa i polemicznych akcentów. Rzecz była zdumiewająca, że właśnie nad grobem tak spokojnego i zawsze flegmatycznego Chruściela rozbrzmiały tak bardzo gorące przemówienia, najeżone szpilami i nadziane aluzjami pod adresem różnych osób i instytucji w mieście. Ta podminowana atmosfera udzielała się wszystkim, może dlatego, że zanosilo się na burzę, powietrze było ciężkie, a czarne chmury nad nami pęczniały od nie wyladowanych potencjałów elektrycznych; nawet ci, którzy wcale nie zamierzali przemawiać, włączyli się do dyskusji.

Polemika toczyła się głównie między poplecznikami Domu Spokojnej Starości ze spedytorem Gudelką na czele, rzecznikami muzeum zgrupowanymi wokół prezesa Gołąbka i stronnikami szkoły, którym przewodził Oberon. W tym polemicznym trójkącie padały ciężkie oskarżenia wzajemne o „nadmierną eksploatację i wycieńczenie nieszczęsnego starca, którego odciągano od głównego nurtu życia niecnymi zajęciami”... Klócono się przy tym o to, co było owym „głównym nurtem”. My też przez dwie godziny podczas sześciu przemówień staraliśmy się rozwikłać ten problem i dojść, co było owymi „niecnymi zajęciami” pana Dziedziucha: praca nad młodzieżą, kolekcjonerstwo czy działalność oświatowa wśród starców z DSS. Ale po dwu godzinach rozbolała nas głowa, może dlatego, że staliśmy na słońcu, i odeszliśmy w cień za krzaki ciemnych cisów.

— Wracamy do naszych własnych zmartwień — powiedział Zyzio. — Proponuję, żeby wszyscy złożyli teraz meldunki. Jeśli chodzi o mnie i o Tomka, to byliśmy w muzeum i stwierdziliśmy, że awaramisy w gablocie są sztuczne. Prawdziwe zaginęły w czasie wojny. Ostatnie dwa oryginalne egzemplarze, pierścienie z żółtymi kamieniami, widział, a nawet miał w ręku antykwariusz Zakallo w 1940 roku. Odpada więc hipoteza, że Trener przygotowuje skok na muzeum... Przykro, panowie, ale taka jest rzeczywistość.

— Moje wiadomości też nie są specjalnie pomyślne — zameldował Olo. — Miałem zbadać wszystkie rzeczy po panu Zakalle, które zostały w szkole. Obejrzałem dokładnie meble i wypchane zwierzaki, a nawet obmacałem. Zaglądałem od dołu do sprężyn kanapy i pod siedzenie fotela, ale nic nie znalazłem. Może schowane jest w środku, jak w tej komedii „Dwanaście krzesel”, ale nie mogłem przecież pruć obić...

Następnie złożył meldunek Maciek Kwękacz.

— Przeprowadziłem wywiad w sprawie tego Trenera, który był szyprem. Wcale nie było trudno. Mój brat od razu powiedział, że tu chodzi pewnie o Wojciecha Jakcę, dość znanego człowieka w kołach sportowych... Ten Jaksa...

— Jaksa?! — spojrzeliśmy zaskoczeni. — Przecież znamy to nazwisko! — zawołałem.

— Więc jeden przynajmniej problem mamy z głowy — rzekł zadowolony Zyzio. — Jaksa i Trener to jedna i ta sama osoba.

— On pracował w klubie — ciągnął Maciek — ale już nie pracuje od kilku lat, bo miał wypadek z nogą...

— To co robi teraz?

— Jest w muzeum, dokładnie w takim dziale, co nazywa się muzeum sportu... ale nie w charakterze eksponatu, tylko...

— Wiemy, w jakim charakterze — przerwał podniecony Zyzio — on tam urzęduje... Poznaliśmy go!

— Co?! — poderwałem się.

— To ten, co nas wyrzucił. Nie pamiętasz? Utykał na nogę. Taki zdrowy old-boj, wciąż w dobrej formie, tylko ta noga...

— Jeśli on jest w muzeum — pociągnął nosem Kleksik — to może czegoś się dowiedział o tych prawdziwych awaramisach... Mógł znać antykwariusza Zakalę... mógł coś od niego wyciągnąć.

Zyzio spojrział na mnie, ja na Zyzia. Główka u tego Kleksika pracowała prawidłowo.

— Co mógł wyciągnąć? — zapytał zakłopotany Zyzio.

— No, prawdę o tych klejnotach. Skąd wiemy, że Zakalło nie ukrył jakichś ważnych szczegółów... A może nawet... skoro miał je w ręku...

— Myślisz, że mógł je zamienić, tak jak robią farmazoni? — oblizal wargi podniecony Maciek.

— Zamienić? Niekoniecznie, ale wyludzić od kogoś, kto nie znał prawdziwej wartości... kupić za bezcen... a potem ukryć.

— No cóż — westchnął Zyzio — skoro tak myślisz i sam doszedłeś do tego, to nie będziemy dłużej ukrywać. My też tak myślimy. Nasza hipoteza brzmi: Jaksa zwany Trenerem poszukuje prawdziwych awaramisów.

— I robi to bez skrupułów — pisał Olo.

— Samo poszukiwanie nie jest jeszcze przestępstwem — zauważyłem. —

Dlatego nie wolno nam się dać ponieść nerwom i wyobraźni.

— To co mamy robić? — mruknął ponuro Maciek.

— Czekać — powiedział Zyzio. — Czekać cierpliwie i obserwować, i nie dać nikomu poznać, że coś wiemy. W odpowiednim momencie wkroczymy do akcji... I jeśli dopisze nam szczęście...

— Sami odnajdziemy awaramisy! — ożywił się Maciek.

— Właśnie. Tak czy owak na razie Bambosz pozostaje naszym problemem nr 1, a nasze najbliższe zadanie — to uruchomienie Straży Porządkowej. Wtedy będziemy mogli kontrolować oficjalnie całą szkołę, panowie, Bambosza, a także tych, którzy tu będą wsadzać swoje brudne nosy i szukać tych nieszczęsnych awaramisów. Opracowałem już dokładnie całą koncepcję Straży — powiedział Zyzio. — Nie będziemy się specjalnie przemęczać. Prawie całą robotę organizacyjną wezmą na siebie trzy osoby.

— Jakie? — zapytałem.

— Chrząszcz, Elamela i pani Szyjkowska.

— Chrząszcz? Co ty sobie wyobrażasz? — zdziwiłem się. Wiadomo było, że Chrząszcz trzymał się zawsze z daleka od wszelkich spraw klasy i obchodziła go tylko piłka. A co do Eli... Nie było dojścia. Panował przecież rozłam.

— Chrząszcza biorę na siebie — powiedział Gnat — a ty załatwisz Elę.

— Jak?!

— Och, znajdziesz jakiś sposób. Skoro znalazłeś nawet na tę okropną Matyldę!

Wszyscy zachichotali nieprzyjemnie, a ja postanowiłem szybko zmienić temat.

— Jest jeszcze ta kryminalna historia z podrobieniem gazety...

— Chyba rozwiązaliśmy już ten problem. Świnie podłożyła nam Matylda. Nie ma sprawy. Rzecz tylko w tym, jak ukarać tę źmiję!

— Tak to sobie genialnie rozwiązałeś — zasapałem.

— Tak to sobie rozwiązałem — mruknął Gnat.

— A ja ci mówię, nie bądź taki wspaniały.

Gnat zbladł.

— No, ty... bo oberwiesz!

— Radzę ci zrewidować pogląd — rzekłem zimno — bo znów wyjdziemy na durniów jak kiedyś... A ja mogę ci udowodnić, że można było podsłuchać z innego miejsca tę rozmowę Oberona w gabinecie, nie tylko z okna naszej klasy.

— Jak udowodnisz?

— Przyszedł mi do głowy głupi pomysł, ale może warto spróbować.

— Jaki pomysł?

— Odprowadzaliśmy trumnę pana Dziedziucha ze sztandarem. Ze sztandarem szkolnym, który normalnie jest przechowywany w gabinecie Oberona. Gdybyśmy zaoferowali się, że... że odniesiemy ten sztandar z pogrzebu do tego gabinetu, moglibyśmy będąc w tym gabinecie zrobić eksperyment. Ja bym został w gabinecie i mówił głośno, a ktoś z was... może Kleksik, sprawdziłby, z którego miejsca można podsłuchać... Na przykład, czy z okna na pierwszym piętrze, które jest nad oknem Oberona...

— To jest rzeczywiście głupi pomysł — powiedział Gnat — ale...

— Ale co?

— Ale warto spróbować — uśmiechnął się zimno. — Idziemy po pogrzebie do Oberona i zgłaszamy, że chcemy odnieść ten sztandar.

Po pogrzebie związaliśmy sztandar czerwoną wstążką i ruszyliśmy spiesznym krokiem do szkoły. Rzeczywiście zanosilo się na deszcz, a może nawet na pierwszą wiosenną burzę, bo było parno i chmury gromadziły się sine, a do tego zerwał się wiatr. Parę zerwanych kapeluszy zaczęło toczyć się po ulicy.

— Prędkiej! — popędzałem Kleksika.

Kleksik przebierał rozpaczliwie nożynami, ale nie na wiele się to zdało. Jego kondycja fizyczna zawsze pozostawiała wiele do życzenia, a teraz w dodatku był wyczerpany pogrzebem. Dla takiego chuchra daleki marsz na cmentarz i godzinne dreptanie za trumną, a potem dwie godziny stania w ścisku na cmentarzu, to grubo ponad normę. W dodatku ten wiatr! Na pierwszym skrzyżowaniu zaraz za cmentarzem o mało co nie przewrócił Kleksika, a na drugim — wyrwał mu sztandar z rąk.

— Uważaj! — krzyknąłem.

Kleksik podniósł sztandar, ale już bez wstążki... Sztandar rozwinął się w całej okazałości i załopotał dumnie na wietrze.

— O rany... — jęknął — nie utrzymam!

— No, no, ani się wąż!

— Weź ode mnie.

— Wezmę dopiero za trzecim rogiem! Taka była umowa.

— Podrywa mnie, jestem za lekki.

W tym momencie wiatr dmuchnął znowu i Kleksika poderwało rzeczywiście! O mało co nie pofrunął razem ze sztandarem wysoko nad miasto. Byłby to kapitalny widok — Kleksik szybujący nad miastem na sztandarze. Ale potem pomyślałem, że nie pora na żarty! I że jestem odpowiedzialny za sztandar. Mimo więc, że nie było jeszcze przewidzianej umową ćwierci drogi, odebrałem Ołowi sztandar i zacząłem go nieść na ramieniu, tak jak to robią chorążowie na defiladach. Od razu przyplątały się jakieś szkraby i zaczęły nam towarzyszyć wiernie. To dziwne, ale wystarczy rozwinąć sztandar, a od razu znajdują się chętni do maszerowania pod sztandarem. Mimo żeśmy się opędzali, wkrótce cały oddział lebków maszerował z nami; tylko śpiewu nam brakowało i werbli, a byłaby prawdziwa defilada.

Kurczyłem się ze wstydu, bo ludzie patrzyli na nas, a na domiar złego zobaczyłem, że naprzeciw nas idzie Adela z defonsiakami. Bałem się, żeby defonsiacy sobie nie pozwolili na jakieś głupie żarty i nie próbowali znieważać sztandaru. Już sobie nas pokazywali z daleka i draka wisiała w powietrzu, ale uratował nas szczęśliwy podmuch wiatru, który zerwał Grubemu Cypkowi maciejówkę z głowy. Adela parsknęła śmiechem i obejrzała się za wirującą w powietrzu maciejówką, lecz była to nieostrożność z jej strony. W następnej chwili sama padła ofiarą huraganu. Zauważyłem, że nagle złapała się za oko...

— Czy coś ci wpadło? — zawołałem z daleka.

— Głupi jesteś! Wiatr porwał mi rzęsy! Łapcie je! — krzyknęła do defonsiaków. — Lecą!

— Gdzie? — zasapał Gruby Cypek naciskając na głowę schwytaną przed chwilą maciejówkę.

— Tam! Chyba wpadły do piwa! — wskazała na osobnika, który parę metrów dalej sączył przy budce piwo z kufła.

— Chwileczkę, niech pan nie pije! — krzyknął Cypek i pognął do piwa, a my korzystając z zamieszania pośpiesznie ruszyliśmy dalej i już bez przygód dotarliśmy do szkoły. Tu poprosiliśmy Bambosza o klucz do gabinetu Oberona, żeby schować sztandar, ale spotkało nas zasadnicze rozczarowanie. Bambosz spojrział na nas czujnym okiem, w którym pojawił się szyderczy, złośliwy błysk — a może nam się tylko zdawało — a potem powiedział:

— Nie musicie chować. Sam schowam.

— Nie chcemy pana fatygować... — chrząknąłem zbity z tropu — dla nas to pestka, a pan jest zajęty...

— Nie szkodzi — mruknął Bambosz — zresztą i tak zaraz zacznę froterować gabinet. Zostawcie sztandar i jazda ze szkoły!

Było to sformułowanie nader kategoriyczne. Zrozumieliśmy, że nie dostaniemy klucza, zostawiliśmy więc z westchnieniem sztandar Bamboszowi i wybiegliśmy ze szkoły.

— No i warto było dźwigać? — jęknął Kleksik. — Twój pomysł był do bani, Tomciu.

— Nie jęcz — powiedziałem — wprawdzie nie możemy przeprowadzić eksperymentu, ale za to możemy pomyśleć...

— To mogliśmy zrobić bez sztandaru — przerwał Kleksik.

— Nie... nic nie rozumiesz, sztandar nam pomógł. Przyszła mi genialna myśl do głowy. Kiedy niosłem ten sztandar, przypomniła mi się defilada... a kiedy przypomniła mi się defilada, przypomniły mi się werble i nasza szkolna orkiestra, i akademie, i chóry. A potem przypomniły mi się lekcje śpiewu i gry na instrumentach. A potem przypomniła mi się sala wychowania muzycznego.

— To co z tego?

— Zobacz, gdzie jest ta sala, spójrz na budynek szkoły!

Kleksik obejrzał się i lustrował wzrokiem gmach szkolny.

— Do licha — wykrzyknął — nie chcesz chyba powiedzieć...

— To właśnie chcę powiedzieć. Zobacz! Ostatnie okno na parterze z lewej strony w tej ścianie, to okno gabinetu Oberona, a nad tym oknem, na piętrze...

— Jest okno Operetki — wykrzyknął Kleksik.

— Tak, tam jest okno Operetki — uśmiechnąłem się. Bawiła mnie zawsze ta nazwa nadana sali wychowania muzycznego, zapewne nie tyle z uwagi na produkcje wokalne, które się tam odbywały, ile na śmieszne sceny podczas lekcji z panem Rosińskim, którego poczciwość bywała w sposób niegodny wykorzystywana przez kpiarzy!

— Myślisz, że ktoś mógł podsłuchać z tamtego okna? Z góry? — ciągnął podniecony Kleksik.

— Nie, raczej nie z okna... Pan Rosiński boi się przeciągów i kazał to okno przymocować gwoździami do futryn, tak żeby nie można go było otwierać. Ono jest zamknięte na amen! Pomyślałem o czymś innym.

— O czym?

— Pomyślałem o Kanale Moniuszki.

— O Kanale Moniuszki?! — Kleksik wytrzeszczył oczy.

— Chyba wiesz, co to jest? Czemu patrzysz jak żaba? Czy mam ci wytłumaczyć jak pierwszakowi?

— Nie musisz mi tłumaczyć — wybelkotał zaaferowany Kleksik — każdy wiarus wie...

Oczywiście. Każdy stary wiarus z naszej budy wiedział, co to jest Kanał Moniuszki. Gdy zlikwidowano w latach pięćdziesiątych piece w naszej szkole, pozostały po nich przewody kominowe. Wykorzystywano je teraz jako dodatkowe przewody wentylacyjne. Niebawem chłopaki spostrzegli, że gabinet Oberona na dole i Operetka na górze są podłączone do tego samego przewodu, a co ważniejsze, z niezbadanych bliżej przyczyn przewod ten odznacza się wyjątkowo korzystną akustyką. Polegała ona na tym, że każde słowo wypowiedziane w gabinecie na dole słyhać było wyraźnie w Operetce na górze, jeśli tylko przyłożyło się ucho

do kratki wentylacyjnej przewodu. Ponieważ nad kratką wisiał portret Moniuszki, całe urządzenie nazywano Kanalem Moniuszki.

— Każdy wiarus wie, co to jest Kanał Moniuszki — powtórzył Kleksik — ale każdy wiarus zarazem wie, że Kanał jest dawno nieczynny, bo Oberonowi przeszkadzały hałasy dochodzące z góry i kazał zamurować otwór wentylacyjny w Operetce. Nie ma już tam otworu. Na tym miejscu wisi teraz portret śpiewaka Kiepurę.

— To prawda, ale gdyby ktoś wyjął cegłę...

— Podejrzewasz, że ktoś mógłby...

— Myślę, że to byłoby możliwe. Czemu nie? Nawet nikt by nie zauważył, skoro na tym miejscu wisi Kiepura i zasiania... W każdym razie warto by było zajrzeć pod Kiepurę. Zrobimy to zaraz! — zdecydowałem się nagle. — Zgoda?

— Zgoda — powiedział Kleksik i poruszył ramionami, jakby go mrówki obsiadły, co wskazywało, że opanowały go niezdrowe emocje.

— No to chodź, zasuwamy! — powiedziałem. — Tylko ostrożnie, żeby nas Bambosz nie zobaczył.

Zakradliśmy się z powrotem do szkoły. Przeniknęliśmy nie zauważeni przez nikogo na piętro. Drzwi do Operetki nie były na szczęście zamknięte. Wsunęliśmy się do sali. Na ścianie naprzeciwko okien wisiał portret Moniuszki. Pod nim portret Kiepurę. Moniuszko patrzył łagodnie zza drucikowych okularów, zdawało się, że zachęca nas do eksperymentu. Chłopak z Sosnowca uśmiechał się ukazując beztrudnie dwa rzędy nieskazitelnych zębów. Zdjąłem go z bijącym niespokojnie sercem i obaj z Kleksikiem zastygliśmy z wrażenia. Oczom naszym ukazał się... otwór zatkany papierową kulą uformowaną ze zmiętej gazety!

— Miałeś rację — szepnął osłupiały Olo — wyjęli cegłę.

— I chyba już bardzo dawno! — dodałem. — Zobacz, kanty dziury zdążyły się wygladzić.

— Od podsłuchiwania!

— Tak. Kanał był widać często w użyciu.

— Niesamowite... — wymamrotał Kleksik — wszystko mogli podsłuchać, każdą rozmowę w gabinecie. Ale kto?

— Musieli istnieć wtajemniczeni. My do nich w każdym razie nie należeliśmy. ..

— Cicho... coś słyszę! — syknął Kleksik, wspiął się na palce i przyłożył ucho do otworu.

Z kanału dochodziły stłumione odgłosy słów oraz brzęczenie odkurzacza.

— To głos Bambosza — szepnąłem — jest teraz w gabinecie. Poczekaj, wyjmę ten tampon z papieru, będzie lepiej słycać.

Istotnie, po usunięciu korka z gazety słyszalność wybitnie się polepszyła. „... powtarzam, że dyrektora nie ma — słycać było wyraźnie głos Bambosza — nie ma i dzisiaj nie będzie”.

— Rozmawia przez telefon? — zauważył Kleksik.

— Nie... z kimś w korytarzu albo za oknem... posłuchaj!

Doszedł nas głos drugiego człowieka:

„Tym lepiej, tym lepiej, Macoch”.

„Kto pan jest?” — spytał Macoch.

„To nieważne, pływamy razem do końca. Trener przysyła ci pozdrowienia”.

„Przyszedłeś mi to powiedzieć? Dlaczego nie kontaktuje się ze mną osobiście?”

„Jeszcze nie czas, a on jest zbyt znany w tym mieście. Tak jest lepiej.”

„Czego chcesz?”

„Przyszedłem ci przypomnieć o interesie... Czas nagli. Rzecz powinna ci leżeć jak uł. Operacja odbędzie się w szkole”.

„Nie interesuje mnie ten... interes”.

„Robisz nam dużą przykrość, Macoch. Znalazłeś coś lepszego, czy chcesz na własną rękę?”

„Nie będę się w tym babrał”.

„Cóż to, praca ci zbrzydła?”

„Pracuję elektroluksem”.

„Właśnie słyszałem o twoich nadzwyczajnych wynikach. Posadzki na wysoki połysk to twoja nowa specjalność?”

„Dobrze słyszałeś”.

„Uważaj, żebyś się nie poślizgnął na tych posadzkach”.

„Spływaj stąd!”

„Chwileczkę, czy ty myślisz, że ta posadzka spadła ci z nieba? Ciebie wstawił tu Trener i chyba nie po to, żebyś użerał się ze szczeniakami...”

„Nie zawierałem żadnej umowy z Trenerem!”

„Umowy?! Po co kontrakty między przyjaciółmi?...”

„Spływaj, ktoś idzie! Nie powinien cię zastać tutaj...”

Na tym rozmowa się urwała.

Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem.

— Słyszałeś?... Coś takiego! — wyszeptał Kleksik.

— Niesamowite! — wycedziłem.

— Więc nie było pomyłki... Bambosz naprawdę... jest...

— Tak, nie da się zaprzeczyć, ma podejrzane kontakty. Ten Trener...

— Chodź! — Kleksik pociągnął mnie podniecony do okna. — Patrz! On tam idzie!

— Kto? Trener?

— Nie, ten człowiek Trenera.

Spojrzałem. Niski mężczyzna o bardzo bujnym kędzierzawym owłosieniu, ubrany w niebieski strój roboczy, oddalał się spieszenie w kierunku budowy.

— Idziemy — powiedział Kleksik.

— Chcesz go śledzić?

— Tak.

— Nie warto — powiedziałem — ja go znam.

— Znasz go? — zdziwił się.

— To pan Stasio z budowy. Złota rączka i spec od wszystkiego. Kładł u nas kafelki w łazience. Normalnie pracuje w ADM. Obecnie zmobilizowali go tutaj do prac wykończeniowych...

— Z tego wynika, że Trener ma licznych współpracowników.

— Tak, z różnych branż.

— Może by uprzedzić Oberona?...

— Nie bądź śmieszny. Wyglupilibyśmy się tylko, za mało jeszcze wiemy... stanowczo za mało, żeby robić z tego sprawę — powiedziałem zamyślony. — Przestań o tym myśleć na razie. Teraz chodzi o to, żeby wycofać się bezpiecznie z Operetki. Wyjrzyj, czy nikogo nie ma na korytarzu! A ja zabezpieczę wylot.

Kiedy Kleksik odszedł, zdjąłem bardzo długi jasny włos, który, jak już przedtem zauważyłem, zaczepiony był na krawędzi otworu. Okręciłem go spieszenie na palcu, aż zrobiła się z niego obrączka, i schowałem do notesu. Następnie zatkałem otwór tą samą kulą papierową, która poprzednio tam tkwiła, i powiesiłem Kiepurę na dawnym miejscu.

Z korytarza wyjrzał Kleksik.

— Chodź — powiedział — nikogo nie ma. Byłem aż na schodach. Bambosz jest akurat w pracowni biologicznej i rozmawia chyba z panią Stypułkowską.

Zbiegliśmy na dół i opuściliśmy bezpiecznie szkołę.

**ROZDZIAŁ XIX**  
— **UMIZGII UKŁADY**

Z Kleksikiem pożegnałem się na rogu Mickiewicza i Prasa. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, wyciągnąłem z kieszeni notes, wyjąłem z niego zwinięty jasny włos i medytowałem przez chwilę podniecony. Niesamowite! Kto by pomyślał! Zupełnie niezwykła historia! Czy to możliwe? Natychmiast trzeba sprawdzić! Ale jeśli się okaże, że wnioskowałem słusznie, to byłaby wielka szansa... wytworzyłby się kapitalny układ! Przewertowałem ostatnie kartki notesu, gdzie znajdował się szczegółowy rozkład zajęć całej szkoły przepisany z harmonogramu w kancelarii oraz spisy członków poszczególnych kółek zainteresowań w naszej budzie. A na końcu zajrzałem do wykazu dyżurów w poszczególnych pracowniach. To się układa — pomyślałem — to się układa w całkiem ciekawą hipotezę...

Zaaferowany wszedłem do budki telefonicznej na rogu Prusa i Parku Romantyków. Przez chwilę grzebałem w książce abonentów, aż wreszcie znalazłem niejakiego Karola Przyporę, ul. Nowotki 6, numer 44255. Z bijącym mocno sercem zadzwoniłem... Telefon nie odpowiadał... Usłyszałem krótki przerywany sygnał. A więc numer zajęty. Poczekałem chwilę i zadzwoniłem powtórnie... Znow zajęty...

Koło budki kręcił się niecierpliwie nerwowy mężczyzna z futerałem od skrzypiec. Żeby nie przedłużyć okupacji budki ponad miarę, zrezygnowałem chwilowo z rozmowy z numerem 44255 i postanowiłem załatwić tymczasem sprawę z numerem 33345. Tym razem poszło mi lepiej. W słuchawce usłyszałem dziecięcy szczebiot.

— Słucham, tu Malta Klystyna Melasińska.

To na pewno młodsza siostra Eli.

— Chcę mówić z Elżbietą — powiedziałem.

— Elu, mężczyzna do ciebie — usłyszałem głos sroki, a następnie odezwała się zadyszana Ela:

— Kto przy telefonie?

— Tomek Okist.

— Kto? — Elamela była bardzo zdziwiona.

— Tomcio.

— Ach, to ty!

— To ja.

— Czego chcesz?

— Chcę cię uaktywnić.

— Nie rozumiem...

— Postanowiliśmy cię wciągnąć do naszej nowej akcji.

— Kto?

— Ja i chłopaki z redakcji.

— Wy? — zdumienie Elameli ciągle rosło. — To jakaś zgrywa!

— Nie ośmieliłbym się.

— Przecież w klasie jest rozłam.

— Sytuacja się zmienia.

— Nie wierzę. Kiedy chciałam być redaktorem, nie chcieliście nawet słyszeć...

— Teraz powiał nowy wiatr. My w ramach koegzystencji.

— Ale o co właściwie chodzi? Co to za akcja?

— Zakładamy Straż Porządkową.

— Ca takiego?!

— Chyba mówię wyraźnie, zakładamy Straż Porządkową.

— Wy? Takie lotry? To do was nie pasuje.

— Jeśli tak myślisz, to nas nie znasz.

Ela milczała przez chwilę, a potem zapytała:

— Na czym to będzie polegać?

Teraz jaz kolei zastanawiałem się, co powiedzieć Eli, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń i nie odstraszyć jej. Zdecydowałem wreszcie, że najlepiej być śmiertelnie poważnym i zagrać na społecznych uczuciach Eli. Należałoby zadać zasadniczo i minorowo — pomyślałem. Ela lubiła takie zadęcia.

— Chodzi o szkołę, Bambosz wysiada — zamruczałem — nie daje rady, przez tę budowę wszystko się wywraca... Żarty na bok, Elka... zabawa się skończyła. .. Musimy porozmawiać poważnie... Fatalnie jest... czystość, porządek, bezpieczeństwo i higiena są zagrożone... Musimy ująć te rzeczy we własne ręce.

— Chcecie pilnować porządku? — w głosie Eli zabrzmiało niedowierzenie.

— Tak.

— Od samego pilnowania nie zrobi się czysto, nie zniknie błoto ani doły na podwórzu, ani nie pomalują się brudne ściany i płoty — zauważyła Ela zdradzając dużą przenikliwość.

— Jasne — zgodziłem się — trzeba orać.

— A więc?

— Zapędzi się malców do roboty — powiedziałem.

— Więc ty...

— Ja właśnie kompletuje kadrę kierowniczą do zarządzania — wyjaśniłem pośpiesznie — chcemy, żebyś została filarem tej kadry.

— I zapędzała dziewczęta...

— Gdybyś była tak łaskawa...

— Sami nie potraficie?

— Niestety — westchnąłem — dziewczęta uprzedziły się do nas.

— Dziewczęta? To wy... — zasapała Ela — to wy nas traktujecie jak powietrze?

Wszyscy jesteście zarażeni adelizmem!

— Kto tak powiedział?!

— Gnat! Powiedział publicznie, że jesteśmy dla niego jak powietrze.

— To znaczy, że was potrzebuje...

— To znaczy, że nas nie zauważa!

— Gnat urósł od tego czasu.

— Urósł, ale czy dorósł?

— Urósł fizycznie i dorósł do twojego poziomu. Umysłowego.

Ela chrząknęła. Czulem, że jej opór topnieje.

— Chyba już nie masz wątpliwości — powiedziałem — a zatem wpisuję cię na naszą listę...

— Poczekaj jeszcze — przestraszyła się.

— Na co mam czekać?

— Muszę się upewnić... Nie mówiłeś jeszcze, czy działacie legalnie i czy Oberon wie...

Skrzywiłem się z niesmakiem. Okropna lojalistka! A głośno powiedziałem:

— Możesz być spokojna. Działamy na zlecenie Oberona jako jego powolne narzędzia...

— Powolne?

— To znaczy posłuszne.

— Trudno mi to sobie wyobrazić.

— Niestety, tak się złożyło... I radzę ci skorzystać z okazji. Zyskasz sobie uznanie Oberona, gdy pierwsza przystąpisz do naszego ruchu. To jest ruch popierany odgórnie. Jutro rano idziemy z listą i regulaminem Straży do Oberona. Byłoby świetnie, gdyby twoje nazwisko świeciło tam na czele... Ale skoro nie masz zaufania, to trudno, zadzwonię do Matyldy Opat. Ona na pewno się zgodzi.

Nie wiem, który argument bardziej poskutkował, w każdym razie faktem jest, że Ela Melasińska polknęła haczyk w tym momencie.

— Za... zaryzykuję — powiedziała. — Nie potrzebujesz dzwonić do tej Opat. Możesz mnie wpisać na listę i zgłosić do Oberona... ale czy to ci załatwi sprawę? Mnie słucha tylko połowa dziewczyn... to znaczy harcerki. Wiesz, że druga połowa to są artystki i one słuchają tej okropnej Brunhildy Przypory. Musisz pomówić z nią.

— Wiem. I wiem, co mnie czeka — mruknąłem.

Artystki to były najokropniejsze dziewczyny w naszej klasie. Kiedyś Przypora i kilka jej koleżanek wystąpiły w sztuce zrobionej z „Ani z Zielonego Wzgórza” i dały parę przedstawień w sali gimnastycznej w szkole, żeby zbierać pieniądze na Centrum Zdrowia Dziecka. Od tej pory wszyscy nazywali je artystkami, a im się przewróciło w głowie. Już przestały odróżniać teatr od życia i grały bez przerwy. Nawet klasę uważały za scenę do popisów. To było nieznośne. Nie cierpieliśmy ich. Nigdy nie można było wiedzieć, czy są poważne czy się zgrywiają. Ale nie mieliśmy na nie sposobu. Były zbyt obkute i wyszczekane. A Przypora Brunhilda to w ogóle ma najlepsze stopnie w klasie, jeszcze lepsze niż Ela.

— Co cię tak zatkało? — zapytała Ela. — Przestraszyłeś się Przypory?

— O, nie — powiedziałem zamyślony — to będzie przykre, ale ja mam sposób na Przyporę, stara.

— Stara?

— Przepraszam. Nie chciałem cię urazić...

— Cóż to za poufalość?!

— Tak mi się wyrwało... to chyba dlatego, że zawsze uwielbiałem cię skrycie.

Ela umilkła na moment zaskoczona.

— Teraz znów jesteś niepoważny.

— Jestem śmiertelnie poważny i jeszcze raz przepraszam, że mi się tak wyrwało. ..

— Nie szkodzi — powiedziała Ela — jak chcesz, możesz do mnie mówić „stara”.

— To ładnie z twojej strony i...

— Przepraszam cię — przerwała — bo mama coś chce.

Urwałem. Z daleka dobiegł mnie matowy alt pani Melasińskiej:

„Elu, jak długo jeszcze?”

„Już kończę mamó” — odpowiedziała Ela.

„I w ogóle, co to za flirty przez telefon?”

„To w sprawach szkolnych. Kolega, mamó”.

„Kto?”

„Mama go zna. Tomek Okist”.

„Okist? Ten bęben?”

Słuchałem z rosnącym wzburzeniem. Bęben? Cóż to za wyrażenie! Tymczasem Ela próbowała mnie bronić.

„Jak mama może... tak mówić na Tomka!”

Ale pani Melasińska dalej wyrażała swe ujemne o mnie opinie:

„On był zamieszany w tę aferę w starym browarze i chyba brał udział w napadzie na pana Potępę. Tak, na pewno był w tej bandzie, co gromadziła rozpylacze i szykowała się do rabunków”.

„Niech mama tak nie mówi! Mama słyszała wstrętne plotki. Naprawdę to oni znaleźli broń z czasów wojny i oddali”.

„Och, ludzie różnie mówią; pewne jest, że grasowali w browarze...”

„Mama nie bierze pod uwagę ich intencji...”

„Dobrymi intencjami jest wybrukowane piekło! Powinnaś się trzymać z daleka od tego świszczypały. On ma pstro w głowie!”

„Ależ mamó, on jest poważnym redaktorem szkolnej gazety. Niech mama go lepiej pozna, a potem dopiero mówi...” Słuchaj, Tomciu — wróciła do rozmowy ze mną — przepraszam za tę przerwę, ale mama mnie oderwała... Nie mogę już dłużej rozmawiać z tobą, może dokończymy w szkole.

— Najważniejsze, że się zgodziłaś, reszta to detal, nie przejmuj się — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Wciąż jeszcze było mi gorąco i czułem się cały podminowany. Ależ ja mam opinię! Jeśli wszyscy tak myślą o mnie, no to nie mam nic do roboty w Odrzywołach! — Ale zaraz otrząsałem się. — Nie, nie wszyscy tak myślą. Ela tak nie myśli o mnie, a nawet mnie broni! Trudno zaprzeczyć.

To mnie bardzo podniosło na duchu.

Chciałem od razu zadzwonić do Brunhildy Przypory i z kolei załatwić z nią sprawę, ale rozległo się energiczne stukanie do budki. Dopiero teraz zauważyłem, że utworzył się ogonek z trzech osób. Chyba trochę za długo rozmawiałem.

— Kto widział tak blokować telefon?! — oburzał się mężczyzna z futerałem od skrzypiec w ręku.

— Zamknął się i nie raczy nawet odpowiadać na nasze stukanie — dodała wzburzona kobieta z siatką.

— Natrzeć mu uszu! — krzyknął z tyłu zdenerwowany młody człowiek z czarną brodą.

— Co to za wychowanie! Z jakiej szkoły jesteś? — pytał skrzypek.

Nie miałem ochoty odpowiedzieć na to pytanie. Uchyliłem drzwi, ale brodacz przytrzymał je nogą.

— O nie, teraz nie uciekniesz. Z pewnością jesteś rejtaniakiem. Tylko chłopak od Rejtana może być tak bezczelny.

— Tak, on na pewno jest rejtaniakiem — powiedziała kobieta z siatką — ma rozbiegane chytre oczka.

— Od razu sobie pomyślałem, że on jest rejtaniakiem — powiedział muzyk — ja chodziłem osiem lat do Defonsiarni i wiem, że żaden defonsiak nie pozwoliłby sobie na taką bezczelność.

Zrozumiałem, że cała trójka to byli defonsiacy i ścierpła mi skóra. Niektórzy defonsiacy byli tak zażarci, że jeszcze w dziesięć, a nawet piętnaście lat po opuszczeniu szkoły nienawidzili nas, rejtaniaków, i korzystali z każdej sposobności, by natrzeć nam uszu.

— Proszę państwa — próbowałem im przemówić do rozsądku — przecież państwu śpieszyło się do telefonu... przecież państwo chcieli rozmawiać przez telefon... więc może państwo zajmą się telefonem i puszczą mnie z budki. Szkoda czasu.

— Najpierw natrę ci uszu — powiedział brodacz.

— Więc państwo się nie śpieszą? — zapytałem.

— Owszem, śpieszymy się — powiedziała kobieta z siatką — ale ważniejsze jest wychowanie młodzieży!

— Tak, najważniejsze jest wychowanie młodzieży — powtórzył muzyk — dlatego gotów jestem odłożyć mój telefon i natrzeć ci uszu.

— Nigdy tego nie za mało rejtaniakom — powiedział brodacz — wszystko zło w naszym mieście bierze się stąd, że rejtaniakom za mało nacierają uszu.

Gdybyśmy teraz nie skorzystali z okazji i nie natarli ci uszu, bylibyśmy sobkami.

— Tak, sobkami i nie moglibyśmy spokojnie spać w nocy.

— Nasze sumienie defonsiackie by nas gryzło!

Zrozumiałem, że to nie przelewki i na pewno dobiorą się do mnie, gdy nie prysnę... Postanowiłem więc prysnąć za wszelką cenę.

Pchnąłem drzwi z całej siły i gwałtownie. Otworzyły się, a brodacz syknął z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

— Uwaga! On ucieka! — krzyknęła kobieta z siatką.

Muzyk chciał mi zagrozić drogę futerałem, a brodacz zatrzasnął drzwi przed nosem. Aleja byłem szybszy; wyskoczyłem, zanim drzwi się zatrzasnęły, i dałem nura pod futerał. Futerał został w drzwiach i drzwi zamiast mnie przytrzasnęły futerał. Rozległ się chrzęst miazdzonego pudła i jęk druzgotanych skrzypiec, a potem krzyk przerażonego muzyka.

Uciekałem co sił w nogach. Ochłonąłem dopiero w domu. Tu wydzwoniłem ponownie numer 44255, a serce podskoczyło mi gwałtownie do gardła, gdy w słuchawce rozległ się chrobot i dźwięk ludzkiego głosu:

— Słucham.

— Czy to mieszkanie państwa Przyporów? — zapytałem.

— Przestań mnie dręczyć — zaskrzeczał starczy głos — kimkolwiek jesteś, wyłącz się i nie dzwoń więcej!

— Przepraszam — wykrztusiłem speszony — jestem kolegą Brunhildy Przypory... czy Brania jest?

— Nie ma i nie będzie!

— Nie będzie? Jak to?! — przestraszyłem się.

— Bo się wyprowadziła, do stu tysięcy diabłów, już miesiąc temu, a te piekielne telefony... — sypiąc złorzeczeniami starczy głos dał upust swemu wzburzeniu, a następnie zadał mi pytanie: — Dlaczego tylu ludzi dzwoni do Przypory, a nikt nie dzwoni do mnie?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć na to rzeczowe pytanie. Zdenerwowany(a) starzec (staruszka?) odłożył(a) słuchawkę.

Przez chwilę zastanawiałem się, jak znaleźć adres Przypory, aż nagle olśniła mnie pewna myśl. Przypomniałem sobie, że właśnie miesiąc temu oddano do użytku najwyższy dom w naszym, mieście — dziesięciopiętrowy wieżowiec, pierwszy z całej serii na nowym osiedlu Przyrzecze. Z tej okazji była nawet mała uroczystość w naszym mieście, a myśmy napisali o tym wzmiankę w gazecie. Skoro Przyporowie wyprowadzili się miesiąc temu, to bardzo możliwe, że właśnie do tego wieżowca.

Należy natychmiast tam pójść! Wyjrzałem z pokoju. Mamy nie było w mieszkaniu. Zostawiłem kartkę: „Wychodzę w sprawach ściśle szkolnych do Brunhildy Przypory”, zatrzasnąłem drzwi i spiesźnie zbiegłem po schodach.

Moja dedukcja logiczna okazała się bezbłędna. W wieżowcu, na dole w spisie lokatorów figurowało nazwisko Przypora w rubryce „7 piętro”, numer mieszkania 56! Pojechałem windą na górę. Otworzyła mi drzwi starsza pani.

— Czy zastałem Bunię? — zapytałem.

— Bunię — powtórzyła zdziwiona starsza pani, chyba babcia Brunhildy — a kto ty jesteś?

— Jestem kolegą Buni. Nazywam się Okist...

— Kolega Buni? — babcia patrzyła na mnie podejrzliwie — Buni nie ma!

Z kuchni wyjrzała tęga blondynka z talerzami i ścierką w rękach. Była to, znana mi zresztą z widzenia, mama Brunhildy.

— Kto to przyszedł?! — zapytała. — Z kim mama rozmawia, mamo?

— Dobry wieczór, jestem kolegą Buni — powtórzyłem — nazywam się Okist.

Tomek Okist.

Matka Brunhildy oglądała mnie ciekawie. Była wyraźnie zaskoczona. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, tylko oglądała mnie jak jakieś egzotyczne zwierzę. Chyba byłem pierwszym chłopcem, a na pewno pierwszym kolegą jej córki, który przekroczył próg tego domu. Babcia też na mnie patrzyła, a nadto jeszcze jedna pani, chyba ciocia, która wyjrzała z łazienki w turbanie z ręcznika na głowie i dwie małe kozy z warkoczami, pewnie siostry Brunhildy. Tak mnie oglądano w skupieniu przez całą chyba minutę. Wreszcie stwierdzono, że jestem podobny do człowieka, co wywołało ogólną ulgę.

— Czy twój tato jest okulistą? — zapytała rzeczowo pani Przypora.

— Tak, proszę pani.

— I mówisz, że jesteś kolegą Buni?

— Tak, proszę pani.

— Bunia mi nic nie mówiła o tobie.

— Ma różne sprawy na głowie — powiedziałem szybko, usiłując ukryć zmieszanie — ona jest duszą prawie wszystkich kólek i organizacji w naszej szkole... a ja jestem mało znaczący, proszę pani.

— Jesteś bardzo skromny — powiedziała pani Przypora — jak chcesz, możesz usiąść i poczekać na Bunię. Ona wyszła tylko kupić zeszyt.

— Dziękuję pani — powiedziałem i dałem się zaprowadzić do pokoju Brunhildy i posadzić na krześle.

Brunhilda wróciła wkrótce. Stała na progu zaskoczona. Patrzyłem na jej masywną sylwetkę, na jej pełną i krągłą twarz ozdobioną śmiesznymi dołeczkami na różowych policzkach i brodzie, na jej oczy stalowe, które taksowały mnie bystro i w których jak zwykle odbijała się pewność siebie... Tak, to była Brunhilda w całej krasie swojej. Zrobiło mi się wyraźnie nieswojo. Co tu mówić, zawsze bałem się Przypory. Tym razem też zdjął mnie lęk, jeszcze większy niż w klasie, ale nie dałem tego po sobie poznać i zdobyłem się na sztuczny uśmiech szczerząc nieszczercze zęby.

Ale Brunhilda nie odwzajemniła się bynajmniej uśmiechem, zmarszczyła brwi i warknęła:

— Co tutaj robisz?

— Przyszedłem...

— To widzę, ale nie widzę powodu...

— Może znalazłby się powód.

— Jaki?

— Na przykład, że przyszedłem ci pogratulować.

Brunhilda zaczerwieniła się.

— Nie rozumiem.

— Od dawna cię podziwiam skrycie — ciągnąłem wolno, oglądając sobie paznokcie — zawsze wiedziałem, że jesteś piekielnie zdolna i że masz różnorakie talenty, ale tym razem mnie olśniłaś wyjątkowo.

— O czym ty mówisz?!

— O ostatnim numerze gazety.

— Jakiej gazety?!

— Nie udawaj Greka! Naszej szkolnej gazety, tej na ścianie! Sukces i bomba! Te kapitalne historie o woźnym, o Rozpylaczu i o Oberonie! Wszyscy zrywali boki! A Bambosz dostał szału! Jednego tylko nie mogę zrozumieć. Dlaczego byłaś tak bardzo skromna i nie ujawniłaś swojego autorstwa? Wszystko poszło na nasze konto! Czujemy się zakłopotani. Chodzimy w nie swojej chwale!

Na twarzy Brunhildy pojawił się uśmieszek.

— Dlaczego myślisz, że to ja?

— Skoro nie my...

— W szkole jest siedemset osób!

— Ale nikt nie byłby tak genialny... — wycedziłem. — I nikt nie byłby zdolny podłożyć nam takiej świni...

— Świni?!

— Wiedziałaś, że redakcja jest zagrożona i że taki numer nas wykończy... Więc umyślnie spreparowałaś skandaliczny tekst, podszyłaś się pod redakcję i zawiesiłaś po kryjomu te elaboraty!

— Nie wrzeszcz tak — powiedziała Brunhilda — bo przestraszysz babcię. Wiem, że jesteś zdenerwowany, ale zachowuj się jakoś. Może napijesz się wody? Albo nerwosolu?

Szyderczy ton Brunhildy sprawił, że ochłonąłem nieco. Wykrzyknikami nic tu nie zdziałam. Przypora to zimna bestia, ja też powinienem być zimny.

— Wiedziałem, że się wyprzesz — rzekłem siląc się na niedbały ton — odwaga nie jest twoją silną stroną.

— Mylisz się — rzekła równie niedbałym tonem Brunhilda — ja się przecież wcale nie wypieram.

— Więc przyznajesz się, że...

— Jasne. To ja zrobiłam ten numer. Chciałam tylko się przekonać, czy się zgrywasz czy strzelasz na ślepo, czy też naprawdę wiesz. I jak dużo wiesz.

— Skąd wzięłaś fotografie Bambosza? Podwędziłaś odbitki Matyldzie?

— Nie. Wzięłam je z waszego pokoju redakcyjnego.

— Więc to ty zdemolowałaś wtedy nasz pokój! — straciłem panowanie nad sobą. — A myśmy podejrzewali Bambosza!

— To ja. Ale nie myśl, że jestem potworem. Zrobiłam to niechcący! Bo przestraszyłam się szczura... wylazł spod szafy.

— A ty zerwałaś ośczep ze ściany i waliłaś na oślep?

— Mniej więcej. Czy to wszystko, co wiesz o mnie? — uśmiechnęła się zimno.

— Prawie.

— To niewiele.

— Wiem wystarczająco dużo, żeby cię zdemaskować przed całą szkołą i przed Oberonem.

— Spróbuj — rzekła spokojnie. — Nikt ci nie uwierzy. Jestem zbyt dobrą uczennicą, mam wspianą opinię, żeby ci uwierzyli.

Zasapałem z dławionego wzburzenia. Istotnie, trudno będzie przekonać kogokolwiek, że ten chodzący ideał Brunhilda to mała diabliska. Postanowiłem ugryźć problem od innej strony.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytałem.

— Chciałam wam udowodnić, że mogłabym pisać i redagować nie gorzej od was — odparła Brunhilda. — Nabijanie się z ludzi, z ich wad, z ich śmieszności i słabostí, farsa, kpiny, szyderstwa i w ogóle powierzchowna krytyka, to są raczej łatwe rzeczy. Na pewno trzy razy łatwiejsze niż poważne podejście do problemu.

— Proszę, proszę! — zamruczałem szyderczo. — Podoba mi się ta mowa.

— Nie myśl, że jestem drętwa — zastrzegła się pośpiesznie — poważne, to wcale nie znaczy nudne, sztywne i bez humoru. Chodzi o charaktery w pełnym wymiarze, o dostrzeganie różnych stron życia, różnych postaci, w tym także sympatycznych bohaterów, a u was co? Nie, wy tego nie potraficie robić... To za trudne. Nie na ten wzrost.

— Tak to chcesz wykręcić, Brzusiu?

— Tak to chcę ci wyklarować, tępy Tomciu.

— I tylko po to wywiesiłaś tę idiotyczną gazetą?

— Nie tylko — odparła Brunhilda — także po to, żeby was ukarać! Żeby wam utrzcęć nosa! Waszego zadartego kinola!

— Zemsta?!

— Tak. To zemsta. To moja słodka zemsta — uśmiechnęła się Brunhilda. — Przyznasz, że ugodziłam was celnie.

— I wszystko tak na zimno?

— Na zimno, z premedytacją — odparła poprawiając sobie włosy.

— Nie spodziewałem się, że stać cię na to, że potrafisz w ten sposób...

— Nigdy mnie nie doceniałaś.

— Jesteś wstrętną dziewczyną — zasapałem — złą bestią.

— Nie przesadzaj — ziewnęła ostentacyjnie, popisując się swoim kamiennym spokojem i niewrażliwością.

— Zapłacisz nam za to! — wybuchnąłem.

— Wątpię.

— Myślisz, że ci to ujdzie płazem?

— Tak.

— Więc posłuchaj — wstałem — po to tu jestem, żeby ci oświadczyć co następuje: jutro rano meldujesz się u Oberona i powiesz całą prawdę. Oberon musi wiedzieć, że oskarżał nas fałszywie.

— Ani mi się śni. Nic nie powiem.

— W takim razie my powiemy.

— Ale po co? W jakim celu?

— Już powiedziałem ci. Musi być sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość jest teraz, kiedy was ukarałam. A Oberonowi możecie mówić, co chcecie. I wszystkim naokoło. Ja mam same piątki i wzorową opinię, a wy? Wy macie na sumieniu różne grandy i na plecach brudne garby! Wasze słowo tyle waży, co zdechła mysz! To mnie uwierzą, nie wam! — tak cedziła słowo po słowie ze wzdrgniętą wyższością, z drwiącym uśmiechem i z wielką pewnością siebie.

Słuchałem jej, z trudem panując nad sobą. To było nie do zniesienia. Bałem się, że nie wytrzymam i trzasnę ją w twarz. Nie... nie, stanowczo dalej nie mogę tak rozmawiać. Postanowiłem najpierw usunąć z jej twarzy ten drwiący uśmiech i skruszyć tę pewność siebie.

— Nie potrzebują nam wierzyć na nasze smutne oczy — powiedziałem — mamy świadków.

— Świadców? Czego?

— Widziano cię — rzekłem krótko.

— Gdzie?

— W Operetce. Mam meldunek — wyjąłem notes i udałem, że czytam: — Środa, duża przerwa. Przypora ma dyżur w Operetce... idzie na piętro, wyjmuje z kieszeni klucz...

— To nonsens! — zaczerwieniła się Brunhilda. — Jaki klucz?!

— Klucz od drzwi Operetki — wyjaśniłem spokojnie.

— Ciekawe, skąd bym miała? Ukradłam czy dorobiłam? — Brunhilda próbowała szydzić.

— Nie potrzebowałaś ani dorabiać, ani kraść. Dostałaś od Moniuszki, jako przewodniczącego Klubu Melomanów!

— Coś ci się pomyliło, tobie i twojemu szpiegowi — zasapała — jestem przewodniczącą Kółka Dramatycznego, a nie Melomanów... wszyscy wiedzą...

— Wszyscy z wyjątkiem paru osób, które wiedzą, że tydzień temu, zostałaś mianowana przewodniczącą nowo organizowanego Klubu Melomanów, bo Stecia z ósmej boli ucho, bo mu pękł bębenek, kiedy dostał piłką nożną w małżowinę, więc mianowano cię nagle na miejsce Stecia. Ale wiadomość o twojej nominacji i o powstaniu Klubu nie została ogłoszona, ponieważ nie nadeszły zamówione płyty i instrumenty... Więc twoja rola polegała tylko na utrzymywaniu porządku w sali wychowania muzycznego, czyli w Operetce... Tego dnia też tam poszłaś... Ale jak zwykle mniej cię interesował porządek, a bardziej — co się mówi w gabinecie Oberona. Przecież wystarczyło tylko zdjąć obraz „Chłopaka z Sosnowca” ze ściany i odetkać Kanał Moniuszki, a słyhać było lepiej, niż gdyby się siedziało u Oberona w biurku w szufladzie. Niebezpieczeństwo jest tylko jedno, że można zostawić w otworze Kanału włos — to mówiąc wyciągnąłem z notesu włos i demonstrowałem osłupiałej Brunhildzie, z satysfakcją stwierdzając, jak gaśnie jej uśmiech i pewność siebie. — Jest to nader obciążający i nie podlegający dyskusji dowód — ciągnąłem — zwłaszcza, gdy się ma takie jedyne w swoim rodzaju, piękne włosy, bardzo długie i bardzo jasne. O, właśnie jak ten!

W tym momencie Brunhilda rzuciła się na mnie. Chciała wyrzeć mi włos z ręki, ale ja przewidując tę reakcję odskoczyłem błyskawicznie i szybko schowałem włos z powrotem do kieszeni wraz z notesem.

— Ty, lotrze! Ty perfidny draniu! — sapła Brunhilda bombardując mnie pięściami ze złości.

— Nie wrzeszcz tak — powiedziałem — i nie bębnij, bo przestraszysz babcię. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale zachowuj się jakoś. Może napijesz się wody albo nerwosolu?

Brunhilda opanowała się i sapiąc opadła na fotel.

— Jesteś wstrętnym chłopakiem — oświadczyła — najgorszą bestią, jaką znam... Skąd ty to wiesz... jak się dowiedziałeś?

— To nic trudnego — mruknąłem — po prostu interesuję się szkołą... naszym życiem... całym życiem... wszystkim... A takimi osobami jak ty w pierwszym rządzie... Jutro zainteresuje się tobą także Oberon i, przypuszczam, pan Macoch, czyli nasz niezrównany Bambosz — dodałem — to będzie wielkie przeżycie dla Oberona. Zobaczysz drugą stronę twojej osobowości!

Brunhilda zacisnęła dłonie na krawędzi fotela. W jej oczach pojawił się niespokojny błysk.

— Nie zrobisz tego — powiedziała. — Wiem, że nie potrafisz skarżyć.

— Nie wiadomo — uśmiechnąłem się — skoro jestem najgorszą bestią, jaką znasz...

— Z pewnością najgorszą, ale nawet bestie nie wszystkie są zdolne do robienia świństw...

— Drugim bestiom? Kruk krukowi oka nie wykolę?

Brunhilda spojrzała na mnie ciężkim wzrokiem.

— Robić świństwo własnej koleżance, towarzyszowi niedoli to... to już dno! Tak nie wolno!

— Zostawiasz ten przywilej dla siebie? — zaszydziłem. — A ta sztuczka z gazetą to nie było świństwo zrobione towarzyszom niedoli?

— Tylko rewanż, musisz się zgodzić, wszyscy wiedzą, że nie ma już redakcji! Coście z niej zrobili? Klikę! Szajkę! Własny żłób i monopol!

— Uważaj, co mówisz! — warknąłem. — Licz się ze słowami!

— Sam powiedz, czy to jest w porządku, napisałam dla was trzy artykuły i żaden nie został wydrukowany! Kiedy przyniosłam pierwszy, powiedzieli, że za smutny. Kiedy przyniosłam drugi, powiedzieli, że za wesoly. Kiedy przyniosłam trzeci, nikt już nic nie powiedział, nie chcieli nawet ze mną rozmawiać...

— To nie ja — odburknąłem — to Zyzio Gnacki... On jest zarażony adelizmem.

— Nie powinieneś z nim współpracować — oświadczyła Brunhilda.

— Łatwo ci mówić...

— A więc zgadzasz się, że redakcja jest zarażona?... Oberon to już przedtem zauważył. Dlatego możecie sobie skarżyć... i tak wam to nie pomoże... Zresztą nie zrobicie tego — uśmiechnęła się dziwnie. — Nie, bynajmniej nie ze względu na mnie ani na koleżeństwo. Nie zrobicie tego ze względu na siebie. Wiem, że macie duży kłopot...

— Kłopot? O czym ty mówisz?

— O Straży Porządkowej — odpowiedziała oglądając sobie niewinnie czubki pantofli.

Oslupiałem.

— Na Boga Ojca! Skąd to wiesz?!

— Wiem. Ja też mam swoje kanały...

— Kanał Moniuszki.

— Nie tylko. Wiem, że Oberon przycisnął was do deski.

— Nieprawda! My z własnej inicjatywy.

— Nie wstawiaj kitów! Oberon nakazał wam inicjatywę. A po moim ostatnim występie wręcz postawił wam ultimatum... I dlatego wymyśliście na gwałt tę Straż Porządkową, żeby się czymś, wykazać przed Oberonem.

— Szpiegowałaś nas! — wykrzyknąłem.

— To zbędne, sami paplacie zbyt głośno i nieostrożnie! Te wasze „tajne narady”, o których zaraz mam meldunki! — zaśmiała się — paradni jesteście, co się zowie.

— Jacy?

— Paradni. Tak mówili w dawnych książkach, ale do was pasuje to jak ulał!

— Ktoś nas zdradził — zasapałem. — Ktoś z nas jest zdrajcą? Mów zaraz kto!

— Nie bądź śmieszny — powiedziała — już ci wytłumaczyłam, że nie chodzi o zdradę, chodzi o paplanie. W każdym razie wiem, że macie założyć tę Straż. Więc lepiej nie zadzierajcie ze mną... Mówię chyba zupełnie jasno... wyłóżmy kawę na lawę. Potrzebujecie do Straży moich dziewcząt. Bez nich nie zorganizujecie tej Straży i jeszcze raz będzie kompromitacja...

— Nie ty jedna się liczysz — zasapałem — Ela nam pomoże i jej paczka!

— Ela? O nie! Kiedy się dowie, że ja odmówiłam, ona nie odważy się pójść na współpracę z wami. Jej dziewczęta by się zbuntowały. Albo wszystkie, albo żadna. Takie u nas panują zasady. Ela nigdy nie chce być gorszą ode mnie. Jak ja się nie zgodzę, ona też się nie zgodzi... Co innego, gdybym ja się zgodziła wam pomóc.

— Pomóc?! — uśmiechnąłem się. — Ho, ho, co ja słyszę?! Czy ja się nie przesłyszałem?

— Nie przesłyszałeś się. Tu chodzi o naszą wspólną skórę!

Do licha — pomyślałem — o, do licha! Sprawa przybiera właściwy obrót. Tego przecież właśnie chciałem od nadobnej Brzusi. Czyżbyśmy już byli w domu?! — A głośno powiedziałem:

— To prawda, chodzi o naszą wspólną skórę.

Brunhilda uśmiechnęła się zadowolona i ciągnęła:

— Dla was ważna jest Straż Porządkowa. Wisi nad wami ultimatum Oberona. A ja... — zawahała się i znów spojrzała na czubki złotych pantofelków — ja lubię tylko happeningi, które sama wymyślam, natomiast nie lubię niekontrolowanej hecy... Dlatego mam pomysł: koniec z kłótnią! Rachunki wyrównane! Nie ma rozdziału. Zaczynamy od nowa.

— Myślisz, że chłopaki będą cię lubić po tym, co zrobiłaś?

— Obejdę się bez miłości — mruknęła Brunhilda — chodzi o to, żebyśmy przeżyli tę budę po ludzku.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Załatwimy z Oberonem jutro na pierwszej przerwie. Bądź gotowa — rzekłem.

— Mam nadzieję, że tym razem Zyzio nie będzie się pakował nachalnie na świecznik i nie będzie chciał zostać komendantem Straży — rzekła Brunhilda.

— Bądź spokojna — uśmiechnąłem się kwaśno. — Zyzio będzie trzymał się z boku... Mamy innego kandydata. A może ty chcesz zgłosić swoją propozycję?

— Mnie jest wszystko jedno. Byle nie Zyzio, rozumiesz?

— Rozumiem — odparłem i na tym skończyliśmy układy.

ROZDZIAŁ XX  
— KŁOPOTY OBERONA

Rano przed szkołą Gnat czekał na nas z tekturową teczką w ręku.

— Mam już regulamin Straży Porządkowej — powiedział — przepisany w czterech egzemplarzach na maszynie.

— Kto ci przepisał? — zapytałem.

— Gazela.

Nie zdziwiłem się nawet. Gazelą nazywaliśmy sekretarkę szkolną, panią Szyj-kowską, wtedy, gdy byliśmy z nią w dobrych stosunkach, co zresztą zdarzało się raczej rzadko. Była to osoba wszechstronna i wiecznie zajęta — prawdziwy tytan pracy. Prócz pracy w kancelarii szkolnej miała masę innych zajęć. Nieraz do późnego wieczoru przepisywała referaty, sprawozdania, protokoły, a także prace naukowe i artykuły pana Pelmana. Była sekretarką chyba pięciu związków i stowarzyszeń w naszym mieście, a nadto przyjmowała do przepisywania teksty osób postronnych, po siedem złotych za stronicę.

— Ile to cię kosztowało? — zapytałem Gnata.

— Nic. Wystarczyło, że zjednałem ją dla idei — powiedział Zyzio. — Nawet nie było trudne. Gazela to osoba ideowa. Można powiedzieć, że to chodząca idea porządku. Oświadczyłem, że mianujemy ją honorowym kapitanem naszej Straży. Bardzo wzruszyła ją ta godność. Obiecała pomagać nam w organizowaniu Straży i ułatwić dostęp do Oberona.

— Nie miała żadnych wątpliwości?

— Raczej tylko niewielkie. Mamy tyle stowarzyszeń, związków i kółek w szkole, że nie zdziwiło jej zbyt powstanie jeszcze jednego. Zapytała tylko, kto patronuje naszej organizacji. Odparłem, że LOP, PCK, TPD, SKS, ZHP i pan dyrektor. To ją całkowicie uspokoiło. Poczula się zobowiązana do przepisania regulaminu. Przy sposobności przepisała nam dwa artykuły do gazety i poprawiła błędy ortograficzne.

— Niesłychane!

— Żeby tak za nic?!

Nie mogliśmy wyjść z podziwu.

— I tak bezinteresownie?! — przyciskaliśmy Gnata.

— No... niezupełnie... — przyznał wreszcie. — Obiecałem jej, że następny artykuł będzie całkowicie poświęcony popularyzacji jej osoby wśród młodzieży szkolnej, bogato ilustrowany zdjęciami...

— No wiesz, to już przesada! — wybuchnąłem — mamy pisać artykuł na temat Bambosza, na temat Biblioli, na temat Pelmana i Oberona, a ty jeszcze podjąłeś takie zobowiązanie! Szaleństwo.

— W tej chwili Gazela jest najważniejsza — oświadczył nie zmieszany Gnat. — Jak tylko ta okropna Matylda skończy zdjęcia Bambosza, przerzuć ją do pracy nad Gazelą. Nie zdajecie sobie sprawy, jak ważna jest dla nas Gazela. To klucz do szkoły! To nasza baza. Och, Gazela! — westchnął z zachwytem — to genialna kobieta. Czy wiecie, że ona zaocznie studiuje na uniwersytecie?!

— Tak jest — potwierdziłem — słyszałem od mamy, że pani Szyjkowska dostanie niedługo dyplom.

— Co studiuje?

— Nie wiem, nie pytałem. W każdym razie jak dostanie dyplom, to będzie nas uczyć.

— To straszne — powiedział Kleksik — nie mogę sobie wyobrazić Melanii Szyjkowskiej w roli nauczycielki.

— A ja mogę — powiedziałem — to będzie tytan nauczania, trubadur porządku i wezyr czystości.

— Tak jest, ona wprowadzi melanizm — stwierdził Gnat.

— Co to jest melanizm? — zapytał Kleksik.

— To jest właśnie sposób, w jaki przejedzie się po nas tytan nauczania, czyli Nadobna Melania, zwana także Gazelą.

— Może obleje jaki egzamin... — wtrącił ponuro milczący dotąd Kękuś.

— Wątpliwe, ona jest także muzą pilności.

— I geniuszem obowiązku! Za rok wybywamy z tej budy na szczęście — pocieszył nas Gnat i wyciągnął z kieszeni dość już wymięty świstek papieru. — Tu mam opracowane cele akcji i założenia strategiczne oraz plan na najbliższe dni.

— Te cele są dosyć brudne — zauważyłem — nie dałeś ich do przepisania?

— Niestety, to należy do naszych tajnych dokumentów. Nie muszę powtarzać, że obowiązuje was ścisła tajemnica. Tylko my znamy prawdziwe cele akcji.

— Dobra, jaki mamy na dzisiaj plan?

— Dziś sprawa jest prosta: najpierw audiencja u Oberona, potem powołanie do służby i nominacja Chrzążcza na komendanta, potem przyjmowanie członków.

— Oczywiście my jesteśmy oficerami — wtrącił Kwękacz.

— Kadra Straży — powiedział Kleksik.

— My i Ela Melasińska.

— Ela?

— I Przypora Brunhilda! — dodałem.

— Co on plecie? — Kękuś spojrział z przestraszeniem na mnie. — Takie żmije?! One nas zjedzą.

— Wykonałem zadanie — odrzekłem krótko — zwerbowałem te żmije, one zwerbują z kolei naiwne dziewczęta. Chyba ci o to chodziło, Zyzio — zwróciłem się do Gnata.

— Tak jest. Wykonałeś zadanie w dwustu procentach — powiedział Zyzio. — Udzielam ci, Tomciu, pochwały w imieniu Służby...

— One nas zjedzą — jęczał Kleksik.

— To są dziewczyny do roboty — powiedział Zyzio. — Na talent organizacyjny Chrzążcza nie ma co liczyć. Kto będzie robił? Potrzebujemy dziewczyn do roboty. Czy przyjmujecie porządek dnia? Są jakieś uwagi?

— Brakuje audiencji u Bambosza — powiedział Kękuś.

— Ja się nie będę więcej narażał — westchnął Gnat — w tej chwili nie ma do Bambosza bezpośredniego dojścia, rozmowy z Bamboszem przeprowadzi Chrzążcz, oczywiście po nominacji... My jesteśmy spaleni. Bambosz nabrał odruchu warunkowego na nasz widok, to się zgadza z teorią dziadzi Pawłowa, tego z wąsami na portrecie... No to, panowie, szykować się do audiencji. Oberon już jest w gabinecie. Załatwimy to przed lekcjami, póki jeszcze jest w dobrym humorze i kondycji. Nadobna Gazela utoruje nam drogę!

Wkrótce już mogliśmy się przekonać, że Zyzio nie bujał i że udało mu się urobić panią Szyjkowską. Gdy tylko przestąpiliśmy próg kancelarii, zamiast zmarszczenia brwi i złowrogiego błysku oczu tudzież zębów „smoka”, przywitał nas czarujący uśmiech. Nie ulegało wątpliwości, że Nadobna Gazela została „wkomponowana” w naszą aferę.

— My do pana dyrektora w sprawie Straży Porządkowej. Pani już wie — chrząknął Gnat.

— Oczywiście, ale...

— Ale co? — zaniepokoił się Gnat.

— Gdybyście zechcieli najpierw wyświadczyć mi małą przysługę i poprawili mi znów tę firankę i zasłonę. Oberwała się i nie można zasunąć, a słońce już praży, trudno wytrzymać... Pewnie żabki puściły, trzeba przypiąć.

Spojrzelśmy po sobie. Trubadur porządku dawał znać o sobie.

— Co się gapisz, włącz na parapet i przypnij — Gnat popchnął Kwękacza.

— A wy?

— A my będziemy cię trzymać w ramach bhp. Podporządkuj się!

Kwękacz podporządkował się i zaczął przypinać żabki, a my trzymaliśmy go i przyglądaliśmy się pani Melanii Szyjkowskiej. Poglądy na jej urodę były podzielone. Była szczupła, długonoga, głowę miała afrykańską, nie z barwy, ale z kształtu, środkową część twarzy zaokrągloną i nadmiernie wysuniętą do przodu, usta duże i także zęby, mięsistą wargę dolną miała jakby stworzoną do ślinienia kopert i znaczków. Kiedy jako mały szkrab pierwszy raz przyszedłem do szkoły i zobaczyłem panią Szyjkowską, powiedziałem podobno: „patrz, ta pani ma buzie napęczniałą od zębów, one się jej wysypią!” — „Cicho bądź — zgasła mnie mama — pani Szyjkowską ma piękne zęby i jest podobna do gazeli”.

Faktem jest jednak, że nie wszyscy widzieli w niej kształtną gazelę, niektórym przedstawiała się jako zapracowana „mulica”, a dla większości była groźnym smokiem strzegącym dostępu do „jaskini Oberona”.

Tym razem, gdy uśmiechnęła się do nas, z pewnością była Nadobną Gaze-lą i nie rozumieliśmy, jak można ją było porównywać do smoka. Oto właśnie wdzięcznym ruchem ręki wskazała nam drzwi do gabinetu.

Wciąż wpatrywałem się w usta pani Szyjkowskiej i znów jak przed laty odniosłem głupie wrażenie, że ma za dużo zębów i że lada moment jej się wysypią. Nie mogłem oderwać od nich oczu i potknąłem się o zawinięty brzeg dywanu.

Upadłbym zapewne, gdyby w tym momencie nie wkroczył do kancelarii spedytor Gudelko i nie chwycił mnie przytomnie w swoje silne ręce.

— Hop, młodzieńcze — zaśmiał się — uważaj, bo nabijesz sobie guza.

— Taki młody, a już roztargniony — zauważyła z uśmiechem Gazela.

— To z powodu szanownej pani — sklonił się Gudelko — on się zagapil na panią...

I nie dziwię się. Wyglądamy dziś czarująco!

— Och, panie spedytorze... a pan z komplementami od samego rana... czuję, że kryje się za tym jakiś niecny zamach.

— Dziecko drogie, muszę się widzieć z dyrektorem — powiedział Gudelko i twarz mu spochmurniała — w sprawie...

— W sprawie pana Dziedziucha? — przestraszyła się pani Szyjkowską. — Zostawmy już te sprawy zmarłych...

— Niech odpoczywają w pokoju — rzekł Gudelko — nie będę toczył już sporu z dyrektorem o tego nieszczęsnego nieboszczyka, mam poważną sprawę dotyczącą osoby żywej...

— Chodzi panu o kucharkę Mateczkę Tosię?

— Tak jest, droga pani Melanio, sprawy zaszły już zbyt daleko... Jakieś dziwne rzeczy dzieją się w tej szkole. Stan nerwów Tosi jest fatalny. I do tego ten nowy nauczyciel Pelman zatruł ją jakimiś proszkami! Chcę ją zabrać z powrotem do zakładu. ..

— Rozumiem... czy zechce pan spocząć, w tej chwili dyrektor jest zajęty — powiedziała Nadobna Gazela i obróciła się do nas. — Co tu jeszcze robicie? Mielście wejść do gabinetu...

— Tam ktoś jest, proszę pani — odparł Gnat — rozmawia z panem dyrektorem...

— Nie szkodzi. To tylko inżynier Dzidko z budowy. Znów zdenerwował pana dyrektora. Dobrze będzie, jak wejdziecie i rozładujecie tę napiętą atmosferę.

Młodzież zawsze wpływa dodatnio na dyrektora Oberonowicza — obróciła się do spedytora Gudelki, który uprzejmie pokiwał głową.

Weszliśmy więc do gabinetu. Sytuacja istotnie była nieprzyjemna. Znów te okropne komplikacje z budową nowego skrzydła i pawilonu naszej szkoły. Oberon rozmawiał właśnie z osobnikiem wynędzniałym i bladym. Był to inżynier nazwiskiem Dzidko, kierujący budową.

— To skandal! Jak długo będziecie się grzebać? — krzyczał nie zwracając uwagi na nasze wejście. — Ja nie przerobię programu przez pana. To miało być skończone w zeszłym kwartale...

— Był poślizg — jęknął Dzidko — awaria dźwigu i kuso z materiałem... pan dyrektor widzi, że dopiero dzisiaj przywieźli murlaty!

— Tu jest bałagan! Dezorganizacja! I młodzież na to patrzy, i nie ma się gdzie uczyć! Co się stanie z młodzieżą? Na pana spadnie odpowiedzialność. Ja rezygnuję w takim stanie! Pan ich będzie uczył!

Dzidko zbladł i spojrzal na nas przestraszony taką perspektywą. Był młody, widać, że mało doświadczony, budził naszą sympatię. Uśmiechnęliśmy się do niego przyjemnie, żeby mu dodać otuchy.

Dzidko odchrząknął i powiedział starając się nadać swej odpowiedzi dumny ton.

— Pan wie, jakie ja miałem propozycje? Ja mogłem budować chlewnię, tuczarnię drobiu i silos... Pan wie, ile ja mogłem zarobić?

— Nie interesuje mnie — odparł Oberon — szkoła jest ważniejsza i ma pan zasługę przed narodem.

— Pan wie, co mnie powiedział mój lekarz? — wytarł głośno nos inżynier Dzidko. — Ja będę żył tylko półtora roku. Ja tu straciłem zdrowie.

— Tym bardziej pan się powinien pośpieszyć.

— Ja nie mam ludzi. Tu jest zdradliwy teren. Musieliśmy zmieniać dokumentację — biadał Dzidko. — Tu się człowiek zapada w grunt, nie wiadomo czemu. Co tu było w tym miejscu?

— Różne rudery, może piwnice — odparł Oberon — ja nie ponoszę za to odpowiedzialności, to wasze przedsiębiorstwo równało teren pod budowę... teraz już przeszło trochę, gdyby pan wziął się do galopu...

— Ja nie mam ludzi — powtórzył Dzidko.

— Nie ma pan — zasapał Oberon. — A ci za oknem?

— Jacy za oknem?

— Za oknem z tej i z tamtej strony! Pan rozprasza siły. Pan jest maniakiem budowlanym. Pan traci czas na jakieś nowe inwestycje, których nie ma w planie...

— Nowe inwestycje?

— To co mi pan tu buduje za oknem? — krzyknął Oberon.

— Za oknem? Nic!

— Jak to nic?! Już trzeci dzień kopią mi tutaj... rozpaprają na nowo ścieżki, nie będzie dojścia do szkoły...

— Kopią?! — wybelkotał zdumiony Dzidko. — Co kopią?

— To pan nie wie? Kopią jakieś doły.

— Doły? Wykluczone!

— No, to niech pan zobaczy!

Oberon złapał za rękę pana Dzidko i doprowadził do okna jak dziecko na miejsce występu.

— A to kto niby? — pokazał. — Ogrodnik? Ja nie mam pieniędzy na ogrodnika.

Wyrzeliśmy i my. Rzeczywiście, jakiś osobnik w starej marynarce z podniesionym kołnierzem kopał na podwórzu szkolnym. Parę metrów od niego, pod drzewkiem kopał drugi.

— A tam? — Oberon poprowadził inżyniera do okna w drugiej ścianie. — Tam jeszcze jeden pracus — wskazał na lysego człowieczka, który otarł właśnie nos wierzchem dłoni, poprawił czapkę i znów wziął się pilnie do kopania. — Pan to wszystko widzi?

— Widzę... — odparł zaskoczony Dzidko.

— I co pan na to? Może mi pan wyjaśni, co to właściwie ma znaczyć?

— Nie wiem.

— Jak to pan nie wie?

— Bo to nie moi ludzie — powiedział Dzidko.

— Nie pańscy?! — zdziwił się Oberon, a potem spojrzal z niedowierzaniem na inżyniera. — Pan nie chce się przyznać... pan się boi? — natarł na inżyniera z groźną miną.

Dzidko cofnął się i rozpląszczył przerażony na ścianie.

— Przysięgam, że to nie moi.

— To skąd oni są? Po co kopią?

- Nie wiem, może z telegrafu, może z telefonu...
- Zatem mogę ich przepędzić. Nie przedstawili mi się.
- Proszę bardzo — zgodził się Dzikko.
- Mogę ich schwytać — badał dyrektor.
- Jeśli pana to bawi...

Oberon uspokoił się nieco i przestał nacierać na inżyniera. Dzikko odskoczył od ściany spocony.

— Myślę... że wyjaśniliśmy sobie z grubsza. Przepraszam, śpieszę na budowę — wyrzucił szybko i zniknął za drzwiami.

Dopiero teraz Oberon obrócił się do nas.

- Czego chcecie?
- My właśnie chcieliśmy powiedzieć... — zacząłem.
- Że już namyśliliśmy się — podjął Zyzio — to znaczy zdobyliśmy się na refleksję.
- Co takiego?! — warknął Oberon.
- Chcemy przejawić inicjatywę.
- Jak pan dyrektor mówił.
- Aha — powiedział Oberon i chyba nareszcie skojarzył. — No to mówcie, tylko

szybko.

— My chcemy podźwignąć i scementować... — zaczął Zyzio.

Oberon zamachał rękami.

— Nie, nie! Tylko bez cementu! Nie mieszajcie tu cementu, mam go już po uszy i wszystkich kłopotów budowlanych!

- Tak jest... No więc w ogóle to jest kłops, panie dyrektorze.
- Kłops? Jaki kłops?! — wykrzyknął Oberon.
- Z porządkiem...

Zaczelśmy mówić jeden przez drugiego: —Rozpacz!

- Błoto!
- Rozbabrany plac!
- Ani boiska, ani nawet podwórka!
- Tylko błoto i śmieci!
- I porozrzucane materiały!
- Cegły, pustaki i gruz!
- Kałuże i doły!
- Nie zwracajcie mi głowy. Przyszliście to mi powiedzieć? — nastroszył się

Oberon. — Ja sam wiem o tym najlepiej.

— Bo my... panie dyrektorze... no właśnie przyszliśmy, bo chcemy... — zaplątał się Kleksik.

— Bo chcemy przejawić inicjatywę — dokończyłem.

— Bo pan dyrektor mówił, żebyśmy się zastanowili — wyjaśnił Gnat — żeby podźwignąć i scementować...

— Nie... nie — zamachał rękami Oberon —już mówiłem. Bez cementu.

— Tak jest... przepraszam... przyzwyczailem się...

— Wystarczy, że mnie dręczą budowlancy... Mówcie do rzeczy, o co chodzi, albo zmiatajcie, ja nie mam czasu!

— Chodzi o to, że chcemy założyć Straż Porządkową — wypalił Gnat.

— Zabezpieczyć przed błotem szkołę! — dorzuciłem.

— Ulżyć panu Macochowi!

— Uprzątnąć, oczywiście teren...

— Uznaliśmy to za ważne!

Oberon spojrział na nas badawczym okiem.

— Czy coś się stało?

— Nie... nic.

- Ktoś was przysłał? Być może ktoś z Urzędu? Z Komitetu? Ktoś zwrócił uwagę?
- Nie... nikt — odparliśmy nieco zdziwieni.
- Wy jesteście z koła PCK?
- Nie.
- LOP?
- Nie...
- LOK?
- Niezupełnie.
- Z ZHP? Jakiś alert?
- Nie, my sami...
- Sami?
- Przecież pan dyrektor wie... jesteśmy z gazety i mieliśmy się zgłosić z pomysłem.
- A tak... oczywiście — zdaje się, że podniecenie Oberona ustępowało — siadajcie! Staliśmy zaskoczeni.

Zrobiło nam się nijako. Patrzyliśmy po sobie zakłopotani. Byliśmy w gabinecie Oberona sto razy i chyba jeszcze nigdy nam nie zaproponował, żebyśmy usiedli. Może to podstęp? Szyderstwo? Przejęzyczenie czy zwykła pomyłka wynikła z roztargnienia?

- Prędeż! — popędził nas Oberon. — Niemrawi jacyś jesteście! Nie będzie my konferować na stojąco. Konferować? To też było coś nowego. Usiedliśmy.
- Znakomicie — powiedział Oberon i łypnął na nas okiem — a więc Straż Porządkowa... Znakomicie — powtórzył — ale dlaczego „Straż”, a nie na przykład „Służba”?
- To lepiej brzmi — powiedziałem.
- Tylko dlatego, że lepiej brzmi? To formalizm!
- Nie tylko — przytomnie wyjaśnił Gnat — jakby była „Służba” to by różne typy mogły pomyśleć, że utrzymanie porządku i praca należy tylko do „Służby”, a oni są zwolnieni.
- A wy chcielibyście na odwrót, żeby różne typy pracowały, a wy tylko pilnowali.

Jako straż.

- Nie, my będziemy pracować, wszyscy będą pracować, tylko my poza tym będziemy pilnować, żeby nikt się nie wykręcał. Dodatkowy obowiązek.
- To musi być podkreślone w regulaminie. Czy macie już regulamin?
- Tak.
- Gotowy?
- Tak jest — Gnat wyjął z tekturowej teczki starannie przepisany przez Gazele tekst. — Proszę, panie dyrektorze. Pan dyrektor może zatrzymać jeden egzemplarz. Mamy to w pięciu odpisach.

Oberon wsadził nos w przedłożony regulamin.

- Ja tutaj nie widzę, żeby było podkreślone to, o czym mówileś. Czy to jest gdzieś podkreślone?
- Nie... niezupełnie.
- To trzeba zmienić.
- Ale regulamin jest już przepisany. Trzeba by wszystko przepisywać na nowo. Czy to warto? Będziemy pamiętać. Kto to przepisze — jęknął Zyzio — pani Szyjkowska już nie będzie chciała. Jest taka zajęta.
- Nie trzeba przepisywać — rzekł Oberon — widzę tu dużo wolnego miejsca u góry pod samym tytułem. Wystarczy tam wstawić zasadę ogólną.
- Zasadę ogólną?
- Napiszecie: „Zasada ogólna”, a pod spodem: „członkowie Straży przodują” albo „członkowie Straży sami dają przykład w utrzymywaniu porządku.”

Spojrzyliśmy po sobie zaniepokojeni. Co do mnie byłem wyraźnie rozczarowany. To odbiegało od naszych założeń. Ten przepis z daleka pachniał mi katorżniczą pracą.

- To my się namyśliły — powiedziałem i chciałem pociągnąć Zyzia do drzwi, ale on wydarł się, mrugnął do mnie, dyskretnie odwróciwszy głowę, a potem rzekł głośno:

— Pan dyrektor ma rację. Wstawiamy tę zasadę ogólną.

Zwariował — pomyślałem przerażony. Frotery i bambosze, miotły i szczotki tudzież ohydne ścierki stanęły mi przed oczyma. Kto widział godzić się dobrowolnie! Wariat czy też ma w tym jakiś ukryty cel?

Tymczasem Oberon ciągnął dalej.

— Druga rzecz nie wyjaśniona. Kto to będzie prowadził, to znaczy, kto będzie komendantem Straży. Nie chciałbym mianować nikogo z urzędu, ale z drugiej strony wy... — urwał i spojrzal krytycznie na Zyzia i na nas — mam poważne wątpliwości, czy z waszej ban... to znaczy paczki...

— Redakcji — poprawił chłodno TĄTAO.

— ... czy ktoś z waszej redakcji miałby tyle czasu... — Oberon chrząknął i urwał.

Wiedzieliśmy, że to był wybieg, że nie o czas chodzi Oberonowi. Po prostu nie miał do nas zaufania albo obawiał się, że jesteśmy spaleni u Bambosza.

— Komendantem będzie Chrząszcz — powiedział Zyzio — on miałby czas — zaakcentował z ponurym uśmiechem.

Oberon skrzywił się, jakby go zabolął ząb.

— Chrząszcz? Ten przerośnięty? Co to za pomysł, to chyba kpiny?!

— To poważna kandydatura, panie dyrektorze — powiedział Gnat — on jest najbardziej odpowiedni.

— On jest silny — powiedział Kleksik.

— Jego się boją — zauważył Kwękacz.

— On zna tu każdy kąt — przypomniałem — on jest dziesięć lat w szkole.

— Już niedługo idzie do woja, panie dyrektorze!

— On się zna na budowie. Jego starzy, to znaczy jego rodzice budowali sobie chatę przez siedem lat...

— Gospodarczym sposobem, panie dyrektorze, i on pomagał w budowie.

— Ma praktykę. Wapno mieszał! On potrafi murować!

— Pokazywał nam! On potrafi zamurować okno, panie dyrektorze, i zalepić dziury w kominie, a jak trzeba, to nawet wymaluje parapety i futryny!

— Wolalbym, żeby nie murował i nie malował — skrzywił się ponownie Oberon.

— Poza tym... — Gnat gorączkowo poszukiwał lepszego uzasadnienia — poza tym on najbardziej śmieci i niszczy posadzki w szkole, panie dyrektorze, on i jego piłkarze! Najwięcej wnoszą błota...

— Poczekaj... o, to jest argument — ożywił się Oberon — pójdę chyba na to... Tak, możemy pomówić i spróbować z Chrząszczem.

— Pan dyrektor pomówi jeszcze z panem Macochem, żeby wiedział, co się dzieje, i nie pędził nas...

— Dobrze.

— A więc można ogłosić pobór do Straży? — zapytał zadowolony Gnat.

— Tak.

Ruszyliśmy ucieszeni do drzwi.

— Jeszcze jedno — zatrzymał nas Oberon. — Macie już pierwsze zadanie do wykonania. Widzicie tych ludzi, którzy kopią za oknem?

— Tak.

— To dla mnie niezrozumiałe zjawisko. Gdybyście dowiedzieli się, co to za ludzie... po co kopią, kto ich tu przysłał, z jakiej instytucji? Z poczty, telefonów, z wodociągów czy z elektrowni? Byłbym wam bardzo wdzięczny. A najlepiej gdybyście ich sprowadzili do mnie na wyjaśnienia... Jasne?

— Tak jest — powiedział ochoczo Gnat — już się robi, panie dyrektorze.

Wybiegliśmy pośpiesznie. Sami byliśmy ciekawi, co to właściwie za typy...

ROZDZIAŁ XXI  
— TAJEMNICZY KOPACZE I PRZYGODA PELMANA

Zaraz za drzwiami kancelarii już na korytarzu daliśmy wyraz naszemu zaniepokojeniu z powodu zasady ogólnej, na którą Zyzio naszym zdaniem zbyt łatwo się zgodził.

— Nie myślisz chyba serio, że będziemy czyścić podłogi albo wyrzucać śmieci — przestraszył się Kwękacz.

— Myślę, że będziemy.

— Oszalałeś?! Po co? Nie wystarczy, że machamy łopatą na podwórzu?

— Już nie będziemy.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Oto Zyzio w całej osobie! Jeden pomysł goni za drugim, codziennie co innego jest ważne... co innego ciekawe! Czyżby akcja „porządków pod transparentem” nie przetrwała dwu dni?

— Likwidujesz punkt kontrolny na podwórzu? — zapytałem.

— Skądże. Od jutra wstawię tam lebków z klasy czwartej i piątej. Skoro się tak palą do tej roboty, niech pracują. Udzielę im instrukcji, żeby meldowali o ruchach nieznanymi osobom na terenie szkoły. Będą kontrolowali z ochotą. Powiem im ogólnie, że szykuje się zamach na Bambosza. To ich przyjemnie podnieci. Będą czuwać lepiej niż starsi! Ale w tej chwili ważne jest, żeby zmontować także kontrolę w samej szkole. Akcja musi się rozgrywać na dwu frontach. Zagrożone są oba... A poza tym... Dlaczego wy nie rozumiecie, że ja wciąż chcę znaleźć sposób na Bambosza. Nie bardzo nam się udało na podwórzu, ale może uda się w szkole. W końcu musi uznać nas za nieszkodliwych pracusiów, przyzwycząić się do naszej obecności, odprężyć się i rozleniwic jak stary kot na słońcu, a wtedy... — Gnat stuknął w teczkę, gdzie umieścił był cele, założenia strategiczne i plan akcji — wtedy przystąpimy do następnego etapu, który zwać się będzie „okrutna rzeczywistość, czyli naga prawda, czyli zdemaskowanie afery, w którą jest zamieszany Bambosz”...

Zyzio powiódł wzrokiem za woźnym, który właśnie nerwowym krokiem zbiegał na dół ku kuchni i stolówce.

— Wkrótce będą się tu dziać straszne rzeczy! A właśnie, Tomciu — zwrócił się do mnie — zapomniałem podziękować ci za meldunek o tym, co wczoraj wieczorem podsłuchałeś wraz z Kleksikiem w szkole... Podałem wasz raport gruntownej analizie. Potwierdza on hipotezę, że akcja Trenera odbędzie się w naszej szkole, z Bamboszem... albo...

— Albo?

— Przeciw Bamboszowi, jeśli się Bambosz nie ugnie. To jeszcze jeden powód, żeby kręcić się blisko Bambosza... i... i bronić go w razie czego.

— Jak długo masz zamiar opiekować się tym wątpliwym pupilem? — zapytałem.

— Myślę, że trzy dni uszczęśliwią go zupełnie.

— Przysięgasz, że tylko trzy dni?

— Słowo!

— Trzy dni to maksimum, co mógłbym znieść — wyznał Kwękacz. — Przykra historia... można dostać obrzydzenia do pracy na cały rok! — skrzywił się.

— To fakt... te okropne kubły i szczotki! — westchnąłem.

— Praca nad porządkiem to beznadziejna, syzyfowa praca, niegodna mężczyzny o wyższych, twórczych aspiracjach!

— Na widok mydła i proszków dostaję wysypki i kataru — pociągnął żałośnie nosem Kleksik.

— Spokój, panowie, nie łamać się — powiedział TJJTAO. — Ustaliłem: trzy dni zajęć społecznych, to wam wyjdzie na zdrowie. Załatwione. A teraz chodźmy do tych kopaczy!

Wybiegliśmy ze szkoły i podeszliśmy do osobnika z podniesionym kołnierzem w radosnej marynarce, który kopał najbliżej.

— Co pan tu kopie? — zapytał Zyzio. — Czy można wiedzieć?

Typ zignorował nas całkowicie. Może był głuchy?

— Przecież widzisz, że ten pan kopie dołek — powiedziałem i mruknąłem okiem do Zyzia.

— Ale po co? To jest szkoła...

Typ ignorował nas dalej, oddając się z poświęceniem pracy.

— Przestań pan dziobać łopata — zdenerwował się Zyzio — chcemy z panem pogadać.

— Nie mam przyjemności — odparł typ.

— Uprzejmie zwracam panu uwagę, że ryje pan na terenie zakładu naukowego Rejtana. Dyrektor szkoły pyta, kto pana posadził tu z tą łopata.

— Dyrektor? — typ lypnął okiem.

— Tak jest. Życzy sobie wyjaśnień.

— Jestem z telegrafu. Będziemy tu wbijać słupy.

— Słupy? — zdziwił się Zyzio. — Po co? Mamy już kabel podziemny.

— To ja nie wiem — odparł człowiek i poprawił kołnierz swej radosnej marynarki.

— Powie pan to dyrektorowi.

— Dobra, powiem po fajerancie — typ strzepnął grudkę ziemi ze swej żółtej marynarki.

— Pan pójdzie teraz. Idzie pan?

— Potem przyjdę.

— Pan pójdzie z nami. Dyrektor kazał pana przyprowadzić za rączkę.

— Za rączkę — typ posmutniał — po co?

— Dyrektor pana polubił.

— Mnie? Nie mam przyjemności.

— Właśnie dlatego chce pana poznać.

— Mam to w kiblu — odpowiedział typ zdradzając poważny brak towarzyskiej kultury.

— Idziemy, panie ładny — Gnat złapał za łopatę. — Pan jest intruz!

— Co?! — typ szarpnął się, ale już Kękuś chwycił go za rękaw.

Widząc nasze zdenerwowanie, typ puścił nagle łopatę. Gnat uwieszony narzędzia zatoczył się gwałtownie, wpadł na mnie i na Kleksika. Przewróciliśmy się wszyscy trzej, tylko Kękuś wisiał wciąż na rękawie typa. Typ rąbnął go pięścią w żebro. Nie pomogło. Tymczasem my narobiliśmy wrzasku, już z budowy biegli do nas robotnicy... Typ okładał pięścią Kękusia, ale mało skutecznie, bo miał niewygodną pozycję, wreszcie szarpnął się z całej siły i wyrwał, zostawiając w rękach zaskoczonego Kękusia rękaw swej radosnej marynarki.

— Łapcie drugiego! — krzyknął Gnat podnosząc się z ziemi.

Skoczyliśmy. Ale drugi z kopaczy nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Wyskoczył spiesznie z dołka i dał rozpaczliwego drapak. Goniliśmy go aż do rogu, lecz miał potężny napęd w nogach i za rogiem straciliśmy go z oczu.

— Coś... coś takiego! — sapał Gnat.

— Nie... nie... niesamowita historia — dyszał ledwie żywy Kleksik.

— To oszuści albo wariaci — powiedziałem.

— Wariaci albo... — Gnat urwał nagle i oczy mu zabłyśły.

— Albo co?

— Albo nowe ogniwo do hipotezy nr 2.

— Myślisz, że to ma jakiś związek... z akcją Kablarza i Dżinsuli?

— Nie wiem... ale nie zdziwiłbym się, gdyby tak było — Zyzio zamyślił się głęboko.

— Oni przecież kopali dokładnie w tym samym miejscu, gdzie tamci mierzyli.

My też zamyśliliśmy się. I wciąż jeszcze w zamyśleniu przekroczyliśmy granice kancelarii.

Nadobna Gazeta, olśniewszy nas jeszcze raz bogactwem swego uzębienia, z szerokim uśmiechem wręczyła nam regulamin uzupełniony na górze „zasadą ogólną”, a na dole ozdobiony pieczęcią szkolną tudzież napisem:

Udzielam zezwolenia na działanie w obrębie Szkoły Podstawowej im. T. Rejtana w Odrzywolach STRAŻY PORZĄDKOWEJ i zatwierdzam jej regulamin.

Dyrektor Szkoły  
St. Oberonowicz  
Dn.... marca 1975 r.

— Możecie dać panu dyrektorowi do podpisania — powiedziała.

Wsunęliśmy się do gabinetu. Oberon miał trudny dzień.

Kłopoty nie kończyły się, jak widać, skoro znów wyklócał się z kimś przez telefon. Tak, nie da się ukryć, Oberon prowadzi życie nerwowe.

— Dlaczego pan mnie uważa za fakira?! Nie, takich sztuk nie potrafię... Pan też nie?... Szkoda — krzyczał przez telefon. — Sztuki byłyby niepotrzebne, gdyby pan zaopatrywał nas rzetelnie i normalnie... Co znaczy „nie ma”?!... Pan wie, ile oni jedzą?!... Pan wie? To pan ma chory żołądek... Nie... Co mi pan proponuje?! .. Nie, lebiody jeść nie będziemy!... Muszą tutaj... To są dzieci pracujących rodziców... Tak. Wielki Post się skończył... U pana nie?... Drogi panie, czy ja mam się zająć ubojem, a może polowaniem na zające? Niech pan uważa, pan by pierwszy poszedł na odstrzał... Nie, nie grozę panu śmiercią, ale kotów jeść nie będziemy, najpierw zjemy pana... Niech pan to ma na uwadze i niech pan się zastanowi... Czekam tylko do jutra! — Oberon rzucił słuchawkę. — Co tam dobrego? — zwrócił się do nas.

— Tych ludzi już nie ma — powiedział Gnat.

Oberon rzucił okiem w stronę okna.

— A rzeczywiście.

— Przelekli się pana dyrektora i uciekli.

— Przelekli się? — Oberon dopiero teraz zwrócił uwagę na żółty rękaw trzymany przez Kwękacza.

— Co to jest?

— To jest rękaw.

— Rękaw? — Oberon wytrzeszczył oczy. — Jaki rękaw?

— Od radosnej marynarki tego typu, co kopał..

— Jak to, oddarliście mu rękaw?! — Oberon spojrział na nas z niesmakiem.

— To nie my... panie dyrektorze, myśmy go tylko chcieli przyprowadzić, a on... — Kleksik pociągnął żałośnie nosem.

— A on nie miał ochoty, widzę — zamruczał Oberon.

— Właśnie. Odmówili przyjścia, panie dyrektorze, i uciekli — powiedział Gnat. — Przykro nam, ale nie udało się ich złapać. Zostawili tylko łopatę i ten rękaw. Ale to jest dowód rzeczowy, panie dyrektorze... w razie czego taki rękaw demaskuje przestępcę.

— Co ja z tym zrobię? — Oberon oglądał rękaw. — Myślicie, że to jest przestępca?

— Przestępca albo wariat — stwierdził stanowczo Gnat.

— Niesamowite — Oberon pokręcił głową.

— To niezwykła sprawa, panie dyrektorze, kto wie, czy nie kryminalna.

— Niezwykła sprawa — jęknął Oberon — jakbym nie miał dosyć spraw zwyczajnych! A więc jeszcze na dobitkę jakieś awantury z wariatami! Za co ja tak cierpię?! Czyja zasłużyłem na taki los?

Nie mogliśmy odpowiedzieć na to istotne pytanie, ale zrobiło nam się żal Oberona.

— Niech pan dyrektor się nie przejmuje — powiedział Gnat — zajmiemy się tymi intruzami. To należy do Straży Porządkowej. Przecież jest już Straż Porządkowa. .. Właśnie przynieśliśmy poprawiony regulamin do podpisu... — położył na stole maszynopis.

Oberon lypnął na nas nieufnym wzrokiem. Chciał zapewne wyrazić swą zasadniczą wątpliwość, co do naszych kompetencji i możliwości w przedmiocie utrzymania tak kruchej

rzeczy jak porządek, ale w tym właśnie momencie do gabinetu zajrzała z tajemniczą miną Nadobna Gazela, czyli pani Szyjkowska.

— Panie dyrektorze, przyszedł pan Pelman, koniecznie chce się z panem widzieć.

— Nie... nie — Oberon przestraszył się wyraźnie — tylko nie Pelman... to jest, chciałem powiedzieć, nie mam czasu.

— Bardzo przepraszam — szepnęła tajemniczo sekretarka — ale pan profesor Pelman jest w okropnym stanie... boję się... coś się stało z profesorem Pelma-nem. Jest bardzo wystraszony... Pan dyrektor powinien go uspokoić!

Oberon westchnął ciężko.

— Dobrze, niech wejdzie.

Pan Pelman wbiegł zdenerwowany, w rozpiętym czarnym fartuchu. Pasek włókł mu się po podłodze, jak ogon diabłu.

— Panie dyrektorze, ktoś był u mnie! — oznajmił podniecony.

— I to pana tak przestraszyło?

— Był w moim pokoju! A przecież zamknąłem na klucz! Musiał wejść przez okno! Przez to okno, co prowadzi z poddasza na dach...

— Ale o kim pan mówi?

— No o tym osobniku, co był u mnie, z nożem...

Oberon wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

— Nie wiedziałem, że mieszkać w tutejszej szkole jest tak niebezpiecznie — wyznał Pelman. — Nigdy bym się nie zgodził na to mieszkanie na poddaszu...

— Zaraz... zaraz, kolego Pelman, spokojnie — powiedział Oberon usiłując opanować sytuację — niech pan siada.

Pelman usiadł.

— Niech pan napije się wody.

— Dziękuję, już piłem.

— Niech pan opowiada po kolei, możliwie rzeczowo i zwięźle, o co właściwie chodzi.

— Otóż to było tak — Pelman starał się poskromić nerwy — byłem już w pokoju nauczycielskim, kiedy pani Czupurska zapytała mnie, czy nie mam czegoś na gripę, bo czuje, że ją rozbiera, a w apteczce już nie ma niczego... Więc pobiegłem do siebie na poddasze po calcipirynę.

— Czy to na pewno była calcipiryna? — zapytał groźnie Oberon.

— Nie rozumiem... co prawda sam przygotowuję preparat na bazie calcipiryny, ale pan dyrektor nie ma chyba zastrzeżeń...

— Owszem, mam. Zeszłym razem pani Czupurska zasnęła na lekcji.

— Jaki to ma związek?...

— Zasnęła po zażyciu pańskiego preparatu...

— Po, to nie znaczy na skutek. To błąd logiczny, który popełniamy nader często, a na który zwrócili już uwagę starożytni logicy! Post hoc, ergo propterhoc! Zasadniczy błąd.

— Nie ulega wątpliwości, że między pana preparatem a zaśnięciem pani Czupurskiej był ścisły związek — powiedział Oberon.

— Pani Czupurska była zadowolona z działania preparatu — bronił się Pelman — najlepszy dowód, że chciała, abym kontynuował leczenie...

— Pan leczy moich nauczycieli?! — wykrzyknął Oberon. — To niesłychane...

— Jak pan dyrektor wie, pracowałem w instytucie leków i mam pewne doświadczenie. ..

— Stanowczo zabraniam panu! — przestraszył się Oberon. — Niech pan tego więcej nie robi. Ogłoszę na apelu, aby nikt nie przyjmował leków od pana.

— Pan chyba wierzy w moją wiedzę...

— Jeszcze bardziej wierzę w pana omamy! Jeśli duchy odwiedzają pana w pokoju, kto wie, co mogą domieszać do tych preparatów...

— Przepraszam — rzekł urażony Pelman — ale nie zwykłem rozmawiać w kategoriach metafizycznych i spirytualistycznych... Naprawdę dziwię się, że w tym gabinecie nie można oprzeć dyskusji na podstawach materializmu dialektycznego.

Oberon ochłonął nieco i pohamował się.

— Dobrze, wracajmy do tematu. Niech pan mówi dalej.

— To właśnie stało się wtedy, kiedy pobiegłem po lek — ciągnął Pelman. — Wypadki potoczyły się błyskawicznie... Gdy otworzyłem drzwi na poddasze, zobaczyłem człowieka... Stał na tle jaskrawo oświetlonego okna, nie mogłem dostrzec szczegółów. Rysował mi się raczej jako ciemna sylwetka... cień... W ręku trzymał nóż. To zauważyłem wyraźnie. Nóż błyszczał w słońcu... Nogi mi wrosły w ziemię, nie mogłem wydobyć głosu. Bałem się, że intruz czeka tu na mnie, aby mi zadać tym nożem cios... Ale na szczęście nie... Intruz sam był spleziony moim wejściem! Wyskoczył błyskawicznie przez okno na dach. Gdy tylko odzyskałem władzę w nogach, dopadłem do okna i wyjrzałem... Intruza ani śladu! Wystawiłem więc głowę przez okno, chciałem lepiej rozejrzeć się po dachu, lecz nagle ogarnęła mnie ciemność, poczułem zapach naftaliny. Intruz musiał czaić się obok i założył mi na głowę worek antymolowy. Przez chwilę szamotałem się z workiem, a kiedy wreszcie oswobodziłem głowę, na dachu nie było już nikogo... Słuchaliśmy ze wstrzymanym oddechem.

— Zaczęło się — szepnął Gnat.

— Szukają! — zadzwonił zębami Kleksik.

— Hipoteza nr 2 sprawdza się!

Oberon westchnął.

— Pan to miewa często, kolego Pelman? — zapytał zde gustowany.

— Co, panie dyrektorze?

— Te... te omamy.

— Omamy?! Ależ to żadne omamy! — oburzył się Pelman. — Ja widziałem tego człowieka!

— Cień pan widział...

— Miałem worek na głowie!

— Co mi pan z tym workiem...

— Ależ on zostawił w pokoju nóż!

— Jaki nóż?

— Mam go tutaj... — Pelman drżącą ręką wydobył z kieszeni marynarki owiniętą w chusteczkę podłużny przedmiot.

— Co to za pieczołowitość?! — skrzywił się Oberon.

— Pomyślałem, że mogą być na nim odciski palców opryszka... Ostrożnie! — krzyknął widząc, że Oberon chce wyjąć nóż z chusteczki.

— Chcę obejrzeć!

— To dobrze, ale niech pan go trzyma przez chusteczkę.

Oberon westchnął i odłożył nóż na biurko.

— To wszystko? — zapytał.

— Jeszcze nie — Pelman oblizal spiesznie wargi — on zostawił na ścianie ślad... to znaczy, chciałem powiedzieć — znak!

— Znak?

— Nie umiem dokładnie określić... otłukł tynk czy też podskrobał... w każdym razie sporządził znak w kształcie krzyża! To ostrzeżenie, panie dyrektorze... Ostrzegają mnie!

— Przed czym? — zapytał Oberon.

— Doprawdy nie wiem... Nie wchodziłem nikomu w drogę... zupełnie nie rozumiem, co mogą znaczyć te pogróżki... Muszę się jeszcze zastanowić...

Oberon otworzył drzwi do kancelarii.

— A, pani tutaj! — zdziwił się na widok pani Szyjkowskiej stojącej pod drzwiami.

— Właśnie chciałam zapytać, czy mam wezwać lekarza... — wyjaśniła zaczerwieniona. — Z panem Pelmanem chyba bardzo niedobrze...

— Nigdy nie było dobrze, ale nie ma powodu do paniki, pani Melu. Czy pani nie wie, kto był dzisiaj w pokoju pana Pelmana?

— No... ci elektrycy i tapicer.

— Elektrycy i tapicer?

— Byli dzisiaj u mnie tutaj i powiedzieli, że zamówił ich pan Pelman, że mają coś zrobić w jego pokoju i żebym im dała klucz.

— Ach tak!

— Powiedziałam, że klucz ma tylko pan Pelman i woźny Macoch... To oni podziękowali i wyszli.

— Pan słyszał? — zwrócił się dyrektor do Pelmana — to chyba był jeden z tych... jeśli tam rzeczywiście ktoś był...

— Ależ ja nie zamawiałem żadnych ludzi!

— Tapicera też nie?

— Nie mam pieniędzy na żadne naprawy czy przeróbki... wszystko pochłania moja praca naukowa!

— I nie dawał pan nikomu kluczy?

— Oczywiście, że nie! Zresztą drzwi były zamknięte na klucz! Pamiętam, że otwierałem je kluczem!

— A może pan zapomniał?

— Zapomniałem?

— Tak jak zapomniał pan ogolić dzisiaj lewą połowę twarzy...

Pelman przejechał dłonią po brodzie i zmieszał się.

— Ale ten nóż... — bąknął — to chyba dowód...

— Ten nóż? — Oberon zaśmiał się szyderczo — to jest nóż z naszej stołówki. .. ma nasze znaki „SR”. Pan musiał sam go zabrać przez roztargnienie i zapomniał...

— Ale ten znak ostrzeżenia...

— To stara rudera... Tu tynk odpada płatami albo pęka wzdłuż pewnych linii, niech pan spojrzy na sufit w tym gabinecie, albo na tę ścianę... — Oberon westchnął i zamyślił się smutno. — Pan lubi Kobrę? Filmy kryminalne? — zapytał nagle Pelmana.

— Owszem, ale nie rozumiem...

— Niech pan jakiś czas nie ogląda — powiedział Oberon — i niech pan nie czyta kryminalów... Pan za dużo naczytał się tych książek...

— Ależ...

— Spokojnie. Wyjdzie pan z tego. Dam panu adres dobrego lekarza. A teraz proszę wrócić do zajęć. Młodzież czeka.

Pan Pelman rozłożył bezradnie ręce, chciał coś powiedzieć... wargi poruszyły mu się — ale nic nie powiedział. Zgarbiony, z paskiem wlokącym się po podłodze wyszedł z gabinetu.

Wymieniliśmy znaczące spojrzenia.

— Może powiedzieć Oberonowi? — szepnęła Olo.

— Ani słowa! Porozmawiamy tylko o regulaminie! — zastrzegł Gnat. — Panie dyrektorze... — zaczął, ale Oberon uciszył go jednym ruchem dłoni.

Opadł ciężko, na fotel.

— Panie dyrektorze — zaczęła pani Szykowska — ten pan Gudelko wciąż czeka... nie wiem, co mam powiedzieć.

— Niech pani powie, że jutro... dziś w żaden sposób nie mogę, o dziewiątej mam konferencję w Urzędzie. Proszę przeprosić i umówić go na jutro o tej porze.

— Ale może pan dyrektor podpisze przynajmniej nasz regulamin — zaproponował Gnat.

— Nie... nie, nie teraz... przedtem muszę mieć tego Chrząszcza.

— Chrząszcza?

— No przecież proponujecie, żeby był komendantem. Muszę z nim porozmawiać, zobaczyć, czy się nadaje...

— To my go zaraz przyślemy — rzekł Gnat wychodząc z założenia, że lepiej kuć żelazo póki gorące.

— Ale szybko, bo już przecież był dzwonek... nie myślcie, że będę was zwalniał z lekcji z powodu tej Straży... Zresztą za dziesięć minut wychodzę.

Wybiegliśmy. W klasie zaczęła się już lekcja. Była to akurat lekcja z Pelmanem. Pelman jak zwykle w piątek dyktował plan zajęć na najbliższy tydzień, a potem zabierał klasę do pracowni.

— Chrząszcz do pana dyrektora! — krzyknął Gnat nie licząc się z obecnością Pelmana.

— Siadaj! — zmarszczył brwi Pelman zza okularów. — Siadajcie wszyscy i nie przeszkadzajcie!

— Kiedy Chrząszcz...

— Chrząszcza nie ma — odezwała się Ela Melasińska. — Powiedział, że go kłuje w boku i pan Pelman wysłał go do lekarza... I Chrząszcz już nie wrócił.

— Panie profesorze, on musi do pana dyrektora... trzeba go koniecznie poszukać. Pan dyrektor kazał... — jęknął Gnat — ja pójdę go poszukać razem z Okistem. Wrócimy zaraz, słowo!

Pelman westchnął i machnął ręką.

Zniknęliśmy za drzwiami. Popędziliśmy od razu do gabinetu lekarskiego, ale tam Chrząszcza nie było. W korytarzu zauważyliśmy Marka, czyli Kwękacza

Młodszeo, który widocznie za jakieś przestępstwo szkolne odrabiał od rana karne „frotery”.

— Nie widziałeś Chrząszcza? — zapytał go Zyzio.

— Teraz nie.

— A kiedy go widziałeś?

— No, przed lekcjami... Dzisiaj przyszedłem już o pół do ósmej, bo miałem za karę podlać wszystkie kwiatki... a nie lubię, jak chłopaki patrzą się i śmieją... a potem miałem froterować...

— Do rzeczy, nie mamy czasu.

— No więc kiedy przyszedłem, Chrząszcz już był na podwórku. Bawił się z Rozpylaczem.

— Ciekawe!

— A potem przyszedł Kopytczak...

— Kopytczak? Niemożliwe! — spojrzeliśmy po sobie. — Ten od defonsiaków? — Kopytczak był prawą ręką wodza defonsiaków, Grubego Cypka, i pełnił obowiązki szefa działu wydarzeń bieżących w gazecie wrogiego nam uczyłszcza.

— Ten sam — Marek otarł brudną ręką spocone czoło. — Bardzo się zdziwiłem. I zacząłem się za wieszakiem, żeby widzieć, co będzie dalej... No więc jak Kopytczak przyszedł, to Chrząszcz zaraz przestał się bawić z Rozpylaczem. Widocznie był umówiony z Kopytczakiem, wpuścił Kopytczaka do szkoły i pobiegli razem na górę... Chyba na drugie piętro... a za nimi pobiegł Rozpylacz! Chciałem go złapać, ale zniknął mi gdzieś na pierwszym piętrze... Pewnie zaszył się w jakiejś pracowni.

— Czy Chrząszcz rozmawiał o nas z tym Kopytczakiem? — zapytał niespokojnie Gnat.

— Tak, coś p was mówili i o redakcji.

— Biegniemy na górę — rzucił Gnat. — Mam straszne podejrzenia. Pobiegliśmy do naszego gabinetu redakcyjnego za biblioteką. Gnat od razu dopadł do stolika, w którego szufladzie trzymaliśmy nasze tajne papiery.

— Popatrz, zarysowania na zamku, ktoś się dobierał do naszej szuflady.

Otworzyliśmy ją niecierpliwie. Sprawdziliśmy zawartość. Niczego nie brakowało.

— Mogli porobić odpisy. W każdym razie szperali. Łobuz Chrząszcz!

— Ładna historia! — powiedziałem. — To on ma konszachty z defonsiakami! A my go chcieliśmy zrobić komendantem Straży.

— Nie szkodzi — mruknął Gnat — chodź do Oberona.

W gabinecie był Bambosz. Rozmawiał właśnie z Oberonem, gdy weszliśmy. Była to dość ostra rozmowa, bo Bambosz sapał jak miech, choć stał w miejscu, sapał i błyskał złowrogo oczami. Na nasz widok Oberon przerwał rozmowę i powiedział:

— Otóż to... właśnie się dowiedziałem, że Chrząszcz zwolnił się... Jak może, to się wyrywa ze szkoły! Jego pasją jest piłka i pocztowe znaczki. Czy podtrzymujecie wciąż jego kandydaturę?

— Tak, proszę pana! To właśnie ostatnia szansa, żeby rozszerzyć zainteresowania Chrząszcza — oświadczył Gnat. — Taka funkcja wyzwoli u Chrząszcza poczucie odpowiedzialności i włączy go do zespołu...

— Co to za mowa? — zdumiał się Oberon. — Gdzie ty wyczytałeś takie mądrości?

— W książce, która jest u pana dyrektora na półce.

— U mnie? Kiedy, u licha, zdażyłeś?

— Kiedy pan dyrektor załatwiał sprawy zaopatrzenia przez telefon... Wtedy czeka się zwykle długo.

— Dobrze, poddaję się — rzekł Oberon — mianujemy na próbę Chrząszcza komendantem.

— O nic innego nam nie chodzi.

— Ale jeśli się próba nie uda?...

— Oczywiście, panie dyrektorze — zgodził się pośpiesznie Gnat — wtedy może pan mianować nawet Przyporę Brunhildę — szurnął nogami. — Przepraszam, że zabraliśmy czas. Z Chrząszczem porozmawiamy po lekcjach w sposób... przekonujący. Zgłosi się na pewno do pana dyrektora jutro.

— Mam nadzieję — powiedział Oberon. — A teraz smarujcie na lekcję.

Wycofaliśmy się z gabinetu.

— Widziałeś — powiedział Gnat — Oberon rozmawia właśnie z Bamboszem. Ciekawe, czy mu powie o naszej inicjatywie i jak Bambosz to przyjmie.

— Rzeczywistość pokaże... — odparłem — ale mnie ciekawi co innego. Dlaczego wciąż popierasz kandydaturę Chrząszcza? Chyba nie dlatego, żeby „wyzwolić w nim poczucie odpowiedzialności”? — uśmiechnąłem się krzywo.

— Mam nieco inny powód — powiedział Gnat.

— Po co nam taki zdrajca — ciągnąłem — pamiętasz, co mówił Marek. Z pewnością jest w zмовie z defonsiakami i razem z Kopytczakiem majstrował przy naszej szufladzie... Mówił mi kiedyś Kękuś, że on stale chodzi na ulicę Rzeźniczą. Prawie co dzień po lekcjach tam zagląda...

— Na ulicy Rzeźniczej jest Klub Filatelistyczny — zauważył Zyzio.

— Owszem, ja też myślałem, że on chodzi do tego Klubu, ale teraz jestem przekonany, że chodzi do Defonsiarni. Zapomniałeś Zyziu, że na ulicy Rzeźniczej mieści się także uczyliszcze defonsiaków.

— Możemy się łatwo przekonać, gdzie on chodzi — rzekł Zyzio. — Proponuję przejść się tam dzisiaj po lekcjach i przeprowadzić małą inwigilację.

— I co zrobisz, jeśli okaże się, że Chrząszcz naprawdę pokumał się z defonsiakami, że jest zdrajcą?

— Będę bardzo zadowolony — odparł ze zdumieniem.

— Żartujesz chyba?!

— Nie. Wszystkie grzeszki Chrząszcza są nam na rękę, zwłaszcza jego tajne konszachty z defonsiakami.

— To jakaś dziwna polityka.

— Być może dla ciebie dziwna, ale ja wiem, co robię.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Posłuchaj, czy my potrzebujemy byle jakiego komendanta Straży? Nie. My potrzebujemy posłusznego komendanta. Takiego, który będzie robił to, co chcemy. My jesteśmy sprężyną. On jest tylko na pokaz... Jak myślisz, kiedy on będzie nas słuchał? O właśnie, tylko wtedy, kiedy będzie się nas bał. A kiedy Chrząszcz będzie się nas bał? Kiedy będziemy wiedzieć o jego zdradzie, o jego wstydliwych kontaktach z defonsiakami. I kiedy on będzie wiedział, że możemy go w każdej chwili zdemaskować przed całą szkołą, przed wszystkimi chłopakami...

Spojrzałem wystraszony na Gnata. Niebezpieczne pomysły chodzą mu po niewinnej głowce... Kto by pomyślał!

— Zrobiłbyś to naprawdę?

— Tak. Dlaczego miałbym się liczyć z takim nędznym typem jak Chrząszcz. Tu chodzi o wielką sprawę. O rozpracowanie afery, od której zależy dobro całej szkoły, a może nawet czyjeś życie!

Słuchałem nieprzekonany. Czy godzi się, nawet w imię dobrych celów, robić takie rzeczy z Chrząszczem, ale bałem się wyrazić moje wątpliwości głośno, żeby Zyzio nie wziął mnie za mięczaka.

Tymczasem on ciągnął dalej, widać było, że ten szatański pomysł bardzo go podnieca.

— Wystarczy zagrozić Chrząszczowi, że powiemy, co widzieliśmy, a będzie w naszych rękach posłuszną plasteliną... Wie, że będzie zgubiony w oczach klasy jak go zdemaskujemy, że żaden rejtaniak nie daruje mu tej zdrady... A ty się jeszcze zastanawiałeś, czy on się zgodzi przyjmując nominację na komendanta Straży. Musi się zgodzić. Nie będzie żadnego kłopotu, zobaczysz... on teraz musi się zgodzić na wszystko, co mu powiemy...

— Zobaczymy — mruknąłem — chyba jesteś zbyt wielkim optymistą...

— Przyszłość pokaże.

— Z pewnością. Ten dzień dziwnie się zaczął, a jeszcze do końca daleko. Mogę się założyć, że jeszcze coś wisi w powietrzu... Jakaś wielka afera — pomyślałem o dziwnych odwiedzinach spedytora Gudelki, które na pewno nie znaczą nic dobrego, i o przygodzie Pelmana, i o tej historii z kopaczami... — Mówię ci, mam przecucia, wkrótce wybuchnie nowa bomba!

Gnat spojrzał na mnie podejrzliwie i zaśmiał się.

— Ej ty okultysta, synu okulisty Okista, za czarny jesteś pesymista!

Okazało się, że przecucia mnie nie myliły. Bomba wybuchła już na następnej przerwie. Ledwie wyszliśmy z pracowni chemicznej, usłyszeliśmy podniesione głosy gdzieś na dole, chyba w kuchni, oraz jazgotliwe biadolenie kucharki Tosi.

Zaraz też podbiegł do nas podniecony Kękuś Młodszy.

— Słyszeliście?! Nowa awantura! Kosmiczna!

— Co się stało?

— Rozpylacz zjadł cielęcinę przygotowaną na obiad! I to teraz, kiedy w stolówce są te trudności mięsne!

— To znaczy, że wtedy... jak Chrząszcz przeniknął z defonsiakiem... — zaczął Zyzio.

— Tak... na pewno wtedy. Mówiłem wam, że widziałem, jak Rozpylacz pobiegł za nimi...

— Mogli umyślnie go wpuścić, żeby narozrabiał.

— Teraz jest straszna heca! Już od rana stosunki z Bamboszem były napięte, bo Rozpylacz pogryzł Oberonowi parasol zostawiony w korytarzyku do pokoju nauczycielskiego... A teraz to mięso... Bambosz twierdzi, że ktoś umyślnie wypuścił psa, bo Rozpylacz był w ogródku przy Chutorze i sam by nie otworzył furtki...

— Oczywiście to Chrząszcz... mówileś, że bawił się z Rozpylaczem.

— Jasne. Ale tego jeszcze nikt nie wie — Marek spojrzał na nas z rozterką. — Co robić w takiej sytuacji?... Powiedzieć, że widziałem Chrząszcza? To byłoby skarżenie. A z drugiej strony ta awantura. Kucharka Tosia grozi, że odejdzie, jak pan dyrektor nie ukarze

**Bambosza. Bambosz znów jest rozgniewany, że go się oskarża niewinnie, i zapowiada, że zaraz rzuci pracę i wyjedzie do syna do Kanady... Jego syn tam zbił podobno majątek na handlu futrami czy na innych kombinacjach...**

— Nic na razie nie mów nikomu — zdecydował Gnat. — Będziemy się dzisiaj po lekcjach widzieć z Chrząszczem i powiemy mu o wszystkim... Najlepiej będzie, jak on sam wyjaśni sprawę...

— Masz rację — odetchnął Marek — tak chyba będzie najlepiej.

— Co zrobić? — zapytał Gnata, gdy Marek odbiegł. — Naprawdę zmusisz Chrząszcza, żeby wyjaśnił przed Oberonem i przed Bamboszem tę sprawę? Wtedy twój pomysł z posłusznym komendantem weźmie w łeb. Czy będziesz trzymał Chrząszcza, gdy do wszystkiego się przyzna?

Zyżio patrzył ponuro w ziemię. Po raz pierwszy od wielu tygodni zobaczyłem, że jest naprawdę w kropce...

— Niestety, panowie — powiedział — musimy chwilowo odłożyć sprawę awaramisów. Nasze stosunki wewnętrzne wymagają uzdrowienia. Na razie przejdziemy się po Chrząszczu!

ROZDZIAŁ XXII  
— CO ROBI PO LEKCJACH CHRZĄSZCZ?

Bezpośrednio po lekcjach udaliśmy się całą paczką na ulicę Rzeźniczą. Tu zajęliśmy bezpieczną pozycję za kioskiem Ruchu w bezpośrednim sąsiedztwie Defonsiarni i czekaliśmy na pojawienie się Chrząszcz. Nie czekaliśmy zresztą długo. Nasze podejrzenia sprawdziły się co do joty. Punktualnie o godzinie czternastej Chrząszcz nadszedł spiesznym krokiem i — jak stary bywalec, bez żadnych wahań przeniknął przez bramę na dziedziniec wrogiemu nam uczyliszcza... Z uwagi na to, że znajdowaliśmy się w strefie nieprzyjacielskiej, podwoiliśmy czujność i na wszelki wypadek ukryliśmy się w zaroślach bzu, który rósł gęsto pod ogrodzeniem Defonsiarni. Tak zamaskowani prowadziliśmy dalej obserwację.

Chrząszcz był wyraźnie czymś podniecony. W jego ruchach wyczuwało się niecierpliwość. Kręcił się nerwowo pod oknami... to znów przystawał i oddawał się namiętnie onychofagii, czyli obgryzaniu paznokci...

Przez otwarte okna bryzgały na nas wrzaskliwe pienia chóru szkolnego defon-siaków. Słuchaliśmy nie bez satysfakcji: defonsiacy strasznie fałszowali. Przerywał im co trochę stukot palczki i ostry głos dyrygenta. Wreszcie chór umilkł na dobre i ujrzelśmy w oknie pana Czekają. Wysunął na świeże powietrze smutną końską twarz w okularach i chusteczką wycierał spoconą łysinę.

Czyżby koniec próby? Tak jest... Wkrótce potem z Defonsiarni wybiegło stado uwolnionych chórzystów i chórzystek...

Między nimi zauważyliśmy Grubego Cypka. Oprócz innych zajęć ten niepospolity defonsiak był także jak widać filarem szkolnego chóru. Wyraźnie zwolnił kroku i rozglądał się ciekawie. Nie ulegało wątpliwości, że był umówiony z Chrząszczem... Ledwie go zauważył, natychmiast ruszył do niego, uściśnił sobie ręce, a potem poszli pod płot, na prawo od bramy, tak, że znaleźli się bardzo blisko krzaków, za którymi byliśmy ukryci.

Sądziliśmy, że odbędą się jakieś tajne rozmowy, ale oni nie odezwali się do siebie ani słowem, natomiast Chrząszcz wyjął z teczki dużą żółtą kopertę i wręczył ją Cypkowi. Cypek wsunął ją do dolnej kieszeni marynarki, po czym szybko odszedł... A więc nasze najgorsze obawy się sprawdziły. Chrząszcz był na służbie defonsiaków i przekazywał im wiadomości.

Przyglądałem mu się chciwie. Pierwszy raz w życiu widziałem zdrajcę! Byłem ciekaw, co się maluje na jego twarzy? Czy dręczą go wyrzuty sumienia, czy czuje moralną zgagę? Nie!... Żadnych wyrzutów sumienia, żadnej zgagi! Ani cienia wstydu na obliczu czy choćby zakłopotania. Wprost przeciwnie, łobuz promieniał wyraźnie zadowolony ze swojej podłej transakcji; od razu podbiegł beztrąsko do dziewczyn, które właśnie wyszły ze szkoły i przyczepił się do Adeli. Adela miała złote włosy, białą cerę, różowe policzki i rysy Pallas Ateny z podręcznika historii starożytnej. W ogóle sama klasyka, jak krótko określił ją kiedyś Zyzio, który między innymi lubił uchodzić za znawcę kobiet. Na mój gust Adela była nieco za duża i za masywna, ale mimo to zazdrościłem Chrząszczowi... Zazdrościłem mu zwłaszcza śmiałości, z jaką zbliżył się do Adeli. Chyba znali się od dawna... Tak... na pewno się znali, bo Adela szybko pożegnała swoje towarzyszkę i wraz z Chrząszczem opuściła Defonsiarnię.

Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy biec za nimi, czy za Cypkiem. Oczywiście śledzenie tak niezwyklej parki jak Adela i Bysio byłoby niewątpliwie bardziej atrakcyjne, ale dobro sprawy wymagało, byśmy niezwłocznie dobrali się do Cypka. To był nasz obowiązek... a jako, że mieliśmy wszyscy głębokie poczucie obowiązku, pognaliśmy za Cypkiem. Dopędziliśmy go łatwo.

Elegancki jak zawsze, w nienagannie zaprasowanych wąskich, opiętych spodniach, szedł sobie spacerkiem z teczką pod pachą, zadzierając swoim zwyczajem głowę do góry, co nadawało mu bardzo dumny wygląd.

— Cześć Nogo Słonia! — zawołał Gnat.

Cypek skrzywił się na nasz widok.

— Cześć, Gnacie Mamuta! — zamruczał.

— Co tam masz w kieszeni? — zapytał Gnat.

Cypek spojrział na nas przestraszony.

— Nic wam do tego!

— Nie stawiaj się! — warknął Gnat — wiemy, że przejąłeś tajne wiadomości od Chrząszcza.

— W żółtej kopercie! — dodałem rzeczowo.

— Tak! Widzieliśmy na własne oczy! — pisał Kleksik.

— Zdemaskowaliśmy was! — wykrzyknął Kwę kac z. I otoczyliśmy błyskawicznie Cypka.

— Bądź łaskaw oddać tę kopertę, grubasie — powiedział Gnat i wyciągnął rękę — wszelki opór nie ma sensu. Jeśli nie oddasz sam, weźmiemy siłą.

— Protestuję! To zamach na nietykalność cielesną! — zawołał Cypek. — To rozbój!

— Przykro nam, ale musimy sprawdzić tę kopertę dla dobra rejtanizmu! — oświadczył Zyzio.

— Pluję na wasz rejtanizm! — wykrzyknął Cypek.

— Obezwładnić go! — rzucił Gnat.

Postąpiliśmy jeszcze krok bliżej.

Widząc, że na serio grozi mu obezwładnienie, Cypek zmiękł.

— Chwileczkę... — powstrzymał nas. — To zbyt cenne... Pokażę wam tę kopertę, i zobaczycie, jacy jesteście śmieszni z waszymi podejrzeniami! — to mówiąc wyciągnął z kieszeni kopertę. — Patrzcie, co w niej jest! Zaraz mina wam zrzędzie.

Wytrzeszczyliśmy ciekawie oczy, a on wydobyl z koperty... znaczki pocztowe, umieszczone na dwu kartach wyjętych z klasera filatelistycznego.

— No i co, lyso wam? — roześmiał się szyderczo.

— Niezupełnie — odparł Gnat, opanowując się szybko. — Zachodzi bowiem pytanie, za co dostałeś te znaczki?

Cypek odchrząknął i powiedział:

— Po prostu wymieniamy sobie, Chrząszcz i ja... Właśnie był mi winien umówioną serię i właśnie przyniósł..

— Łiesz! — stwierdził zimno Gnat. — Chrząszcz już od dawna nie bawi się filatelistyką. Odkąd zaczął grać w piłkę. Piłka to teraz jego jedyne hobby!

— Jedyne? — Cypek uśmiechnął się szyderczo. — Mało go znasz w takim razie...

— Och, znam go doskonale. O żadnych zamianach nie ma mowy. Po prostu dał ci te znaczki. Tak, dał ci... zapłacił nimi za coś... I chciałbym wiedzieć, za co...

— Co ty sobie ubzdurałeś? — Cypek patrzył na niego niespokojnie. Jego małe zazwyczaj oczka zrobiły się wielkie jak talerzyki.

— No, uczyni wyznanie, stary, bo zrobimy z ciebie placuszek...

— Co ty... jakie wyznanie?!

— Nie bój się, powiesz tylko prawdę i zaraz cię puścimy...

Ale Cypek popadł już w popłoch. Nim zdążyliśmy mu przeszkodzić, wsadził dwa swoje serdelko wate paluchy do jadaczki i zagwizdał przeraźliwie.

Na ten sygnał od razu wyrosło koło nas jak spod ziemi stado defonsiaków i musieliśmy wykonać odwrót strategiczny. Byliśmy wciąż jeszcze na niebezpiecznym terenie Defonsiarni i wobec miążdżącej przewagi liczebnej wroga nie mieliśmy żadnych szans w bezpośrednim starciu. Zatrzymaliśmy się dopiero w parku.

— Wiecie, co mi przyszło do głowy? — powiedział Gnat — że te znaczki wcale nie muszą być zapłatą...

— Tylko czym? — zapytałem.

Gnat uśmiechnął się chytrze.

— Pomyśl sam, Tomciu. Za co miałby Chrząszcz płacić Cypkowi? Jeśli Chrząszcz jest szpiegiem defonsiaków, to oni powinni jemu płacić.

- Tak, coś tutaj nie gra — wtrącił Kleksik.
- Jeśli Chrząszcz jest szpiegiem... — powiedziałem.
- Na pewno jest...
- W takim razie... z tymi znaczkami rzeczywiście coś nie gra.
- A jeśli te znaczki... to nie zapłata...
- Tylko co?
- Szyfr!
- Szyfr?! — zdumiliśmy się.

— Posłuchajcie — powiedział podniecony Gnat — to przecież proste. Chrząszcz bał się przekazywać normalnie wiadomości, więc zastosowali szyfr. Niewinne znaczki na kartach klasera... Kto by się domyślił, że to szyfr! A tym czasem każda marka coś znaczy... Jakąś literę albo nawet cały wyraz... Czy zauważyliście, co to była za seria?

- Chy... chyba zoologiczna — odparłem oszołomiony niezwykle hipotezą Zyzia.

— Tak jest... Zwierzęta egzotyczne — ciągnął gorączkowo Gnat. — Niektóre z nich mogą oznaczać ważne osoby z rejtanówki... Na przykład...

- Na przykład ty mogłeś być oznaczony przez tapira... a Kwękacz przez gibbona.

- Dlaczego przez gibbona? — oburzył się Kwękacz.

- Och, tak mi się powiedziało...

- Ciekawe, że ci się tak powiedziało.

- Mówię ci, że przypadkowo!

— Nie lubię takich przypadków... — zasapał Kwękacz. — A może ci się skojarzyło?

- Co mogło mi się skojarzyć? — udałem naiwność.

- Myślisz, że ja nie wiem, co ty o mnie myślisz?!

- Panowie, dajcie spokój — wtrącił Gnat — czy musicie od razu w ten sposób?

- To czemu on mnie obraża... — warknął Kwękacz.

— O rany, wciąż to samo, ledwie o czymś zacząć, zaraz się żrą! Dostyc tego! Trzeba pędzić za Chrząszczem i natychmiast wziąć go na tortury! Musi wyśpiewać całą prawdę... wszystkie szczegóły swojej zdrady, wskazać współników, a przede wszystkim wyjaśnić sprawę tej hecy z Rozpylaczem. Teraz nie mam wątpliwości, tej nocy defonsiacy przeniknęli do budy i szukali naszych tajnych akt. Chrząszcz ich wpuścił przez okno... Natychmiast musi być wzięty na tortury...

— Ostrożnie z tymi torturami — powiedziałem. — Najpierw powinienes mu udowodnić i przekonać się...

- Tortury wszystko udowodnią — przerwał mi Gnat.

- Tak, tortury — oblizal wargi Kwękacz, a Kleksikowi zaświeciły się oczy.

Westchnąłem zrezygnowany. Nie powstrzymam ich. Widok Chrząszcza na torturach już rozpalil niezdrowo ich wyobraźnię. Nabrali apetytu, szczeniaki...

- Głupstwo zrobiliśmy, żeśmy od razu nie wsiedli mu na kark — westchnął Gnat.

- Nie szkodzi — powiedział Kleksik — i tak będziemy go wkrótce mieli!

Na pewno spaceruje gdzieś tutaj z Adelą. Rozbiegnijmy się i poszukajmy! Kto znajdzie, niech zagwiżdże!

— No to jazda! — rzucił Gnat i spojrzal na zegarek. — Pięć minut poszukiwań. Jeśli ich nie znajdziemy, wracamy na to miejsce!

Rozbiegli się po alejkach parku... Mnie się nie chciało. Zostałem na miejscu i myślałem o sprawie Chrząszcza. Czy był naprawdę agentem Cypka? Czy też... — uśmiechnąłem się do siebie, bo nagle przyszło mi do głowy zaskakujące rozwiązanie zagadki.

Tymczasem chłopcy wracali z poszukiwań jeden po drugim bez rezultatów. Ani Bysia, ani Adeli nie było w parku. Kleksik chrząknął strapiiony.

- Jeśli nie spacerują — bąknął — to na pewno poszli do domu...

- Celujesz dziś w trafnych wnioskach — zauważył zgryźliwie Gnat.

— To znaczy, chciałem powiedzieć — pociągnął nosem Kleksik — że Adela poszła... a Bysio ją odprowadził. Chodźmy na Ogrodową, pod dom Adeli. Tam go przychwycimy. To przecież blisko...

— No, nie wiem, czy to ma sens — rozważał głośno Gnat—już lepiej zacząć się pod domem Chrząszcza — urwał nagle, bo na głównej alei parku pojawił się zadyszany Cypek, niosąc w ręku... papierową, kolorową torbę, zapewne z delikatesów.

Cofnęliśmy się odruchowo. Cypek przebiegł ciężkim krokiem bawołu aleję i zniknął u jej wylotu prowadzącego bezpośrednio na ulicę Ogrodową.

— Biegnie do domu Adeli? — zdumiał się Gnat.

— Na to wygląda — odparł Kleksik.

— Ciekawe...

— Tak, ciekawe... — powiedziałem. — Chodźmy za nim. Jeśli spotkamy tam i Chrząszcza, będzie co oglądać...

— Myślisz, że oni... — Gnat zmarszczył brwi.

— Zaraz się przekonamy — powiedziałem — tylko się pośpieszmy.

Ruszyliśmy szybko ku głównej alei, a potem popędziliśmy ulicą Ogrodową w kierunku domu Adeli. Ulica Ogrodowa należała do najcichszych ulic w mieście. Nie prowadził tędy żaden ważny trakt, nie było tu ani urzędów, ani warsztatów, ani wielkich sklepów, tylko małe, parterowe lub jednopiętrowe domki w ogródkach. I nagle w tej ciszy usłyszeliśmy dziwny odgłos, miarowy, tępy łomot, jakies głucho uderzenia... Nim jednak zdążyłem zastanowić się, co one mogą oznaczać, Gnat trącił mnie w bok.

— Uwaga! Adela!

Spojrzałem. Istotnie, po przeciwnej stronie ulicy szła spacerowym krokiem Adela, a obok niej... Gruby Cypek. Częstował ją słodyczami z delikatesowej torby... chyba mieszanką czekoladową, bo świeże papierki z tych cukierków od pewnego czasu spotykaliśmy na drodze. Ale gdzie w takim razie jest Chrząszcz?

— Jeśli Chrząszcz odprowadził Adelę, to na pewno musi być gdzieś tutaj — powiedział Gnat — bo nie widzieliśmy, żeby wracał.

— Tak, gdyby wracał, musielibyśmy go spotkać — powiedziałem. — On jest gdzieś tutaj.

— Mógł nas zauważyć i schował się.

Głucho uderzenia znów załomotały, tym razem gdzieś blisko.

— To na podwórzu Adeli — zauważył Kleksik.

— Zajrzyjmy tam i zapytajmy...

— Tylko ostrożnie! Lepiej, żeby nas defonsiacy nie widzieli.

Obejrzeliliśmy się na Adelę i Cypka, ale oni byli zbyt zajęci sobą i mieszanką delikatesową, żeby zwracać uwagę na to, co się koło nich dzieje. Zresztą w tym momencie stali tyłem do nas... a Gruby Cypek popisывał się sprawnością fizyczną i uwiesiwszy się rękoma gałęzi, huśtał się na niej jak goryl, budząc wesołość Adeli.

Przeniknęliśmy więc bezpiecznie przez bramę. Na podwórzu gospoia w niebieskiej chusteczce na głowie i w fartuszkach trzepała zajadle dywan. Potężny łomot wstrząsał powietrzem, a tumany duszącego pyłu unosiły się wokół.

— Przepraszam panią — zagadnął Zyzio — czy nie było tu Zbyszka Chrząszczowicza? On przyszedł z Adelą... może pani widziała... taki chudy chłopak, blondyn, dość brzydki, pryszczaty, z zepsuciem wypisanym na twarzy... No, wie pani, taki zgnilek!

— Sam jesteś zgnilek! — zaskrzeczała kogucim głosem gospoia i obróciła się do nas, a my zdębieliśmy! Oto bowiem spod chusteczki niewieściej wyłoniła się pryszczata rozzłoszczona twarz Chrząszcza.

Pierwszy oprzytomniał Gnat.

— Cześć pracy! — zawołał gromko. — Miło nam zobaczyć cię, Chrząszczu, przy uczciwej robocie.

— Ale... ale właściwie co to wszystko ma znaczyć?! — zapytałem zdezorientowany, bo coś tu się nie zgadzało z moją hipotezą.

— Ja... ja tak sobie! — zakłopotany Chrząszcz machnął niedbale trzepaczką.

— No tak... ale co ty tu robisz?!

— Nic...

— Jak to nic?! Widzę przecież, że trzepiesz...

— No... trzepię...

— Dlaczego?

— Bo... bo nająłem się.

— Taki wałkoń jak ty najmuje się do trzepania?

Chrząszcz poczerwieniał.

— Ty, licz się ze słowami! Żadna praca nie hańbi.

— Słusznie — powiedział Gnat. — Nie masz się czemu dziwić, Tomciu. Chrząszcz po prostu zarobkuje.

— Tak jest... po prostu zarobkuje — powtórzył Chrząszcz.

— Dobrze wiedzieć — powiedziałem — moja mama potrzebuje właśnie kogoś do pomocy.

— Moja też — oświadczył Gnat. — Może byś się zgodził do nas?

— On się nie zgodzi — pisała Kleksik — to jest służba specjalna.

— Myślisz?

— On nie tyle zarobkuje, co adeluje, bracie...

— Adeluje?

— Tak. Dlatego nie masz szans. Co innego, gdybyś miał taką siostrę jak Adela.

— Naprawdę adelujesz? — Gnat zwrócił się z udaną powagą do Chrząszcza.

Chrząszcz poczerwieniał i zatrząsł się.

— Ciekawym, jaki jest zakres twoich usług w ramach adelowania — zapytałem łagodnie — czy także myjesz okna i pierzesz?

— Piorę! Najchętniej takich lotrów jak wy! — zasapał Chrząszcz i zamierzył się na nas trzepaczką.

Pierzchliśmy ze śmiechem w różne strony. Po chwili znów się zbliżyliśmy.

— Zmiatajcie, bo was trzepnę! — zagroził Chrząszcz.

— Lepiej schowaj tę trzepaczkę na Cypka! — powiedział Zyzio.

— Co?!

— Żarty na bok, posłuchaj, mam ci coś ważnego do powiedzenia na temat Adeli.

— Adeli? — Chrząszcz znieruchomiał.

— Żal mi cię, stary — powiedział Gnat. — Czy nie wiesz, że Adela robi z ciebie balona?

— Ja... jak to balona?... — wyjąkał Chrząszcz.

— Zaprzęła cię do roboty, a sama rozmawia z Cypkiem.

Chrząszcz przez chwilę stał jak ogłuszony.

— Z Cypkiem?... To niemożliwe — wymamrotał wreszcie.

— Słowo. Widzieliśmy na własne oczy.

— Gdzie?!

— Tam za bramą!

— Pod drzewkiem.

Chrząszcz ryknął niczym zraniony tur i wypadł z trzepaczką na ulicę. Po chwili dobiegły nas stamtąd krzyki Cypka. Pośpieszyliśmy zobaczyć, co się dzieje.

ROZDZIAŁ XXIII  
— PRZYKRE SKUTKI ADELOWANIA

Widok był, ogólnie mówiąc, niekulturalny, gorszący i żaloszny. Rozjuszony Chrząszcz gonił dookoła drzewa Grubego Cypka i okładał go trzepaczką w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Za każdym celnym ciosem znakomity defonsiak podskakiwał do góry i wydawał rozpaczliwe jęki podobne do beczenia obdzieranej ze skóry kozy.

A pod drzewem stała przerażona Adela i usiłowała uśmierzyć furię Chrząszcza.

— Zbyszkule, co ty wyprawiasz! Uspokój się! Zostaw Cypka! Co ty od niego chcesz!

— On dobrze wie! — ryczał Chrząszcz.

— No dosyć już, przestań, proszę cię! — błagała, ale nadaremnie.

Wreszcie Cypek nie zdzierzył bolesnych ciosów i zostawiając Adelę na łasce losu i Chrząszcza, rzucił się do ucieczki w kierunku śródmieścia. Zziębnięty Bysio podszedł do Adeli.

— Obludnico niewierna — zacharczał — przejrzałem cię! Dlatego prosiłaś, żebym cię wyręczył! A ja trzepałem jak głupi!

Zdarł z siebie chustkę i fartuch i rzucił wraz z trzepaczką pod nogi Adeli.

— Ależ Zbyszkule... wszystko ci wytłumaczę.

— Tu nic nie ma do tłumaczenia! — zawołał dramatycznie Chrząszcz. — Żegnaj! — dodał łamiącym się głosem i odwrócił się na pięcie.

— Dobrze, idź sobie! Mam dosyć twoich humorów i zazdrości... — powiedziała Adela podnosząc fartuch, chustkę i trzepaczkę. — Znudziło mi się to wszystko. Ty w ogóle nie nadajesz się... Ty jesteś... — zawahała się.

Chrząszcz zatrzymał się, ale nie odwrócił głowy.

— Co jestem? — zapytał wyzywająco.

— Adelo, nie mów mu! — ostrzegł Adelę Gnat. — On ciebie chce sprowokować! To nie poczytalny facet.

— Masz rację, lepiej mu nie powiem — roześmiała się Adela.

— Tak, lepiej sobie nie mówić. Szybciej się przeprosicie!

— Przepraszamy?! — zasyczał Chrząszcz. — Nigdy!

Z okna na piętrze wyjrzała tęga niewiasta z głową w papilotach.

— Adelo, co z tym dywanem?! — zawołała grubym głosem.

— To Mamadeli, kryć się! — syknął Gnat i wszyscy sploszeni przywarliśmy do płotu.

Tymczasem Mamadeli grzmiała dalej.

— Wstrzymujesz moje porządki. Jak długo będziesz jeszcze trzepać?!

— Zaraz skończę, mamó! — odpowiedziała Adela. — Do widzenia, Chrząszczyku! — pomachała trzepaczką w stronę oddalającego się Bysia i pobiegła na podwórze.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

— Kapitalna babka — westchnął Gnat ruszając za Bysiem. — Szkoda tylko, że jej mama wciąż robi porządki. Każdego, kto przychodzi do Adeli, lubi zaprzęgać do pomocy.

— Tak jest... po prostu strach się pokazać i adelować otwarcie.

— Dlatego Cypek w ogóle nie wchodzi na podwórze Adeli. Woli adelować gdzie indziej.

— Nie dziwię mu się... po tym strasznym wypadku w kwietniu...

— Po jakim wypadku? — zapytałem.

— Nie słyszałeś? To był głośny wypadek.

— Byłem wtedy w szpitalu.

— A rzeczywiście... No więc posłuchaj... Było to tuż przed świętami wielkanocnymi. .. Cypek adelował niebezpiecznie na podwórzu, wpadł w ręce Mamadeli i Mamadela zaprzęgała go do mycia okien, Cypek nigdy nie mył okien i zupełnie mu nie szło... w końcu rozlał mydliny, pośliznął się na parapecie i spadł... A zapomniałem ci powiedzieć, że to było pierwsze piętro.

- Daj spokój! Mógł się zabić!
- Jasne. Od tego czasu boi się Mamadeli i woli nie pokazywać się na podwórzu.
- No pewnie, ja bym się też bał... bo jakby mnie zaprzęła do roboty...
- Nie, on się boi, bo Mamadeli okropnie wtedy krzyczała...
- Że się potłukł?
- Nie, że narobił szkody...
- Szkody? Nie rozumiem...
- No bo wiesz... on spadł razem z oknem...
- Razem z oknem? Jak to?!
- Po prostu kiedy leciał, chciał się ratować, złapał się okna... no i wyrwał je...
- Wyrwał okno?
- Tak z zawiasami z futryny... Wiesz, ile on waży! Chyba ze sto kilo!
- Dziewięćdziesiąt dwa i trzydzieści pięć deko — uściślił Kleksik. — Ostatnio był

ważony dokładnie przez swoich zastępców, Szczypacza i Pchelkę. Bo oni mieszkają w tym samym domu co on, na szóstym piętrze i bali się z nim jeździć windą, bo winda ma nośność tylko dwieście kilo... No i okazało się, że Cypek waży dziewięćdziesiąt dwa kilo i trzydzieści pięć deko, a razem we trzech ważą dwieście cztery i pół kilo, w dodatku bez butów, płaszczy, czapek i teczek. No i byli w kropce...

- Dlaczego? Czy musieli jeździć razem z Cypkiem?

— Cypek ich zmuszał, bo twierdził, że jest bardzo zajęty i tylko w windzie ma czas zajmować się sprawami gazety. Więc mieli do wyboru, albo zrezygnować ze stanowiska, albo schudnąć, albo ryzykować, że kiedyś winda się urwie... i jeździć ze strachem...

- I co wybrali? — zainteresowałem się.

- Postanowili schudnąć każdy o trzy kilo.

— To obłąd! Znam ich przecież, okropni chudzielcy. Z czego mogli schudnąć?! To raczej Cypek powinien, nie oni!

— Cypek odmówił. Powiedział, że on piastuje kierownicze stanowisko i że musi mieć odpowiednią wagę, zresztą odchudzanie zakłócałoby jego równowagę psychiczną i sprawność.

- Bezczelny grubas!

— No, więc Szczypacz i Pchelka musieli sami schudnąć i to jak najszybciej, bo każda jazda z Cypkiem kosztowała ich wiele strachu. Przez tydzień pili tylko wodę i jedli dziesięć deko chudego twarogu raz na dzień... i trochę owoców...

- No i co? Schudli?

- Zasłabli w szkole... i wzięto ich do szpitala.

- A Cypek?

— Och... on jest bezwzględny. Zwolnił ich ze stanowiska, a na ich miejsce przyjął dwu zabiedzonych lebków z szóstej klasy, którzy też mieszkali w tym samym domu, ale nie ważyli więcej jak dziewięćdziesiąt kilo... czyli mniej niż on sam... Ale mniejsza z tym. W każdym razie Mamadeli bardzo krzyczała, że wyrwał to okno, a w dodatku połamał róże... Bo tam były na ścianie pnące róże i Cypek zahaczył o nie, jak spadał, i oberwał je... To właśnie dzięki tym różom wyszedł jako tako cało z przygody, bo przytrzymały go kolcami i złagodziły jego upadek... za cenę podartych spodni i koszuli oraz ogólnych podrapań... Ale same róże połamały się, to fakt, i Mamadeli nie mogła ich odzalać... A Cypek był bardzo rozgoryczony, że Mamadeli bardziej żałuje róż niż jego. Mówił, że nie ma sprawiedliwości i zarzucał Mamadeli lekceważenie przepisów bhp... Wtedy właśnie napisał trzy świetne artykuły pełne pasji i żółci, jeden o ucisku, drugi o wyzysku, trzeci o niesprawiedliwości, i wtedy objawił się wszystkim jego dziennikarski talent, i awansował na stanowisko redaktora naczelnego organu prasowego defonsiaków...

— Tak... słyszałem o tych artykułach w szpitalu... — powiedziałem. — Krogulec się chwalił, jakiego mają zdolnego redaktora... i cytował jego jakiś wiersz...

— Na pewno ten sławny wiersz o spadaniu. Cypek napisał go w gabinecie zabiegowym zaraz po wypadku...

Trzymając w rękach kawał nieba  
leciałem w dół  
bezkrzydły motyl wpięty w różę...  
Upadek był to czy też wzlot?...

Nie wiem, czy zapamiętałem dokładnie, w każdym razie coś w tym stylu. Cypek oświadczył, że napisał ten wiersz w gabinecie zabiegowym kolcem róży wyjętym z pięty i umaczanym we krwi z podrapanej piersi. Utwór składał się z trzydziestu linijek dokładnie określających, jak spadał...

— Tak, to był wspaniały wiersz o spadaniu — westchnął Kleksik.

— Wydrukowali go w dodatku niedzielnym w prawdziwej gazecie.

— I doszło do tego, że wszyscy chłopcy zazdrościli Cypkowi tego spadania.

— A dziewczyny zazdrościły Adeli, że to z jej powodu Cypek tak wspaniale spadał...

— Oczywiście spądanie nie byłoby tak ciekawe, gdyby nie waga Cypka.

— Dlatego jego grubość została odtąd przyjęta i uznana...

— Uznana i zaakceptowana — powiedział ponuro Gnat. — Zaakceptowana jako „naturalny element jego niepospolitej postaci”, tak to mądralistycznie napisała gazeta defonsiacka.

— I od tego czasu on sobie bimba ze swojej grubości, nie widziałem jeszcze grubasa, który by sobie tak bimbał...

— Tak, to był punkt zwrotny w jego życiu...

— Do licha, mówisz tak, jakbyś mu zazdrościł...

— Może... — mruknął Gnat.

— Nie bądź śmieszny... On tylko robi dobrą minę, ale nie daj się na to nabrać. ..

Wiem, że naprawdę to zazdrościsz mu tylko jednej rzeczy, ale pomyśl sobie na pociechę, że to jego Chrząszcz obil trzepaczką, nie ciebie...

Gnat spojrział na mnie dziwnie rozmarzonymi oczami, a ja zrozumiałem, że to żadna dla niego pociecha i że z rozkoszą gotów byłby poświęcić swoją skórę i oberwać trzepaczką w pewnych okolicznościach — i nie trudno było zgadnąć w jakich.

— Panowie, wy tu gadu bez ładu i składu, a Chrząszcz nam uciekł — wtrącił zniecierpliwiony Kleksik.

— Nie ma obawy — powiedział Gnat — Chrząszczowi dzisiaj odpadły skrzydełka. O, patrzcie tam się wlecze!

Istotnie, po drugiej stronie ulicy włókł się przygarbiony Chrząszcz, ze wzrokiem utkwionym w czubki butów, z rękami obwisłymi bezwładnie. Cała jego postawa świadczyła o krańcowym przygnębieniu.

Dopędziliśmy go z łatwością.

— Poczekaj, braciszku, gdzie cię licho niesie? — zawołał Zyzio. — Zdaje się, żeśmy nie dokończyli naszej milej rozmówki.

— Zostawcie mnie! Nie mam dzisiaj głowy do żadnych rozmówek. Widzieliście, co za lotr z tego Cypka!

— Nas to nie dziwi — wrzucił ramionami Gnat.

— Czego można się spodziewać po defonsiaku? — dodał Kleksik.

— Natomiast dziwi nas co innego... — wycedziłem zimno. — Bardzo przykro nas dziwi...

Chrząszcz lypnął na nas niespokojnym okiem.

— Niemożliwe... co was może dziwić?...

— Dziwią nas twoje konszachty z grubym defonsiakiem — odparł Gnat i chwycił brutalnie Bysia za kłapy marynarki.

— Co to za kombinacje z tymi znaczkami? Szyfr filatelistyczny? Odpowiadaj!

— Ko... kombinacje... szy... szyfr? — wyjąkał przerażony Chrząszcz. — Co wam przyszło do głowy?...

— Nie wypieraj się! Widzieliśmy. Dałeś grubasowi znaczki...

— No właśnie... — jękał Chrząszcz — dałem mu znaczki, a ten łotr znów przybiegł do Adeli... To już zupełne świństwo! Wziąć znaczki i dalej podrywać!

Gnat patrzył na niego zaskoczony. Miał dosyć głupią minę.

— Zaraz... więc ty mu dałeś te znaczki, żeby nie podrywał?!

— Tak, żeby przynajmniej dzisiaj usunął się z placu... — zasapał Chrząszcz. — Żeby wsadził w jakiś kąt swój tłusty ryj i nie pętał się przy Adeli!

— Oszalałeś! Kto widział płacić za taką rzecz?! I on się zgodził?!

— Zgodził się pod warunkiem, że przyniosę mu serię zwierząt egzotycznych, ssaki i gady...

— Wiedziałem, że on jest łobuz! Ale żeby aż tak... — Zyzio pokręcił głową. — Nie spodziewałem się tego po Cypku...

— On jest podwójnie niemoralny — powiedziałem do chłopaków.

Przez chwilę stali jakby ogłuszeni. Podwójna niemoralność Cypka wstrząsnęła nimi głęboko.

— Ja jestem jeszcze tylko jednego ciekaw — wyjąkał Chrząszcz — czy Cypek był wzmowie z Adelą i czy ona naumyślnie kazała mi trzepać dywan, żeby mogła być z tym grubasem.

— Bardzo możliwe — powiedział Gnat.

— W takim razie dałem z siebie zrobić podwójnego balona — jękał Chrząszcz.

— To jest chyba najbardziej zdumiewające — powiedział Gnat. — Miałeś przecież opinię cwaniaka...

— Tak... Bysio był znany z chytrości i nagle taki klops — Kleksik pociągnął żałośnie nosem.

— Coś musiało Bysiovi poważnie zaszkodzić — westchnął z fałszywym współczuciem Kwękacz.

— To proste! Adelowanie go zniszczyło! — pisnął Kleksik. Myśleliśmy, że Chrząszcz trzepnie go za taką mowę w ucho, a przynajmniej odetnie się dźwiękowo, tymczasem on skrzywił się tylko, bezwstydnie otarł rękawem kąt oka, a potem wyznał z rozbrajającą szczerością:

— Tak... macie rację. Adela mi zaszkodziła... Muszę się z tego otrząsnąć, inaczej koniec ze mną...

W jego głosie tyle było autentycznej rozpacz, że od razu odeszła nas ochota do żartów.

— No... no... bądź mężczyzną, nie rozklejaj się... — powiedziałem i zdjęty litością chciałem go poklepać przyjacielsko po łopatce, ale ku mojemu zdziwieniu

Gnat odepchnął mnie brutalnie.

— Rozczulił cię Bysio, co? Ale ty nie bądź taki mięczak, Tomciu! To przykre, że gruby defonsiak nabral Chrząszcza, ale osobiste rozrachunki Chrząszcza z Cypkiem ani czyjeś adelowanie nie powinny nam przesłaniać istoty rzeczy. A istota rzeczy jest taka, że Chrząszcz sprzymierzył się z defonsiakami.

— Co?! — wykrzyknął Bysio.

— Tak, Bysiu, sprzymierzyłeś się z defonsiakami i to ty właśnie wpuściłeś do szkoły ich i Rozpylacza.

— Głupie brednie! — wybelkotał Chrząszcz — po co miałbym ich wpuszczać!

— Żeby mogli wsadzić nos do naszych akt redakcyjnych w azylu i wydrzeć nam tajemnice.

— Co wy!

— Stwierdził się próbę włamania do szuflady!

— Wyraźne rysy i zadrapania koło dziurki od klucza.

— Tak jest, nie masz się co zapierać. Wpuściłeś defonsiaków — pisnął Kleksik.

- I Rozpylacza! — dodał Kękuś.
- Chrząszcz patrzył na nich przerażony.
- A... ale co by mi z tego przyszło? — wyjąkał.
- Zrobileś to z zemsty.
- Chciałeś się odegrać.
- Bo masz złość na nas, na gogów, na Bambosza!
- Na wszystkich!
- I chcesz się przenieść do defonsiaków.
- I trzymasz z nimi!
- I idziesz im na rękę!
- I gotów jesteś zrobić wszystko, żeby nas pognębić.
- Tylko tobie mogło zależeć, żeby znów była awantura!
- Chciałeś skompromitować Bambosza!
- Żeby kiero znów na niego najeżdżał.
- Żeby Bambosz obraził się ostatecznie i wyjechał do Kanady!
- To właśnie była twoja zemsta!

Tak krzyczeli jeden przez drugiego, zasypując Chrząszcza gradem oskarżeń i nie dając mu dojść do słowa. Opamiętali się dopiero, gdy zauważyli, że ludzie wyglądają z okien, a dookoła zaczyna zbierać się tłum nieletnich gapiów z pobliskich podwórek...

— Co was napadło?! — Bysio patrzył na nich jak na wariatów. — Mógłbym zrozumieć jeszcze, że moje kontakty z defonsiakami wydały się wam podejrzanym, ale posądzać mnie, że chciałem się odegrać na Bamboszu to przecież śmieszne...

- Pędził cię z boiska!
- Wszystkich pędził. Was może nie?
- My nie jesteśmy piłkarzami... nam tak to nie dopiekało. Ale ty nie miałeś gdzie grać... I nie grasz! Od tygodnia nikt cię nie widział z piłką!
- To prawda, nie mogłem grać tutaj, bo boisko zostało rozpaprane, ale kto wam powiedział, że nie gram! — mówił wzburzony Chrząszcz. — Co ja bym robił bez piłki! Jasne, że gram!

— Jak to? Gdzie?!

— Na nowym boisku. Znakomite warunki: trawka, spokój, nikt nie przeszkadza, w pobliżu kiosk z napojami gazowymi. Jeszcze nigdy się tak nie nagrałem.

A wiecie, dzięki komu?! Właśnie dzięki Bamboszowi!

- Coś ty?! — osłupieliśmy.
- Bambosz załatwił nam wstęp na pusty plac przy Grotniczej. Codziennie od czwartej do siódmej po południu. I pomógł zbudować bramki! I ja miałbym coś zrobić przeciw Bamboszowi?! Trzeba upaść na głowę, żeby mi wmawiać takie rzeczy.

— To są beczelne zgrywy! — zdenerwował się Gnat. — Bambosz miałby pomagać piłkarzom? On nienawidzi piłki! To jest kłamstwo!

— To jest prawda — oświadczył Chrząszcz. — Myślisz, że tylko wy zawarliście układ z Bamboszem? Ja zawarłem z nim pierwszy. Boja się pierwszy poznałem na Bamboszu! Zresztą jak nie wierzycie, możecie go spytać!

— Wolimy porozmawiać z tobą, skoro już mamy cię w ręku — zasapał Gnat. — Dawno już chcieliśmy cię wziąć na spytki! Wyśpiewasz nam całą prawdę. .. Wszystkie swoje grzeszki...

- Grzeszki?! Jakie grzeszki?! — wykrzyknął Bysio.
- Słuchaj, Chrząszcz — Gnat chwycił go za ramię — dość kręcenia! Chcemy wiedzieć wszystko. Karty na stół, bracie!
- No... no... Bysiu — Kleksik poklepał wzburzonego Chrząszcza po łopacie — nikt ci nie robi krzywdy, ale musisz się wypowiadać, wywnętrzyć się dokładnie.
- Tak jest. Przebaczymy ci twoje winy, ale musisz otworzyć przed kolegami swoje przyszczate serce — potwierdził Gnat.

— Nareszcie nie będziesz dwulicowy — zachęcał Kleksik — odetchniesz swobodnie pełną piersią. To ci ulży, Chrząszcz!

Bysio patrzył na nas stropiony.

— Słowo daję, chciałbym się wywnętrzyć i ulżyć sobie, ale naprawdę nie jestem dwulicowy — oświadczył z zakłopotaniem.

— Nie jesteś? — Gnat wbił w niego ciężki wzrok.

— Nie!

— Uważaj — wycedził Gnat — ja mam sposób, żeby cię zmusić do spowiedzi!

— Nie groź mi! — Chrząszcz cofnął się o krok i zacisnął pięści — ja tego potwornie nie lubię. Możesz oberwać po nosie. Nie takim dawałem wycisk...

— Nie bój się — uśmiechnął się zimno Gnat. — Nie mam zamiaru brudzić sobie pięści. Mam lepszy sposób na ciebie... Posłuchaj, jeśli nie będziesz mi uległy, ogłoszę jutro w gazecie, za co płaciłeś Cypkowi i co robiłeś na podwórzu Adeli... Felieton będzie ilustrowany. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale robiliśmy ci śliczne zdjęcia... w fartuszkach i z trzepaczką! Zdjęcia dokumentalne! Ale będzie sensacja... Buda ze śmiechu się zawali!

Chrząszcz zbladł śmiertelnie.

— Chcesz mnie szantażować?!

— Możesz to sobie tak nazwać.

— Pożałujesz gorzko... Przysięgam... Nie rób tego! Nie radzę ci. Nigdy bym ci nie darował...

— Zrobię, jeśli nie będziesz uległy... Musimy cię rozgryźć dla dobra rejtanizmu, Bambosza i całej budy... — oświadczył Gnat.

— Nie... nie... nie wierzę... nie zrobisz tego.

— Czemu nie miałbym zrobić?

— Nie jesteś takim łotrem. To byłoby najgorsze łotrostwo!

— Mylisz się. To byłby czyn konieczny i chwalebny. Cel uświęciłby środki.

— Cel nigdy nie uświęca środków!

— Zależy jaki cel i jakie środki — powiedział zdenerwowany Gnat — w tym wypadku będę bezwzględny. Gdyby chodziło tylko o nas, może miałbym skrupuły! Ale tu chodzi o Bambosza! Musisz zdjąć z niego podejrzenie! Rozumiesz?! Bambosz musi zostać!

Ku naszemu zdziwieniu Chrząszcz uśmiechnął się i mruknął.

— Głupi jesteś. Jeśli o to chodzi, to nie masz się czego bać... Bambosz zostanie.

— Co?! — wykrzyknął Gnat. — Przecież powiedział wyraźnie, że jak kierownik nie cofnie oskarżeń, wyjeżdża do Kanady!

— Nie wyjedzie! — stwierdził stanowczo Bysio.

— Dlaczego niby?

— Bo nie!

— Bo sobie tak powiedziałeś?

— To nie jest moje widzimisię. Ja wiem. Znam prawdę.

— A... mam cię! Więc jednak ukrywałeś jakieś rzeczy przed nami... — zasyczał Gnat. — Mów natychmiast, co wiesz!

— Nie powiem... nie mogę.

— Nie?

— Nie.

Gnat stracił cierpliwość.

— Dość tego... Widzę, że nie chcesz otworzyć przed nami swojego pryszcza tego serca i wolisz się bawić w tajemniczego Jamesa. No to cześć! Jutro zobaczysz swoje zdjęcie w gazecie. Idziemy pisać artykuł, chłopaki!

Ruszyliśmy w kierunku śródmieścia.

— Pożałujecie! — rzucił za nami Chrząszcz.

Nie odwróciliśmy się i maszerowaliśmy dalej. Chrząszcz walczył przez chwilę z sobą. Wreszcie krzyknął:

— **Zaczekajcie!**

**A więc jednak skapitulował. Gnat uśmiechnął się zwycięsko pod nosem i dał nam znak. Stanęliśmy.**

ROZDZIAŁ XXIV  
— NIEZWYKŁE REWELACJE CHRZĄSZCZA

Bysio podbiegł do nas sapiąc z wściekłości.

— Powiem wam, lotry... ale popamiętacie mnie jeszcze!

— Dobrze, dobrze... odgrywać się będziesz potem, a teraz mów! Wszystko coś zataił.

— Niczego nie zatailem prócz prawdy o Bamboszu — pienił się Chrząszcz.

Poczuliśmy nieokreślony niepokój.

— Prawdy o Bamboszu?

— Tak... tylko to ukrywałem i zaraz zrozumiecie dlaczego... Sami byście zrobili to na moim miejscu... łobuzy! Ja, ja wam kiedyś zapłacę za ten szantaż!

— No... no... tylko bez takich wstępów! Do rzeczy, bracie! Cóż to za prawda o Bamboszu?... — pytał zdenerwowany Gnat.

— Po prostu nie wszystko tak wygląda różowo, jak sobie wyobrażaliście...

— Nie był nurkiem? — zapytał zdławionym głosem Gnat.

Spojrzeliliśmy z niepokojem na Chrząszcza. Milczał ze spuszczoną głową.

— Przecież mówił...

Chrząszcz zaśmiał się dziwnie.

— Och, on mówił wiele pięknych rzeczy...

— Czy on... on w ogóle był ratownikiem?...

— Był kucharzem na statku ratowniczym...

— Kucharzem? — w głosie Gnata zabrzmiało rozczarowanie.

— Ale wiecie, jak jest... — mówił Chrząszcz. — Czasem jak trzeba, wszyscy stają do akcji ratowniczej, nawet kucharz... Tak, że Bambosz na pewno dużo widział i słyszał... i był w niej jednej przygodzie.

— Pewnie tam poznał Trenera — zauważył Gnat.

— Kogo?

— Nie znasz go? To jeden znajomy Bambosza.

— To było chyba dawno — powiedziałem.

— Tak... piętnaście lat temu... — odparł Chrząszcz. — Jeszcze was nie było na świecie. Potem miał wypadek i przenieśli go do służby na łądzie... Pracował w instytucie Morskim, a potem gdzieś pod Warszawą...

— Więc nie przyjechał tu z Gdyni?

— Nie. Z Lipek!

— Z Lipek? Tych koło nas?

— Tak... był tam u Łazarza...

— Gdzie?

— U Łazarza. Tak to nazywają... to taki dom starców czy emerytów... no, po prostu przytułek.

Słuchaliśmy wstrząśnięci.

— Bo kierownik tego domu był dawnym kumplem Bambosza — ciągnął Chrząszcz. — Więc jak Bambosza przenieśli na emeryturę i nie miał co z sobą zrobić, to pojechał do Łazarza do Lipek... Ale chociaż miał tam dobre warunki, nie mógł wytrzymać z nudów i postanowił podjąć jakąkolwiek pracę... No i zgodził się na woźnego. Najpierw w instytucie leków, gdzie poznał Pelmana. Potem musiał odejść...

— Dlaczego musiał?

— Pelman miał wypadek. Zniszczone zostało laboratorium. Oskarżono Bambosza, że pomagał Pelmanowi w ryzykownych eksperymentach...

— Naprawdę pomagał?

— Tak. Inna rzecz, że miał dosyć już tego wszystkiego i kazał Pelmanowi przyrzec, że nie będzie się więcej bawił w te eksperymenty.

— Więc dlatego tak się złościł, jak Pelman wrócił do tych doświadczeń i robił różne rzeczy w pracowni szkolnej — pokiwał głową Maciek Kwękacz i przypomniał, jak to Bambosz bił Pelmana.

— To nie było tak... — pokręcił głową Chrząszcz. — Bambosz wcale go nie bił, tylko Pelman miał wtedy wypadek, była mała eksplozja w pracowni i Pelman upadł, a Bambosz przybiegł go ratować i był wściekły, że Pelman znów się bawi w te rzeczy. Ale oni naprawdę się przyjaźnią ze sobą. I chociaż niby zupełnie różni, to mają przecież jedną cechę wspólną.

— Są stuknięci? — zapytał ostrożnie Kleksik.

— W pewnym sensie. Ale dobrym. Kochają robić niezwykle rzeczy i osiągać niezwykle wyniki. Chyba wiecie.

— Tak, wiemy.

— Poznali się na bazie maksymalizmu.

— A ten Pakosz? — wtrąciłem. — Może słyszałeś o nim?

— To stara historia — odparł Chrząszcz. — Pakosz to dawny kolega Pelmana, został producentem lakierów i od lat zabiega, żeby Pelman pracował dla niego. Chciał skłonić Oberona, żeby mu „odsprzedał” Pelmana.

— Więc zgadliśmy! — rzekł z satysfakcją Zyzio. — A wracając do Bambosza, to my od początku wiedzieliśmy, że Bambosz to maksymalista.

— Z maksymalistami nikt nie ma łatwego życia i oni nie mają — ciągnął Chrząszcz. — Dlatego nie bójcie się, że odejdzie stąd łatwo... Bo niby dokąd? Musiałby wrócić do Łazarza... ale to mu się wcale nie uśmiecha.

— Co ty z tym Łazarzem! — zmarszczył brwi Gnat. — Przecież Bambosz mówił, że wyjedzie do Kanady... Chcesz powiedzieć, że... i z tą Kanadą...

— Nikt tam na niego nie czeka — mruknął Chrząszcz.

— To znaczy, że jego syn...

— Który syn? On ma dwu synów. Do jednego chciałby pojechać, bo to niby wielki podróżnik, a od drugiego ucieka, bo to kryminalista. Już trzeci raz był w więzieniu. Teraz znów coś podobno kombinuje, chce od ojca wyciągnąć trochę forsy pod pretekstem, że zakłada do spółki z kolegami warsztat samochodowy. Ale i ten Mariusz i Fredek to typy spod ciemnej gwiazdy, nie rzemieślnicy.

— Więc Mariusz i Fredek to koledzy jego syna?

— Poznaliście ich?

— Nie... tylko słyszeliśmy, jak Bambosz z nimi rozmawiał. A co z tym lepszym synem?

— Już chyba od dziesięciu lat nie ma od niego żadnych wiadomości! Ani od niego, ani od nikogo o nim...

— Umarł?! Zaginął?!

— Nie wiadomo. Po prostu przepadł bez śladu.

— Czy można tak po prostu przepaść bez śladu? — wtrąciłem.

— Można — odparł Chrząszcz — jeśli się jest trappem takim jak ten Kazik.

— Trappem?...

— Tak tam nazywają w Ameryce włóczkę bez domu, bez stałego zajęcia. Bambosz wam tego nie mówił?

— Bambosz mówił, że jego syn zrobił karierę w Kanadzie — powiedziałem.

— Na skórach i futrach — dodał Kleksik.

— I że był sławnym traperem na północy...

— Koło jeziora Athabaska.

— Nie, między jeziorem Athabaska a Wielkim Jeziorem Niewolniczym.

Wspomnienie pięknych jezior o tajemniczych, podniecających nazwach rozpałiło od razu naszą wyobraźnię. Przed oczyma stanęły nam barwne opowiadania Bambosza. Krzycząc jeden przez drugiego wyrzuciliśmy z siebie wszystko, co zapamiętaliśmy...

- Tam są jodły balsamiczne!
- I występuje karibu...
- I jeleni wapiti...
- I niedźwiedzie.
- I można polować na zwierzęta futerkowe.
- Kazik właśnie polował...
- Na bobry i borsuki.
- Na kuny, gronostaje i wydry...
- I na śmierdziele — dokończył Gnat. — On upolował największego śmierdziela

w Ameryce, po wojnie!

— To niezupełnie ściśle — powiedział Chrząszcz. — Wprawdzie Kazik próbował kiedyś traperstwa, jak zresztą wielu innych zajęć, ale nie zrobił żadnej kariery i naprawdę to on był tylko nędznym trampem... rozumiecie... nędznym trampem, wykolejonym facetem...

— I sądzisz, że nie upolował tego śmierdziela?

— Nic o tym nie wiadomo — odparł ponuro Chrząszcz — natomiast pewne jest, że dużo pił i miał jakieś zatargi z prawem. W każdym razie Bambosz już dawno nie mógł na niego liczyć.

Sluchaliśmy oszołomieni, wciąż jeszcze nie dowierzając.

— E, co ty gadasz — spróbował roześmiać się Gnat — przyznaj się, wysłałeś wszystko z palca?... Bo niby skąd mogłeś mieć takie wiadomości... takie dokładne w dodatku...

— Od stryjka Franciszka — odparł spokojnie Chrząszcz — Bo kierownik u Łazarza... to właśnie mój stryjek... a Bambosz nie ma przed nim tajemnic. Stryjek zna go jeszcze z czasów przedwojennych. Służyli razem w wojsku... w marynarce wojennej... a potem byli w niewoli niemieckiej w tym samym obozie i razem pracowali u tego samego bauera i zaprzyjaźnili się... Bo stryjek Franciszek tak samo jak Bambosz był optymalistą i maksymalistą. Chyba wiecie, o co chodzi...

— Tak...

— No więc właśnie na bazie optymalizmu i maksymalizmu zaprzyjaźnili się, a także na bazie badylaryzmu pospolitego, bo obaj mieli zamiłowania ogrodnicze.

— Nic nie rozumiem — wyznał zdumiony Gnat — mówisz, że Bambosz nie ma żadnych wiadomości od syna, a przecież te listy...

— Właśnie! — wtrącił Kleksik — przecież widzieliśmy te listy z Kanady.

— I znaczki...

— Bambosz dawał nam stale kanadyjskie znaczki.

Chrząszcz wzruszył ramionami.

— Widzieliście koperty, nie listy. W dodatku nie widzieliście ich z bliska. Gdybyście widzieli je z bliska, od razu byście zrozumieli, że to są pisma urzędowe.

— Urzędowe?!

— Tak. Z kanadyjskiego Czerwonego Krzyża i z różnych kanadyjskich biur...

Odpowiedzi w sprawie zaginionego syna... Bo Bambosz ciągle go jeszcze poszukuje na wszystkie sposoby... ale od wielu lat otrzymuje wciąż takie same odpowiedzi: „nieznany”, albo „nie wiemy, co się z nim stało”. Możecie zresztą sami sprawdzić, jak nie wierzycie i obejrzeć sobie te listy...

— Jak to? W jaki sposób!

— Są łatwo dostępne... — uśmiechnął się kwaśno Chrząszcz — jak wiecie, chutor jest potwornie nieszczelny i wiatrem podszyty, więc jak Bamboszowi dokuczyło zimno, to zaczął utykać szpary czym się tylko dało, starymi gazetami i szpargałami... a także tymi listami z Kanady, których ma już całe stosy... Najwięcej znajdziecie ich pod futryną okienną...

Spojrzeliliśmy po sobie z niedowierzaniem.

— Utyka szpary korespondencją?! To niemożliwe! — powiedział zgryźliwie Kękuś. — O ile go znam, to raczej sprzedałby ją na makulaturę.

— Tak, to by do niego pasowało — zgodził się Gnat.

— Nie... tym razem względy doraźne przeważały — powiedział Chrząszcz — Bambosz bał się, że go zawieje... I niezależnie od napchania sobie uszu watą poutykał także te szpary...

— Sprawdzimy na miejscu wartość tych informacji — zdecydował Gnat — zaraz zrobimy wizję lokalną chutoru!

— Cześć! — Chrząszcz chciał od razu wybyć.

— Dokąd? — zatrzymał go Gnat. — Pójdiesz z nami!

— Po co? Nie jestem wam już chyba potrzebny. Powiedziałem wszystko, co wiem, jasno i dokładnie.

— Zbyt dokładnie i składnie... — zamruczał ponuro Gnat. — Kto cię tam wie! Puścimy cię, a ty będziesz pękał ze śmiechu, żeś zrobił z nas balona...

— Słowo daję, wszystko prawda! Puść mnie!

— Gdzie ci tak spieszo?!

— Do licha, głodny jestem. Nie jadłem nic od rana.

— Nie lżyj — powiedział Kleksik — jadłeś obiad w szkole!

— Obiad w szkole? — Chrząszcz zaśmiał się szyderczo. — Panowie, żartujecie chyba... Te popłuczki i wyskrobki, którymi nas karmią w stołówce, znieważają tylko mój żołądek. Rozdrażniają mnie i tylko wyostrzają mój apetyt. Normalnie zjadam drugi obiad w domu... Podwójna porcja, pół kilo mięsa w bukacie jarzyn, galarety, budynie, ciasta, pijam po szwedzku litrem surowego mleka. Panowie, bądźcie ludźmi! To nieładnie znęcać się tak nad kolegą!...

— Wytrzymasz jeszcze pół godziny! A teraz pójdiesz z nami!

— Uprzedzam, że zasłabnę... albo wpadnę w szal głodowy — zagroził

Chrząszcz. — Przez to przekłete trzepanie straciłem dodatkowo dwa tysiące kalorii. .. I przez niewierność Adeli... — dodał po chwili ponuro.

Gnat pokiwał głową ze zrozumieniem i powiedział:

— Dajcie mu mniam-mniam. Adelowanie jest rzeczywiście wyczerpujące, a ponadto chłopak przeżywał nerwowe wstrząsy extra.

— Dać mu uspokajacza p.d. czy miętusa pospolitego? — zapytał Kwękacz.

— Daj mu uspokajacza p.d., dobrze mu zrobi.

Kwękacz sięgnął do jednej ze swych przepastnych kieszeni i wyciągnął garść pestek dyni. Chrząszcz porwał je ochoczo i zaczął łuskać z wprawą rutynowanego gryzonia i zajadać z ogromnym apetytem. Patrzyliśmy na niego w milczeniu i doszliśmy do wniosku, że my też potrzebujemy uspokajacza.

Dzień dzisiejszy nie oszczędził nam niezdrowych wzruszeń i przykrych problemów, a ponure rewelacje dotyczące Bambosza zachwiały naszą młodzieńczo chwiejną równowagę psychiczną.

Nadstawiliśmy więc łapy i Kwękacz nasypał nam po porcji uspokajacza... Dyskusja natychmiast ucichła. W milczeniu ruszyliśmy w kierunku szkoły. Przez całą drogę słychać było tylko nieco nerwowo przyśpieszony chrzęst lupanych p.d., a kiedy przybyliśmy na teren chutoru, byliśmy już zupełnie uspokojeni.

Zatrzymaliśmy się w bezpiecznej odległości od siedliska Bambosza, w sadzie południowym.

— Trzeba sprawdzić, czy Bambosz jest w chacie — powiedział Gnat. — Nie powinien wiedzieć, że zaglądamy mu w szpary! Nasze niewinne czynności mogłyby wzbudzić jego niepokój!

— Tak jest, trzeba sprawdzić — pisnął Kleksik.

— I ewentualnie wywabić go z chutoru — dodałem. — Przynajmniej przez pięć minut musimy mieć pole operacyjne czyste!

— Kleksik, ty się tym zajmiesz — zdecydował Gnat. — Jeśli Bambosz będzie, powiesz mu, że chcemy pracować w ogrodzie północnym i prosimy o wydanie sprzętu... W ten sposób odciągniemy Bambosza aż za szkołę...

— To zbędne — przerwał Chrząszcz, strzykając luskami pestek — Bambosza nie ma w chacie.

— Skąd wiesz?

Chrząszcz wypluł niedbale ostatnią łuskę, otarł usta chusteczką i powiedział.

— Nie ma go, bo zdjął sztandary!

— Sztandary?!

Chrząszcz uśmiechnął się krzywo.

— Nie wiecie, że Bambosz to czyścioszek? Stale coś pierze i wieszka na drążku nad drzwiami, żeby przeszło... Tak, że zawsze łopoczą tam jakieś sztandary.

— Zawsze? Nie zauważyłem — mruknął Gnat.

— To sprawdzone! — zapewnił Chrząszcz. — Oczywiście te sztandary wiszą, jeśli Bambosz jest w chacie. Bo jeśli wychodzi z chaty, choćby na krótko, to je zdejmuje i chowa. Przestrzega ściśle tej zasady, odkąd ktoś gwizdnął mu mokre skarpetki z drążka.

Spojrzelśmy na Chrząszcza z uznaniem. Zdolny ten Bysio! Bardziej bystry, niż na to wygląda. Jeśli nie zelgał z tymi listami, to trzeba będzie zrewidować opinię o Bysiu!

Podeszliśmy pod chutor. Istotnie, w szparach pod futryną tkwiły jakieś papierowe zwitki, pełniące rolę uszczelek. Chrząszcz wydlubał jeden z nich, rozwinął, rozprostował starannie i podetkał go Gnatowi pod nos.

— No i co? Miałem rację? — zapytał zgryźliwie. — To list czy nie list?

— List — odparł Gnat z dość kwaśną miną.

— A na nim znaczek kanadyjski — pokazywał Chrząszcz. — Zgadza się? I przeczytajcie ten nadruk na kopercie!

— „Canadian Red Cross Society” — przesyłabizował Kleksik.

— No właśnie. To znaczy Stowarzyszenie Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża. Znajdziecie tam jeszcze inne, z różnych kanadyjskich urzędów, a także z polskiego konsulatu i od Związku Polaków w Kanadzie, ale ani jednego od syna Bambosza... Wszystko jak mówilem...

Staliśmy oniemiaли. Tym razem naprawdę zaskoczył nas Bysio! Wiedział znacznie więcej, niż mocna było przypuszczać... Bezsprzecznie był najlepiej poinformowanym człowiekiem w budzie. Szkoda gadać! Pod tym względem zakasował nawet naszą redakcję! Patrzyliśmy na siebie zmieszani. Trudno zaprzeczyć. Runda dla Chrząszcza. Przegraliśmy do zera. Łyso! Te słowa, które nie powinny były paść, te podejrzenia, groźby, szantaże! Akcja ta nie była dobrze przygotowana. Daliśmy się ponieść nerwom. Znów to samo co zawsze. A tak marzyliśmy, by wszystko rozstrzygać z zimną krwią i z matematyczną kalkulacją! Ciekawe, jak Gnat teraz to wszystko wykreści, żeby zachować twarz.

Zrobił uroczystą minę.

— No, cóż, przepraszamy cię za ten... sondaż — walnął Chrząszcza w plecy. — Byłeś po prostu sondowany. Chyba domyśliłeś się?

Chrząszcz spojrzał na nas ponuro.

— Nie. Nie domyśliłem się — powiedział.

— Naprawdę?

— Widocznie robiliście to zbyt sprawnie... — otarł zmęczonym ruchem czoło. — Nie wiedziałem, że jesteście tak dobrymi aktorami! — w jego głosie zabrzmiała gorzka ironia. — Pójdę już.

— Nie! Zostań — powiedział Gnat. — Mamy jeszcze na deser pasztet dla ciebie.

— Pasztet?

— Dajcie mu najpierw uspokajacza p.d. — powiedział Gnat — inaczej nie strawi pasztetu!

— Obejdzie się — powiedział chłodno Chrząszcz — nie będę jadł! Idę.

— Nie chcesz wiedzieć, po co to wszystko robiliśmy z tobą? — Gnat oglądał sobie paznokcie. — Sprawdzaliśmy cię, bo czeka cię przykra niespodzianka w szkole. Nie... nie to co myślisz... Czekają cię nominacje.

Chrząszcz milczał.

— Zły jesteś na nas. Nie szkodzi. Jeszcze będziemy dobrymi kolesiami — uśmiechnął się Gnat.

— Nie będę nigdy waszym kolesiem.

— Jak chcesz. Może zmienisz zdanie. Powiem ci tylko na zakończenie, że mam złe nowiny. I to dotyczy przede wszystkim ciebie — Gnat zrobił tragiczną minę — teraz możesz iść...

Chrząszcz wciąż stał w miejscu. Trujące ziarno niepewności było zasiane. Patrzył na nas podejrzliwie.

— Boisz się? Powiedziałem, że możesz odejść. Wciąż nam nie ufasz? — westchnął Gnat.

— Dlaczego miałbym wam ufać?

Zapanowało przykre milczenie.

— Dobrze, porozmawiajmy, ale nie tutaj. Mam spotkanie. Jestem umówiony z chłopakami w szklarni przy naszej budzie. Możemy porozmawiać w szklarni.

— Dobra, idziemy — powiedział Gnat.

Parę minut później byliśmy na miejscu. Chrząszcz pchnął drzwi szklarni. Uderzyła w nas ciężka parna atmosfera nasycona gnilnymi zapachami ziemi i wyziewami roślin. Czuć było jakby skopolaminę w powietrzu.

— To od pomidorów — mruknął Gnat.

Zza rzędu bujnie rosnących krzaków zobaczyliśmy znane nam z widzenia sylwetki piłkarzy. Siedzieli na krawędzi obmurowanej grzędy i przeglądali tabele wyników sportowych, zapewne wycięte z gazet.

— Teraz możecie mówić — powiedział do nas Chrząszcz.

— No więc fatalne wieści — zaczął Gnat. — Założono u nas Straż Porządkową.

— Co to takiego? — zapytał Chrząszcz.

— Wyjaśnij mu, Tomciu.

Wyjaśniłem.

Chrząszcz i piłkarze spojrzeli po sobie niespokojnie.

— Tak, zupełnie fatalnie — powtórzył Gnat — ale to jeszcze nie wszystko. Mamy wiadomość z ostatniej chwili zgola tragiczną. Ty zostałeś mianowany komendantem tej Straży, Chrząszcz!

— Ja?! — przeraził się.

— Jutro rano masz się zgłosić do Oberona.

— Ale dlaczego ja? — zapytał z nieszczęśliwą miną.

— Nie wiem... Pewnie dlatego, że Bambosz cię ostatnio polubił. No i masz kredyt u Oberona. A my już jesteśmy spaleni...

ROZDZIAŁ XXV  
— BAMBOSZ ZNIKA Z POLA WIDZENIA

To się zdarzyło w piątek. Miała być właśnie lekcja z panią Czupurską, ale pani Czupurska nie przyszła, bo musiała wziąć udział w konferencji przedwyborczej; więc Oberon powiedział: „róbcie, co chcecie przez tę godzinę, ale ja znam waszą dojrzałość i nie będę zdziwiony, jak przez ten czas zajmiecie się uczniami z klas drugich, bo pani Mądraszko jest na zwolnieniu z powodu lumbago”.

Tak właśnie jest z Oberonem. To jego styl. Niby niczego nie narzuca i zostawia wolność, ale nie będzie zdziwiony, jeśli... i tak dalej... Sprytnie, szkoda gadać, człowiek potem czuje się od razu głupio zobowiązany... zwłaszcza, że Oberon zawsze zasuwa z tą dojrzałością...

No więc i tego dnia, gdy tylko tak przemówił, stało się jasne, że będzie smutno, że z wolnej godziny nici i że zostaliśmy stylowo załatwieni. Oczywiście z miejsca szmer się podniósł. Wtedy wstał Pulpaszyniec z paczki Chrząszcz i powiedział:

— Wcale nie musi być smutno. To kwestia organizacji. Trzeba tylko zagnać fąfli do roboty, a my będziemy zgodnie z planem na słoneczku.

— Co takie fąfle mogą robić? — zastanawiał się głośno Chrząszcz.

— Praktycznie wszystko, jak nimi pokieruje koleżanka Przypora — uśmiechnął się Pulpaszyniec. — Najlepiej urządzić im kurs pierwszej pomocy w ramach szkolenia PCK, a reszta niech czyści stoliki...

— Zajmiesz się tym — powiedział Chrząszcz do Brunhildy Przypory — ty i twoje dziewczęta...

— My? Dlaczego my? — oburzyła się Przypora.

— Bo ja wam zlecam!

— A wy? Co wy będziecie robić?

— Będziemy ryć!

— Ryć?

— W ziemi. Zgodnie z planem.

— Będziemy kopać dolki pod drzewa i krzewy — dodał Pulpaszyniec — będziemy ziemię czyścić z gruzu.

— Cały czas? — zapytała Przypora nieufnie.

— Cały czas, uczciwie — powiedział Pulpaszyniec.

— Ty też będziesz rył, Pulpa?

— Jasne.

— Już ja cię widzę ryjącego!

— Zobaczysz. Oko ci wyjdzie ze zdumienia...

— Zwał na nas te bachory i dadzą nogę — wyraziła swoje niepokoje Ela.

— Na pewno dadzą nogę — zgodziła się Przypora.

— No to ja się z wami założę — powiedział Chrząszcz — założę się z wami, że będą kopać aż do siódmych potów.

— Dlaczego?

— Bo są... jakby ci to powiedzieć... — Chrząszcz urwał i oglądał sobie z zagadkowym uśmiechem paznokcie — są zainteresowani tym kopaniem.

— Pulpa też?

— O, Pulpa chyba najwięcej.

— Co ty wygadujesz... niby skąd takie zainteresowanie?

— Dużo jeszcze rzeczy nie rozumiesz w szkole, Bruniu, chociaż zdaje ci się, że jesteś bardzo mądra...

— No to powiedz!

Ale Chrząszcz potrząsnął głową.

— Nie musisz zaraz wszystkiego wiedzieć... Ale jak chcesz, mogę skierować Pulpę do fafli, a wy będziecie ryc zamiast niego.

— O rany — przestraszył się Pulpaszyniec — nie zrobisz tego.

— Zrobię — powiedział Chrząszcz. — No więc co wolicie? — zapytał Brunię i Elę.

— Wolimy z dziećmi — odpowiedziały.

— No to jazda! — zatarł ręce zadowolony Chrząszcz i wybiegł ze swoimi ludźmi z klasy.

Odprowadziliśmy go niespokojnym wzrokiem.

— Chrząszcz coś knuje — mruknął Zyzio.

— Skąd u nich taki zapal do roboty? — zmarszczył brwi Kwękacz. — Nigdy nie uwierzę, że taki Pulpa rwie się do rycia...

— Trzeba ich mieć na oku — powiedział Zyzio.

— Ich i Bambosza — przypomniał Kleksik.

— Idziemy — skinął na nas Zyzio. — Na nas też czas!

— Co będziemy robić?

— Układać płyty chodnikowe. Od chutoru do szkoły.

— Dlaczego akurat płyty? — skrzywił się Kwękacz. — Płyty diabło ciężkie.

— Ale za to będziemy w samym środku terenu... Będziemy widzieć wszystko.

— I kontrolować sytuację! — pisnął Kleksik.

— Otóż to! — powiedział zamyślony Gnat.

Kontrolowaliśmy sytuację w pocie czoła przez całe pół godziny. Na razie nic jeszcze nie zwiastowało dramatycznych wydarzeń, które miały nastąpić niebawem. Słonko błyszczało na prawie bezchmurnym niebie wesoło, ciepło, chciałoby się rzec: optymistycznie. Z daleka dochodziło swojskie ujadanie Rozpylacza i nie mniej sympatyczne terkotanie spychacza, który równał teren z drugiej strony szkoły za nowo wzniesionym gmachem B. Bliżej, z otwartych okien Operetki na pierwszym piętrze sączyły się słodkie łkania skrzypiec pana Rosińskiego, który prowadził właśnie lekcję umuzykalniania. W sąsiednich oknach natomiast co pewien czas pojawiały się łebki nieszczęsnych drugoklasistów, lecz zaraz znikały odciągane brutalnie przez nasze dziewczyny ze Straży. Niekiedy w powietrzu zabłyszczał papierowy gołąb albo strzały wypuszczone przez jakiegoś fafla. Jednym słowem wszystko było w najlepszej normie. Nawet te wrzaski... Trzeba przyznać, że ci malcy nie żalowali gardła. Wrzeszczeli jak obdzierani ze skóry. Zapewne te czupiradła Brunhildy zbyt intensywnie wdrażały ich do prac porządkowych... Ale nawet te wrzaski działały na nas kojąco, powiedziałbym — nasen-nie. Były swojskie, świadczyły, że życie szkolne toczy się zwykłym, bezpiecznym torem.

Dopiero, gdy przenieśliśmy wzrok na obrzeża nowego boiska, tam gdzie Chrząszcz i jego chłopcy sprząтали gruz i kopali doły pod drzewa, nasz spokój pryskał i znów ogarniało lekkie zdenerwowanie... To bowiem, co robili chłopcy Chrząszcza, nie było w żaden sposób ani zwykle, ani normalne. Już to, że machali łopatami, mogło zadziwić każdego, kto ich znał. Ale w najwyższym stopniu „był niepokojący sposób, w jaki to robili. Kopali bowiem z niezrozumiałym, podejrzanym, chciałoby się rzec, zapalem, w milczeniu, w skupieniu, zawzięcie, by nie powiedzieć — zachłannie.

— Co im się stało — zamruczał Kwękacz opierając się na łopacie — wciąż myślę, co im się stało? Aż przykro patrzeć...

— Przykro? Skądże znowu — wycedził Gnat żując gumę — dla mnie to duża frajda widzieć Chrząszcza przy pracach społecznych.

— Uważasz to za normalne? — zapytałem.

— Co?

— Że tak kopią. Naprawdę to cię nie dziwi?

— No jasne, że mnie dziwi — Gnat wypluł gumę — byłem przekonany, że knują jakiś skok i chcą wykiwać dziewczyny... A oni kopią... Naprawdę kopią!

— Ale jak kopią! Przyjrzyj im się dokładnie!

— Kopią jak szatany — powiedział Gnat.

— Właśnie. Ale dlaczego? — zapytałem. — Skąd u nich nagle taki napęd?

— Można by pomyśleć, że wszyscy oszaleli — zapiszczał Kleksik.

— My najbardziej — stwierdził ponuro Kwękacz, wyciągnął z kieszeni bulkę z salcesonem i zaczął zajadać powoli. — Tamtych Chrząszcz mógł czymś podbechtać, ale co mnie skusiło, żeby tak tyrać... to obłąd. Już trzeci dzień tu tyram i co z tego mam?

— Jak to co? Poprawił ci się apetyt!

— Wolalbym, żeby tobie poprawił się dowcip — zasapał Kękuś — ja mówię poważnie, panowie... to wszystko nie ma sensu. Marnujemy talent i siły...

— Cicho bądź, nie szemrz — zgasilem go — chyba wiesz, co robimy. Osaczamy Bambosza.

— Osaczamy?! — Kwękacz omal nie zakrztusił się salcesonem. — To był pomysł do bani! Ja nie widzę wyników.

— Wyniki są. Ułożyłeś dziesięć metrów chodnika.

— Gnat, powiedz mu coś — zdenerwował się Kwękacz — on się umyślnie drażni ze mną... Zobaczysz, Tomciu, że cię strzele. I to nawet od razu. Nie będę odkładał na potem... — natarł na mnie ze złością.

Na szczęście w tym momencie wyrósł przed nami Chrząszcz.

— Szukam Bambosza — zadyszał — nigdzie go nie ma... Nie wiecie, gdzie może być?

Gnat udął obojętność.

— My nie mamy styku z Bamboszem — powiedział. — On nas nie lubi.

— Muszę go znaleźć, bo robota stanie.

— A to czemu ma stanąć?

— Potrzebujemy taczek do wywiezienia gruzu — oświadczył Chrząszcz — jak nie wywieziemy, to znów wszystko będzie rozgrzebane... I musimy mieć te sadzonki... Nie możemy tak zostawić dołów, bo ludzie popadają... Trzeba sadzić drzewka i zaraz zasypywać... Ale drzewka są zamknięte w szklarni. I taczki też. Bambosz zamknął wszystko i ulotnił się na cały dzień...

— Przejmujesz się? — zapytałem.

— Jasne. Bardzo nie lubię, jak praca idzie na marne. Nie po to tak tyraliśmy...

— Już ty nie wmawiaj, że tyraliście dla tych drzewek — powiedział Gnat — mieliście inny powód.

Myśleliśmy, że Chrząszcz będzie się wypierał i wstawiał kity, ale on przyznał od razu.

— To fakt — mrugnął okiem — tyraliśmy nie tylko z powodu tych drzewek...

Jest jeszcze drugi powód...

— Jaki?

— Ech, wy, redakcja! Naprawdę nie wiecie?

— Nie.

Chrząszcz zaśmiał się.

— Myślałem, że jesteście bardziej domyślni. Znaczący, że wiecie tyle, co Brunhilda Przypora.

— Mów, do licha, nie znęcaj się... Powiedz, jaki mieliście powód!

— Mogą być różne powody... — Chrząszcz przymrużył oczy — na przykład... .. na przykład ciekawość.

— Ciekawość?

— Myślicie, że to nie jest wystarczający powód? — Chrząszcz patrzył na nas z uśmiechem. Bawił się wyraźnie naszą niewiedzą. — Z ciekawości można robić różne rzeczy, nawet bardzo dziwne, na przykład uczyć się z zapalem albo wspinać na najwyższe góry, albo urządzać najbardziej trudne wyprawy... a także można ryć w ziemi albo wsadzać nos w nie swoje sprawy — splunął łuską pestki prosto w nogi Gnata. — Wsadzać nos w nie swoje sprawy — powtórzył z beczelnym uśmiechem — jak wy w sprawy woźnego.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał zaczepnie oburzony Zyzio, ale

Chrząszcz już odpłynął bez słowa.

— Za dużo sobie pozwala, lobuz! — zauważył zdenerwowany Zyzio.

— Bo za dużo wie — powiedziałem.

— Co on miał na myśli, kiedy mówił o ciekawości kopaczy?... — pociągnął nosem Kleksik wybitnie zaaferowany.

— Ja już się domyśliłem — odrzekł Gnat. — To proste. Czy pamiętasz tych kopaczy, których przepędziliśmy parę dni temu?

— Jasne. I co z tego?

— Oni też musieli kopać z ciekawości, a przypuszczam, że i z... chciwości.

— Z chciwości? — zapiszczał Kleksik zaskoczony. — Nie myślisz chyba poważnie, że w tym miejscu...

— Owszem, myślę sobie o awaramisach, ale to niekoniecznie muszą być awaramisy. Tu mogą być zakopane albo zasypane także inne cenne rzeczy. Pamiętajcie, że tu stały zbombardowane domy i różne rudery, które rozwalono, jak przygotowywano teren pod nowy budynek szkolny. Tu stał także dom archiwariusza i jego sklep. Już wam mówiłem. Stale pamiętajcie o tym.

— Do licha, myślisz, że Bambosz może być zamieszany w te wykopki? — zapytał Kwękacz.

— Bardzo możliwe.

— On kopał tu pierwszy. Jeszcze w marcu...

— Boję się, że dzisiaj pokpiłiśmy sprawę.

— Dlaczego?

— Zagabiliśmy się, panowie... i straciliśmy Bambosza z pola widzenia...

— Za dobrze ci się pracowało — zasapał Kwękacz.

— Tobie też!

— Na pewno przez ten czas stało się coś ważnego.

— Na dobrą sprawę nikt z nas dzisiaj nie widział jeszcze Bambosza.

— Mógł się ulotnić jeszcze w nocy!

— Bez paniki! Skoro otworzył szkołę i wypuścił Rozpylacza, to znaczy, że był tu rano...

— Mógł wyjść do miasta załatwić jakieś sprawy...

— On załatwia dostawy do stołówki. Dwa razy w tygodniu wychodzi wczesnie rano do Zakładów Mięsnych...

— To łatwo sprawdzić — uciął Gnat — zajrzemy do kancelarii. Może Nadob na Gazela będzie coś o nim wiedziała.

Rzuciliśmy grabie i łopaty. W chwilę później byliśmy już pod kancelarią szkolną.

— Idź, zapytaj — wypchnął mnie Gnat.

Wszedłem. Pani Szykowska grzebała w papierach na biurku i w szufladach. Wyglądała na nieco zdenerwowaną.

— Dzień dobry — bąknąłem.

— Dzień dobry. Czego chcesz?

— Szukamy pana woźnego, bo potrzebne są taczki.

— Wy także? Już tu przychodził Chrząszcz.

— Bo potrzebne są taczki i sadzonki... inaczej robota stanie. A pan woźny zamknął i ulotnił się.

— Tutaj go nie ma — powiedziała pani Szykowska — sama chciałabym z nim porozmawiać, bo ktoś mi przewracał w szufladach...

— Może pan Macoch miał coś załatwić w mieście? — zapytałem.

— Miał załatwić dostawy z Zakładów Mięsnych, ale już dawno powinien wrócić.

Na dziesiątą zamówił rozmowę telefoniczną z synem...

— Tym z Kanady? — zapytałem niewinnie.

— Nie. Z tym z Baranowa.

— Może go coś zatrzymało... wie pani, jak z tym mięsem...

— Zadzwońliby, jakby miał trudności. Cokolwiek można by powiedzieć o panu Macochu, jest punktualny i obowiązkowy... Na pewno już wrócił.

— No to musiałaby pani go widzieć, jak rozmawiał przez telefon. Telefon jest w kancelarii.

— O dziesiątej nie było mnie tutaj... Pomagałam rozlokować się nowej pani doktor... w gabinecie lekarskim. Już wiem! — ożywiła się nagle. — Pan Macoch na pewno jest w piwnicy albo w magazynie. Spodziewamy się inspekcji sanitarnej i na pewno robi tam porządek...

— Zobaczę — chciałem się rzucić do drzwi, ale powstrzymała mnie.

— Poczekaj tutaj... Lepiej zajrzę sama, jak przebiegają prace porządkowe i czy jeszcze jest ten zapach w kuchni...

Zamknęła na klucz biurko i wybiegła.

W chwilę później do kancelarii wtaszczył się zaaferowany Oberon.

— Co się tu dzisiaj dzieje... wszyscy gdzieś poznikali — zasapał. — Gdzie jest pani Szyjkowska?

— Pani Szyjkowska właśnie poszła szukać pana woźnego.

Oberon pokręcił głową i ruszył w stronę gabinetu, ale w tym właśnie momencie do kancelarii wbiegł pan Pelman w rozchełstanym fartuchu i z bardziej nieszczęśliwą miną niż zwykle.

— Panie dyrektorze, chwileczkę.

Oberon zatrzymał się i spojrzał ze wstrętem na Pelmana.

— Co się znów stało?

— Chciałbym prosić o pozwolenie nocowania w pracowni przez kilka dni... Przykro mi, ale nie widzę innego wyjścia...

— Pan ma przecież przydzielony pokój na poddaszu — zauważył Oberon.

— Tak... ale nie mogę sypiać w tym pokoju... Już wyjaśniałem panu dyrektorowi... moje nerwy...

— Czy był pan u lekarza?

— Tak... niestety... obawiam się, że... — Pelman rozłożył żałośnie swe pałukowate ręce.

— Zaraz... porozmawiamy w gabinecie — powiedział Oberon i chciał otworzyć drzwi do swojego pokoju, ale okazały się zamknięte na klucz.

— Co tu się dziś wyrabia?... Przepraszam pana... ale pani Szyjkowska zamknęła mi gabinet i wyszła... Myślę, że zaraz wróci... Tymczasem niech pan siada tutaj — zdenerwowany Oberon wskazał miejsce Pelmanowi przy niskim stolczku w kancelarii. — A więc był pan u doktora Zemły?

— Tak, panie dyrektorze.

— I opisał pan te... te swoje objawy?...

— Tak. Tak jest...

— I co doktor Zemła?

— Przepisał mi zimne natryski i pastylki.

— To dobrze, że jest pan leczony... — odetchnął nieco Oberon — No i cóż?

Polepszyło się?

— Nie... niezupełnie.

— Miał pan znów te omamy... to znaczy przywidzenia?

Pan Pelman poruszył się niespokojnie.

— Nie chciałbym tego tak określać...

— A więc, czy zauważył pan w swoim pokoju... coś... niezwykłego?

— Niestety tak.

— Co mianowicie?

— Czarną rękę — odparł Pelman.

- Pan żartuje.
- Nie. Pojawiła się czarna ręka na ścianie.
- Panie kolego — Oberon spojrział na Pelmana z dużą troską — czy pan nie zdaje sobie sprawy, że to brzmi trochę niepoważnie, rzekłbym, dziecinnie?
- Zdaję sobie — wymamrotał Pelman z bardzo nieszczęśliwą miną — ale to jest fakt. Pan dyrektor sam może zobaczyć. Jest odcisk czarnej ręki na kremowej tapecie... wszystkie palce! To jego ręka! Był znowu w moim pokoju.
- Jest pan pewien, że wczoraj nie było tego odcisku?
- Jestem zupełnie pewien, panie dyrektorze.
- Czy pokój zamyka pan na klucz?
- Oczywiście... i zawsze sprawdzam dwa razy, czy dobrze zamknąłem: Okno też... ale on i tak wchodzi...
- Kto, u licha?!
- Ten mały... co zostawił odcisk ręki... Ale to jeszcze nie wszystko!
- Nie wszystko?!
- On przestawił moje łóżko.
- Na drugą stronę pokoju?
- Nie wiem... To wyglądało, jakby łóżko było odsunięte od ściany, a potem przysunięte z powrotem, ale niedokładnie... W każdym razie przestawiono je o dwa centymetry.
- Mierzył pan? — Oberon przyglądał się Pelmanowi ze współczuciem.
- Tak, żeby się upewnić i nie ulec omamom... Zmierzyłem linijką. Było dwa centymetry...
- A czy przypadkiem nie unosił się pan także wraz z łóżkiem na dwa centymetry do góry? — zasapał Oberon.
- Nie rozumiem... — Pelman zdziwiony zamrugał oczami.
- To zjawisko nazywa się lewitacją i występuje niekiedy podczas seansów z duchami.
- Nie. Lewitacji nie było — odparł Pelman.
- A co było?
- Konfrontacja.
- Z kolei Oberon spojrział zaskoczony na chemika.
- Konfrontacja? W jakim sensie?
- Kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem go... Patrzyliśmy chwilę na siebie. On był na dachu, ja w pokoju...
- Na dachu? Ale kto znowu?!
- Przecież mówiłem... ten człowieczek... mały w czerwonej czapeczce z pomponem.
- Ach tak... — Oberon patrzył na Pelmana z rosnącym niepokojem — więc twierdzi pan, że widział pan krasnoludka na dachu.
- Krasnoludka?! Nie! Ten człowiek miał czapkę, jaką noszą wspinacze w górach, zwłaszcza zimą, i linę... Wolałbym nazwać go taternikiem — uśmiechnął się blado chemik.
- A więc widział pan taternika na dachu i sądzi pan, że to on zostawił ślad czarnej ręki na tapecie...
- Tak. I przestawił mi łóżko.
- I przestawił panu łóżko — powtórzył zbolalym głosem Oberon — ale po co, do diabła?
- Tego nie wiem.
- Czy coś panu zginęło?
- Nic.
- Do licha, za kogo pan mnie bierze. Ja mam w to wszystko wierzyć?! — wybuchnął Oberon.

— Nie musi pan — odparł Pelman — pan może zobaczyć... ja bardzo przepraszam, ale ta czarna ręka to chyba jest dowód!

— Nie będę oglądał czarnej ręki! — złościł się Oberon. — Do licha z pańską czarną ręką!

— Szkoda... — zmartwił się Pelman — milicja mogłaby sprawdzić odciski...

Ale jeśli panu dyrektorowi nie podoba się ręka, to ja mam inny dowód, że ktoś poczyna sobie śmiało w moim pokoju... Ten intruz stłukł mi butelkę... Od razu spostrzegłem zapach...

— Pan trzyma w pokoju butelki? — zainteresował się nagle Oberon — to nam może wyjaśnić wiele...

— Gdy tylko wszedłem — ciągnął chemik — poczułem to... atmosfera była ciężka... odurzająca... a właściwie trująca. Unosiły się przykre odory...

— Wódki?

— Nie... co też pan dyrektor...

— Więc to nie była butelka z alkoholem?

— Nie.

— A z czym?

— Z gazem — odparł chemik.

— Z jakim gazem?

— Wyprodukowałem go w pracowni do trucia insektów.

— Pan produkuje gazy w pracowni? — przeraził się Oberon.

— W moim pokoju rozmnożyło się robactwo... więc przyniosłem celem użycia. ..

— Na Boga Świętego! Trzyma pan na poddaszu gaz?! Zabraniam panu!

— Kiedy te karaluchy...

— Sami się tym zajmiemy. Mówilem już woźnemu. Pański pokój zostanie odnowiony. .. Woźny sprowadzi malarzy... Proszę natychmiast opróżnić pomieszczenie z wszelkich podejrzanych preparatów... Czy trzyma pan tam jeszcze jakieś trucizny czy gazy?

— Chwilowo nie...

— Uprzedzam pana, szkoła to nie laboratorium... Tu nie ma miejsca na przygody niewyżytych naukowców... ani na popisy wynalazców... Kazałem panu to przemyśleć i wejrzeć w siebie, czy ma pan dość woli, samozaparcia i miłości do młodzieży, by nałożyć więzy na swoją nieokiełznaną naturę badacza i poskromić wynalazcze pasje. Czy pan wejrział?

— Nie wejrzałem — jęknął zawstydzony Pelman.

— Niech pan to zrobi jak najprędzej. Pan wciąż nie zdaje sobie sprawy, w jakim świecie pan żyje i co to jest posłannictwo pedagogiczne. Po raz n-ty uświadamiam pana... — W tym miejscu Oberon chciał zapewne wstawić dłuższy esej o specyfice biocenozy zwanej szkołą, ale na szczęście otworzyły się drzwi i do kancelarii gwałtownie wpadła wystraszona kucharka, a za nią zdenerwowana Gazela.

— Czy u pana dyrektora są jeszcze ci tapicerzy? — zapytała mistrzyni rondla.

— Nie rozumiem... jacy tapicerzy? — zdumiał się Oberon.

— Ci, których pan mi przysłał...

— Nie przysłałem żadnych tapicerów.

— Przyszli i powiedzieli, że z polecenia pana dyrektora mają naprawiać te stare meble, co były złożone w komorze za kuchnią, i mieli klucze!

— Mieli klucze?!

— Więc ich wpuściłam, a przy sposobności kazałam im naprawić stary fotel w moim pokoju. Nie wiem, co mnie skusiło...

— Ale po co mi pani to wszystko mówi?!

— Bo oni rozpruli tylko pokrycia na meblach... wybebeszyli siano i zniknęli... Wysłałam właśnie zobaczyć, jak im idzie robota, ale już ich nie było... Patrzę, a mój fotel cały rozpruty... i wszystkie klaki na wierzchu!... Więc przybiegłam, bo powiedzieli, że mają jeszcze naprawiać kanapę u pana dyrektora... Może są jeszcze?

— Nic nie wiem o żadnych tapicerach... Może pani? — Oberon zwrócił się do pani Szyjkowskiej.

— Owszem... — wykrztusiła zmieszana pani Szyjkowska — przyszło dwu z teczką... i twierdzili, że pan ich skierował, że mają naprawić kanapę w gabinecie.

— I pani ich wpuściła?

— Mieli klucz. Powiedzieli, że pan im dał na godzinę.

— Klucz?! O Boże! — Oberon skoczył do drzwi gabinetu. Wciąż jeszcze były zamknięte. Zajrzał do dziurki w zamku. Klucza od wewnątrz nie było. Pani Szyjkowska drżącą ręką podała klucz zapasowy. Oberon otworzył drzwi. Wbiegliśmy do gabinetu.

Okno było otwarte... wiatr wydymał firanki. Tapicerów już ani śladu... Nie... to nieścisle. Zostawili po sobie ślad. Wielki ślad. Wspaniała stylowa kanapa pod obrazem Rejtana była rozpruta na całej długości i dokładnie wybebeszona. Klaki wełny, którą była wypchana, kłębiły się na podłodze...

— No, to rozbrykali się na dobre! — szepnął Gnat.

— Idą na całego! — mruknąłem.

— To wariaci... zupełni szaleńcy! — jęczała pani Szyjkowska. — Rozpruli nam wszystkie meble!

— Nie — pokręcił głową Oberon — to nie są szaleńcy. To przestępcy. Oni szukali czegoś w tych meblach... Ale czego? — zapatrzył się w rozprutą kanapę. — Gdzie jest woźny? — zapytał nagle.

Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy, a potem rozległ się drżący głos pani Szyjkowskiej:

— Właśnie chciałam zameldować panu, panie dyrektorze, że woźnego Macocha nigdzie nie ma. Zniknął.

ROZDZIAŁ XXVI  
— NIEUDANA FOTOGRAFIA MADZI

— Pani twierdzi, że nasz woźny zniknął? — Oberon zmarszczył brwi.

— Tak, panie dyrektorze — powiedziała łamiącym się głosem pani Szyjkowska. — Woźnego Macocha nikt nie widział w szkole od rana.

— Kucharka Tosia twierdzi, że wyszedł zaraz po otwarciu szkoły, koło godziny pół do ósmej. W sprawie tego mięsa, co pan dyrektor wie. Miał zaraz wrócić i nie wrócił.

— Miał przy sobie znaczną ilość pieniędzy... — zamruczał Oberon.

— Ci dziwni tapicerzy powoływali się na niego. Wyglądało, że dobrze go znają — dodała kucharka.

— Nie podoba mi się ta historia — powiedział Oberon — coraz bardziej mi się nie podoba... Że tak powiem, czuję tu swąd. Zaraz... gdzie jeszcze mieli naprawiać ci tapicerzy?

— W pracowni chemicznej — odparła pani Szyjkowska.

— Chodźmy tam natychmiast. Może jeszcze ich przyłapiemy. — Oberon ruszył biegiem do drzwi, a wszyscy za nim. I ja oczywiście też.

Pracownia chemiczna była zamknięta od wewnątrz. Klucz tkwił w zamku.

— Otworzyć! — Oberon zaczął szarpać energicznie klamkę.

W pracowni rozległy się lekkie kroki, zgrzytnął klucz, drzwi otworzyły się i stanęła w nich... Matylda Opat.

— Co ty tu robisz? — zapytał zaskoczony Oberon.

— Robiłam odbitki zdjęć z wycieczki do Zakładów Azotowych w Puławach, pan Pelman urządził tu laboratorium fotograficzne i pozwolił mi tu dziś pracować. ..

— Tak... panie dyrektorze — wyjaśnił Pelman — Opatówna robiła odbitki dla kółka chemicznego... Pracownia przez tę godzinę nie była zajęta, więc pozwoliłem Opatównie tu zostać... Oni mieli wolną godzinę.

— Dobrze... nie o to chodzi — rzekł zaaferowany Oberon — chodzi o tapicerów. .. Moje dziecko — zwrócił się do Matyldy — czy wchodzili tu osobnicy podający się za tapicerów?...

— Nie... To znaczy owszem, stukali do drzwi jacyś ludzie i mówili, że chcą naprawić fotel pana Pelmana, ale ja ich nie wpuściłam, bo pan Pelman stanowczo mi zakazał wpuszczania kogokolwiek do pracowni.

— Byłem przewidujący — powiedział Pelman z wyraźną dumą.

— Tak, to doskonale — skrzywił się Oberon — przynajmniej jeden fotel mamy w szkole cały. Zabiorę go do mojego gabinetu.

— Co? Pan mnie pozbawia niezbędnego sprzętu. Ja przywiązałem się do tego fotela. Ja go lubię!

— Tu mógłby ulec zniszczeniu w czasie pańskich doświadczeń... a ja muszę mieć jakiś reprezentacyjny mebel — oświadczył Oberon. — A wracając do sprawy Macocha — zwrócił się do pani Szyjkowskiej — pani zadzwoni do Zakładów Mięsnych, czy pan Macoch tam był, czy jest jeszcze, a jeśli nie, kiedy wyszedł.

Pani Szyjkowska wybiegła. Matylda Opat patrzyła zaskoczona to na Oberona, to na pana Pelmana.

— Co się właściwie stało? Czy stało się coś złego? — zapytała.

— Pan Macoch przepadł bez śladu — rzekł Oberon.

— Ależ ja go widziałam — oznajmiła Matylda.

— Gdzie?!

— Niedaleko szkoły, tam gdzie zaczyna się park. Widziałam, jak wsiadał do samochodu i odjeżdżał...

— Do samochodu?! — zdumiał się Oberon. — Jakiego samochodu?

— Do samochodu marki Polski Fiat — odpowiedziała rzeczowo Matylda. — Wyglądało, jakby ten wóz czekał tam na niego.

— Która to była godzina, moje dziecko?

— Pół do ósmej...

— Tak wcześnie wybrałaś się do szkoły?

— Chciałem tego ranka wykonać... pewne zdjęcia — odparła z wahaniem Matylda.

— Niesłychane, ludzie moi — wykrzyknęła kucharka Tosia — woźny uciekł z pieniędzmi szkolnymi! Teraz już nikomu nie można ufać! Kryminalista w szkole! Na stanowisku woźnego! Wiedziałam, że ten człowiek ma tajemnice... Czasem jak spojrzal, to ciarki przechodziły! Matko Najświętsza, samochodem odjechał... czekali na niego wspólnicy. Widać, że działał w bandzie!

— Niech pani przestanie — uniósł ręce do góry zde gustowany Oberon — jeszcze za wcześnie oskarżać Macocha...

— Pan dyrektor za bardzo wierzy ludziom, jakby pan dyrektor przeszedł to, co ja, to by inaczej patrzył... Czy pomyślał pan dyrektor, skąd ci fałszywi tapicerzy mieli klucze?... Wszystkie klucze szkolne! Tylko Macoch mógł im dać. Nikt inny, tylko Macoch!

— Nie... trudno mi w to uwierzyć...

— To oczywista bzdura — wykrzyknął pan Pelman wychodząc ze stanu chwilowego osłupienia — ja znam dobrze Macocha, on by nie mógł... to człowiek uczciwy, ręczę za niego!

— Pana słowa nie mają żadnego znaczenia — powiedziała kucharka — pan sam jest podejrzanym.

— Co takiego?!

— Wiadomo, że was usunęli obu za to samo przestępstwo z instytutu leków... Mnie mówił pan Gudelko, a on jest dobrze poinformowany.

— To nie było przestępstwo — wykrztusił zmieszany pan Pelman — to był nieszczęśliwy przypadek... to znaczy wypadek...

— Tam było naruszenie przepisów... mnie pan nie powie... i prowadzenie doświadczeń na własną rękę. Ciekawa jestem, na czyje zlecenie...

Oberon słuchał zdezorientowany tych rewelacji.

— Ja to panu wyjaśnię — wykrztusił Pelman, ale w tej samej chwili przybiegła podniecona pani Szykowska.

— Panie dyrektorze... dowiedziałam się... dzwoniłam... powiedzieli, że Macocha u nich dzisiaj w ogóle nie było.

— A nie mówiłam?... Niech pan dzwoni na milicję! — wykrzyknęła kucharka Tosia. — Niech go ścigają!

— Ależ... zaręczam, proszę mi wierzyć — zawołał pan Pelman — pozwólcie państwo, że pójde zadzwonić na pogotowie i do szpitala, czy nie miał jakiegoś wypadku. Trzeba w pierw sprawdzić, a potem dopiero oskarżać człowieka!

— Pan chce grać na zwłokę! A może pan chce też się ulotnić pod pretekstem telefonu? Nigdzie pan nie pójdzie... — oświadczyła kucharka.

— Wydaje mi się jednak, że warto zasięgnąć naprzód informacji — powiedział Oberon.

— Ale pana Pelmana zatrzymamy jako zakładnika — zastrzegła Tosia — ja się tym zajmę. Wsadzę go do spiżarni... nie, lepiej do schowka pod schodami... mógłby mi znów co zatruć w spiżarni...

— Co pani wygaduje?! — zdenerwował się Oberon. — Niech pani przestanie wreszcie tyle gadać!

— Jestem zdenerwowana, bo jestem zatruta, panie dyrektorze.

— Zatruta?

— Coś rzeczywiście stało się z panią Tosią — wtrąciła Nadobna Gazela — od kilku dni stała się niemożliwie drażliwa, rzekłabym... niezdrowo podniecona. Przedwczoraj rzuciła surowym kotлетem w pomoc kuchenną, w tę biedną Jolę.

— Surowym kotлетem?!

— To właśnie dlatego, że byłam truta, panie dyrektorze — wyznała Tosia — teraz mogę to powiedzieć, pan Pelman truł mnie podstępnie, żebym nie stawiała oporu, gdy napadną na mnie, nie ma wątpliwości, że truł mnie z polecenia bandy.

— Niech pan nie słucha tych bredni — zasapał wzburzony Pelman — kilka dni temu pani kucharka powiedziała mi, że czuje się zniechęcona do życia i czynię dalbym jej jakiegoś lekarstwa, bo dowiedziała się, że pracowałem w instytucie leków...

— Zakazałem panu stanowczo leczyć mój personel swoimi preparatami! — zagrział Oberon.

— Toteż równie stanowczo odmówilem pani kucharce, ale pani kucharka zagroziła, że mi wsypie mielonego szkła do kotleta.

— Zagroziła pani? — wykrztusił Oberon osłupiały.

— Żartowałam tylko.

— To nie były żarty... już poprzedniego dnia znalazłem w zupie gwóźdź tapicerski — wyznał pan Pelman — przestraszyłem się więc i dałem pani kucharce specyfik pobudzający układ nerwowy.

— To była trucizna!

— Być może działanie było zbyt silne — chrząknął zakłopotany chemik — ale nie moja wina, że pani kucharka zażyła cztery tabletki naraz, a potem zmniejszyła wprawdzie dawkę, ale popijała każdą tabletkę bardzo mocną nalewką arcydzięgielową na spirytusie.

— Nalewka arcydzięgielowa to lekarstwo — oświadczyła z przekonaniem Tosia.

— W połączeniu z moim specyfikiem, to fatalna mieszanka... uprzedziłem panią, że podczas kuracji nie wolno przyjmować alkoholu!

— Ładnych rzeczy ja się tu dowiaduję... — zagrział Oberon — muszę zrobić w tej szkole generalne porządki... A wy, co tu podsłuchujecie?! — krzyknął na mnie oraz na pozostałych chłopaków z redakcji, którzy zdążyli już cichaczem przeniknąć do pracowni chemicznej.

Wycofaliśmy się niechętnie.

— Bomba, panowie — wykrztusił Gnat, gdy znaleźliśmy się na korytarzu — oto chwila, na którą czekaliśmy od początku! Nasze przewidywania sprawdziły się na medal! Bambosz nareszcie przestał grać komedię! A pamiętacie, nikt nam nie wierzył! Oberonowi będzie teraz łyso. To zwycięstwo naszej gazety i naszych zdolności dedukcyjnych...

— ... oraz talentów obserwacyjnych — dorzucił Kleksik.

— No, dobrze, bystre oczka — powiedziałem — mamy sukces dedukcyjny, ale teraz trzeba z tego zrobić sukces redakcyjny...

— Tak jest. Tomcio ma rację — poparł mnie Gnat — musimy teraz drogo sprzedać tę aferę. Wypuszczamy numer extra pod wielkim tytułem: AFERA BAMBOSZA, gdzie przedstawiamy naszą pracę nad rozwiązaniem zagadki, niezrozumienie nas przez władze szkolne, opowiadamy, ile się nacierpieliśmy z tego powodu i jak wytrwaliśmy dzielnie... Numer oczywiście będzie bogato ilustrowany... Na szczęście gromadziliśmy od początku zdjęcia z Bamboszem... i zamówiliśmy nowe... A, właśnie, gdzie są te najnowsze zdjęcia, które miała wykonać ta okropna Opat?

— Chyba... chyba jeszcze nie są gotowe — powiedziałem.

— Co to znaczy „niegotowe”?! Musimy je mieć dzisiaj. Te zdjęcia nabierają teraz nowego znaczenia. To nie tylko wspomnienia o Bamboszu, to także dokumenty, to dowody jego dwulicowej działalności.

— Zaraz porozmawiam z Matyldą — powiedziałem i spieszenie wróciłem do pracowni chemicznej.

Zastałem Matyldę bardzo zdenerwowaną.

— Co się stało?

— Mam już dość tej zabawy w fotografa! Ostatnio nic mi się nie udaje...

— Jak to? Nie udały ci się te zdjęcia z Puław?

— Pewnie, że nie... zobacz... — pokazała mi odbitki w formacie pocztówkowym. — Dopiero przy powiększeniu widać, ile narobiłam błędów. Już nie mówię o kompozycji, ale sama technika...

— Co ty chcesz od tych zdjęć?... — wzruszyłem ramionami. — No wiesz, po prostu masz za duże wymagania, mnie gdyby wyszły takie zdjęcia, byłbym zupełnie zadowolony.

— Inne są jeszcze gorsze — powiedziała Matylda — a najgorszy ten kot! Już trzeci raz robię zdjęcia tego wypchanego kota z pracowni przyrodniczej i trzeci raz mi nie wychodzi... Wystawa tuż, tuż, a ja wstydzę się pokazać pani...

— Pokaż!

— Proszę bardzo, zobacz! — Matylda podsunęła mi fotografię. — Jest prześwietlona, a oczy kota to w ogóle nie wyszły...

Istotnie, tym razem nawet ja musiałem się zgodzić. Zdjęcie było nieudane, nieostre, zbyt ciemne, oczu kota rzeczywiście nie było widać, tylko po prostu jakieś dwie białe plamki.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mi nie wyszło. Tak się starałam... — Matylda westchnęła ciężko. — To mnie właśnie zniechęca... No, bo jeśli człowiek się stara jak może, a nie ma zupełnie wyników...

Nie wiedziałem, jak ją pocieszyć. Chyba najlepiej przestać mówić o tamtych niepowodzeniach, a zająć się bieżącymi sprawami.

— Posłuchaj — powiedziałem — w porównaniu z ostatnimi wydarzeniami w szkole, twoje zmartwienia to głupstwo. Tematem dnia jest Bambosz. I ja właśnie do ciebie w tej sprawie. Dziś możesz jednym ciekawym zdjęciem Bambosza zyskać powodzenie, rozgłos, może nawet na skalę krajową, no i zrehabilitować się we własnych oczach, skoro uważasz, że ostatnio nie miałaś dobrej passy... Przyszedłem cię zapytać, czy masz takie zdjęcie...

— Skąd mam mieć?! — zdenerwowała się Matylda.

— No, przecież zamówiłem u ciebie już dość dawno.

— Ale miałaś całą litanię wymagań! To miał być Bambosz w prywatnym życiu, pozaszkolnym... o ile dobrze zrozumiałam.

— Zgadza się.

— No więc wyobraź sobie, że Bambosz nie ma takiego życia. Właściwie cały dzień spędza w szkole...

— Niemożliwe!

— Tak to przynajmniej wyglądało w ciągu ostatnich dni. Straciłam mnóstwo czasu na tropienie i obserwowanie Bambosza i ani razu nie warto było wycelować w niego obiektywem... Dopiero dziś... — zawahała się — nie, nie warto nawet wspominać...

— Co dziś? — podchwyciłem.

— Dziś rano Bambosz, jak już opowiadałam, wybrał się do śródmieścia... Ruszyłam za nim... Nareszcie zrobię jakieś niezłe zdjęcie, pomyślałam, na przykład „Bambosz na spacerze”. Ale to nie był spacer... Bambosz spieszył się, jakby miał załatwić jakąś pilną sprawę...

— Albo jakby chciał uciec — podpowiedziałem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Nie przyszło mi to do głowy — powiedziała — ale masz rację. To mogło wyglądać także na ucieczkę... Ledwie mogłam nadażyć... tak się śpieszył. Oczywiście nie miało sensu robić w tej sytuacji zdjęcia... czekałam, aż się zatrzyma, ale miałam aparat w pogotowiu. Nagle zauważyłam ten samochód. Stał w zatoce przy parku, tuż koło chodnika... Bambosz zwolnił kroku, drzwi się otworzyły... Bambosz wsiał... dosyć niezgrabnie, wyglądało, jakby nie mógł się zmieścić do tego wozu... aż ci mężczyźni, co byli w środku, musieli mu pomagać. Ale właśnie dzięki temu zyskałam te dwie sekundy potrzebne do nastawienia aparatu i pstryknięcia.

— Zrobiłaś zdjęcie tej sceny?! — wykrzyknąłem.

— Och, nie rób sobie za dużo apetytu... Po pierwsze, byłam daleko i dlatego na tym zdjęciu tło jest bardzo duże, pół parku chyba i pół ulicy, natomiast sylwetki Bambosza i

samochodu bardzo małe... po drugie, wszystko było w cieniu, a ja nie miałam czasu dobrze nastawić i zdjęcie nie jest zbyt wyraźne, a po trzecie, czy jest w ogóle ciekawe, że ktoś wsiada do samochodu? To chyba nie to, o czym wymarzyliście...

— Ależ Madziu — mówiłem podniecony — ty w ogóle nie rozumiesz... teraz nie chodzi już o artystyczne zdjęcie, chodzi o dowód. To co zrobiłaś, jest wspaniałe! Zrobiłaś zdjęcie-dokument! Jeśli ci ludzie w fiacie byli rzeczywiście przestępcami, to dla śledztwa ta fotografia będzie bardzo cenna. Na jej podstawie będzie można zidentyfikować pasażerów i samochód. Będzie wiadomo, kogo szukać.

— Wątpię... przecież powiedziałam ci, że wszystko wyszło małe i niewyraźne. ..

— Pokaż!

Matylda podała mi odbitkę. Istotnie... trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby rozpoznać na tym zdjęciu wsiadającego do wozu mężczyznę.

— Tak, w tej postaci nie nadaje się do gazety — powiedziałem — ale gdyby powiększyć ten fragment, który nas interesuje... Właściwie zdjęcie jest dość wyraźne, tylko te szczegóły za małe... Tak, jest wyjście! Musisz koniecznie powiększyć to zdjęcie... robiłaś już przecież takie rzeczy, a w szafie kółka fotograficznego widziałem powiększalnik...

— Ale kiedy?... wolna godzina się zaraz skończy i będziemy musieli wrócić do klasy... — odparła zaaferowana Matylda — nie myśl, że powiększanie to taka łatwa rzecz.

— Mam pomysł. Dzisiaj o siedemnastej jest w szkole zebranie komitetu rodzicielskiego, a potem wywiadówka. Szkoła będzie otwarta. Przyjdź zaraz po obiedzie... na przykład o piętnastej. My też przyjdziemy, będziemy robić na jutro nadzwyczajne wydanie gazety. Myślę, że zdążysz w porę dostarczyć nam to zdjęcie.

— Postaram się — powiedziała Matylda.

Nie chciałem robić Gnatowi specjalnego apetytu. Na jego pytanie odpowiedziałem krótko, że zdjęcie jest. Po prostu tylko tyle. Zyzio zresztą nie pytał o nic więcej, pochłonięty był całkowicie obmyślaniami artykułu o tajemnicach Bambosza do jutrzejszego numeru. Miała to być dziennikarska bomba. Bomba stulecia.

Zgodnie z umową przyszedłem do szkoły po południu o czwartej, żeby wspólnie przygotować ostateczną wersję tej „bomby” Postanowiliśmy nadać jej formę zwięzłej, ale naładowanej faktami relacji, coś w rodzaju sensacyjnej kroniki wydarzeń, od momentu pojawienia się woźnego Macocha w szkole.

Kiedy elaborat był już gotowy i Kleksik, który odznaczał się zdolnościami kaligraficznymi, zasiadł, by przepisać go na wielkim arkuszu brystolu kreślarskim tuszem, udałem się do Matyldy do pracowni chemicznej po zdjęcie.

Gdy przyszedłem suszyło się właśnie. Było formatu podwójnej karty pocztowej.

— Jak wyszło? — zapytałem ciekawym.

Matylda miała dziwną minę, ni to wystraszoną, ni zakłopotaną.

— Sam zobaczysz — odburknęła — zaraz będzie gotowe.

— Czy... chcesz przez to powiedzieć, że... że jest do luftu? — zapytałem ostrożnie.

— Nie... ono jest dość ciekawe.

— Widać jakieś nowe szczegóły?

— Chyba tak.

Odpowiedź Madzi zabrzmiała tak tajemniczo, że nie wytrzymałem dłużej z ciekawości i nie czekając, aż zdjęcie wyschnie porządnie, zdjąłem je z suszarki i pobiegłem z nim do okna, by mu się lepiej przyjrzeć.

Wpatrywałem się w nie z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem... Nie! Nie mogłem się ludzić. To wyszło zupełnie wyraźnie na powiększonym zdjęciu. Niby wszystkie elementy takie same: samochód marki Polski Fiat, Bambosz przy samochodzie, jakiś osobnik przy nim, czyjeś twarze i ręce wychylające się z wozu tylko, że sens tej sceny jest teraz zupełnie inny. Ten osobnik wciąga Bambosza do środka. Woźny opiera się, trzyma rękami za krawędź drzwi... ale już z wozu wynurza się ręka w ciemnej skórzanej rękawiczce, zatyka woźnemu

usta, jednocześnie druga ręka zaciśnięta w pięść przygotowuje się do ciosu w brzuch. A więc to tak... to tak naprawdę wyglądało!

— Jesteś genialna! — zawołałem. — To zdjęcie godne najlepszego fotoreportera! Chodź, pokażemy Gnatowi! Ale będzie miał minę!

Matylda patrzyła na mnie zdumiona.

— Tomciu, jak ty możesz!

— O co ci chodzi?

— Nie myślałam, że ty tak zareagujesz... Nie wzrusza cię zupełnie los Bambosza. .. interesujesz się tylko zdjęciem jako takim... Jak można być tak nieczułym!

Zmieszałem się.

— Ależ tak... słowo daję... byłem poruszony... to znaczy wstrząśnięty — belkotałem — ale... nie będę się wypierać, ucieszyło mnie to zdjęcie... pomyślałem od razu, że udała ci się nie byle jaka rzecz...

— To nie jest właściwe podejście — zmarszczyła brwi Madzia. — W tej chwili powinieneś myśleć tylko o jednym. Jak pomóc panu Macochowi.

— Wiem o tym — westchnąłem.

— Bambosz może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie... On może już... w ogóle... — Madzi głos zamarł w ustach.

— Tak... to wygląda nie bardzo wesoło... ale po co od razu myśleć o najgorszym. .. gdyby te draby chciały ukatrupić Bambosza, zrobiłyby to na miejscu, miały zresztą sto innych okazji. Nie... jeśli się boją, to nie o życie Bambosza... — zamyśliłem się.

— A o co?

— Żeby nie rzucili na niego podejrzeń, żeby go nie zrobili kozłem ofiarnym tej afery. I dlatego to zdjęcie jest ważne. Widać na nim wyraźnie, kto jest ofiarą, a kto napastnikiem.

— Daj to zdjęcie — powiedziała zdenerwowana Matylda — pojedę z nim na milicję.

— Wstrzymaj się moment. Uważam, że byłoby dobrze najpierw poszukać Pelmana. Pelman znał dobrze Bambosza, być może znał także i jego znajomych. Kto wie, czy na tym zdjęciu nie rozpozna jakichś znanych twarzy... Lepiej na milicję pojechać z panem Pelmanem... Nasze zeznania mogą potraktować niezbyt serio... wiesz, jak dorośli lekceważą nieletnich... co innego taki poważny człowiek jak pan Pelman.

Zabraliśmy fotografię i wybiegliśmy na korytarz. Zaczynało się właśnie zebranie komitetu, które miało poprzedzić wywiadówkę. Reszta spóźnionych rodziców śpieszyła do sali gimnastycznej, skąd dochodził już gwar ożywionych głosów. Zajrzeliśmy do pokoju nauczycielskiego. Niestety jeszcze nikogo z pedagogów nie było.

— Pan Pelman pewnie jest u siebie — powiedziała Matylda.

Ruszyliśmy z powrotem korytarzem w kierunku klatki schodowej. W połowie drogi natknęliśmy się na Zyzia, Kleksika, i Kękusia.

— Co jest, do przejasnej Klary! — zaklął Zyzio. — Czekamy i czekamy, a wyście romansowali pewnie. Zdjęcia oczywiście nie ma?

— Zdjęcie jest — powiedziałem — ale przypatrz mu się dobrze.

Podaliśmy Zyziowi fotografię.

— Co to? — Zyzio osłupiał na moment. — Skąd to macie? Przecież to jest...

— To jest porwanie — powiedziałem zimno. — Obawiam się, że nasza kronika do jutrzejszego numeru musi ulec zasadniczej zmianie... Chorągiewka obróci się o sto osiemdziesiąt stopni. Czarne musi być białym. Kto wie, czy Bambosz nie okaże się w końcu niedocenionym, czystym jak kryształ bohaterem? Idziemy właśnie do Pelmana zasięgnąć dodatkowych informacji... Może on rzuci w końcu światło... chyba jednak ukrywał pewne rzeczy... ale, gdy pokażemy mu to zdjęcie, zacznie mówić.

— My... my oczywiście idziemy z wami — powiedział Gnat.

Pośpiesznie, sapiąc i dysząc wywindowaliśmy się na trzecie piętro. Nie było tu już żadnych sal i klas, tylko strychy i trzy mansardowe pokoje z oknami wpuszczonymi w dach. Jeden z nich zajmował właśnie pan Pelman.

— Zaczekajcie — zatrzymał nas nagle Kleksik, który odznaczał się wrażliwym słuchem.

— Co się stało?

— Ja coś słyszę.

Istotnie gdzieś z daleka dochodziła dziwna, jękliwa muzyka... zrazu cicha, po chwili przemieniła się w szaloną kakofonię. Ktoś eksploatował magnetofon na cały regulator.

— Do licha, to chyba z pokoju Pelmana — szepnąłem zaskoczony. Nie przypuszczałem, że Pelman jest zwolennikiem muzyki w stylu zagzak (zagłusz, zakrzycz!). Co najwyżej mogłem sobie wyobrazić, że słucha Szopena czy Schumanna.

Muzyka nasilała się. Do i tak już jazgotliwych, przesywających dźwięków, dołączyły przykre zgrzyty, a także świsty i szelesty, i skrzypienia jakby zardzewiałych gwoździ.

— To jest muzyka konkretna — szepnął przejęty Kleksik, który chodził do szkoły muzycznej i miał opinię autorytetu w sprawach twórczości instrumentalnej — nie znam tego utworu.

— Co za ludzie — zdenerwował się Gnat — mamy na głowie kryminalną sprawę, a oni o muzyce!

Po czym przejął inicjatywę i zapukał energicznie do drzwi. Nie było odpowiedzi. „Muzyka konkretna” nasilała się coraz bardziej. Gnat zatkał ucho palcem.

— Nie mogę tego słuchać... Zupełnie jakby ktoś wrywał z podłogi deski.

Kwękacz zajrzał przez dziurkę od klucza do środka.

— Ależ... ależ tam naprawdę zrywają deski!

— Co takiego?! Pokaż — Gnat odepchnął go od drzwi i sam zajrzał. — Niesamowite — wykrztusił — Pelman oszalał! Demoluje swój pokój! W tym swoim okropnym rozwianym fartuchu... podważa łomem deski... wyciąga jedną za drugą! A na ścianach... o rany, zerwane wszystkie tapety! Otwierać! — krzyknął i zaczął bębnić pięściami w drzwi.

Tym razem poskutkowało. Klucz zgrzytnął w zamku. Drzwi się otworzyły. Stał w nich nieznajomy wysoki mężczyzna z długim nosem i z bródką.

— Remont! — mruknął opierając się na łomie. — No, słyszeliście, co powiedziałem, tu jest remont! Nie przeszkadzać nam w pracy!

ROZDZIAŁ XXVII  
— SZALONY WIECZÓR W SZKOLE

Stanęliśmy osłupiali. To nie był Pelman, ale chyba już gdzieś widzieliśmy tego człowieka — te diaboliczne rysy, ta bródka... Oczywiście! To Kablarz, tylko tym razem miał na sobie fartuch pana Pelmana, czarny, poplamiony chemikaliami, podziurawiony od kwasów roboczy kitel! Pod odartą z tapety ścianą stały dwa brudne wiadra z klejem czy też farbą, a w nich wielkie pędzle i szczotki, jakich używają malarze pokojowi... oraz mały kasetowy magnetofon. W pokoju pracował jeszcze jeden osobnik, niski, pękaty, w czerwonej spiczastej czapeczce... Miał w ręku młotek i dłuto.

Nie było wątpliwości. To Pigmej. Pigmej z Kablarzem, a więc nie ma dwu różnych spraw, jest jedna sprawa awaramisów; obaj są ludźmi Trenera.

Co robić? Spróbować ich zatrzymać? Nie damy rady. Oni mają te ostre i tępe narzędzia — my nic. Wszczęć alarm? Zanim ktoś przybiegnie, ich już dawno nie będzie... nie uda nam się ich zatrzymać... Jedyne wyjście — nie dać nic poznać po sobie, że wiemy, kim oni naprawdę są, wycofać się i zaalarmować Oberona... Ostatecznie na dole jest w tej chwili trochę mężczyzn — ojców, którzy przyszli na wywiadówkę, nie licząc mam. Są przedstawiciele wszystkich zawodów, także wojskowi i milicjanci. Przechwycenie opryszków na gorącym uczynku nie powinno być trudne.

Spojrzałem na Gnata. Żeby tylko nie poniosły go nerwy. Ale Gnat podobnie jak ja połapał się od razu w sytuacji.

— Szukamy pana Pelmana, ale jeśli remont, to przepraszamy. Spływamy na dół, koledzy — popchnął oszołomionego Kleksika i Kwękacza.

Ja pociągnąłem Matyldę. Zbiegliśmy wszyscy na dół, a następnie wsunęliśmy się do sali gimnastycznej. Oberon siedział w pierwszym rzędzie krzeseł z boku. Gnat dał mi znak. Podszedłem na palcach do Oberona i powiedziałem cicho:

— Panie dyrektorze, proszę na chwilę wyjść na korytarz, są ważne wiadomości w sprawie pana Macocha.

Kiedy Oberon wyszedł, pokazaliśmy mu fotografię, wykonaną dziś rano przez Matyldę.

— Niesamowite!... — Oberon w pierwszej chwili nie mógł wykrztusić słowa. — Ależ to mi przypomina jakiś koszmarny film! Porwać w biały dzień człowieka w naszym mieście?!

— To niestety jest rzeczywistość, panie dyrektorze — powiedział Gnat — co więcej, rzeczywistość jest jeszcze bardziej niesamowita niż na tym zdjęciu...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Oberon przeraził się już nie na żarty.

— Mamy opryszków na górze, panie dyrektorze.

— Na górze?

— Na poddaszu, ściśle, w pokoju pana Pelmana...

— Co oni tam robią?!

— Oświadczyli, że remont. Pan dyrektor nic nie wie?

— Nie wiem o żadnym remoncie.

— Zrywają podłogi i tapety przy dźwiękach muzyki konkretnej.

— O, Boże!

— Widzieliśmy też krasnoludka w czerwonej czapeczce.

— Wytęż?!

— Niestety, to nie było przywidzenie pana Pelmana. Ci intruzi próbowali się już dawniej tam dostać — powiedział dobitnie Gnat i spojrzał z wyrzutem na Oberona. — Szkoda, że pan dyrektor nie wziął poważnie skarg pana Pelmana.

— To nic — w Oberonie, acz późno, obudził się duch bojowy. — Zabierzemy się teraz do dzieła... ale jeśli się wam przywidziało, to biada... i mnie, i wam... Będziemy skompromitowani w oczach wszystkich rodziców. Będę musiał podać się do dymisji...

— To nie wchodzi w grę — rzekł Zyzio — a w ogóle to nam jest smutno, że pan dyrektor nie ma do nas jeszcze zaufania. Ostatecznie w sprawie Bambosza... to jest, przepraszam, pana Macocha mieliśmy nosa! To nie był zwykły woźny...

— Oj, nie — westchnął ciężko Oberon, a to jego westchnienie dało nam całkowitą satysfakcję.

— A czy nie wyszło ze Strażą Porządkową?

— To był bardzo dobry pomysł — zgodził się Oberon.

— Pan dyrektor zaufał nam i wygrał. Tak samo teraz. Schwytanie tych opryszków i uwolnienie Bambosza to będzie duża rzecz. Pan dyrektor będzie najbardziej sławny ze wszystkich 334 579 dyrektorów, jacy są w Polsce.

— Skąd ty wiesz, ilu jest dyrektorów?

— Z rocznika statystycznego — odpowiedział bez mrugnięcia powiek Zyzio. — Ale jutro tylko pan dyrektor będzie na ustach wszystkich. Może przyjdzie do nas telewizja... Może by z tej racji zwolnić nas jutro z lekcji?

— Ach, ty lotrze — zasapał Oberon — chcesz się wykpić z obowiązków szkolnych?! O, nie, nic z tego, przeciwnie, od jutra biorę całą szkołę do galopu. Żeby tylko skończyły się te awantury kosmiczne... nigdy w ciągu mojego dość długiego życia nie przeżywałem czegoś podobnego!

— Na pewno się nie skończą, jak pan dyrektor nie pośpieszy się ze schwytaniem tych opryszków... — zauważył Zyzio.

— To przez was, bo mnie zagadujecie — rzekł Oberon — poczekajcie tu chwilę, a ja zmontuję ekipę rodzicielską.

To powiedziawszy, udał się z powrotem na salę, gdzie odbywało się zebranie, i po malej chwili wrócił zwycięsko prowadząc z sobą pięciu ojców, trzech wojskowych i dwu milicjantów oraz w charakterze orkiestry rodzinę Owerłów z instrumentami muzycznymi, ponieważ po wywiadówce mieli występ estradowy.

— Panowie, proszę za mną. Rozpoczynamy akcję.

— Pan pozwoli, że obejmę dowództwo jako najstarszy rangą — powiedział generał Krasicki, ojciec Kasi Krasickiej z siódmej B — pan nie jest specjalistą w akcji bojowej.

— Oczywiście — Oberon ustąpił chętnie — pragnę jednak zwrócić uwagę, że bierze pan na siebie dużą odpowiedzialność.

— Jestem świadom tego i nie zawiodę zaufania komitetu — powiedział generał Krasicki. — Koledzy oficerowie — zwrócił się do pozostałych wojskowych — odetną przeciwnikowi drogę odwrotu przez dach i podwórze. Będziecie, koledzy, obserwować okno facjaty nauczyciela Pelmana i w razie potrzeby przystąpicie do akcji. My tymczasem zaatakujemy od wewnątrz. Ty, chłopcze — zwrócił się do Kękusia — odnajdziesz jak najszybciej nauczyciela Pelmana. Nauczyciel Pelman będzie nam potrzebny do przesłuchania jeńców; jak mi powiedziano, nauczyciel Pelman był już kilka razy niepokojony przez podejrzanym osobników, może więc ich rozpozna...

— Tak jest — powiedział Oberon — poza tym wolalbyśmy Pelmana mieć przy sobie. Ten człowiek przynosi pecha — westchnął — boję się, żeby znów czegoś nie namotał...

— Zaraz go znajdę, panie dyrektorze — powiedział Kękuś — chodź, pomożesz mi — zwrócił się do Kleksika.

I pobiegli. Wyszli także porucznicy objąć posterunek na podwórzu, a generał na czele pozostałych sił ruszył po schodach na górę... Oczywiście, Gnat, ja i Matylda czym prędzej za nimi...

— Proszę pana, oni mają ostre i tępe narzędzia — przypomniał Gnat — może warto by było się w coś uzbroić. W schowku są miotły — skrzywił się.

— Co ty sobie wyobrażasz, moje dziecko, że ja pobiegnę tam z miotłą? Jak by to wyglądało?! Spróbujemy dać sobie z nimi radę bez tego...

W chwilę potem oddział szturmowy był na górze, pod drzwiami pokoju Pelmana.

— Niech pan stuka — powiedział generał do Oberona.

Oberon zastukał, raz i drugi, coraz bardziej energicznie.

Po dłuższej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich ponury Kablarz.

— Panowie sobie życzą? — zapytał bynajmniej nie zmieszany.

— Kim panowie są? — zapytał spokojnie Oberon.

— A pan kim jest?

— Jestem dyrektorem szkoły.

— Bardzo nam miło... poznać... — próbował uśmiechnąć się. — Wzięliśmy się do roboty żwawo, jak władza szkolna widzi, na jutro będzie skończone. Pan dyrektor przygotowuje litra!

— Kto panów tutaj przysłał?

— Woźny Macoch.

— Poproszę o dowody osobiste — wysunął się do przodu ojciec Krzysztofa z czwartej, pan Zaręba, który był milicjantem.

— A to z jakiej racji? — oburzył się osobnik o długiej twarzy. — Skoro nie podoba się panom, to my się wycofujemy, nie narzucamy się... prowadźcie remonty sami.

— Dosyć tej komedii — Oberon wyciągnął fotografię i przez chwilę bacznie się przyglądał opryszkom — pan tu jest na tym zdjęciu... łatwo pana rozpoznać. I pan też tu jest — zwrócił się do pękatego osobnika w czerwonej czapeczce.

— Co to za zdjęcie?

— Zrobione dzisiaj rano pod parkiem, gdyście porywali woźnego Macocha.

Widać wyraźnie, jak pan zatyka woźnemu usta i zadaje mu cios pięścią w żołądek oraz jak pana kolega, ten mały, wpycha Macocha do wozu.

— Proszę nas puścić — powiedział pękaty opryszek — umyjemy tylko ręce i udzielimy wyjaśnień, które zaspokoją panów. Przepraszam, panowie się usuną, bo ubrudzę panów — jego grzeczny ton i kulturalny sposób mowy zaskoczył nieco oddział szturmowy, ale na szczęście generał na czas odzyskał zdolność trzeźwej oceny sytuacji i w ostatniej chwili zagroził drogę opryszkowi.

Nie doceniał jednak przeciwników. Kablarz porwał błyskawicznie żelazny łom, a Pigmiej wiadro z farbą i pędzel... Generał ledwie się odsunął przed niebezpiecznym ciosem... Odruchowo sięgnął do pasa po broń... ale dłoń mu opadła bezradnie. Zapomniał bowiem, że jest bez broni, że w ogóle nie jest dzisiaj w mundurze... zwyczajny, prywatny człowiek, który przyszedł na wywiadówkę. To samo ojcowie milicjanci.

Tymczasem rozjuszony opryszek wymachując żelaznym łomem utorował sobie drogę aż na schody... Za nim jego pękaty koleżka potrząsając wojowniczo pędzlem. Kiedy przechodził koło nas, Gnat chciał mu wyrwać wiadro, ale Pigmiej był czujny. Błyskawicznie zanurzył pędzel i chlusnął w biednego Zyzia deszczem lepkiej zielonej farby... A potem rozzłoszczony zaczął kropić na lewo i prawo osłaniając w ten sposób odwrót. Po chwili oszołomienia milicjanci postanowili poświęcić swoje garnitury i nie zważając na strumienie farby rzucili się w pogoń za zbiegami. Już mieli ich dosięgnąć, gdy Pigmiej jak cyrkowiec wykonał akrobację na poręczy schodów i zjechał na nich wraz ze swoim kubłem na sam dół.

Tu na nowo szerząc popłoch wśród zebranych rodziców, obaj przestępcy torowali sobie drogę do wyjścia...

Już byli przy sali gimnastycznej, gdy nagle drogę zagroził im pan Pelman. Widać Kękuś i Kleksik odnaleźli go wreszcie i zmobilizowali do akcji. Był w swym najlepszym „odświętnym” fartuchu, który miał „zaledwie trzy plamy i dwie dziury”, jak głosiła złośliwa wieść szkolna. Ale nie ten fartuch najbardziej nas zdziwił. Najbardziej zdziwiło nas, że pan Pelman nadbiegł z aparatem przypominającym gaśnicę samochodową oraz że na twarzy miał maskę podobną do tej, jakiej używają chirurdzy podczas operacji. Za nim biegli Olo i Maciek, też zakładając spieszenie w biegu podobne maski. Mieli przy sobie jeszcze dwa egzemplarze tej wątpliwej ozdoby i rzucili je nam ze słowami:

— Wkładajcie szybko!

— Ale po co?!

- Będzie zabieg chemiczny!
- Niestety nie mamy więcej — zasapał nam nad uchem Pelman. — Należy ostrzec rodziców, żeby za bardzo się nie zbliżali!
- Proszę odsunąć się! — krzyknęliśmy.
- Zachować dystans!
- Grozi niebezpieczeństwo!
- Zabieg może być szkodliwy dla zdrowia!
- Wywołać zatrucie!
- Proszę odsunąć się!

Ale Kablarz miał szybszy refleks od rodziców. Zaniepokojony wyglądem Pelmana, jego dziwną maską i rynsztunkiem, przeczuł zagrożenie i natarł z drągiem na chemika.

Z kolei więc Pelman znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz okazało się, że duet K. stanął na wysokości zadania i lekcje samoobrony, które ćwiczyliśmy w LOK-u, do czegoś się przydały. Obaj rzucili się jednocześnie do nóg opryszka, Kleksik do lewej, a Kękuś do prawej i szarpnęli w tej samej sekundzie z całej siły.

Napastnik zachwiał się i runął jak długi na podłogę. Drąg wypadł mu z łap. Po chwili wprawdzie zerwał się rozjuszony i natarł powtórnie na Pelmana, ale Pelman zrobił dość sprawny unik i Kablarzowi udało się tylko zedrzeć mu maskę z twarzy. Chciał zaatakować po raz trzeci, ale drogę zagroził mu już potężny strumień rozpylonej cieczy z aparatu. W powietrzu rozszedł się przyjemny zapach podobny do wody kwiatowej Old Spice. Opryszek zawahał się na moment, zaskoczony, i to go ostatecznie zgubiło. Wrósł jakby w ziemię. Opuścili go nagle wszystkie siły. Przez kilka sekund Pelman opylał go jeszcze energicznie, aż nogi opryszka ugięły się pod nim zupełnie i osunął się miękko na kolana. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani. Coś niezwykłego zaczęło się dziać z Kablarzem. Na jego koziej twarzy pojawił się wyraz nieopisanej błogości. Z przymkniętymi oczami, wydając spazmatyczne pomruki rozkoszy nadstawiał się na prysznic z rozpylacza, wdychał z wyraźnym upojeniem opary preparatu, aż odurzony całkowicie legł na podłogę i zastygł z uśmiechem przyklepionym do twarzy, jak manekin.

Widząc to, osłupiały początkowo Pigmej rozpaczliwie zaatakował nas swoim pędzlem jak człowiek, który nie ma wyboru. Strach dodał mu siły. Oślepieni farbą nie mogliśmy stawić mu czoła, i byłby się wymknął bezpiecznie, gdyby Pelman nie zaczął go szprycować w porę. Tym razem działanie preparatu było jeszcze szybsze. Po chwili także Pigmej osunął się w stanie obezwładniającej euforii na podłogę. Zmęczony Pelman odłożył rozpylacz.

- Co pan im zrobił?! — krzyknął generał.
- Pelman chrząknął zakłopotany.
- Bardzo mi przykro... Nie miałem innej broni, więc chwyciłem za ten rozpylacz.
- To wygląda na gaśnicę...
- Owszem. To była kiedyś gaśnica, lecz przystosowałem ją do rozpylania mojego preparatu.
- Jakiego preparatu? — wtrącił się zaniepokojony Oberon. — Zabroniłem już panu raz na zawsze preparować jakiegokolwiek preparaty w mojej szkole...
- Dręczyły mnie insekty... na tym okropnym poddaszu. Pluskwy i mrówki faraona... Żadne ze środków, które poprzednio stosowałem, nie pomogły, więc wynalazłem ten nowy preparat...
- Pan jest podejrzany — powiedział sierżant Zaręba. — Pan prowadzi nielegalną produkcję niebezpiecznych chemikaliów, pan ma nielegalny warsztat!
- Zaręczam panu, że jest to zwykła pracownia szkolna.
- Pan tu właściwie rozpylał bez uprawnień — wtrącił sędzia.
- Ależ panowie, ja chciałem pomóc...
- Owszem, lecz naruszył pan przepisy bezpieczeństwa...
- Przepraszam — powiedział nieswoim głosem Pelman. — Muszę natychmiast wyjść.

Spojrzeliśmy na niego z troską. Był blady. Zapewne w czasie rozpylania sam uległ pewnemu skażeniu preparatem, bo napastnik pozbawił go ochronnej maski.

— Radziłbym na wszelki wypadek otworzyć okna — dyszał ciężko, jak człowiek chory. — Przekonałem się, że to nie jest zupełnie bezpieczny preparat i może wywołać pewne... dolegliwości.

Ale nikt się nie kwapił.

— Lepiej nie otwierać, ktoś mógłby wymknąć się, a sprawa nie jest rozwikłana do końca... — rozległy się głosy.

— Nikt nie może opuścić szkoły do czasu zbadania sprawy!

— Wszyscy powinni zostać na miejscu!

— Intruzi mogli mieć współników...

— Jak się otworzy, mogą być przeciągi.

— I różne typy mogą nam zaglądać do okien.

— A potem będą obmowy i plotki.

Pelman patrzył zaskoczony.

— Ależ drodzy państwo, co się z wami dzieje?! Otwórz okno! — pchnął mnie nerwowo.

Podbiegłem, ale pani Melasińska powstrzymała mnie z uśmiechem, lecz stanowczo.

— Nie ma potrzeby, drogi chłopcze!

— Atmosfera zrobiła się całkiem przyjemna.

— Tak, bardzo przyjemna i zdrowa — poparli ją pozostali rodzice.

Pelman zamachał rękami, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie powiedział i wybiegł z sali.

— Niech pan biegnie za nim, sierżancie — rzekł przytomnie Oberon. — To człowiek nieobliczalny. Niech pan uważa na niego — i żeby nie ruszał preparatów. .. żadnych preparatów, sierżancie.

Milicjant wybiegł.

A podnieceni rodzice coraz głośniejszymi komentarzami komentowali zaistniałe wypadki.

— Przepraszam państwa — przez tłum przedzierał się człowiek o twarzy uroczystej i smutnej. — Państwo pozwolą, że wykonam, czynności urzędowe. Jestem prokuratorem.

Był to ojciec Ornatowskiej. Zналиśmy go od lat z widzenia.

— Czy mogę? — skłonił lekko głowę przed Oberonem.

— Może pan.

— W takim razie przystąpię do przesłuchań. Czy mogę prosić o krzesło?

Podsunęliśmy mu spieszenie żądany sprzęt.

Prokurator Ornatowski usiadł i usztywnił się jeszcze bardziej.

— Panowie złożą zeznania — oświadczył siedzącym na podłodze opryszkom i spojrzał na nich jakby oczekując protestu, ale oni bynajmniej nie zaprotestowali, przeciwnie, uśmiechnęli się do niego, jakby jego obecność sprawiała im wyjątkową przyjemność.

— Dla porządku zapytać muszę, by zachować praworządne zwyczaje, czy panowie zechcą zeznawać w tym miejscu i czasie?

— To jest bardzo sympatyczne miejsce — odparł Pigmej.

— I czas też odpowiedni, wywiadówka — rozrzewnił się opryszek o koziej twarzy — zawsze w dzień wywiadówki byłem przesłuchiwany przez moich świętej pamięci rodziców, dlatego tyle zarobiłem dwójek.

— A czy moja osoba nie budzi waszych zastrzeżeń?

— Ależ nie... damy się przesłuchać z przyjemnością — odparł Pigmej.

— Pan ma bardzo przyjemny głos — wyznał opryszek z końską twarzą.

Prokurator chrząknął nieco zaskoczony.

— To bardzo dziwni przestępcy — szepnął do generała.

— Byli poddani działaniu pewnego... preparatu — rzekł generał. — Po przesłuchaniu tych ludzi radziłbym także przesłuchać tego Pelmana, on balansuje na pograniczu przestępstwa.

— Zastanowię się nad tym — rzekł prokurator. Wypytawszy opryszków o dane personalne, postawił im od razu zasadnicze pytanie:

— Gdzie jest woźny Macoch?

— Szef kazał go wozić w samochodzie po okolicy.

— Wozić?!

— Uznał, że tak najbezpieczniej. O dziesiątej mają go tu odstawić z powrotem. .. Co do dalszych zeznań, to pan prokurator woli intymnie, na ucho? Czy publicznie i głośno? Bo co do pewnych szczegółów to my się trochę wstydzimy. .. Są tutaj panie i młodzież nieletnia... — Pigmej zakłopotany drapał się w szczękę — opowiadanie o zbrodniach i występkach wypacza charakter młodzieży. .. nie chcielibyśmy przyczynić się w żadnym stopniu do wypaczenia naszej drogiej młodzieży...

— Rozumiem pana szlachetne skrupuły — rzekł prokurator wyraźnie ujęty delikatnością opryszka.

— A zatem woli pan... intymnie?

— Intymnie i na ucho — rzekł prokurator wstając. — Zabieram panów na przesłuchanie dyskretne do gabinetu. Pan dyrektor pozwoli? — skłonił się sztywno Oberonowi.

— Proszę uprzejmie — odklonił się równie sztywno Oberon.

Prokurator w towarzystwie przestępców i sierżanta Zaręby zamknął się w gabinecie.

Po kwadransie wyszedł zadowolony i uśmiechnięty z taśmą magnetofonową w rękę, ciągnąc za sobą coraz bardziej rozweselonych opryszków.

— Mamy już nagrane zeznania wstępne — rzekł nie kryjąc podekscytowania. — Rewelacje. Prawdziwe rewelacje, proszę państwa. To wzorowi przestępcy, to jest chciałem powiedzieć, życzliwi dla organów śledczych. Możemy odprężyć się zupełnie. Żadne niebezpieczeństwo już nie grozi!

— Brawo! — rozległy się liczne oklaski odprężonych rodziców.

— Zalecam państwu to odprężenie, mimo że wyniki wstępne śledztwa nie dla wszystkich były pomyślne. Drogi panie prezesie — zwrócił się do kustosza Gołąbka — zwłaszcza panu zalecam głębokie odprężenie...

— Mnie, dlaczego mnie? — zaniepokoił się kustosz.

— Ponieważ niestety muszę złożyć panu jednocześnie równie głębokie kondolencje. I to podwójne!

— Podwójne?! — przeraził się Gołąbek.

— Najpierw z powodu antykwariusza Zakalły. Będzie pan musiał usunąć ze ściany muzeum jego relację o awaramisach, gdyż jej miejsce jest w aktach śledczych, w pitawalu oraz w kronice przestępstw, a nie w szanującym się muzeum.

— O, Boże! Nie mogę uwierzyć... Pan Zakalło?! Tak zasłużony człowiek? Co się stało?

— Napisał kłamstwa, cały stek kłamstw! — zagrzmiał prokurator z zawodową swadą, a jego groźny palec poszybował efektownie w powietrzu. — Ostatnie dwa awaramisy z kolekcji bynajmniej nie zaginęły w czasie wojny. Jedyne prawdziwe fragmenty w tych wspomnieniach, to wizyty ordynata w sklepie antykwariusza. Lecz nie chodziło ani o ocenę, ani o sprzedaż klejnotów. Ordynat przyniósł je w zastaw za lichwiarską pożyczkę, której udzielił mu przemyślny Zakalło, wykorzystując ciężkie położenie Ordynata.

Szmer oburzenia przeszedł przez salę.

— Gdy dług nie został w terminie spłacony, Zakalło uznał się za prawowitego właściciela awaramisów — ciągnął prokurator. — Była to największa zdobycz, jaka wpadła mu w ręce podczas długiego antykwarycznego żywota. Toteż strzegł jej bardziej niż oka w głowie. Nie rozstawał się nigdy z pierścieniami. Nosił je w wewnętrznej kieszonce kamizelki.

Lecz gdy zaczęły się mnożyć kradzieże w naszym mieście za sprawą osławionego doliniarza Dariusza Jasnobrzeskiego, ogarnięty lękiem zaczął rozmyślać nad lepszym sposobem zabezpieczenia bezcennych precjozów. Zamysł swój wprowadził w czyn, o czym poinformował swego jedynego przyjaciela, pedagoga tej szkoły Dziedziucha, lecz nawet jemu nie chciał wyjawić sposobu ani miejsca ukrycia klejnotów. Ci wzorowi kryminaliści, przepraszam — chrząknął — stale się przejęzyczam, to zapewne skutek ogarniającego mnie niewątpliwie odprężenia, otóż ci delikwenci, których państwo tu widzą, postawili sobie zadanie odszukania tych kosztowności, kierując się wskazówkami znalezionymi w notesie profesora Dziedziucha. W ostatnim czasie prowadzili pomysłowe i ofiarne poszukiwania w najbliższej okolicy szkoły, a także w samym jej budynku, ze szczególnym uwzględnieniem mieszkania Zakally na poddaszu, które ostatnio zajmuje nauczyciel Pelman... A oto jeden z dowodów rzeczowych — prokurator wyciągnął z teczki wielki kalendarz-notatnik typu agenda w błyszczącej czarnej okładce. — Trzymam w ręku skradzione notatki profesora Dziedziucha z okresu bezpośrednio poprzedzającego śmierć antykwariusza. Chciałbym przeczytać państwu parę ciekawych zapisków — prokurator zamrugał oczami. — Niestety nie bardzo mogę przy tym świetle. Czy ktoś z państwa ma lupę?

Lupy nie było.

— A może ty wyręczysz mnie, chłopcze? — zwrócił się do Ola Kleksińskiego.

— Z chęcią, proszę pana — wykrztusił przejęty Olo.

— Czytaj tu, pod datą 13 września.

— Tak jest, proszę pana. 13 września?! — zreflektował się nagle. — Pamiętam tę datę, to był ważny dzień! Właśnie wtedy skończył się remont sali biologicznej i ustawialiśmy tam nowe eksponaty, te wszystkie wypchane zwierzęta, które pan Zakallo oddał w depozyt szkole... I wąż uciekł wtedy z gabloty. I Przypora wyskoczyła przez okno z przerażenia. A Kękuś stłukł akwarium...

— Dosyć! — zniecierpliwził się prokurator. — Czytaj notatnik, chłopcze!

Wiec Kleksik zaczął czytać:

Z. prosi, ażeby przekazał szkole zbiory zoologiczne złożone w piwnicy oraz żebym postarał się o wizytę konserwatora i należyte zabezpieczenie zbiorów. Także przed wandalizmem młodzieży — jak się wyraził. Drży o każdego oskubanego ptaka, o każde odrapane truchło. Choroba rozwija się u niego w szybkim tempie także w sferze psychiki.

— Czy czytać dalej?

— Czytaj.

— To jest pod datą 15 września: „Z. znów zawraca mi głowę awaramisami. Żąda, abym przyrzekł, że w wypadku jego śmierci będę czuwał nad prawidłowym wykonaniem testamentu. Testament będzie w formie listu, poda w nim miejsce ukrycia klejnotów i przekaze oficjalnie awaramisy muzeum, pod warunkiem, że spełnione będą odpowiednie warunki przechowywania i ekspozycji, w szczególności żąda dla awaramisów osobnej, strzeżonej sali z systemem alarmowym według załączonego projektu, oraz specjalnej gabloty z grubego pancernego szkła. W razie niespełnienia tego warunku nakazuje mi jako wykonawcy testamentu zatopienie komisyjne awaramisów w dowolnie wybranym oceanie, w miejscu głębokości co najmniej 5000 metrów. Liczy jednak na to, że Odrzywoły pokryją w końcu wydatki związane z przechowywaniem awaramisów, bo to im się sowicie opłaci. Ekspozycja klejnotów będzie atrakcją na skalę światową i Odrzywoły staną się Mekką turystycznych pielgrzymek (i pielgrzymek przestępców)”. To w nawiasie, to chyba dopisek własny pana Dziedziucha. Czytam dalej: „Ale gdzie te awaramisy? Stawiam uparcie Zakalle to pytanie, a on swoje. W liście wszystko wyjaśnię. I znów te nieskończone usprawiedliwienia i opowieści o tym, jak był nękanym całe życie przez złodziei. Ale teraz awaramisy nareszcie są dobrze schowane. Błagam, aby powiedział coś bliższego na ten temat, choćby z uwagi na wypadki losowe, które zawsze mogą się zdarzyć; co wtedy z awaramisami, kto je odnajdzie. On jednak dalej swoje: zostawi list, najważniejsze, że awaramisy są dobrze schowane. Gdzie? Bardzo

blisko". 20 września: „Wciąż zastanawiam się, co to znaczy »blisko«. W pokoju? Za oknem na dachu? W szkole? Kolo szkoły?"

Prokurator podziękował w tym miejscu Kleksikowi i schował notatnik do teczki.

— Na tym zapiski w sprawie awaramisów urywają się, proszę państwa. Czy to znaczy, że profesor Chruściel zrezygnował z rozwikłania zagadki? Czy może wręcz przeciwnie, rozwiązał ją i zachował tajemnicę dla siebie? Liczę na to, że dalsze dochodzenie rzuci światło na tę sprawę... Czy państwo chcieliby zadać jakieś pytania podejrzanym? Są do dyspozycji...

— Chętnie porozmawiamy z państwem — uśmiechnął się pocziwie Pigmej, poprawiając czapkę. — Bardzo lubimy zeznawać.

— I sypać — wyszczerzył zęby Kablarz.

— Będziemy rozmawiać z państwem tak szczerze, jak z panem prokuratorem.

— To była najprzyjemniejsza rozmowa w naszym życiu przestępczym — oznajmili patrząc z uwielbieniem na prokuratora, który spuścił z zakłopotaniem oczy.

Rodzice byli jednak zbyt odprężeni i nie kwapili się do rozmowy z opryszkami.

— Myślałem, że pan zabierze głos, prezesie — zwrócił się prokurator do Gołąbka. — Ale widać jeszcze za mało wstrząsnąłem panem. No, więc wstrząsnę panem bardziej.

Nieszczęsny kustosz miał zakłopotaną minę.

— Czy pan wie, kto był szefem tej przestępczej organizacji? Nie zgadnie pan, prezesie. Szefem był zasłużony skądinąd i dobrze znany w naszym mieście trener, ostatnio, po trwałej kontuzji nogi zatrudniony w muzeum sportu, pański obecny współpracownik, Jaksa!

— Dziękuję, pan mną wstrząsnął — rzekł prezes Gołąbek. — Po niepokojącym odprężeniu, jakiego tu z niewiadomych przyczyn doznaję, czułem potrzebę ponownego naprężenia i wstrząsu.

— Co on mówi? — szepnąłem do Zyzia

— Podejrzewam, że chyba też zatrul się preparatem, jak te opryszki — odparł Zyzio. — Co gorsza, nie ominęło to także innych. Nawet prokuratora. Czy nie odczuwasz zmiany w ich zachowaniu?

— Więc nikt nas już nie będzie pytał? — Pigmej wyraźnie zawiedziony powiódł smętnym wzrokiem po sali. — Czy to już wszystko?

— To byloby na razie wszystko — rzekł zadowolony prokurator. — Nigdy nie miałem do czynienia z tak dobrze ułożonymi i skorymi do zeznań przestępcami. Proszę o brawa dla podejrzanym!

Spojrzałem zdumiony na niego, potem na zebranych rodziców i nie wierzyłem własnym uszom: rozległy się autentyczne oklaski. Przestępcy kłaniali się dziękując za aplauz z beczelnymi uśmiechami na twarzy, jak aktorzy po udanym występie.

— Dziękuję państwu — prokurator także skłonił się lekko. — Chwilowo zarządzam przerwę celem nakarmienia podejrzanym — to mówiąc usiadł na podłodze obok przestępców, wyciągnął z kieszeni pudełko landrynek i poczęstował ich uprzejmie.

Po chwili wszyscy trzej chrupali beztrząsco z apetytem.

— Pan się niebezpiecznie rozluźnił — zauważył sędzia.

— Przy tak pomyślnych wynikach przesłuchania wszelkie napięcie jest zbędne — odparł prokurator. — Czy pan sam nie czuje potrzeby rozluźnienia?

— Coś tak jakby... — chrząknął zakłopotany sędzia i rozluźnił sobie kołnierzyk od koszuli.

— Może usiądzie pan z nami i rozluźni się zupełnie — zaproponował prokurator.

— Spróbuję — powiedział sędzia i usiadł na podłodze.

— Ależ panowie... — wykrzyknął zakłopotany Oberon, wciąż z globusem w ręce — rozumiem doskonale potrzebę rozluźnienia, mimo wszystko to trochę dziwne... siadać na korytarzu... — urwał nagle, bo na schodach pojawił się pan Pelman, również nieco za bardzo rozluźniony, w rozmamłanym bardziej niż kiedykolwiek fartuchu, z rękami w kieszeniach, zbliżał się chwiejnym krokiem, pogwizdując beztrząsco.

- **Czołem, szefie — pomachał Oberonowi przyjaźnie ręką.**
- **Kolego Pelman — Oberon zmarszczył brwi — jak pan wygląda?! Co się stało?!**
- **Zniszczyłem mój preparat! — oznajmił spokojnie Pelman.**

**ROZDZIAŁ XXVIII**  
**— EPILOG, CZYLI WSZYSTKIM JEST WESOŁO**

Na sali zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na Pelmana.

— Pan chyba oszalał — wybelkotał po chwili Oberon. — Co pan powiedział?

— Zniszczyłem preparat, a także wszystkie obliczenia, wzory i notatki.

— Zniszczył pan?! A ja właśnie miałem z panem wejść w kontakt i zaproponować współpracę... — wybelkotał magister Pyrkosz z odrzywolskich Zakładów Chemicznych. — Ale dlaczego pan to zrobił? To było wielkie odkrycie...

— Przestraszył się pan sierżanta? — zapytał szyderczo Gargul, nasz fizyk, który zawsze żartował sobie z Pelmana.

— Byłaby to wielka szkoda — zauważył zaaferowany generał — cały czas zastanawiałem się, jakie to mogłoby mieć zastosowanie w szerszej skali... jako broń strategiczna... i widziałem dość ponętne perspektywy... dość ponętne perspektywy...

— Przede wszystkim dla chorych — sprostował doktor Melasiński. — Przede wszystkim dla chorych. To działa odprężająco, antydepresyjnie i rozluźniająco, a także w nader dziwny sposób pobudzająco, ośmielająco i rozbijająco, zapewne zależnie od dawki... Bardzo wszechstronny i skuteczny preparat...

— Zbyt skuteczny — rzekł Pelman. — Dlatego go zniszczyłem.

— Pan nie miał prawa! — zagrzmiał Oberon. — Pan jest pracownikiem szkoły i obowiązuje pana dyscyplina! Preparat powstał w pracowni szkolnej i był własnością szkoły...

— Nie rozumiem pana żalu, dyrektorze. Czyżby pan chciał go wypróbować na uczniach? — Pelman zamrugnął oczami.

— Na uczniach? — Oberon odchrząknął zakłopotany i spojrzał z dziwną nostalgią w naszą stronę. Zapewne miał pewien pomysł, lecz zwyciężył pokusę. — W istocie, to by ułatwiło pewne sprawy z uczniami. Lecz my nie pójdziemy na łatwiznę — odrzekł dumnie.

— Więc o co panu chodzi?

— O naukę i sławę... o naukę i sławę, kolego. Każde odkrycie jest cenne, niezależnie od dalszych skutków... popycha naprzód naszą wiedzę, a jego praktyczne skutki?... To już tylko zależy od ludzi... Na tym odkryciu zyskałaby nauka i zyskałaby szkoła! Nauka — nowy promyczek poznania, a szkoła — wielki promień sławy! Dlatego pan nie miał prawa!... — mówił podniesionym głosem Oberon. — A pan nie upilnował — zwrócił się z ostrym wyrzutem do sierżanta. — Poleciłem panu pilnować profesora Pelmana. To człowiek nieobliczalny! Dlaczego pan nie upilnował?

— Nie zdążyłem — odparł szczerze zmartwiony sierżant. — Zrobił to błyskawicznie, kiedy kontrolowałem materiały chemiczne w szafie... Kiedy się obejrzałem, było już za późno. Gryzący dym przesłonił mi pole widzenia... Myślałem, że będzie wybuch, ale syczało tylko... to był syk płonącego preparatu.

— Odpowiedź za to dyscyplinarnie, Pelman — sapał Oberon.

Kiedy Oberon w rozmowie przechodzi na „wy”, to zły znak, wiedzieliśmy dobrze, dni nieszczęsnego chemika w naszej budzie są policzone.

— Chyba zdajecie sobie sprawę, Pelman — ciągnął ponuro Oberon — że odkąd pojawiliście się w tej szkole, nie ma ani chwili spokoju. To wy ściągnęliście nam na kark tych przestępców! — Oberon wycelował w chemika swój oskarżycielski palec. — Nie ma gorszego nieszczęścia w świecie pedagogicznym, jak nienormalny nauczyciel. A ja stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że wy jesteście nienormalni.

— Na pewno — wybelkotał Pelman i zatkał sobie usta chusteczką.

— Co pan powiedział?!

— Przepraszam, ale pienie się — wymamrotał Pelman.

— Co takiego?!

— Wchodzę w kolejne stadium.

— Stadium?

— Stadium niedyspozycji... jestem wypełniony pianą — Pelman odjął na chwilę chusteczkę od ust, a my zobaczyliśmy, że jest spieniony jak koń po morderczych wyścigach. Nawet z uszu wylatywały mu bąble piany, coraz większe i liczniejsze. — Niestety, nie znalazłem skutecznej odtrutki. Państwo wybaczą, wiem, że to niestosowne, ale muszę się pienieć — wyjaśnił.

— Więc pan też! — Oberon patrzył na niego zdumiony. — Pan zatrul się preparatem! To nam wyjaśnia pewne rzeczy... Stąd zapewne zniszczenie wynalazku. .. Pan był w stanie niepoczytalności...

— Zapewne — rzekł beztrąsko pan Pelman. — Opryszek pozbawił mnie maski ochronnej i uległem niebezpiecznemu skażeniu! Wszyscy jesteście skażeni! Wszyscy, którzyście tu byli... Zaraz się zaczną objawy. Najpierw pierwsze, potem drugie stadium... Chwilowo będziecie się bawić dobrze, jak ci sympatyczni słudzy wymiaru sprawiedliwości — wskazał na sędziego i prokuratora zajądających landrynki na podłodze. — Oni pierwsi ulegli zatruciu na skutek kontaktu z opryszkami. Lecz potem to drugie stadium... stanowczo mniej przyjemne... Nie chcieliście mnie słuchać. Nie chcieliście otworzyć okien... wywietrzyć szkoły... — tu pan Pelman spieniał się w sposób straszliwy, potężne bańki piany wyleciały mu uszu, wzbily się aż pod sufit i tam pękły. — To wszystko wam też grozi — oznajmił struchlałym rodzicom coraz bardziej bulgotliwym głosem, zachwiał się i byłby zapewne upadł, gdyby Zyzio i Kękuś nie podtrzymali go przytomnie.

Dopiero teraz Oberon zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i zawołał:

— Natychmiast wywietrzyć szkołę! Otworzyć wszystkie okna!

— Otworzyć wszystkie okna! — powtórzyła przestraszona polonistka, pani Szymańska i pobiegła do sali polonistycznej.

— Otworzyć wszystkie okna! — powtórzyła przerażona pani Tromboniowa i pobiegła do sali geograficznej.

Reszta nauczycieli też pobiegła, a my posadziliśmy pana Pelmana pod ścianą i rzuciliśmy się do otwierania okien w korytarzu.

— Sierżancie, niech pan biegnie telefonować po pogotowie lekarskie i milicyjne — zawołał Oberon, ale sierżant Zaręba go nie słyszał. Już od kilku minut znajdował się pod działaniem preparatu i właśnie wchodził w stadium błędnego osłupienia.

Oberon machnął na niego ręką i zaklaskał energicznie.

— Proszę państwa o ciszę!

— Panie dyrektorze — zawołaliśmy — pan sierżant ma objawy!

Ale Oberon nie chciał nas słuchać. Dał znak, żebyśmy mu nie przeszkadzali i ponownie zaklaskał niecierpliwie.

— Proszę państwa o ciszę! I o zajęcie miejsc w klasach. Klasy już są wywietrzone i koledzy wychowawcy zapraszają państwa.

— Zapraszamy do klas! — nauczyciele uśmiechali się zachęcająco.

— Kontynuujemy wywiadówkę!

Ale było już za późno. U rodziców zaczęły się pojawiać pierwsze symptomy zatrucia i narastały gwałtownie. Miast posłuchać wezwania nauczycieli, wszyscy odprężyli się i rozluźnili. Niektórzy zaczęli nawet ściągać marynarki, ciasne buty i krawaty z szyi, a dyrektor Zakładów Mięśnych, pan Przypora, ściągnął nawet koszulę i przyjemnie rozluźnił się w podkoszulku do tego stopnia, że objął czule panią Czupurską od wufu. Na próżno wyrwała się oburzona. Zresztą wkrótce i u niej wystąpiły pierwsze objawy, rozluźniła się nadmiernie i zwiśla w ramionach Przypory.

— Czy zatańczy pani ze mną?

— Z przyjemnością.

Oberon spojrział ze zgrozą i już chciał interweniować, gdy nagle posłyszał śmiech na korytarzach. Wszyscy patrzyli na jego minę i co trochę ktoś parskał śmiechem. Zrazu był to śmiech ściszony, nieśmiały, jakby wstydlivy, pojedyncze ogniska śmiechu wybuchały i gasły, lecz nagle gdzieś blisko, pośrodku korytarza eksplodował tubalnym, pełnym i

nieskrępowanym śmiechem, poważny zwykle i urzędowo smutny pan Opat, prezes Spółdzielni Pogrzebowej „Trumna”. Od tej chwili epidemia poczęła się szerzyć błyskawicznie i wkrótce śmiali się już wszyscy, co więcej, pozwalali sobie na różne podrygi i podskoki, z początku niezdecydowane i ostrożne, lecz z każdą sekundą coraz pewniejsze i efektowniejsze.

Pierwszy, całkowicie udany podskok taneczny wykonała mimo wielkiej tuszy pani Eulalia Morąg, zasłużony dyrektor odrzywolskich Zakładów Tłuszczowych. Za nią jak zahipnotyzowany poderwał się ogniście ku naszemu zdumieniu prezes licznych organizacji i kustosz muzeum w naszym mieście, pan Gołąbek, mąż nader nikłej postury, lecz wielkiego serca i — jak się teraz okazało — temperamentu.

— Brawo! Chcemy się bawić! — zagrzmiał pan Opat.

— Tak jest! Do bani z wywiadówką! — podchwycił basem dyrektor Przypora, unosząc w tanecznym kroku panią Czupurską.

— Do bani z wywiadówką — zawtórował mu dzielnym dyszkantem prezes Gołąbek spod pachy Eulalii.

— W istocie wywiadówka to pomysł banalny — rzekł magister Piszczon z Zakładu Oczyszczania Miasta.

— Rzekłbym więcej, to pomysł nedorzeczny — oświadczył autorytatywnie naczelnik planowania Zakus, przyłączając się do płasów.

— Nedorzeczny i niestosowny! — podskoczył z parasolem na ramieniu doktor Melasiński.

— Dyrektorze Oberonowicz — generał Krasicki przytupnął w miejscu niecierpliwie — niech pan wymyśli coś lepszego!

— Adekwatnego!

— Stać chyba pana na lepsze pomysły!

— Pan nie splami się czymś tak niemodnym i niegodnym jak wywiadówka — zamrugła oczami wielkimi jak gwiazdy pani Kleksińska. — Och, drogi dyrektorze Oberonowicz, niech pan powie, że pan żartował z tą wywiadówką!

— Wywiadówka byłaby obraźliwa dla naszych dzieci!

— Posiadamy dzieci na poziomie...

— Na najwyższym poziomie...

— Europejskim!

— Powiedziałbym, światowym!

— Eksportowym!

— Nigdy nie było tak zdolnego pokolenia!

— O najwyższym poziomie moralnym.

— Nigdy nie było młodzieży tak pilnej...

— Tak dbalej...

— Zdyscyplinowanej...

— Rzeczowej...

— Chętnej do podejmowania zadań...

— Do niesienia pomocy...

— Gorliwej...

— Troskliwej...

— Odpowiedzialnej...

— Wrażliwej...

— Wnikliwej...

— Szczerzej...

— Niezawodnej.

— To najlepsza młodzież od stuleci!

— Z największą inicjatywą!

— Z twórczą wyobraźnią.

— Z wybitnym zmysłem społecznym.

- Organizacyjnym.
- To oni stworzyli sami Straż Porządkową.
- Uporządkowali teren koło szkoły.
- Zasadzili drzewka.
- Zrobili grządki.
- Karmią sikorki i wróbelki.
- Kochają ptaki, psy i kotki...
- Muszki i motylki...
- Myśmy nie byli tacy — rzekł smętnie prezes Gołębek.
- Byliśmy bałaganiarze — spuścił głowę naczelnik planowania Zakus.
- Śmieciliśmy — magister Piszczon z Zakładu Oczyszczania Miasta strzepnął pyłek ze swej nieskazitelnej marynarki.
- Hałasowaliśmy — westchnął general.
- Podpowiadaliśmy — wyznała płasząc Eulalia Morąg.
- Pisaliśmy ściągaczki...
- Bardzo niedobre w dodatku.
- Wagarowaliśmy...
- Odmrażaliśmy sobie uszy...
- Biliśmy się...
- Przezywaliśmy...
- Skarżyliśmy...
- Dokuczaliśmy dziewczynkom.
- Dyrektorze, niech pan powie, że pan żartował z tą wywiadówką — coraz ciałniej osaczano Oberona.

Oberon bawił się wciąż jakby od niechcienia globusem, podrzucając go w rękach coraz sprawniej. Zastygliśmy w napięciu. Znaliśmy upór pedagogiczny i pryncypialność Oberona. Baliśmy się, że za chwilę dojdzie do ostrej konfrontacji z rodzicami. Ale były to obawy płonne. Oberon dopuścił się bowiem czynu zupełnie niesłychanego. W pewnym momencie kopnął niespodziewanie globus jak piłkę nożną, roześmiał się, otarł ręce i powiedział:

— Co ja to chciałem powiedzieć... Szczerze mówiąc, w kwestii stopni nie mam nic do powiedzenia... To właśnie chciałem powiedzieć.

— Dyrektorze, co pan?! — pani Szykowska przygryzła palce z wrażenia. — Przecież wywiadówka...

— Gwiżdżę na wywiadówkę! — Oberon włożył palce do ust i ku osłupieniu sekretarki zagwiżdżał, wywołując powszechny entuzjazm rodziców.

— Więc pan żartował! — klasnęła w dłonie ucieszona pani Kleksińska.

— Oczywiście. To wszystko były żarty.

— Wywiadówka jest nieważna — dodał beztrósco pan Gargul, nasz znakomity fizyk.

— Co znaczą te czy inne stopnie wobec posiadania tak wspaniałej młodzieży? — wzruszył retorycznie ramionami matematyk.

— Zrezygnowaliśmy praktycznie z wystawiania stopni — dorzuciła polonistka.

— To zbędna fatyga.

— Nonsensowna, zważywszy poziom naszej drogiej młodzieży!

— Wystawiam im z góry jeden stopień...

— Najlepszy!

— Dlatego, proszą państwa, nie będzie żadnej wywiadówki — oświadczył Oberon.

— Nie będzie?! Jak to?! — wykrztusiła pani Szykowska, przyciskając do piersi dzienniki. — Przecież pan ogłosił...

— To był figiel pedagogiczny.

— To był figiel pedagogiczny! — rozległy się głosy podnieconych rodziców po salach i korytarzach.

— W rzeczywistości przygotowaliśmy dla państwa niespodziankę — wyjaśnił z tajemniczym uśmiechem Oberon. — Wywiadówki już dawno nam się znudziły. Taniec wychowawców z rodzicami wydaje nam się właściwszy...

— Ciekawszy... — podchwycili nauczyciele.

— I przyjemniejszy... — uzupełnił Oberon, kłaniając się lekko na lewo i prawo.

— Co by państwo powiedzieli, gdybyśmy urządzili sobie bal?!

Korytarze zatrzęsły się od oklasków. Rodziców ogarnął entuzjazm.

— Bal! Będzie bal!

— Ależ panie dyrektorze — pani Szykowska osłupiała do reszty. — Bal w takiej chwili?!

— Uważam, że chwila jest stosowna.

— Ależ te dzienniki...

— Przydadzą się do kostiumów balowych — rzekła pani Ządelko od zajęć technicznych. — Zrobimy z nich hełmy...

— Tarcze i pancerze!

— Podkładki i podstawki biesiadne — zasapał pan Dziobas, ciągnąc wraz z panem Gargulem dwa gąsiory ze sławnymi pedagogicznymi nalewkami.

— Muzyka! — krzyknął Oberon.

Rodzina Owerłów natychmiast wydobyla instrumenty... Patrzyłem oniemiały. Co za sceny!

— Dlaczego nie fotografujesz? — szepnąłem do Matyldy, ale ona jakby nie dosłyszała. Stała nieruchomo z opuszczonymi rękami, z oczami wbitymi w podłogę.

Szarpnąłem ją za ramię.

— Co się z tobą dzieje?... takie sceny, a ty nic...

Spojrzała na mnie półprzymkniętymi oczami.

— Żle się czujesz?

— Nie... to... to dlatego, że coś mi przyszło do głowy... zastanawiam się tylko...

— Zwariowałaś?! Zastanawiać się teraz! Fotografuj, mówię! — zdenerwowałem się. — To trzeba koniecznie sfotografować!

— I nagrać — zasapał z podniecenia Kękuś.

— Nie uwierzą nam potem, że coś takiego się wyrabiało! — dodał Kleksik.

— To są sceny zbiorowego obłędu na skutek skażenia preparatem — wycedził Gnat nie odrywając chciwych oczu od kłębiącego się tłumu. — Panowie, jesteśmy świadkami wyjątkowego zjawiska... Naprawdę rzadka okazja... Mało który reporter może asystować przy pierwszym zastosowaniu wynalazku... Bo chyba zdajecie sobie sprawę, co się dzisiaj stało? Pelmanowi udało się dokonać wynalazku...

— Więcej — powiedziałem — to prawdziwe odkrycie chemiczne!

— O kapitalnym znaczeniu.

— Zdjęcia dokumentalne są konieczne — stwierdził Gnat. — Ta Opat ma aparat. Dlaczego nie fotografuje? Powiedz jej, żeby fotografowała!

— Ty jej powiedz — przygryzłem wargi.

— Ja nie gadam z nią. Powiedz jej, niech się nie odgrywa i robi, do diabła, te zdjęcia! Albo jest reporterką, albo nie!

Przysunąłem się do Madzi.

— Gnat myśli, że się odgrywasz.

Nie odpowiedziała.

— Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

— Co? — znów to spojrzenie nieprzytomne.

— O czym ty myślisz, do stu reaktorów!

— Przepraszam cię, ale muszę zajrzeć do sali przyrodniczej — wyrwała się gwałtownie. — Coś sobie przypomniałam... coś bardzo ważnego! — Nim ją zdołałem zatrzymać, już zniknęła w tłumie.

Stałem do reszty skołowany. Wszyscy dziś zachowywali się jak wariaci. Cały świat stanął na głowie.

Orkiestra grała tusz. Przez gwar i śmiechy rozochoconych rodziców przedarł się głos Oberona:

— Zaczynamy, proszę państwa! Światła! Zapalić wszystkie lampy! Proszę do sali gimnastycznej!

Tłum zakotłował się i ruszył naprzód.

— Dyrektorze, to oblęd! — pani Szykowska rozpaczliwie zagroziła drogę, ale Oberon odsunął ją energicznie.

— Cicho! Jest pani nieznośną sekutnicą szkolną!

— Och, co mnie spotyka! — pani Szykowska roztrzęsiona wypuściła z rąk nieszczęsne dzienniki i ukryła twarz w dłoniach. — Więc pan uległ zatruciu tym okropnym preparatem jak wszyscy, jak wszyscy, co za nieszczęście!...

— Jedyne nieszczęście, to to, że pani nie udało się zatruć — wyznał Oberon i spojrzął na nią z niesmakiem.

— O, Boże!... Coś takiego... o Boże!... — sekretarka zaszlochala boleśnie i wybiegła.

— Ostatnia przeszkoda z drogi! — zawołał wesoło Oberon. — Pelman, co tak siedzisz markotny, chodź zatańczysz sobie — skinął na chemika, który wciąż półprzytomnie podpierał ścianę.

— Prosimy, panie profesorze! — tłum ruszył do niego.

— Nie... nie... — Pelman zerwał się przestraszony i cofał na chwiejnych nogach jak przed katastroficzną wizją.

— Panie profesorze... — podbiegliśmy do niego z niepokojem.

— Nie chcę na to patrzeć! Zostawcie mnie! Tyle lat pracy, tyle nadziei i poszukiwań i taki wynik!... Koszmar w nagrodę... Czemu mnie to spotyka? — po jego wynędzniałej twarzy spłynęły dwie autentyczne łzy. — Strzeżcie się chemii — szepnęła cicho. — Jest okrutna.

— Co z nim? — rozległy się głosy. — Chyba jest w trzecim stadium.

— Hej, Pelman, czy to prawda?

— Nie mówileś nic o trzecim stadium.

— Gąsior poprawi mu humor!

— Dajcie go tutaj!

— Gąsior czy Pelmana?

— Najpierw Pelmana!

— Chodź, stary!

— W końcu jesteś wynalazcą.

— Oblejemy twój wynalazek!

— No, chodź — pan Gargul i pan Dziobas ruszyli z uśmiechem do niefortunnego chemika.

Patrzyliśmy w napięciu, co teraz będzie. Czy Pelman da się przekonać, czy też stan jego nerwów naprawdę jest krytyczny? Był naprawdę. Na widok zbliżających się kolegów, chemik rzucił się do drzwi. Nim zdaliśmy go powstrzymać, wybiegł ze szkoły.

Popędziliśmy za nim.

— Panie profesorze!

— Nie... nie... to straszne — usłyszeliśmy jego głos.

W ciemności zamajaczyła jego pokraczna sylwetka. Biegł przed siebie w rozwianym łopoczącym fartuchu, potykając się, upadając, zrywając, aż roztopił się w czarnej nocy...

Zrezygnowaliśmy z pościgu i wróciliśmy przed bramę.

Cała szkoła jarzyła się jaskrawym światłem. Wszystkie lampy na piętrach i w sali gimnastycznej były zapalone. Przez otwarte okna dochodził szum zabawy i natrętne tony muzyki.

Patrzyliśmy ponuro.

- Przesadzają — rzekł Kękuś.
- Są za mało poważni.
- Nie lubię takich rzeczy — wyznał Zyzio.
- Awantury kosmiczne!
- Boję się — zadrżał Kleksik i poruszył nerwowo spiczastymi ramionami.
- To się może źle skończyć — powiedziałem.
- Najgorzej, że niezupełnie rozumiem — Zyzio wciąż był zaskoczony.
- Jak oni mogli — pisnął Kleksik.
- Są zatruci — powiedziałem.
- Mimo to nie rozumiem — mruczał Zyzio.
- Sam mówiłeś, że to rodzaj zakłócenia świadomości.
- Tak, ale zbyt łatwo ulegli...
- Wszyscy!
- Nawet Oberon!
- Oberon się zupełnie rozłożył! To przygnębiające.
- Powinien trzymać fason...
- Zachować powagę...
- I dystans wobec wypadków!
- Oprzeć się...
- Nie ulegać.
- Powinien być niezmienny.
- Jak stała matematyczna!
- Jak constans...
- Zupełnie mnie rozczarował...
- Wszyscy rozczarowali.
- Są mało odporni.
- Właśnie to mnie martwi.
- Tak, to może niepokoić młodzież.
- Widocznie mieli dyspozycje, to im odpowiada.
- Po prostu byli spragnieni rozrywki — wtrąciłem zdenerwowany. — Chcieli zrzucić z siebie ciężar obowiązków, wyzwolić się z porządku dnia, z niewoli poważnych zajęć...
- Mnie też to nieraz nachodzi — wyznał wstydliwie Kękuś. — Rzucić to wszystko, zapomnieć o wszystkim i pogrążyć się w zabawie, dać się pochłonać bez reszty... pochłonać... pochłonać... pogrążyć się... I ja tak czasem robię...
- Spojrzeliśmy z potępieniem na Kękusia.
- To nie powód, żeby to robili rodzice...
- Rodzice nie są do tego.
- Rodzice mają obowiązki.
- Rodzicom nie wypada.
- Człowiek może stracić zaufanie do rodziców!
- Nic dobrego z tego nie wyniknie!
- Na drugi dzień tym mocniej wezmą się za nas...
- Kiedy im przejdzie, lepiej być z daleka!
- Nagle umilkliśmy wszyscy. Coś poruszyło się na podwórzu i przemknęło szybko między łatami światel odbitych w błyszczących kałużach koło szkoły. Po chwili znowu... Przez moment miałem głupie wrażenie, że to całe podwórze się rusza.
- Szczury — szepnął Zyzio. — Zobacz!
- Szczury?
- Uciekają!
- Patrzyliśmy zdumieni.
- Już o nich zapomniałem — sapał Kleksik. — A jednak były.
- Uciekają.

- Ale dlaczego?
- Może coś się stanie...
- Dlaczego miałyby się stać? Po prostu nie znoszą preparatu.
- Albo zabawy i śmiechu. Nie wytrzymały napięcia.
- To chyba objaw pomyślny — rzekłem niepewnie.

Zyzio zaśmiał się nerwowo.

- Nie wierzysz? — zapytałem.

— Z całej siły pragnę w to uwierzyć! — westchnął i spojrział na zegarek. —

Chodźcie — powiedział. — Zadziałamy! Najwyższy czas zadzwonić po milicję.

Niech szukają Bambosza!

— Mam jeszcze coś do załatwienia w szkole — oświadczyłem wpatrzony w jedno z oświetlonych okien. — Chyba dacie radę beze mnie?

I nie czekając na odpowiedź zniknąłem od razu w drzwiach szkoły, a potem pognąłem do pracowni chemicznej. Tam właśnie paliło się to światło. Skrzydło budynku, gdzie znajdowała się pracownia chemiczna, nie zostało jeszcze dotknięte szaleństwem zabawy. Panował tu przyjemny spokój, kojąco działający na moje skolatane nerwy. Wciąż jeszcze rozdygotaną ręką nacisnąłem klamkę i... nie omyliłem się.

Przy stoliku nauczycielskim siedziała Matylda po uszy zaczytana w sążnistej księdze. Nawet nie drgnęła, gdy wszedłem.

- Co tak studiujesz? — zapytałem.

— Izotopy promieniotwórcze — nie podnosząc głowy odpowiedziała i nawet się nie zdziwiła, że słyszy mój głos.

- Po co ci to?

— Chciałam upewnić się, czy mam rację... Słuchaj, ja już wiem, dlaczego awaramisy nazywano klejnotami śmierci...

- Co ci strzeliło do głowy?! — zdębiałem. — Myślisz, że te klejnoty...

- Myślę, że były promieniotwórcze.

- Na jakiej podstawie?...

- Patrz! — przerwała mi i podsunęła jakieś zdjęcie.

- Co to jest? Jakiś chłopak?

- Nie poznajesz?

- Umilak? W takiej pozie? Co on robi?!

— Pstryknęłam to zdjęcie w chwili, gdy straszyl dziewczęta. Pamiętasz, biegał po korytarzach z jakimś potworkiem w ręku...

- Owszem. Tego nikt nie zapomni! Nigdy jeszcze w budzie nie było tyle pisku.

- Wiesz, co to było za zwierzę?

— No, chyba szczur. Umilak mówił, że wyciągnął go Zakalle z łóżka... Ale to był wypchany szczur... nędzny, pogryziony przez mole.

- To nie był szczur — powiedziała Madzia.

- A co?

- Przyjrzyj się dobrze, zobacz co Umilak trzyma, te łapy, ten pyszczek, ten ogon...

No, co to jest?

- Kot — odpowiedziałem.

- Tak, to był kot. Czy nic cię w nim nie zaskakuje?

- Co mnie ma zaskakiwać?

- Spójrz na oczy tego kota!

— Jakieś ślepe... Zupełnie białe! — zaniemówiłem na chwilę. — Do licha, to przecież ten sam kot, którego fotografowałaś na wystawę... Wtedy też nie wyszły mu oczy...

- Nie mogły wyjść — powiedziała Matylda.

— Nie mogły? — powtórzyłem i nagle w tym momencie doznałem olśnienia właściwego odkrywcom i wynalazcom. — Myślisz, że one były... — urwałem, bo myśl wydała mi się mimo wszystko absurdalna.

— Były promieniotwórcze — dokończyła za mnie Matylda — przedmiot wysyłający promienie tak właśnie wychodzi na błonie fotograficznej. Prześwietlają po prostu, choć my nie widzimy światła. Dla błony fotograficznej te oczy musiały żarzyć się i błyszczeć tak mocno, jak dla nas błyszczy słońce. Bo te oczy to właśnie... już wiesz?

Przez chwilę nie mogłem złapać tchu z wrażenia.

— Już wiem — wykrztusiłem wreszcie — to awaramisy!

— Antykwariusz zastanawiał się, jak je dobrze ukryć i przyszło mu na myśl zrobić z nich oczy wypchanemu kotu. To znaczy umieścić je tak w jego głowie, by sterczały tylko same wypukłe kamienie i imitowały oczy. Wykonał w tajemnicy swój zamiar. Nikt się niczego nie domyślił. Oczywiście po tym zabiegu trzymał kota przy sobie, nie oddał go w depozyt ani muzeum, ani szkole. I nie byłoby żadnych komplikacji, gdyby nie Umilak. Podczas wizyty u chorego antykwariusza Umilak zauważył jego kota i pomyślał, że warto by nim postraszyć dziewczęta. Zapewne wyjątkowa brzydota eksponatu natchnęła go tą szczęśliwą myślą. Na zakończenie wizyty porwał więc kota i wybiegł z nim z pokoju, nie zważając na krzyki przerażonego starca. Biedny pan Zakallo tak przejął się tym wybrykiem, że w kilka minut później zaniemógł ciężko i stracił mowę.

— No i miał się czym przejąć — wykrztusiłem. — Skarb wartości milionów w rękach takiego Umilaka!

— Nie odzyskał już przytomności i umarł w parę dni później. Nikomu nie zdażył przekazać informacji, gdzie ukrył awaramisy. Nawet panu Dziedziuchowi...

— Jak na to wszystko wpadłaś? — wyszeptalem zdumiony.

— Najważniejsze, to skojarzyć pewne fakty, które na pierwszy rzut oka nie mają nic wspólnego z sobą. Na przykład bardzo się przejęłam tym, że awaramisy nazywano klejnotami śmierci. Czy rzeczywiście coś takiego mogło być naprawdę? Czy to tylko bajka? Jak można by wytłumaczyć takie właściwości klejnotów naukowo? Promieniotwórczość pewnych pierwiastków! Tak, to chyba to. Z drugiej strony taki fakt, jak nieudane fotografie kota. I fakt, że antykwariusz ukrył awaramisy „gdzieś blisko”, jak oświadczył Chruścielowi. I fakt, że kamienie pierścieni miały kolor żółty. I oczy kota też... Dużo było faktów, ale na początku nie umiałam skojarzyć ich z sobą... Trzeba było iskry wysokiego napięcia, żeby je wszystkie stopić w jedną całość! Ta iskra poraziła mnie dzisiaj, jak słuchałam tego wszystkiego... Myślałam o tych różnych intruzach, którzy odwiedzali dawny pokój Zakally na poddaszu, o ich bezskutecznych poszukiwaniach. Awaramisów już nie było w tym pokoju. Nie miałam żadnych wątpliwości. Podobnie, jak nie miałam żadnych wątpliwości, że były tam do momentu nagłego pogorszenia stanu zdrowia Zakally. Człowiek tak bojaźliwy jak on bałby się je trzymać gdzieś poza mieszkaniem. Na pewno chciał je mieć przy sobie. Chciał patrzeć na nie. To była najciekawsza rzecz, jaką posiadał. Przedmiot jego dumy i chorobliwej troski! To znaczy, że awaramisy musiały zniknąć z jego mieszkania dopiero tuż przed jego śmiercią. A może nawet fakt ich utraty był pośrednią przyczyną śmierci?... I zadałam sobie pytanie, które zwykle zadaje się w takich okolicznościach. Kto odwiedzał pana Zakallę tuż przed jego śmiercią? Kto z tych gości wyniósł jakąś rzecz z jego pokoju? Odpowiedź w obu wypadkach brzmiała: Umilak. On tam był, on wyniósł wypchanego kota ze sztucznymi żółtymi oczami... I wtedy nagle ta iskra! Wszystko stało się w okamgnieniu jasne! Lecz musiałam się jeszcze upewnić. Dlatego przyszedłam tutaj...

— Madziu, jesteś genialna!

— To ty wyzwoliłeś tego geniusza we mnie.

— Ja? Czy nie Zygmunt Gnacki przypadkiem?

Madzia spochmurniała.

— Nie dokuczaj mi... I nie mów nikomu o tym, co ci tu powiedziałam. To wciąż jeszcze hipoteza. Tylko hipoteza.

— Nie. To na pewno jest prawda! To musi być prawda! Idziemy! — pociągnęłam ją za rękę.

Ruszyliśmy w stronę sali biologicznej, tam gdzie znajdowały się wypchane zwierzęta. Serca były nam mocno. Na palcach podeszliśmy do drzwi, rozglądając się niespokojnie. Ale nikt nas nie słyszał. Z daleka wciąż dochodziły dźwięki muzyki i szum rozbawionej sali...

Madzia wyciągnęła z torby klucz.

— Jeszcze nie otwieraj — szepnąłem.

Staliśmy przed wielkimi drzwiami, ściskając się za ręce. I coraz mniej spieszyło mi się do awaramisów. Chciałem, żeby tak trwało wieki...